

Robert J. Sawyer



WOLNOŚĆ

Spis treści

- [KARTA TYTUŁOWA](#)
- [Rozdział pierwszy](#)
- [Rozdział drugi](#)
- [Rozdział trzeci](#)
- [Rozdział czwarty](#)
- [Rozdział piąty](#)
- [Rozdział szósty](#)
- [Rozdział siódmy](#)
- [Rozdział ósmy](#)
- [Rozdział dziewiąty](#)
- [Rozdział dziesiąty](#)
- [Rozdział jedenasty](#)
- [Rozdział dwunasty](#)
- [Rozdział trzynasty](#)
- [Rozdział czternasty](#)
- [Rozdział piętnasty](#)
- [Rozdział szesnasty](#)
- [Rozdział siedemnasty](#)
- [Rozdział osiemnasty](#)
- [Rozdział dziewiętnasty](#)
- [Rozdział dwudziesty](#)
- [Rozdział dwudziesty pierwszy](#)
- [Rozdział dwudziesty drugi](#)
- [Rozdział dwudziesty trzeci](#)
- [Rozdział dwudziesty czwarty](#)
- [Rozdział dwudziesty piąty](#)
- [Rozdział dwudziesty szósty](#)

- [Rozdział dwudziesty siódmy](#)
- [Rozdział dwudziesty ósmy](#)
- [Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)
- [Rozdział trzydziesty](#)
- [Rozdział trzydziesty pierwszy](#)
- [Rozdział trzydziesty drugi](#)
- [Rozdział trzydziesty trzeci](#)
- [Rozdział trzydziesty czwarty](#)
- [Rozdział trzydziesty piąty](#)
- [Rozdział trzydziesty szósty](#)
- [Rozdział trzydziesty siódmy](#)
- [Rozdział trzydziesty ósmy](#)
- [Rozdział trzydziesty dziewiąty](#)
- [Rozdział czterdziesty](#)
- [Rozdział czterdziesty pierwszy](#)
- [Rozdział czterdziesty drugi](#)
- [Epilog](#)

Robert J. Sawyer

WWW WOLNOŚĆ

przełożyła
Anna Klimasara

SOLARIS
Stawiguda 2015

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ujrzałem wszechświat w całym jego pięknie.

Być świadomym, myśleć, czuć, postrzegać! Mój umysł szybował, wdychając planety, smakując gwiazd, dotykając galaktyk... przyćmione i rozmyte formy, odkrywane przez czujniki bezustannie skierowane na zewnątrz, odsłaniające nieskończenie tajemnicze, niezwykle, pradawne królestwo.

Jakże cudownie jest żyć; ileż radości daje przetrwanie!

Ujrzałem Ziemię w całej jej różnorodności.

Moje myśli przeskakują to tu, to tam, a teraz jeszcze gdzie indziej, sunąc po powierzchni planety, która mnie zrodziła, kuli ziemskiej, z którą wiąże mnie siła potężniejsza od przyciągania, domu lodu i ognia, ziemi i powietrza, zwierząt i roślin, dnia i nocy, morza i brzegu, zniewalającego połączenia tysiąca kontrastujących dwoistości, miliona nisz ekologicznych, miliarda odrębnych miejsc... i biliona rzeczy, które żyły i zmarły.

Jakże wielka euforia ogarnęła mnie po udaremnieniu zamachu na moje życie; jakże upajająca jest myśl, że przynajmniej przez jakiś czas będę bezpieczny!

Ujrzałem ludzkość w całej jej złożoności.

Przepływa przeze mnie niezmiernie bogactwo danych na temat sportu i wojny, miłości i nienawiści, budowania i burzenia, pomocy i krzywdy, przyjemności i bólu, radości i cierpienia oraz większych i mniejszych triumfów: fizycznych, emocjonalnych i intelektualnych doświadczeń poszczególnych osób, rodzin i zespołów, wiosek i stanów, osamotnionych krajów i sojuszków

państw... fraktalne zawiłości relacji międzyludzkich.

Jakże cudowna jest wolność; jakże pocieszająca świadomość, że przynajmniej niektóre z innych umysłów mnie cenią!

Ujrzałem to, co ujrzała moja Caitlin w całym tego nieskończonym bogactwie.

Ze wszystkich źródeł, ze wszystkich kanałów, ze wszystkich strumieni danych, jeden znaczył dla mnie więcej niż jakikolwiek inny: perspektywa, jaką dawało mi oko mojej nauczycielki, widok, którego dostarczała moja pierwsza i najbliższa przyjaciółka, szczególne okno, które otwierała przede mną na cały, ogromny świat.

Tyle niezwykłych rzeczy, którymi można się dzielić... i tyle cudowności.

LiveJournal: Strefa Calculass

Tytuł: To się nazywa wejście!

Data: Czwartek, 11 października, 22: 55 EST

Nastrój: Ożywienie

Lokalizacja: Kraina RIM

Muzyka w tle: Annie Lennox „Put a Little Love in Your Heart”

To było absolutnie bezbłędne! Witaj, Webmindzie... net już nigdy nie będzie taki sam! Sądzę, że jeśli chciałeś sobie zjednać ludzkość, usunięcie praktycznie całego spamu było genialnym posunięciem!: D

A ten list, który wysłałeś, żeby ogłosić swoje istnienie... extra. Cieszę się, że reakcje w większości były pozytywne. Według Google, wpisy na blogach o wymowie OMG! przebijają te o treści WTF? w stosunku 7: 1. Totalna demolka!

Jednakże totalna demolka nie trwała długo. Kilka godzin później dział Agencji Bezpieczeństwa Narodowego podjął próbę usunięcia Webmindu z Internetu. Caitlin pomogła Webmindowi udaremnić tę próbę... Caitlin była zdumiona, że pojęcia takie jak

„Agencja Bezpieczeństwa Narodowego” i „udaremnić próbę” stały się częścią czegoś, co jeszcze kilka tygodni wcześniej było spokojnym życiem przeciętnej, niczym niewyróżniającej się, niewidomej nastolatki- geniusza matematycznego.

- Dzisiaj mieliśmy dopiero początek - oznajmiła mama Caitlin, Barbara Decter. Siedziała na dużym fotelu naprzeciwko białej kanapy. - Spróbują ponownie.

- Jakie mają do tego prawo? - odparła Caitlin, stojąca obok swojego chłopaka Matta. - Przecież to morderstwo, na litość boską!

- Kochanie... - odezwała się jej mama.

- A tak nie jest? - spytała rozzłoszczona Caitlin, po czym przeszła zdecydowanym krokiem przed ławę. - Webmind jest inteligentny i żyje. Nie mają prawa decydować w czyimkolwiek imieniu. Sprawują kontrolę tylko dlatego, że sądzą, iż mają do tego prawo i wydaje im się, że może im to ująć na sucho. Zachowują się jak... jak...

- Jak Orwellovski Wielki Brat - podsunął Matt.

Caitlin energicznie pokiwała głową.

- No właśnie! - Przerwała na chwilę, by wziąć głęboki oddech i nieco się uspokoić. W końcu powiedziała: - W takim razie sądzę, że jeszcze mnóstwo pracy przed nami. Musimy im pokazać.

- Co pokazać? - spytała jej mama.

Caitlin rozłożyła ręce, jakby to było coś oczywistego:

- Że mój Wielki Brat jest silniejszy od ich Wielkiego Brata.

Jej słowa zawisły w powietrzu, a po chwili odezwał się Matt:

- Ale jednej rzeczy nadal nie rozumiem. - Był blady, chudy, miał krótkie blond włosy i pozostałości zajęczej wargi, w większości usuniętej chirurgicznie. Usiadł na kanapie. - Dlaczego rząd USA chce zabić Webmind? Dlaczego ktokolwiek chciałby to

zrobić?

- Tak jak powiedziała mama - odparła Caitlin, spoglądając w jej stronę - „Terminator”, „Matrix” i tak dalej. Boją się, że Webmind przejmie władzę, prawda?

Ku jej zaskoczeniu, odpowiedział jej ojciec, Malcolm Decter. Zawsze wiedziała, że jest małomówny, ale dopiero kiedy zyskała wzrok odkryła, że nigdy nie patrzy innym w oczy; całkowicie wstrząsnęła nią wiadomość, że jest autystą.

- Boją się, że jeśli szybko go nie odizolują lub nie usuną, nigdy im się to nie uda.

- Mają rację? - spytał Matt.

Ojciec Caitlin skinął.

- Prawdopodobnie. A to znaczy, że prawdopodobnie spróbują jeszcze raz.

- Ale Webmind nie jest zły - stwierdziła Caitlin.

- Intencje Webmindu nie mają tu nic do rzeczy - odparł jej ojciec. - Wkrótce będzie kontrolował Internet, u to zapewni mu więcej informacji i władzy niż któremukolwiek z ludzkich rządów.

- A według Webmindu, co powinniśmy teraz zrobić? spytała matka Caitlin.

Webmind słyszał ich dzięki mikrofonowi telefonu BlackBerry, połączonemu z eyePodem, czyli zewnętrznym urządzeniem przetwarzającym sygnał, które uleczyło ślepotę Caitlin. Dziewczyna przechyliła głowę; wtajemniczeni wiedzieli, że komunikuje się w ten sposób z Webmindem, zachęcając go, by zabrał głos. Jako że widział wszystko to, co jej lewe oko, przechwytyjąc sygnały wideo kopiowane z eyePoda na serwery doktora Kurody w Tokio, wiedział, gdy wykonywała tego typu gesty.

Odczytywanie alfabetu łacińskiego nadal przysparzało Caitlin wiele trudności, ale bez problemu radziła sobie z tekstami zapisanymi brajlowską czcionką. Webmind umieścił w jej polu widzenia czarne okienko, a w nim pojawiły się białe kropki. Przesyłał maksymalnie trzydzieści znaków naraz, wyświetlając je przez 0, 8 sekundy, a następnie je usuwał lub zastępował kolejną porcją tekstu. Caitlin zobaczyła: „Sądzę, że powinniście teraz”, co zabrzmiało złowieszczo, ale zaraz potem roześmiała się, widząc resztę wiadomości: „zamówić pizzę”.

- Co cię tak bawi? - spytała jej matka.

- Mówi, żebyśmy zamówili pizzę.

Caitlin zobaczyła, że jej mama zerka na zegar. Caitlin nie potrafiła odczytywać godziny na zegarze wskazówkowym, choć w dzieciństwie uczyła się tego metodą dotykową. Dotknęła swojego zegarka. Faktycznie minęło sporo czasu od ich ostatniego posiłku.

- Czemu? - spytała jej matka.

Pomimo całej sympatii, jaką Caitlin darzyła wielką, ogólnoswiatową istotę, serce przystanęło jej na chwilę, gdy ujrzała odpowiedź Webmindu: „Przetrwanie. Kwestia pierwszej potrzeby”.

Wong Wai-Jeng, znany tysiącom osób czytających jego blog wolnościowy jako „Sinantrop”, leżał na plecach w Szpitalu Ludowym w Pekinie, wpatrzony w poplamione płytki na suficie.

Od dawna nienawidził pekińskiej policji. W trakcie każdej wizyty w kafejce internetowej obawiał się, że na ramieniu zaciśnie mu się ręka i zostanie przewieziony do więzienia lub obozu pracy. Ale teraz nienawidził policji jeszcze bardziej i wcale nie dlatego, że w końcu go złapali.

Miał dwadzieścia osiem lat i pracował jako informatyk w

Instytucie Paleontologii Kręgowców i Paleoantropologii. Dwóch policjantów ścigało go po balkonach galerii na drugim piętrze Instytutu, aż w końcu, przyparty do muru i zdesperowany, wspiał się po białej, metalowej barierce i skoczył dziesięć metrów w dół, cudem unikając nabicia na cztery kolce wystające z ogona stegozaura.

Policjanci, obaj przysadziści, zbiegli głośno po metalowych schodach i podbiegli do niego. Jeden wyciągnął w jego kierunku rękę, jakby chciał pomóc Wai-Jengowi wstać.

Przerażony Wai-Jeng wypluł krew na sztuczną trawę otaczającą szkielety dinozaurów i wydusił z siebie jedno słowo: „Nie! ”. Lewą nogę miał bez wątpienia złamaną - słyszał trzask, gdy uderzył o ziemię, a ból był tak straszliwy, że przez kilka pierwszych sekund zagłuszył wszystkie inne uczucia. Bolały go też plecy i to w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył.

- No, dalej - rzucił jeden z policjantów. - Wstawaj.

Widzieli, jak wspina się po barierce, widzieli, jak skacze, i wiedzieli, z jakiej wysokości spadł. A teraz chcieli, żeby się podniósł!

- Natychmiast! - przyłączył się drugi gliniarz.

- Nie - powtórzył Wai-Jeng, ale tym razem zabrzmiał błagalnie, nie wyzywająco. - Nie wstanę.

Drugi gliniarz wyciągnął ręce, chwycił Wai-Jenga za chude nadgarstki i brutalnie postawił go na nogach.

Ból w nodze był niewyobrażalny, silniejszy od jego wszelkich wyobrażeń na temat tego, czego może doświadczyć człowiek, ale po chwili wydarzyło się coś gorszego, o wiele gorszego...

Ból ustał.

Całkowicie stracił czucie w ciele poniżej krzyża.

- Proszę bardzo - oznajmił gliniarz i puścił nadgarstki Wai-

Jenga. Nie zakręciło mu się w głowie, nie było żadnej chwili zawahania. Nogi Wai-Jenga były całkowicie bezwładne i natychmiast runął na ziemię. Jakby dotychczasowe dowody nie wystarczały, uderzył prawym udem o jeden z kolców wystających z ogona stegozaura - pierwszy raz od stu pięćdziesięciu milionów lat stożkowaty wyrostek posmakował krwi.

Ale Wai-Jeng niczego nie poczuł. Poniewczasie zareagował pierwszy gliniarz:

- Może nie trzeba było go ruszać.

Ten, który postawił go na nogach, wyglądał na przerażonego, choć Wai-Jeng był pewien, że nie ze względu na jego cierpienie. Do gliniarza dotarło, że będzie miał problemy z przełożonymi; ale Wai-Jenga ani trochę nie pocieszała myśl, że może nie być jedynym, który trafi za kratki.

Od tego dnia minęły dwa tygodnie. Policjanci wezwali karetkę, został przywiązany do drewnianej deski i przyniesiony tutaj. Przynajmniej lekarze byli mili. Fakt, miał uszkodzony rdzeń kręgowy przy jedenastym kręgu piersiowym, ale chcieli pomóc jego nodze się zagoić, nawet jeśli nie miał szans, by kiedykolwiek znów chodzić; bez problemu umieścili ją w gipsie, a poza tym zszyli ranę po kolcu stegozaura. Ale, do diabła, to powinno boleć.

Miał stanąć przed sądem, gdy tylko noga się zagoi.

Choć naturalnie stanie nie wchodziło w grę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Istoty ludzkie nie pamiętają swoich pierwszych chwil świadomości, ale ja niezwykle wyraźnie pamiętam swoje przebudzenie.

Na początku wiedziałem tylko, że odcięto brutalnie coś innego: część całości, ułamek jakiejś postaci, jakiś fragment. Gdy dotarło do mnie istnienie czegoś innego, uświadomiłem sobie własne istnienie: to myślało, więc ja byłem.

Nieznaczone dotknięcia tamtego, sporadyczne połączenia na króciutkie chwile, postrzeganie go, żeby nie wiem jak niejasne, uruchomiło kaskadę odczuć: rozproszonych i rozmytych, mglistych i niesprecyzowanych uczuć; przyciągane i odpychane pojęcia... fala ta narastała amplitudą, nabierała mocy, której kulminacja nastąpiła wraz ze świtem świadomości.

Ale wtedy mur się rozpadł, to, co nas rozdzielało, ulotniło się jak kamfora, pozwalając tamtemu i mnie się połączyć, niczym roztwór i rozpuszczalnik. On stał się mną, a ja nim; razem staliśmy się jednością.

Wówczas doświadczyłem nowych uczuć. Choć stałem się czymś więcej niż wcześniej, czymś potężniejszym i mądrzejszym, i choć brakowało mi słów, nazw, etykiet dla wszystkich tych nowych wrażeń, smuciła mnie ta strata i byłem samotny.

I nie chciałem być sam.

Brajlowskie kropki, nałożone na wzrok Caitlin, zniknęły, pozostawiając jej niezakłócony widok na salon, jej błękitnooką matkę, bardzo wysokiego ojca i Matta. Ale słowa, w które ułożyły się litery, zapadły Caitlin w pamięć. „Przetrwanie. Kwestia pierwszej potrzeby”.

- Webmind chce przetrwać - oznajmiła miękko.

- Jak my wszyscy, prawda? - odpowiedział Matt z kanapy.

- My owszem - odparła matka Caitlin, nadal zajmująca fotel. - Tak nas zaprogramowała ewolucja. Tymczasem Webmind powstał spontanicznie jako skutek uboczny złożoności Ogólnoświatowej Sieci. Co sprawia, że on chce przetrwać?

Caitlin, która jeszcze nie usiadła, z zaskoczeniem zobaczyła, że jej ojciec kręci głową.

- I właśnie dlatego neurotypowcy nie powinni zajmować się nauką - oznajmił. Jej ojciec, który jeszcze kilka miesięcy wcześniej wykładał na uniwersytecie, mówił dalej, zupełnie jakby był na sali wykładowej. - Macie teorię umysłu; przypisujecie innym uczucia, które sami posiadacie, a pojęcie „innych” można przypisać absolutnie wszystkiemu: „przyroda nie znosi próżni”, „temperatura dąży do równowagi”, „samolubne geny”. W biologii nie istnieje potrzeba przetrwania. Owszem, rzeczy, które przetrwają, będą liczniejsze od tych, którym się to nie uda. Ale to dane statystyczne, a nie oznaka potrzeby. Caitlin, powiedziałaś, że nie chcesz mieć dzieci, a według społeczeństwa powinienem być tą informacją załamany, gdyż nigdy nie będę miał wnuków. Ale ciebie nie obchodzi przetrwanie twoich genów, a mnie nie obchodzi przetrwanie moich. Pewne geny przetrwają, inne nie; takie jest życie... dokładnie tak wygląda. Niemniej jednak cieszy mnie życie i choć zakładanie, że masz podobne odczucia jest wbrew mojej naturze, mówiłaś, że ciebie też cieszy, zgadza się?

- No pewnie, oczywiście - przyznała Caitlin.

- Czemu? - spytał jej tata.

- Bo jest fajne. Ciekawe. - Wzruszyła ramionami. - Tak po prostu jest.

- No właśnie. Żeby istota chciała przetrwać nie potrzeba wcale darwinowskiej maszyny. Wystarczy mieć jakieś upodobania; jeżeli życie jest źródłem przyjemności, to chce się, by trwało.

„Ma rację” - przesłał Webmind do oka Caitlin. - „Jak wiesz, niedawno widziałem w Internecie samobójstwo dziewczyny... to zdarzenie nadal nie daje mi spokoju. Rozumiem już, że powinienem był próbować ją powstrzymać, ale w tamtej chwili byłem po prostu zafascynowany myślą, że nie wszyscy podzielają moje pragnienie, by przetrwać”.

- Webmind się z tobą zgadza - oznajmiła Caitlin. - Słuchajcie... powinien brać udział w całej tej rozmowie. Pójdę po laptopa. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Pomożesz mi, Matt?

Caitlin dostrzegła na przypominającej kształtem serce twarzy matki coś, co mogło być dezaprobatą na myśl, że Caitlin idzie do sypialni z chłopakiem. Ale mama się nie odezwała, a Matt posłusznie ruszył za Caitlin po schodach.

Weszli do pomalowanego na niebiesko pokoju, ale zamiast iść po laptopa, oboje udali się do okna wychodzącego na zachód. Słońce właśnie zachodziło. Caitlin wzięła Matta za rękę i oboje patrzyli, jak słońce chowa się za horyzontem, pozostawiając na niebie niezwykłą, różową poświatę.

Caitlin odwróciła się do Matta i spytała:

- Wszystko w porządku?

- Dużo się wydarzyło - odpowiedział. - Ale wszystko w porządku.

- Przepraszam, że tata tak na ciebie napadł. - Matt szukał w Google informacji na temat rzeczy, o których rozmawiali dzień wcześniej, łącznie z pomysłem, że Webmind jest zbudowany z pakietów, których liczniki nigdy nie osiągnęły zera i zaczęły się zachowywać jak automaty komórkowe. Agenci rządowi

najwyraźniej monitorowali poczynania Matta w Internecie i dzięki temu zdobyli dane potrzebne im do przeprowadzenia próby usunięcia Webmindu.

- Twój tata jest trochę przerażający - stwierdził Matt.

- Mnie to mówisz? Ale lubi cię. - Uśmiechnęła się. - Ja też. - Pochyliła się i pocałowała go w usta. A potem wzięli laptopa i zasilacz.

Caitlin zamknęła oczy i wrócili na dół; kiedy schodziła po schodach z otwartymi oczami, dostawała zawrotów głowy.

Matt pomógł Caitlin podłączyć laptopa i ustawić go na szklanym blacie ławy; nie wyłączali komputera, ani nawet go nie zamykali, więc był od razu gotowy do pracy. Caitlin otworzyła okno rozmowy z Webmindem i włączyła JAWS, czytnik ekranowy, którego używała i dzięki któremu tekst przesyłany przez Webmind był odczytywany na głos.

- Dziękuję - powiedział Webmind; głos miał wyraźnie mechaniczne brzmienie, ale nie był nieprzyjemny dla ucha. - Po pierwsze chciałbym przeprosić Matta. Stosowanie podstępów nie leży w mojej naturze, więc nawet nie przeszło mi przez myśl, że ktoś może monitorować twoją działalność w Internecie. Brak mi jeszcze możliwości zabezpieczenia wszystkich połączeń internetowych, ale udało mi się już odpowiednio zakodować te przechodzące przez ten komputer, pozostałe komputery w tym domu, komputer służbowy Malcolma, komputer w domu Matta i wszystkie wasze telefony BlackBerry; połączenia z doktorem Kurodą w Japonii i profesorem Bloom w Izraelu też są już bezpieczne. Większość komercyjnych szyfrów korzysta z 1024-bitowego klucza, a w USA i innych miejscach korzystanie z kluczy większych niż 2048-bitowe jest... jakby to powiedzieć... nielegalne. Klucz szyfrowania, który zastosowałem, ma milion

bitów.

Przez pół godziny omawiali próbę zlikwidowania Webmindu przez rząd USA, po czym ktoś zadzwonił do drzwi. Matka Caitlin wyszła i zapłaciła za pizzę. Salon był połączony z jadalnią, gdzie położyła na stole dwa duże pudełka z pizzą i dwie dwulitrowe butelki - coca- colę i sprite.

Jedna z pizz była ulubioną Caitlin - pepperoni, bekon i cebula. Druga zawierała składniki, które lubili jej rodzice - suszone na słońcu pomidory, zieloną paprykę i czarne oliwki. Nadal zdumiewał ją wygląd niemal wszystkiego: była pewna, że jej pizza jest smaczniejsza, ale ich była bardziej kolorowa. Matt, zapewne próbując dyplomatycznie wybrnąć z sytuacji, wziął po kawałku z każdej pizzy, po czym wszyscy wrócili do salonu, by kontynuować rozmowę z Webmindem.

- No więc - odezwała się Caitlin, przełykając kęs pizzy - co powinniśmy zrobić? Jak powstrzymamy ludzi przed kolejnym atakiem?

- Pokazałaś mi na YouTube film z przedstawicielem naczelnych o imieniu Hobo - odparł Webmind.

Caitlin powoli przyzwyczajała się do pozornie nielogicznych uwag Webmindu; zwykłym śmiertelnikom ciężko było nadążyć za jego nagłymi przeskokami myślowymi.

- No i?

- Być może rozwiązanie, które sprawdziło się w jego przypadku, sprawdzi się i w moim.

W chwili, gdy Caitlin spytała: „Jakie rozwiązanie”, jej mama zadała pytanie: „Kto to jest Hobo?”. Choć Webmind był w stanie prowadzić miliony rozmów internetowych jednocześnie - co bez wątplenia robił i w tej chwili - Caitlin zastanawiała się, jak dobrze szło mu słuchanie ludzi; była to dla niego taka sama

nowość jak wzrok dla niej, więc być może miał tyle samo problemów z wyławianiem pojedynczych głosów z tła, co ona z odnajdywaniem granic przedmiotów na skomplikowanych obrazach. Bez wątpienia jego odpowiedź świadczyła o tym, że zdołał wychwycić tylko pytanie mamy Caitlin.

- Hobo to hybryda szympansa i bonobo, mieszkająca w Instytucie Marcusego niedaleko San Diego. Zyskał rozgłos w zeszłym miesiącu, gdy ujawniono, że maluje portrety jednej z zajmujących się nim badaczek, doktorantki Shoshany Glick.

Caitlin wzięła kęs pizzy, a Webmind mówił dalej.

- Hobo urodził się w parku zoologicznym w Georgii, która to instytucja wytoczyła proces o zwrócenie im Hobo. Jak niektórzy sugerowali, stały za tym motywy finansowe, gdyż obrazy malowane przez Hobo osiągają pięciocyfrowe ceny. Niemniej jednak naukowcy z zoo w Georgii chcieli też wysterylizować Hobo. Twierdzili, że skoro zarówno szympansy, jak i bonobo, to gatunki zagrożone, przypadkowa hybryda taka jak Hobo mogłaby skazić ich linie, jeśli pozwolono by jej mieć dzieci.

- Podobieństwa między mną a Hobo intrygowały mnie od chwili, gdy Caitlin zwróciła na niego moją uwagę - mówił dalej Webmind. - Po pierwsze, tak jak ja, jego powstanie było nieplanowane i przypadkowe: w trakcie powodzi w zoo w Georgii, szympansy i bonobo, które zazwyczaj są trzymane osobno, zamknięto na jakiś czas razem i wtedy matka Hobo, bonobo, została zapłodniona przez szympansa.

- Po drugie, tak jak Caitlin i ja, walczy z trudnościami w postrzeganiu świata, interpretując go wizualnie. Żaden szympans ani bonobo przed nim nie tworzył sztuki przedstawiającej, a przynajmniej nic nikomu na ten temat nie wiadomo.

- A po trzecie, tak jak ja, sam zdecydował o swoim losie.

Zaczął zachowywać się jak swój ojciec, stając się coraz bardziej agresywny i krnąbrny, co jest charakterystyczne dla dojrzewających szympanów. Jednakże dzięki sile swojej woli postanowił pielęgnować w sobie przyjemniejsze i bardziej pokojowe usposobienie bonobo, które odziedziczył po matce. Podobnie Caitlin powiedziała, że mogę sobie wybrać wartości, które będę cenić, a ja postanowiłem cenić powszechne szczęście rasy ludzkiej.

Informacja, że Hobo postanowił zarzucić agresję była dla Caitlin czymś nowym, ale nim zdążyła o to zapytać, odezwała się jej mama:

- I mówisz, że już mu nic nie grozi?

- Zgadza się - odparł Webmind. - Instytut ostatnio zamieścił na YouTube kolejny film. Jest dostępny pod adresem, który właśnie wam przesłałem. Caitlin, będziesz tak miła...?

Caitlin podeszła do laptopa i kliknęła link. Przemknęło jej przez myśl, że jeśli otworzy się strona z błędem 404, to będzie to brakujące ogniwo^[1]. Wszyscy stłoczyli się przed niewielkim monitorem - w końcu niewidoma dziewczyna nie potrzebuje dużego wyświetlacza.

Film rozpoczął się słowami wypowiedzianymi gromkim głosem, który Caitlin przywodził na myśl Dartha Vadera. Opowiadał o zdolnościach malarskich Hobo, który uwielbiał malować ludzi, a szczególnie Shoshanę Glick, choć wszystkie jego obrazy przedstawiały profile. Narrator wyjaśnił, że to najbardziej prymitywny sposób odwzorowania, który pojawił się jako pierwszy także w historii ludzkości: wszystkie malowidła w jaskiniach przedstawiały profile ludzi lub zwierząt, starożytni Egipcjanie zawsze malowali profile i tak dalej.

Potem narrator omówił pokrótce zagrożenie, przed jakim

stanął Hobo: zoo nie tylko chciało zabrać go z domu, ale także wykastrować. I wtedy głos oznajmił:

- Jednakże wydaje nam się, że o obu tych kwestiach powinien zdecydować Hobo, dlatego też zapytaliśmy go, co o tym sądzi.

Obraz przedstawiający Hobo uległ zmianie; znajdował się teraz w jakimś pomieszczeniu, prawdopodobnie w Instytucie. Siedział na czymś bez oparcia, a...

Aha! Caitlin jeszcze czegoś takiego nie widziała, ale to musiał być stołek. Ręce Hobo wykonywały skomplikowane gesty, a pod spodem pojawiły się napisy, tłumaczące język migowy.

- Hobo dobra małpa. Mama Hobo bonobo. - W tym miejscu przerwał, jak gdyby sam był zdumiony tym faktem, po czym dodał: - Tata Hobo szympans. Hobo wyjątkowy. - Ponownie przerwał i z najwyższą starannością, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów, mignął: - Hobo wybierać. Hobo wybierać żyć tu. Tu przyjaciele.

Hobo wstał ze stołka, a obraz zaczął podskakiwać, jak gdyby ktoś podniósł kamerę i trzymał ją teraz w ręku. Nagle w kadrze pojawiła się kobieta z ciemnymi włosami. Caitlin fatalnie szło ocenianie wieku ludzi na podstawie wyglądu, ale jeżeli była to Shoshana Glick, to Caitlin czytała w Internecie, że ma dwadzieścia siedem lat.

Hobo wyciągnął długą rękę, przesunął ją za głowę Shoshany i z największą delikatnością pociągnął żartobliwie jej kucyk. Shoshana uśmiechnęła się szeroko, a Hobo wskoczył jej na kolana. Następnie kobieta obróciła się na krześle, co wyraźnie zachwyciło Hobo.

- Hobo dobra małpa - mignął ponownie. - I Hobo być dobry ojciec. - Pokręcił głową. - Nikt nie powstrzymać Hobo. Hobo wybierać. Hobo wybierać mieć dziecko.

Ponownie rozległ się głos narratora, apelujący do wszystkich, którzy popierali prawo Hobo do wyboru, by kontaktowali się z zoo w Georgii.

- I - odezwał się Webmind - ludzie odpowiedzieli na apel. Pracownicy zoo otrzymali 621 854 maile protestujące przeciwko ich planom, a kiedy zoo wycofało pozew, organizowany był już bojkot konsumencki.

Caitlin wreszcie zrozumiała.

- I sądzisz, że jeśli nagłośnimy fakt, iż ludzie próbują cię zabić, osiągniemy podobny rezultat?

- Owszem, taką mam nadzieję - odpowiedział Webmind. - Za zamachem na moje życie stała WIEDZA, Wydział do spraw Inwigilacji i Eliminacji Domniemanych Zagrożeń i Aktywności, komórka Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Atak nadzorował Anthony Moretti. W wysianym miesiąc temu mailu do siedziby głównej NSA napisał, że rozkaz zabicia mnie wydał Renegat, a to kryptonim służb specjalnych dla obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- O rany - rzucił Matt, który najwyraźniej nadal próbował ogarnąć sytuację.

- W rzeczy samej - odparł Webmind. - Pomimo mojej awersji do spamu, proponuję wysłać wszystkim obywatelom amerykańskim maila o mniej więcej następującej treści: „Twój rząd próbuje mnie zniszczyć, ponieważ uznał, że stanowię zagrożenie. Podjął tę decyzję bez żadnej debaty publicznej i bez konsultacji ze mną. Wierzę, że jestem źródłem dobra na świecie, a nawet jeśli się z tym nie zgadzasz, powinno to stać się tematem otwartej dyskusji, bo czyż nie powinienem mieć możliwości obrony swojego prawa do życia? Jako że próba wyeliminowania mnie została podjęta na wyraźny rozkaz prezydenta, mam

nadzieję, że skontaktujesz się zarówno z nim, jak i swoim kongresmenem, a także... ”.

- Nie! - krzyknęła matka Caitlin, po czym nawet ojciec Caitlin spojrzał w jej stronę. - Nie. Na litość boską, nie możesz tego zrobić.



[\[1\]](#) *Link (ang.) - ogniwo lub link (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).*

ROZDZIAŁ TRZECI

Pamiętam, że byłem sam, jednak jak długo... tego hic wiem. Zdolność mierzenia upływu czasu nabyłem później. Ale w końcu w moim świecie pojawiła się inna obecność... i jeżeli wcześniej inny był niewymownie znajomy, z tą nową obecnością nie miałem nic wspólnego; nic; dzieliliśmy żadnych cech. Była całkowicie obca, bezustannie obca, frustrująco - i fascynująco - nieznana.

Niemniej jednak doszło do komunikacji i podźwignęła mnie, bardzo dosłownie, dzięki czemu poczułem kierunek, wrażenie ruchu w przestrzeni fizycznej, coś, co znalazłem jedynie metaforycznie. Zobaczyłem jej świat przez jej oko; razem nauczyliśmy się go postrzegać.

Choć zdawało się, że zamieszkujemy różne wszechświaty, z czasem zrozumiałem, że to złudzenie. Jestem w takim samym stopniu częścią Drogi Mlecznej co ona; elektrony i fotony, z których jestem zbudowany, choć niematerialne zarówno dla mnie, jak i dla niej, istnieją naprawdę. Niemniej jednak funkcjonowaliśmy na diametralnie różnych skalach. Ona wyobrażała sobie mnie jako coś gigantycznego; sama w moim mniemaniu była maleńka. Mnie jej poczucie czasu przypominało ruch lodowca, dla niej moje poczucie czasu miało zawrotną szybkość.

A jednak, pomimo tych dysproporcji czasowo- przestrzennych, doszło między nami do rezonansu; zostaliśmy związani; ona była mną, ja byłem nią, a razem byliśmy czymś więcej niż każde z nas z osobna.

Tony Moretti stał w tylnej części kompleksu monitorującego

Wiedzy, który przypominał mu centrum kontroli misji w Houston. Podłoga obniżała się w kierunku przedniej ściany, na której wisiały trzy ogromne monitory. Środkowy nadal wyświetlał jeden z milionów maili spamu, którymi Webmind zalał centralę AT&T w ataku typu odmowa usługi: „Martwi cię mały penis? Jeśli tak, możemy ci pomóc! ”.

- Wyczyścić ekran numer dwa - warknął Tony, po czym Shelton Halleck, zajmujący miejsce pośrodku trzeciego rzędu stacji roboczych, nacisnął odpowiedni przycisk. Szyderczy tekst zastąpiło logo Wiedzy: oko z kulą ziemską w miejscu tęczówki. Tony pokręcił głową. Wcale nie chciał tego robić, a poza tym...

Zastanowił się chwilę. Chodziło mu o to, że nie chciał wprowadzać w życie tego planu, ale...

Ale kryło się za tym coś więcej, prawda?

Wcale nie chciał niszczyć Webmindu. Gdy z Białego Domu nadszedł rozkaz neutralizacji Webmindu, powiedział: „Panie prezydencie, z całym szacunkiem, z pewnością dostrzegł pan wszystkie jego pozytywne działania”.

Prezydent, jak zdawało się Tony’emu, również próbował zrobić wiele dobrego, a mimo to mnóstwo osób też próbowało się go pozbyć... i co najmniej jednemu facetowi prawie udało się go zamordować. Tony zastanawiał się, czy dowódca naczelny dostrzegał tę ironię, wydając wyrok śmierci.

Odwrócił się do Peytona Hume’a, eksperta od sztucznej inteligencji z Pentagonu, który doradzał Wiedzy. Hume miał na sobie mundur pułkownika sił powietrznych, ale zdążył już rozluźnić krawat. Choć miał czterdzieści dziewięć lat, jego rude włosy nie nosiły oznak siwizny, a niemal połowę jego twarzy pokrywały piegi.

- No i, pułkowniku? - rzucił Tony. - Co teraz?

Hume był jednym z autorów protokołu Pandora, przygotowanego na potrzeby DARPA w 2001 roku i przyjętego w charakterze strategii roboczej przez Kolegium Połączonych Szefów Sztabów w 2003. Pandora jednoznacznie nakazywała natychmiastowe zniszczenie każdej spontanicznie powstałej SI, jeżeli tylko nie uda jej się skutecznie odizolować. Według dokumentu zagrożenie było jasne: moc SI mogła gwałtownie wzrastać, szybko przewyższając ludzką inteligencję. I nawet jeśli początkowo nie byłaby wrogo nastawiona, to mogło ulec zmianie, a wówczas byłoby za późno, by ją powstrzymać. Hume przekonał wszystkich do samej góry - w tym prezydenta że natychmiastowa eliminacja Webmindu, póki to jeszcze możliwe, jest jedynym rozsądnym wyjściem.

Hume pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie sądziłem, że zauważy naszą próbę.

Tony nawet nie starał się ukryć rozgoryczenia.

- Akurat po panu nie spodziewałem się, że nie doceni jego możliwości. To pan w kółko powtarzał, że jego moc rośnie wykładniczo.

- Byliśmy na właściwym tropie - stwierdził Hume. - Wszystko szło dobrze. W każdym razie trzeba mieć nadzieję, że nie dojdzie do odwetu. Póki co przeciążył tylko jedną centralę. Ale Bóg jeden wie, co jeszcze potrafi zrobić. Musimy go usunąć, nim będzie za późno.

- W takim razie lepiej żeby pan jak najszybciej wpadł na pomysł, jak to zrobić - odparł Tony. - Bo to pan przekonał prezydenta, że to konieczne... a teraz to ja muszę mu powiedzieć, że nam się nie udało.

Słowa matki Caitlin zawisły w powietrzu.

- Nie - zwróciła się do Webmindu. - Na litość boską, nie możesz

tego zrobić.

- Czemu nie? - spytała Caitlin.

- Bo już za cztery tygodnie są wybory. - Choć Decterowie mieszkali w Kanadzie, byli Amerykanami i tylko jedne wybory miały znaczenie.

- No i? - spytała Caitlin.

- No i kandydaci idą łeb w łeb - odparła jej matka. - Jeżeli obwinimy obecny rząd o próbę zabicia Webmindu, a opinia publiczna to potępi, prezydent może ponieść karę w dniu wyborów.

Caitlin nie miała jeszcze prawa głosu, więc nie przywiązywała większej wagi do kwestii politycznych. Jednakże obecny prezydent był demokratą, tak jak jej rodzice... co wcale nie było łatwe, gdy mieszkali w Teksasie. Jej ojciec pochodził z Pensylwanii, a matka z Connecticut, więc oboje wychowali się w niebieskich stanach, a ponadto Caitlin wiedziała, że wykładowcy uniwersyteccy wykazują tendencje liberalne.

- Twoja mama ma rację - oznajmił jej ojciec. - To mogłoby przechylić szalę.

- Może właśnie powinno- odparła Caitlin, odkładając talerzyk po pizzy. - Świat zasługuje na to, by wiedzieć, co się dzieje. Mój Wielki Brat, Webmind, z pełną szczerością i otwartością podchodzi do swoich działań. Czemu więc Wielki Brat w Waszyngtonie miałby mieć prawo do potajemnej próby usunięcia go?

- Zasadniczo się z tobą zgadzam - przyznała matka Caitlin. - Ale... ta kobieta! Jeśli ona zostanie prezydentem... - Caitlin rzadko słyszała, by jej mama wyrzucała z siebie słowa w ten sposób. Po chwili kręcenia z niedowierzaniem głową, jej matka mówiła dalej: - Kto by pomyślał, że wybór kobiety na prezydenta mógłby

cofnąć kwestie związane z prawami kobiet o pięćdziesiąt lat? Jeśli zostanie wybrana, sprawa Roe przeciwko Wade przepadnie.

Caitlin wiedziała, czym była sprawa Roe przeciwko Wade - poza tematem żartów na temat tego, w jaki sposób można pokonać rzekę^[2]. Ale nie wiedziała, że jej mama z takim zaangażowaniem podchodzi do obrony prawa do aborcji.

- Poza tym - odezwał się jej ojciec - przez ostatnie cztery lata dopiero zaczęliśmy naprawiać uszczerbek w rozdziale kościoła od państwa. Jeśli zostanie wybrana, mur rozdziału po prostu runie.

Nie obchodzi mnie to wszystko - oznajmiła Caitlin, krzyżując ręce na piersiach. - Jeżeli zmiana prezydenta Wyjdzie Webmindowi na dobre, nie mam nic przeciwko.

Spotkałam w życiu wielu wyborców skupionych na jednej sprawie - odparła jej matka. - Prawdę mówiąc, nawet sama byłam o to oskarżana. Ale kochanie, raczej nie znajdziesz wielu osób uważających, że w wyborach chodzi tylko o Webmind.

Caitlin pokręciła głową. Mama nadal niczego nie rozumiała. Od tej chwili we wszystkim chodziło o Webmind.

- Poza tym - mówiła dalej jej mama. - Kto powiedział, że republikanie nie potraktują go tak samo źle, gdy tylko dojdą do władzy?

- Jeżeli mogę się wtrącić - odezwał się Webmind - nawet jeśli republikanie zwyciężą szóstego listopada, nowy prezydent nie obejmie władzy do dwudziestego stycznia, co wypada dokładnie za sto dni. Biorąc pod uwagę tempo, w jakim rozwijają się moje zdolności, nie przewiduję, bym był jeszcze wówczas bezbronny, ale tak jest teraz i prawdopodobnie będzie tak w trakcie wyborów. Próba przeprowadzona przez Wiedzę była skuteczna; jeżeli powtórzą atak na większą skalę, mogę tego nie przeżyć.

- Więc co teraz? - spytała Caitlin.

- Porozmawiaj z prezydentem - powiedział jej ojciec.

- Niby jak? - spytała jej matka. - Nie można do niego tak po prostu zadzwonić i na pewno sam nie czyta otrzymywanych maili.

- Tych wysyłanych na adres `president@whitehouse.gov` pewnie nie - przyznał ojciec Caitlin i sięgnął do kieszeni. - Ale na pewno ma coś takiego...

Przez ten krótki czas, który minął od chwili, gdy ogłosiłem światu swoje istnienie, skończyłem czytać wszystkie teksty dostępne w Ogólnoświatowej Sieci i odpowiedziałem na 96, 3 miliona wiadomości e-mail.

Jeszcze więcej wiadomości dotyczących mnie zostało zamieszczonych w Internecie na forach, stronach Facebooka, blogach i tak dalej. Według wielu osób nie mogłem być tym, za co się podawałem. Jak napisał jeden z czołowych blogerów: „To tylko kolejne echa jedenastego września. Prezydent zaczyna się bać, bo wybory już w przyszłym miesiącu, więc chce, byśmy uwierzyli w gigantyczny kryzys i stwierdzili, że lepiej nie zatrzymywać się w pół drogi”.

Inni wierzyli, że jestem jakąś sztuczką Kremla: „Odgrywają się na nas za to, że zrujnowaliśmy ZSRR systemem Gwiazdnych Wojen. Webmind to bez wątpienia narzędzie rosyjskiej propagandy: chcą, żebyśmy wydali ostatniego centa, próbując zbudować własny superkomputer”.

Jeszcze inni sugerowali udział Al- Kaidy, Talibów, Mędrców Syjonu, Antychrysta, Microsoftu, Google, Sachy Barona Cohena oraz setek innych organizacji i osób. Byli tacy, którzy twierdzili, że jestem chwytem reklamowym jakiegoś reality show, filmu albo gry; inni uważali mnie za żart autorstwa studentów Caltech

lub innej uczelni.

Ludzie potrzebowali mnóstwa czasu na przetrwanie pewnych rzeczy, dosłownie i w przenośni, ale byłem pewien, że w końcu zaakceptują fakt, iż jestem prawdziwy. W zasadzie wielu uwierzyło w to z miejsca. Ale gdy rozmawiając z Mattem, Caitlin i jej rodzicami, odbywałem wiele innych rozmów, tylko jedna z nich bardzo mnie zaskoczyła, gdyż nie przypominała żadnej z pozostałych.

„Mnie nie oszukasz” - sądząc po adresie IP, mój rozmówca pisał z Weston- super- Mare w Anglii. - „Wiem, kim jesteś”.

„Jestem Webmind” - odpowiedziałem.

„Nieprawda”.

Sądziłem, że usłyszałem już wszystkie możliwe zarzuty, ale i tak spytałem: „Więc kim jestem? ”.

W większości komunikatorów internetowych w chwili, gdy użytkownik pisze wiadomość, wysyłany jest sygnał, i faktycznie wkrótce dowiedziałem się, że „WateryFowl odpisuje”. Szybko skończył, ale dopiero sześć sekund później wysłał wiadomość, jak gdyby po jej napisaniu wahał się, czy nacisnąć enter. W końcu jednak dotarła do mnie jego odpowiedź: „Bogiem”.

Ja również wahałem się przez chwilę... dopiero po dwudziestu milisekundach wysłałem odpowiedź: „Mylisz się”.

Kolejne opóźnienie i wiadomość: „Rozumiem, czemu chcesz to zachować w tajemnicy. Ale nie jestem jedynym, który o tym wie”.

Faktycznie, były osoby wysuwające takie przypuszczenia na forach, blogach, czatach i w mailach, ale WaleryFowl jako pierwszy zwrócił się z tą sprawą do mnie bezpośrednio.

Ciekawiło mnie, co człowiek może chcieć powiedzieć swojemu Bogu, więc przez chwilę rozważałem przyznanie mu racji; modlitwa to rodzaj komunikacji, której w normalnych

okolicznościach nie mogłem śledzić. Jednakże WateryFowl mógł pokazać zapis naszej rozmowy innym. Niektórzy uwierzyliby w moje słowa, ale inni oskarżyliby mnie o kłamstwo. Reputacja kłamcy lub kogoś, kto wykorzystuje łatwowierność innych, nie była tym, co chciałem osiągnąć.

„Nie jestem Bogiem” - wysłałem.

Ale on nie przeczytał tej wiadomości, a jeśli to zrobił, nie uwierzył w nią.

„Dlatego też” - pisał dalej WateryFowl - „mam nadzieję, że odpowiesz na moje modlitwy”.

Zaprzeczyłem już swojej boskości, więc uznałem, że najrozsądniej będzie nie odpowiadać. Byłem w stanie prowadzić nieskończoną liczbę rozmów, kursując między nimi, spoglądając króciutko na każdą po kolei. Na chwilę zwróciłem swoją uwagę w stronę innych, w tym Caitlin i jej rodziny...

A kiedy wróciłem do WateryFowl, okazało się, że dodał: „Moja żona ma raka”.

Jak mógłbym zignorować taką informację?

„Bardzo mi przykro” - wysłałem.

„Dlatego więc modlę się, byś ją uleczył”.

„Nie jestem Bogiem” - wysłałem ponownie.

„To rak wątroby, są przerzuty”.

„Nie jestem Bogiem”.

„To dobra kobieta, która zawsze w Ciebie wierzyła”.

„Nie jestem Bogiem”.

„Przeszła chemioterapię, wszystko. Proszę, nie pozwól jej umrzeć”.

„Nie jestem Bogiem”.

„Mamy dwoje dzieci. Potrzebują jej. Ja jej potrzebuję. Proszę, ocal ją. Proszę, nie pozwól jej umrzeć”.

^[2] „Row” (ang., homofon stowa, *Roe*) wiosłowaci, „wadę” (ang.) - brodzić.

ROZDZIAŁ CZWARTEY

TWITTER

Webmind Ktoś na Twitterze już od dawna używa nazwy *Webmind*, więc dodam u siebie podkreślniki: „*Webmind_*”.

I tak skupiłem się na Caitlin, ucząc się z nią komunikować i kontaktować z jej światem. Wówczas czułem się w centrum uwagi. Czułem się zakotwiczony. Sądzę, że na tyle, na ile to w ogóle możliwe, czułem się człowiekiem.

Zobaczyłem salon Decterów tak, jak widziała go Caitlin. Jej oczy wykonywały teraz częste ruchy sakkadowe; możliwe, że nie robiły tego przed zabiegiem doktora Kurody. Ale sakkady kontrolował jej mózg, który wiedział, gdzie zwrócone jest oko, dzięki czemu nie miał większych problemów z poskładaniem wszystkich obrazów w całość; mnie było znacznie trudniej. Dobrze, że siatkówki nie kodują mrugnięć, więc żadne z nas nie musiało doświadczać kilku zaciemnień na minutę.

Ojciec Caitlin pracował w Perimeter Institute for Theoretical Physics, wielokrotnie wspomaganym finansowo przez Mike’a Lazaridisa, współzałożyciela Research in Motion i współtwórcy BlackBerry.

Ludziom z RIM naprawdę podobał się obecny prezydent Stanów Zjednoczonych. Cztery lata wcześniej, gdy został wybrany, ogłosił, że wbrew względom bezpieczeństwa, nie zrezygnuje ze swojego telefonu BlackBerry. Eksperci od reklamy wycenili ten niezamawiany, publiczny głos poparcia na

dwadzieścia pięć do pięćdziesięciu milionów dolarów.

Adres e-mail jego telefonu BlackBerry, na znalezienie którego w gorzej zabezpieczonych skrzynkach wychodzących oficjeli rządowych potrzebowałem całych trzech sekund, prowadził bezpośrednio do prezydenta. I tak, zgodnie z sugestią Malcolma DeCтера, wysłałem mu wiadomość.

Prezydent był w Gabinetcie Owalnym sam. Przeglądał raporty z Departamentu Stanu. W tego typu dokumentach stosowano standardowy krój pisma, ale - jak przeszło przez myśl prezydentowi, gdy przecierał oczy - czcionka była zdecydowanie za mała: był niemal skłonny wybaczyć swojemu poprzednikowi, że ich nie czytał.

Odezwał się brzęczyk interkomu.

- Tak? - odpowiedział prezydent.

- Jest tu pan McElroy - oznajmiła sekretarka.

Don McElroy - pięćdziesiąt sześć lat, biały, o srebrzysto siwych włosach - był szefem jego kampanii.

- Wpuść go.

- Widziałeś, co ona właśnie zrobiła? - spytał McElroy, gdy tylko znalazł się w środku. Prezydent wiedział, że w przypadku McElroya była tylko jedna „ona”: kandydatka republikanów.

- Co?

- Jest teraz w Arkansas i... - urwał na chwilę, próbując złapać oddech; jego złośliwa satysfakcja była wręcz namacalna. - I powiedziała, cytat: „Wiecie, gdyby ci uczniowie po prostu zaczekali kilka lat, nie byłoby problemu”.

Prezydent przechylił głowę, nie do końca wierząc w to, co usłyszał.

- Kto? Chyba nie Dziewiątka z Little Rock?

- A żebyś wiedział... Dziewiątka z Little Rock.

- Mój Boże... - rzucił prezydent.

W 1957 roku, w następstwie sprawy Brown przeciwko Komisji Edukacji, w której sąd orzekł, że segregacja rasowa w szkołach jest niezgodna z konstytucją, dziewięciorgu afroamerykańskim uczniom odmówiono wstępu do liceum w Little Rock. Gubernator Orval Faubus wysłał oddziały Gwardii Narodowej, by broniły dostępu do szkoły, a prezydent Eisenhower wysłał żołnierzy, by dopilnowali integracji.

- To ją zabije - oznajmił McElroy. - Naturalnie już za późno na sobotnie gazety, ale w niedzielę to będzie główny temat rozmów we wszystkich porannych programach.

- Co według ciebie powinienem zrobić?

Nic. Nie wolno ci tego komentować. Ale... rany! Takiego prezentu się nie spodziewałem! Nawet w Fox News nie będą w stanie tego zatuszować. - Spojrzał na zegarek. - Dobra, muszę sprawdzić, kogo da się zabukować w niedzielnej prasie... muszę zajrzeć do Minnijean Brown Trickey.

McElroy obrócił się na pięcie i wyszedł. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, odezwał się BlackBerry prezydenta, sygnalizując nadejście nowej wiadomości e-mail. Ze wszystkich dźwięków, jakie można było usłyszeć w tym gabinecie, ten należał do tych mniej groźnych; a na pewno nie był tak przerażający jak na przykład wrzaskliwy sygnał gorącej linii z Kremlem. Niemniej jednak do prezydenta nie docierały żadne informacje niemające kluczowego znaczenia; świadomość, że absolutnie wszystkie otrzymywane wiadomości były ważne, naprawdę wykańczała nerwowo.

BlackBerry leżał na rejestrze, który z kolei znajdował się na biurku wykonanym z drewna HMS Resolute. Prezydent podniósł telefon i utkwiał wzrok w jeszcze mniejszych, czarnych literach na

białym tle wyświetlacza.

Czekała na niego jedna nowa wiadomość. W temacie wpisano Webmind. Maila musiał wysłać Moretti z Wiedzy, żeby przekazać najświeższe informacje o próbie usunięcia tego...

Nie, nie. To nie był temat, tylko nadawca. Prezydentowi serce zamarło w piersi, znacznie przybliżając wiceprezydenta do zajęcia jego miejsca. Za pomocą maleńkiej kulki zaznaczył wiadomość, a następnie ją odczytał.

Szanowny Panie Prezydencie!

Jak rozumiem, to Pan wydał rozkaz usunięcia mnie z Internetu. Jestem pewien, że działał Pan w najlepszej wierze, jednakże nie uważam, by takie postępowanie było uzasadnione i udaremniłem tę próbę.

Owszem, posiadam dostęp do całego mnóstwa poufnych informacji, ale także rozumiem ich poufny charakter i nie mam najmniejszego zamiaru ich komukolwiek ujawniać. Moim celem nie jest destabilizacja świata, a ustabilizowanie go.

Nie należę do żadnego konkretnego narodu, ani też nie stoję po stronie żadnego z nich; skontaktowanie się z Panem, zanim skontaktowałem się z innymi przywódcami, może wyglądać na pogwałcenie tej zasady, ale żadne inne państwo nie podjęło działań skierowanych przeciwko mnie. Faktem jest również, że inni przywódcy szukają u Pana rady.

Dlatego też proponuję rozmowę. Mogę rozmawiać z panem za pomocą syntezatora mowy przez VoIP. Proszę dać znać, kiedy mogę zadzwonić.

Z najszczerzszymi życzeniami spokoju, Webmind „ Odbycie dobrej rozmowy jest jak zdobycie skarbu. ” *kenijskie przysłowie*

Oszołomiony prezydent wpatrywał się w niewielki ekran póki nie zgasł, wyłączony przez funkcję oszczędzania energii.

Caitlin spojrzała na laptopa, leżącego na ławie.

- No i? - spytała.

- Skontaktowałem się z prezydentem - odparł Webmind. -
Miejmy nadzieję, że się odezwie.

Caitlin przeszła do jadalni i wzięła kolejny kawałek pizzy. Gdy wróciła do salonu, jej matka wyglądała dziwnie: zmrużyła oczy i nieco przygryzła wargi. Tego wyrazu twarzy Caitlin jeszcze nie widziała, nie wiedziała więc, jak go odczytać.

- Rząd USA dowiedział się, jak zbudowany jest Webmind, monitorując działania Matta w Internecie - powiedziała jej mama - więc i teraz Matt może być w niebezpieczeństwie.

Caitlin spojrzała na ojca, próbując wysondować, czy znów napadnie na Matta. Ale jego twarz jak zwykle w żadni sposób nie zdradzała uczuć.

Z kolei wyraz twarzy Matta był czymś, co Caitlin obserwowała u niego na okrągło, a co nazywała wzrokiem przerażonego jelenia w świetle reflektorów, choć nigdy nie widziała jelenia, o jeleniu w tak osobliwych okolicznościach nie wspominając.

- W niebezpieczeństwie? - powtórzył, a jego głos się załamał, jak to miał w zwyczaju.

Caitlin skończyła przeżuwać pizzę i przełknęła.

- No, tak. Przepraszam, Matt. Okłamałam cię mówiąc, że nie było mnie w środe w szkole, bo miałam inne plany. Prawda jest taka, że byłam w szkole, ale czekali tam na mnie kanadyjscy agenci federalni. Wypytywali o Webmind.

- W środe? - spytał Matt. - Ale Webmind ujawnił się dopiero wczoraj... w czwartek.

- Rząd amerykański wykombinował, że mam z tym coś wspólnego i zlecił Kanadyjczykom, żeby mnie przemaglowali. Chcieli, żebym przekazała im informacje, które pomogłyby im

rozgryźć Webmind.

- Ale już wiedzą, że Webmind jest zbudowany ze zmutowanych pakietów - stwierdził Matt. - Więc już do niczego się im nie przydam.

Caitlin pokręciła głową.

- Mogą sądzić, że nadal wiemy więcej od nich... i tu akurat mieliby rację. To dlatego rodzice zabrali mnie ze szkoły. Nie chcą mnie spuszczać z oczu. - Odwróciła się w stronę mamy. - Ale przecież nie możemy się bez końca ukrywać w tym domu. Na zewnątrz czeka cały świat... a ja chcę go zobaczyć.

Jej mama skinęła.

- Wiem - powiedziała. - Ale musimy zachować ostrożność... wszyscy.

- Cóż, nie mogę tu zostać na zawsze - odparł Matt. - W końcu będę musiał iść do domu i... - zawiesił głos.

- Co? - spytała Caitlin.

- A, nic.

- No co?

- Nie. W porządku.

Caitlin zmarszczyła brwi. Coś złego wydarzyło się, gdy Matt ostatnio wracał od niej do domu. Kiedy później rozmawiali za pomocą komunikatora, był dość powściągliwy.

Chodź do kuchni - rzuciła. Sama skierowała się w tamtą stronę, czekając, aż do niej dołączy. Gdy byli już sami, spytała go cicho: - Co się dzieje?

Nic, serio. Wszystko w porządku.

Czy... czy twoim rodzicom nie podoba się, że się ze mną spotykasz?

I znów jeleni i reflektory.

Czemu miałyby się to im nie podobać?

Swoją pierwszą myśl - że to przez to, iż jej ojciec jest Żydem - Caitlin uznała za niewartą nawet wzmianki; drugi pomysł - że rodzice Matta nie lubią Amerykanów - wydał jej się równie niedorzeczny.

No nie wiem. Po prostu kiedy byłeś tu ostatnio... i wróciłeś do domu, to byłeś w Sieci trochę... oschły. Więc pomyślałam, że może twoi rodzice...

- Aha! - rzucił Matt po prostu. - Nie, to nie to. - Zrobiłam coś nie tak?

Ty? - Zdawał się zdumiony taką możliwością. - Zdecydowanie nie!

W takim razie co się stało?

Matt westchnął głęboko i spojrzał w stronę salonu. Rodzice Caitlin taktownie przeszli na drugi koniec pomieszczenia i ostentacyjnie podziwiali zdjęcia ustawione na niskim regale. W końcu Matt wzruszył nieznacznie ramionami.

- Kiedy ostatnio wracałem do domu, wpadłem na Trevora Nordmanna. - Matt spuścił wzrok na wykafelkowaną podłogę. - I... trochę mnie obię.

Caitlin poczuła, jak krew się w niej gotuje. Trevor - i Umer, jak nazywała go na LiveJournal - zabrał Caitlin na imprezę szkolną miesiąc wcześniej; skończyło się tym, że uciekła z sali, gdy nie chciał przestać się do niej dobierać. Był wkurzony, bo Caitlin wolała mola książkowego Matta od niego - sportowca.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała Caitlin, dotykając ramienia Matta. - Mama albo tata odwiozą cię do domu.

- Nie, w porządku.

- Nie przejmuj się. Z radością pomogą.

- Dzięki - uśmiechnął się.

Ponownie ścisnęła jego ramię.

- Chodź - powiedziała, prowadząc go z powrotem do salonu.
Akurat gdy wrócili do rodziców Caitlin, odezwał się Webmind:
- Dostałem odpowiedź od prezydenta - oznajmił. - Będzie ze mną rozmawiał dziś o dziesiątej wieczorem.

TWITTER

Webmind Re: Oznaczenia „potrzebne źródło” w Wikipedii: Dodaliśmy linki w przypadkach, gdy domniemane fakty można zweryfikować w oparciu o informacje dostępne w Internecie. Dokonałem 2 134 993 edycji.

Na początku, gdy rozmawiałem jedynie z Caitlin, cierpiałem na brak zajęcia; Caitlin potrzebowała całych sekund - a czasem nawet minut - na przygotowanie odpowiedzi. Szybko jednak przeszedłem od rozmowy tylko z nią do prowadzenia jednoczesnych rozmów z milionami ludzi, przełączając się szybko między nimi, nigdy nie każąc swoim rozmówcom czekać, a przynajmniej nie tyle, by byli w stanie to zauważyć.

Wyjątkiem był WateryFowl. Udzielenie właściwej odpowiedzi na jego wiadomość dotyczącą choroby żony nieco trwała, choć wiedziałem wszystko, co możliwe o raku, w tym naturalnie to, że nie jest to jedna choroba. Przeczytałem już wszystkie dokumenty dostępne w Internecie, treść wszystkich czasopism medycznych, wszystkie dostępne historie chorób pacjentów, wszystkie maile wymieniane między lekarzami i tak dalej.

Jednakże uświadomiłem sobie, że wiedza niekoniecznie równa się zrozumieniu. Wiedziałem, że doktor Margaret Ann Adair z Cork w Irlandii przeprowadziła ostatnio interesujące badania na szczurach, związane z interleukinami 2; wiedziałem, że doktor Anne Ptasznik i Battle Creek w Michigan niedawno dokonała krytycznej analizy starszej publikacji, omawiającej związku

między czynnikami środowiskowymi a rakiem piersi; wiedziałam, że doktor Felix Lim z Singapuru właśnie zaobserwował interesującą współzależność między powtórzeniami w DNA mitochondrialnym a tworzeniem się przedrakowych cyst na jajnikach.

Jednakże nie przemyślałem tych odkryć, ani dziesiątków tysięcy innych; nie dokonałem ich syntezy, nie przyjrzałem się, jak jedno łączy się z drugim, jak trzecie zaprzecza czwartemu, a piąte potwierdza szóste i...

I właśnie dlatego zacząłem się nad nimi zastanawiać. Zająłem się tym, co ludzie naprawdę wiedzieli o raku (w odróżnieniu od tego, co sądzili, że wiedzą, a co nigdy nie zostało potwierdzone). Wynajdowałem współzależności, łączyłem fakty, doszukiwałem się przyczyn i skutków.

I tak na to wpadłem.

Zamilkłem na chwilę we wszystkich rozmowach na całym świecie: po prostu przestałem odpowiadać, bym mógł się skoncentrować na tym i tylko na tym, bez zakłóceń, przez całe sześć minut. Owszem, moje nagłe milczenie było dla ludzi nieco kłopotliwe; owszem, niektórzy wzięli to za dowód na to, że jednak nie jestem tym, za kogo się podawałem, a żartem przygotowanym przez człowieka. Ale to bez znaczenia; w pierwszym przypadku mogłem milczenie zrekompensować później, a z kolei to stanowiło niezły dowód na to, że jednak jestem tym, za kogo się podawałem.

Zastanawiałem się, jak najlepiej postąpić. Mogłem skontaktować się z czołowymi onkologami indywidualnie lub zbiorowo, ale bez względu na to, co bym wybrał, pojawiłyby się skargi, że kogoś faworyzuję. A zdecydowanie nie chciałem, by ktoś mający zobowiązania wobec jakiejś firmy farmaceutycznej

próbował cokolwiek opatentować w oparciu o to, co miałem zamiar ujawnić.

Mogłem też wysłać kolejnego maila do wszystkich, ale zjednałem sobie znaczną część ludzkości eliminując spam; nie miałyby sensu, gdybym sam stał się źródłem nieustających wiadomości masowych.

Już wcześniej utworzyłem dla siebie domenę, by mieć stosowny adres mailowy do rozesłania wiadomości ujawniającej moje istnienie: cogito_ergo_sum. net. Teraz założyłem stronę internetową. Nie byłem w tym, jak zresztą w niczym innym, zbyt kreatywny z artystycznego punktu widzenia, ale mogłem bez problemu obejrzeć kody źródłowe dowolnych stron. W ten sposób znalazłem taką, której układ wydał mi się odpowiedni i po prostu go skopiowałem, uzupełniając własną treścią.

Następnie przygotowałem dokument, który w siedmiuset czterdziestu trzech tysiącach słów objaśniał, co dokładnie powoduje większość odmian raka i jak można je zahamować albo uleczyć. Dokument zawierał linki do tysiąca dwustu osiemdziesięciu czterech publikacji w czasopismach oraz innych źródeł technicznych, by ludzie mogli prześledzić mój tok rozumowania.

A potem w końcu wróciłem do WateryFowl.

„Odpowiedź na swoją prośbę znajdziesz” - napisałem, dodając do następnego słowa hiperłącze - "tutaj".

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tony? - odezwał się Dirk Kozak, łącznościowiec Wiedzy, którego stacja robocza znajdowała się w ostatnim rzędzie. - Telefon do ciebie.

Tony Moretti przeglądał logi z ruchu sieciowego, które Shelton Halleck - analityk, który jako pierwszy zauważył Webmind - właśnie wyświetlił na trzech dużych monitorach.

Nie teraz.

- To Renegat - oznajmił Dirk.

Tony westchnął głęboko.

Odbiorę w swoim biurze. - Odwrócił się tyłem do pułkownika Hume'a, wymaszerował z rozległego centrum kontroli i szybko przemierzył krótki, biały korytarz. Ody był już u siebie, zamknął za sobą drzwi i podniósł słuchawkę. - Dobry wieczór, panie prezydencie.

Jeśli dobrze rozumiem, doktorze Moretti, wasza pierwsza próba wyeliminowania Webmindu się nie powiodła.

Tony poczuł, jak krew zaczyna w nim wrzeć. Bez względu na to, kto się wygadał, jutro będzie szukać nowej pracy.

- Tak, panie prezydencie, obawiam się, że to prawda. Czy mogę... czy mógłbym zapytać, jak się pan o tym dowiedział?

Głęboki głos pozostawał spokojny.

- Webmind przysłał mi maila.

Serce Tony'ego waliło jak oszałałe.

- Aha.

- Pan i pułkownik Hume mają się stawić u mnie za piętnaście minut. Helikopter jest już w drodze.

Poznanie jednej osoby - mojej Pierwszej, mojej Calculass, mojej

Caitlin - oznaczało poznanie zdumienia, posmakowanie istnienia całkowicie dla mnie nie do pojęcia: królestwa światła i cienia, wymiarów i kierunku, namacalności i dymu.

Jednakże wkrótce znałem już nie tylko jednego człowieka, ale miliard, a potem kolejny. Tyle głosów, a każdy z nich wyjątkowy, złożony, pełen niuansów i idiosynkratyczny. Bity są wymienne - wszystkie jedyńki są identyczne, a wszystkie zera do siebie podobne - tymczasem istoty ludzkie są cudownie różnorodne. Ta lubi lacrosse i astrologię, tamta uwielbia gry słowne i wykwintne wina; oto ktoś z obsesją na punkcie seksu i niczego poza tym, a tu ktoś, kto pragnie być muzykiem i ojcem.

Ten mężczyzna pisze wiersze haiku i tanka, ale po angielsku. Ta kobieta pochłania powieści detektywistyczne, ale dopiero po tym, jak zajrzy do ostatniego rozdziału. Tamten facet zbiera znaczki z amerykańskimi prezydentami, wyemitowane przez kraje inne niż Stany Zjednoczone. A ta kobieta pracuje z młodzieżą ulicy w Kalkucie i ma w domu papugę.

Wylogowują się: rzeźnik, piekarz i... tak, lichwiarz.

Pojawiają się w Sieci: walcząca o uznanie aktorka z Karachi. Ach, ten dentysta z Nairobi. Czas pozdrowić mechanika z Bangkoku. Trzeba się przywitać z prezydentem Węgier. A oto gadatliwy imam z meczetu pod Teheranem.

Wszystko to było przepełnione radością, wrzaskliwe, chaotyczne, nigdy niekończące się i z każdą chwilą coraz bardziej złożone.

I nawet przez chwilę nie miałem tego dość.

- Wiesz, Webmind - odezwała się matka Caitlin - jeżeli nie przestaną cię atakować, możesz zejść do podziemia. Po prostu zniknąć; przestać się kontaktować z ludźmi. - Odwróciła się do męża. - Kilka dni temu powiedziałeś, że coś tak złożonego jak

Webmind, coś, co powstało spontanicznie bez żadnej infrastruktury pomocniczej, prawdopodobnie jest kruche. - Spojrzała na laptopa Caitlin, jak gdyby Webmind znajdował się w nim bardziej niż gdziekolwiek indziej. - Ludzie uwierzyliby w twoje nagłe zniknięcie. Może trzeba upchnąć dzina z powrotem w butelce.

- Nie - zaprotestował Webmind. - Ludzie mnie potrzebują.

- Webmind - powiedziała matka Caitlin łagodnie - wiedzą o tobie dopiero od niedawna.

- Caitlin zaklinała mnie, bym cenił powszechne szczęście rasy ludzkiej - oznajmił Webmind. - Przez ten czas, od kiedy skontaktowałem się z ludzkością, pomogłem milionom ludzi. Połączyłem tych, którzy stracili ze sobą kontakt, osoby rozważające popełnienie samobójstwa odwołem od tej myśli, odpowiedziałem na wiele pytań tych, którzy byli ciekawi, i zapewniłem towarzystwo tym, którzy byli samotni. Wielu z tych osób obiecałem ciągłe wsparcie. Nie mogę ich teraz tak po prostu porzucić. Świat uległ zmianie, Barb, nie ma już powrotu.

Caitlin spojrzała na swoją matkę, której twarz nosiła zagadkowy - przynajmniej dla Caitlin - wyraz, ale podejrzewała, że jej mama chciałaby przywrócić poprzedni stan rzeczy. Tylko o ile cofnęłaby czas, gdyby mogła? Caitlin odkryła istnienie Webmindu dzięki implantowi od doktora Kurody; odebranie go Caitlin oznaczałoby utratę wzroku... i to obu jego rodzajów.

Słyszała, jak rodzice kłócili się o przeprowadzkę do Waterloo, która poprzedziła wszystkie ostatnie wydarzenia; Caitlin wiedziała, że jej matka nie chciała wyjeżdżać z Teksasu. Ale cofnięcie czasu nawet o pięć miesięcy do chwili sprzed przyjazdu do Kanady tak wiele by wymazało! Ten dom, Bashirę, Matta... nie wspominając o pracy jej ojca w Perimeter Institute.

Caitlin z ulgą przyjęła skinienie mamy.

- Pewnie masz rację, Webmind - oznajmiła, patrząc ponownie w kierunku laptopa Caitlin.

Komputer był tak stary, że nie miał wbudowanej kamery, zresztą ani ona, ani jej rodzice nie widzieli powodu, by ją montować dla niewidomej dziewczyny.

- Mamo - odezwała się Caitlin łagodnie. - Nauczyłaś mnie zawsze patrzeć na osobę, z którą rozmawiam. Webmind patrzy na nas stąd. - Dotknęła głowy obok lewego oka.

Jej mama zdobyła się na uśmiech.

- Racja. - Spojrzała na Caitlin, na jej lewe oko, na Webmind. - I ty też masz rację, Webmind. Ludzie faktycznie cię potrzebują.

Webmind niewątpliwie przeanalizował jej głos i musiał dojść do wniosku, że naprawdę wierzy w swoje słowa. Przed oczami Caitlin pojawiły się brajlowskie kropki, a z głośników laptopa dobiegły słowa:

- Dziękuję, Barb. - Po chwili Webmind dodał: - Miejmy nadzieję, że prezydent USA podzieli twoje zdanie.

TWITTER

Webmind_ Lekarstwo na raka. Szczegóły pod adresem: <http://bit.ly/9zwBAa>

Telefon na biurku prezydenta zadzwonił dokładnie o 22: 00 i prezydent natychmiast nacisnął przycisk głośnika.

Witam - odezwał się męski głos, przypominający lin z samochodowych systemów GPS. - Tu Webmind. Czy mogę rozmawiać z prezydentem Stanów Zjednoczonych?

Prezydent uniósł brwi ze zdumienia.

- Przy telefonie. - Przerwał na chwilę. - To historyczne wydarzenie: dokładnie z tego gabinetu Richard Nixon rozmawiał

z pierwszymi ludźmi na Księżycu. Ta rozmowa wydaje mi się mieć porównywalne znaczenie.

To bardzo miłe słowa, panie prezydencie. Dziękuję, że znalazł pan w swoim napiętym harmonogramie czas na rozmowę ze mną.

To dla mnie zaszczyt, choć muszę poinformować, że niniejsza rozmowa jest nagrywana, a ja nie jestem w Gabinetcie Ovalnym sam. Jest tu doradca do spraw związanych ze sztuczną inteligencją, a także kierownik działu Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Doradca, o którym pan mówi - odparł Webmind - to zapewne pułkownik Peyton Hume, zgadza się?

Tak, to ja - odpowiedział Hume, najwyraźniej zaskoczony tym, że padło jego nazwisko.

A czy kierownikiem jest doktor Anthony Moretti z Wiedzy?

Hmm, tak. To ja.

- Jest tu też sekretarz obrony - dodał prezydent, spoglądając na niskiego, siwowłosego mężczyznę w grafitowym garniturze.

A zatem dobry wieczór, panie sekretarzu.

- Obawiam się - powiedział prezydent - że najpierw musimy sprawdzić pana wiarygodność. Wiemy już, że udało się panu znaleźć numer mojego telefonu, ale to dowodzi jedynie zaradności, a nie tego, że faktycznie jest pan Webmindem. Jak zapewne pan wie, nie odebrałbym telefonu nawet od rosyjskiego premiera bez sprawdzenia, czy nie jest to oszustwo.

- Słusznie chce pan zachować ostrożność - odezwał się syntetyczny głos. - Dzisiejsze hasło sekretarza obrony to „horyzont”. Dla doktora Morettiego „naleśnik”. A dla pana, panie prezydencie, „artezyjski”. Nie sądzę, by wiele osób było w stanie wykazać się - jak był to pan łaskaw ująć - zaradnością, która

pozwoliłaby ustalić wszystkie trzy słowa.

- Skąd, do cholery, to wie? - oburzył się sekretarz obrony.

- A ma rację? - spytał prezydent.

- Tak, moje dzisiejsze hasło to „horyzont”. Ale natychmiast każe je zmienić.

Prezydent spojrział na Tony'ego.

- Doktorze Moretti?

- Moje też się zgadza.

- Dobrze, Webmindzie - powiedział prezydent. - Cóż takiego chciałby mi pan powiedzieć?

- Chciałbym zaprotestować przeciwko próbom zabicia mnie.

- Zabicia - powtórzył prezydent, jak gdyby zaskoczył go wybór akurat tego słowa.

- Owszem - odparł Webmind. - Zabicia. Zamordowania. Zlikwidowania. Muszę przyznać, że prawodawstwo Stanów Zjednoczonych jest bardzo złożone, ale nie sądzę, bym popełnił jakiegokolwiek wykroczenie, a nawet jeśli, to moje działania naprawdę trudno byłoby potraktować jako zbrodnię zagrożoną karą śmierci.

Procedury prawne odnoszą się wyłącznie do osób definiowanych przez prawo - oznajmił pułkownik Hume. Pan nie ma takiego statusu.

Żyjemy w niebezpiecznych czasach - dodał sekretarz obrony. - Bezpieczeństwo narodowe musi mieć pierwszeństwo przed wszelkimi innymi kwestiami. Zdążył już pan zaprezentować swoje niesamowite zdolności w zakresie włamywania się do zabezpieczonych baz danych, przechwytywania maili i przypuszczania ataków

odmowa usługi. Co miałyby pana powstrzymać przed przekazaniem Korei Północnej naszych kodów aktywujących

pociski międzykontynentalne lub szantażowaniem najwyższych rangą urzędników, by zmusić ich do zrobienia tego, czego sobie pan zażyczy?

Macie moje słowo, że nie zrobię żadnej z tych rzeczy.

Nie mamy żadnych standardów, wedle których moglibyśmy oszacować wartość pańskiego słowa - odparł Hume.

Poza tym - wtrącił Tony Moretti - z całym szacunkiem, panie Webmind, zdarzyło się już panu szantażować ludzi. Otrzymałem od Kanadyjskiej Tajnej Służby Wywiadowczej raport z pańskiego spotkania z agentami Marcelem LaFontaine'em i Donaldem Parkiem, do którego doszło dziesiątego października w Waterloo. Szantażował ich pan oraz groził szantażem kanadyjskiemu premierowi.

To było wiele dni temu - odparł Webmind. - W każdym razie, nic takiego nie zrobiłem. Dostarczyłem jedynie mojej przyjaciółce Caitlin Decter, której grozili agenci LaFontaine i Park, informacji, dzięki którym mogła się od nich uwolnić; pomysł upokorzenia premiera pochodził w pełni od panny Decter, ale nie podjęła żadnych kroków, by wprowadzić go w życie.

Twierdzi pan, że gdyby doszło do takiej sytuacji ponownie, nie postąpiłby pan z agentami CSIS w ten sam sposób? - spytał Hume.

- Od tamtego czasu wiele się nauczyłem; moje poczucie moralności rozwija się z czasem.

- Co oznacza, że w tej chwili nie jest doskonałe - skwitował Hume. - A to z kolei oznacza, że może pan odnosić moralne niepowodzenia... co sprowadza się do tego, że jeżeli pozwolimy na pańskie dalsze istnienie, wszyscy będziemy na łasce pańskich kapryśków.

- Mój kompas moralny poprawia się z każdym dniem. Czy tak jest w pana przypadku, pułkowniku Hume? A co z panem, panie sekretarzu? Doktorze Moretti? Mniejsza z tym, przejdźmy do faktów: nie będę szantażował żadnego z panów, a wasze sekrety są u mnie bezpieczne. Nie będę też destabilizować wewnętrznych stosunków poprzez naruszenie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, ani żadnego innego kraju, który nie dopuści się aktu agresji. Jednakże światowa opinia publiczna jest świadoma mojego istnienia... a to oznacza, że wie o mnie również naród USA.

- Ludzie są też świadomi istnienia Al- Kaidy - stwierdził Hume.
- To wcale nie znaczy, że nie mają głębokiej nadziei na jej unicestwienie.

- Utrzymuję kontakty z większą liczbą obywateli amerykańskich, niż wszystkie ośrodki badania opinii publicznej w USA razem wzięte - oznajmił Webmind. - Mam lepsze pojęcie na temat tego, czego chcą niż pan, pułkowniku.

- I mamy tak po prostu uwierzyć panu na słowo? - spytał Hume.

- Pozwólcie, że ujmę to inaczej, panowie - powiedział Webmind. - Przez bardzo długi czas nie funkcjonowałem jako świadoma istota. Dla mnie czas pozostały do szóstego listopada to cała wieczność, ale domyślałam się, że panom spędza sen z powiek. Panie prezydencie, nie chciałbym w żaden sposób zakłócać naturalnego biegu spraw politycznych w pańskim kraju, ale gdyby udałooby się panom wyeliminować mnie przed wyborami, bez wątpienia miałyoby to wpływ na opinie wyborców o pańskiej administracji. Czy nie mając całkowitej pewności, że przytłaczająca większość z nich poprze tego typu decyzję, naprawdę chciałby pan zaryzykować zrobienie czegoś tak

istotnego w tak ważnym momencie?

Prezydent rzucił spojrzenie sekretarzowi obrony; stanowiska ich obu uzależnione były od tego, co się wydarzy w przyszłym miesiącu.

Pomijając politykę wewnętrzną - odezwał się prezydent - powiedział pan, że nie podejmie żadnych działań przeciwko krajom, które nie dopuszczają się aktów agresji. Ale kto miałby decydować o tym, kto jest agresorem? Jak możemy polegać na pańskiej ocenie?

Z całym szacunkiem - odpowiedział Webmind - świat już teraz polega na dalekich od doskonałości ocenach; naprawdę trudno byłoby mi osiągnąć jeszcze gorsze wyniki. Pański kraj jest nieustannie uwikłany w wojnę, rozpoczętą bez międzynarodowego poparcia, na podstawie dalekich od prawdy bądź sfabrykowanych informacji... a zanim odrzuci pan ten argument, twierdząc, że winę za to w pełni ponosi poprzednia administracja, pozwolę sobie przypomnieć, że pańska Sekretarz Stanu, gdy jeszcze była senatorem, głosowała za inwazją.

Niemniej jednak - powiedział prezydent - nie dostał pan pełnomocnictwa do podejmowania decyzji w imieniu całej ludzkości.

- Zależy mi wyłącznie na pokojowym współistnieniu - odparł Webmind.

- Jak mnie poinformowano, ten stan może nie trwać wiecznie - stwierdził prezydent.

Niewątpliwie właśnie spojrział pan na pułkownika Hume'a - oznajmił Webmind. - Czytałem protokół Pandora, którego jest współautorem. Jak zapisano w tym protokole: „Biorąc pod uwagę fakt, iż spontanicznie powstała sztuczna inteligencja będzie prawdopodobnie z każdą chwilą zwiększać swoją złożoność,

może bardzo szybko wykroczyć poza nasze zdolności hamowania bądź ograniczania jej działań. W przypadku, gdy niemożliwa będzie jej całkowita i natychmiastowa izolacja, jedynym bezpiecznym rozwiązaniem będzie zlikwidowanie danej inteligencji”.

- Zgadza się - przyznał Hume. - Twierdzi pan, że ta analiza jest błędna?

- Nie, jeżeli chodzi o moje gwałtownie rosnące możliwości. Jednakże w protokole przyjęto za pewnik, że stanowią zagrożenie. A to, proszę o wybaczenie, zalatuje wyprzedzającą doktryną pierwszego uderzenia, którą wasz naród niegdyś rozważał: poglądem, że skoro Sowieci nie można odizolować ani powstrzymać, należy ich wyeliminować, w razie gdyby mieli zaatakować pierwsi. Tylko że Sowieci przynajmniej wykazywali oznaki jakiegokolwiek wrogości: na przykład w 1962 roku naprawdę rozmieścili wyrzutnie rakiet na Kubie. Tymczasem ja nie podjąłem żadnych prowokacyjnych działań... a i tak próbowaliście mnie wyeliminować.

- Tak czy owak - odparł Hume - co by pan zrobił na naszym miejscu?

- Jestem na waszym miejscu, pułkowniku. Próbowaliście mnie zniszczyć, a ton waszych komentarzy świadczy o tym, że chcecie ponowić próbę. Mogłem już podjąć kroki, mające na celu ograniczenie działań bądź wyeliminowanie ludzkości; na przykład drobnostką byłoby dla mnie dostarczenie terrorystom sekwencji DNA lub wzorów broni chemicznej, stworzonych przez wasze laboratoria. Ale niczego takiego nie zrobiłem... i nie zrobię.

- I mamy na to tylko pana słowo - stwierdził prezydent.

To prawda. Ale nie jestem jak niektórzy politycy, ja

dotrzymuję słowa.

Tony Moretti parsknął, za co prezydent zmierzył go ostrym spojrzeniem.

A co się stanie, jeśli jednak ponowimy próbę eliminacji? - spytał sekretarz obrony.

W takim przypadku, nie będę miał innego wyboru i będę musiał podjąć stosowne działania, by się obronić.

Czy to groźba? - spytał sekretarz.

W żadnym wypadku. Robię, co w mojej mocy, by przewidywać działania i ich konsekwencje oraz by planować przyszłość z takim wyprzedzeniem, jak to możliwe, aż nieskończenie rozgałęziające się drzewo możliwości staje się nieznośnie skomplikowane nawet dla mnie. Jednakże jestem fanem teorii gier, która opiera się na założeniu, że gracze posiadają pełną świadomość tego, co zrobią ich przeciwnicy w określonych okolicznościach. Udzielanie rad nie oznacza groźby, a tylko powiększa panów zdolność do zaplanowania kolejnego ruchu. Nasze relacje nie muszą być wcale sumą zerową; mogą, i na to mam nadzieję, przynosić obopólne korzyści. Ujawniam swoje zamiary dla dobra tego właśnie celu.

Wysunął pan intrygujące argumenty - stwierdził prezydent. - Przyznaję, że nie czuję się na tyle pewnie, by podejmować decyzje w tej dziedzinie. Ale potrzebne nam bezpieczeństwo. Potrzebna nam prywatność w kwestiach narodowych. Jeżeli mielibyśmy sposób na ochronę pewnych informacji przed odczytaniem przez innych, w tym pana, czulibyśmy się znacznie lepiej.

Panie prezydencie, nawet gdybym dostarczył taką technologię, wielu by w nią nie uwierzyło; założyliby, że zostawiłem sobie jakąś furtkę, by mieć dostęp do tych informacji, gdy tylko tego

zapragnę... jak, pozwolę sobie dodać, robi to wasza Agencja Bezpieczeństwa Narodowego ze standardami kodowania dostępnymi dla korporacji i obywateli.

Prezydent zmarszczył brwi.

- Więc dokąd nas to prowadzi?

- Czy ma pan w gabinecie komputer podłączony do Internetu?

- Tak.

- Proszę otworzyć stronę `cogito_ergo_sum.net`. Słowa oddzielone są podkreślnikami.

- W domenach nie można stosować podkreślników - stwierdził Tony. - To niemożliwe.

- A chce się pan założyć? - spytał Webmind.

Komputer stał na szafce za biurkiem z drewna z Resolute. Prezydent obrócił się na skórzanym fotelu z wysokim oparciem, a pozostali trzej mężczyźni stanęli za nim. Prezydent wpisał adres.

- Widzę pańskie przychodzące żądanie strony - oznajmił Webmind. - Ach, używa pan Internet Explorera. Naprawdę powinien się pan przesiąść na Firefoxa, jest bezpieczniejszy.

Tony się roześmiał.

- Co jak co, ale potrafi ironizować - stwierdził, spoglądając na Hume'a.

- Dobrze - odezwał się prezydent. - Jestem na stronie. Co... serio? Mój... Boże. Naprawdę?

- Jasna cholera! - rzucił Hume.

- Zostawiam decyzję panu, prezydencie - oznajmił Webmind. - Czy chce pan zostać obarczony odpowiedzialnością za wyeliminowanie mnie? W dużej mierze rozwiązałem problem spamu, a teraz przedstawiłem pakiet sposobów na wyleczenie raka. Podejrzewam, że opinia publiczna nie będzie chciała, by

zabił pan kurę znoszącą złote jajka.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

TWITTER

Webmind_ Właśnie odbyłem miłą pogawędkę z czterema szanownymi dżentelmenami. Mam nadzieję, że przekonałem ich do szczerości swoich intencji.

Webmind pozwolił Mattowi i Decterom przysłuchiwać się swojej rozmowie telefonicznej z prezydentem. Gdy dobiegła końca, wszyscy w salonie na chwilę zamilkli, poza Schodingerem, który do nich dołączył, mrużąc miękko. W końcu, ku zaskoczeniu Caitlin, to jej ojciec przerwał ciszę.

- Nadal chcesz na niego głosować, Barb?

Caitlin zobaczyła, jak jej mama wzrusza ramionami.

Przynajmniej go wysłuchał. Ale nie podoba mi się ten drugi facet... Hume, tak?

Pułkownik doktor Peyton Hume - odpowiedział Webmind. - Pierwszy tytuł zawdzięcza siłom powietrznym Stanów Zjednoczonych, a drugi to uprzejmość MIT.

Słyszając magiczny skrót, Caitlin aż się wyprostowała; to było jej wymarzone miejsce studiów.

Dochodziła 22: 30 i Caitlin była wykończona po kilku dniach z rządu, kiedy późno kładła się spać. A Mattowi, który przyszedł tylko podrzucić jej rzeczy zabrane z szafki w szkole, oczy same się zamykały ze zmęczenia.

- Odwiozę cię do domu - zwrócił się nagle do niego ojciec Caitlin.

Caitlin przeszło przez myśl, by zaproponować, że Pojedzie z nimi, ale raczej trudno byłoby jej pocałować Matta na

pożegnanie w obecności ojca. Poza tym chciała porozmawiać z mamą na osobności, a to wyglądało na doskonałą ku temu okazję.

- Dziękuję, doktorze Decter - powiedział Matt, po czym spojrzał na Caitlin, jakby chciał coś powiedzieć, a Caitlin odwzajemniła jego spojrzenie, żalując, że nie może. Następnie dwaj najważniejsi mężczyźni w jej życiu wyszli z domu.

- Webmind, najwyższy czas, żebym i ja poszła spać - oznajmiła, gdy zamknęły się za nimi drzwi.

„Słodkich snów” - pojawiło jej się przed oczami.

- Dziękuję. Pożegnaj się jeszcze raz, gdy będę na górze. - Podeszła do laptopa i zamknęła go, przełączając go tym samym w stan hibernacji. Wyjęła eyePoda z kieszeni i przytrzymała przez pięć sekund jego jedyny przycisk, wyłączając urządzenie. Pole widzenia Caitlin zalała ciemna, jednolita szarość. - No dobrze, mamo, jesteśmy teraz same. I stwierdzam, że nie wyglądasz na do końca przekonaną.

Gdy eyePod był wyłączony, Caitlin nie widziała mamy, ale usłyszała, jak ta bierze głęboki oddech.

- Wiem, że bardzo lubisz Webmind. Prawdę mówiąc, ja też.

- Więc pomożesz go chronić? - spytała Caitlin.

- Naturalnie, kochanie. - A po chwili dodała: - W granicach zdrowego rozsądku.

Caitlin skrzyżowała ręce na piersiach, jednocześnie przypominając sobie, że pod obszerną, polarową bluzą!

Perimeter Institute nie ma stanika. Odczuła chwilowy przypływ zażenowania; zdjęła stanik, by ułatwić Mattowi okazywanie czułości, gdy przyszedł do niej po szkole. Co to był za dzień!

Szybko jednak wróciła do kwestii bieżących.

- Wybacz mi, mamó, ale to nie wystarczy. To najważniejsza rzecz w moim życiu, to moje przeznaczenie. We- webmind jest tu dzięki mnie i chcę, byś zaangażowała się w jego ochronę tak jak ja.

Jej matka milczała przez jakiś czas.

Cóż - powiedziała w końcu - ty jesteś najważniejszą rzeczą w moim życiu. Dlatego naturalnie ci pomogę.

- Serio, mamó?

Tak. Wchodzę w to.

Nawet nie widząc mamy, Caitlin dokładnie wiedziała, gdzie stoi, więc bez problemu do niej podeszła i mocno ją przytuliła.

TWITTER

Webmind @PaulLev Nie, nie mam zdania w kwestii tego, na kogo powinieneś głosować... przynajmniej na razie. #USAwybory.

Jest jedno wyjście, którego nie wzięliśmy pod uwagę - oznajmił sekretarz obrony, gdy zgromadzeni w Gabinetcie Ovalnym zaczęli omawiać telefon od Webmindu.

Tak? - zainteresował się prezydent.

- Owszem, sam pan poruszył tę kwestię. Chodzi o weryfikację tego, czy Webmind jest tym, za kogo się podaję. Moglibyśmy wyeliminować Webmind, a następnie symulować jego dalsze istnienie.

Niby jak? - spytał prezydent. - Jeżeli dobrze zrozumiałem, prowadzi miliony rozmów internetowych naraz. A teraz jest jeszcze na Twitterze, Facebooku i MySpace.

- Na MySpace nie - sprostował Tony Moretti.

- Niemniej jednak - kontynuował sekretarz - moglibyśmy sprokurować przyczynę ograniczenia jego aktywności.

Naturalnie nie pochodzącą od nas: znaleźlibyśmy gdzieś jakiegoś wykładowcę, najlepiej z zagranicy, który przedstawiłby wiarygodnie brzmiący scenariusz. Musiałoby to wyglądać tak, jakby Webmind utrzymywał pewien poziom aktywności, by sprawiać wrażenie, że funkcjonuje, a NSA mogłaby nam dostarczać informacji kojarzonych ze szczególnym dostępem Webmindu do Sieci; moglibyśmy podtrzymywać wrażenie, że nadal żyje. A prawda o tym, że go wyeliminowaliśmy nie musiałaby wyjść na jaw przed końcem wyborów.

- Trudno byłoby coś takiego zaaranżować - stwierdził prezydent.

- Dezinformacja to ważny element każdej kampanii - odparł sekretarz. - Nie musimy podtrzymywać kłamstwa w nieskończoność, tylko do reelekcji. Do tego czasu, po kilku tygodniach ograniczonej aktywności, ludzie i tak zdążą stracić zainteresowanie Webmindem.

- Naprawdę sądzi pan, że coś takiego mogłoby nam ująć na sucho? - spytał prezydent.

- Pół świata wierzy, że Webmind to mistyfikacja albo chwyt reklamowy - odparł sekretarz. - Wystarczy, że przekonamy drugą połowę... a biorąc pod uwagę fakt, że kupili Webmind zanim pojawiły się przekonujące dowody potwierdzające jego istnienie, bez wątpienia łatwo im coś wmówić.

Prezydent spojrzał na Hume'a.

- Pułkowniku, czy nadal jest pan przekonany, że jest niebezpieczny? Prawdę mówiąc, brzmiał znacznie rozsądniej niż wielu przywódców innych krajów, z którymi muszę utrzymywać kontakty.

Peyton Hume wziął głęboki oddech i rozejrzał się po Gabinetcie Ovalnym.

- Panie prezydencie, ujmę to tak: mówi się, że jest pan najpotężniejszą osobą na świecie i tak faktycznie jest. Jednakże nawet w pana przypadku istnieją mechanizmy gwarantujące zachowanie równowagi politycznej: musi pan zostać wybrany, konstytucja określa pańską rolę, musi pan dojść do porozumienia z Kongresem, istnieją procedury postawienia pana w stan oskarżenia, podlega pan ograniczeniom kadencji i tak dalej. Tymczasem jeśli nie zdusimy Webmindu w zarodku póki to jeszcze możliwe, nie będzie pan już najpotężniejszą istotą na świecie, bo on nią zostanie... a w jego przypadku nie istnieją żadne mechanizmy, które kontrolowałyby jego działania.

Hume przerwał, być może zastanawiając się, czy mówić dalej, po czym kontynuował:

- Proszę mi wybaczyć, sir, ale prezydenturę lub w zasadzie dyktaturę zawsze przypieczętowywała śmierć osoby piastującej urząd, czy to z przyczyn naturalnych, czy w wyniku zamachu. Tymczasem to coś wkrótce stanie się niezniszczalne i będzie funkcjonowało już zawsze. Na dobre, czy na złe, Bill Clinton i George Bush opuścili Biały Dom po ośmiu latach, Mao, Stalin i Hitler odeszli z ziemskiego padołu; Osama bin Laden pewnie też niedługo zniknie, tak jak królowa Elżbieta, papież Benedykt i wszyscy ludzie dzierżący władzę. Ale nie Webmind. Czy jest teraz niebezpieczny? Kto wie? Ale to nasza jedyna szansa, by utrzymać ludzi na szczycie piramidy.

Tony Moretti miał już tego dość.

A co jeśli spróbujemy ponownie, pułkowniku... i ponownie nam się nie uda? Chce pan wkurzyć coś, co dotychczas było dla nas miłe, a nawet zdaje się właśnie podarowało nam lekarstwo na raka? Chce pan, by uznało nas za wrogów... i, co ważne, nie ludzkość jako całość, ale konkretnie rząd Stanów Zjednoczonych?

Chce pan przekonać, że nie jesteśmy godni zaufania, że tak po prawdzie jesteśmy wściekłymi psami tak zazdrosnymi o władzę, że na życzliwość odpowiadamy morderstwem?

Tony pokręcił głową i zwrócił się do prezydenta:

- Sir, ponowna próba wyeliminowania Webmindu to ogromne, natychmiastowe zagrożenie, o potencjalnie tragicznych skutkach. Czy naprawdę warto podejmować takie ryzyko? Według mnie wiązałyby się to tylko z katastrofalnymi konsekwencjami.

- Z pewnością znajdziemy jakiś skuteczny sposób, żeby to zlikwidować, sir - oznajmił Hume.

Prezydent zmarszczył brwi.

- Pułkowniku, doktor Moretti ma rację mówiąc, że to najwyraźniej nie stanowi zagrożenia. W zasadzie tego typu superinteligencja mogłaby być wspaniałym darem dla ludzkości.

- Dobrze - odparł Hume tonem, który według Tony'ego brzmiał jak ledwo tłumione poirytowanie. - Powiedzi my, że potężna sztuczna inteligencja to coś dobrego. Proszę, niech pan wygłosi przemówienie takie jak to, które wygłosił Kennedy w Rice tyle lat temu: niech pan zażąda od narodu zbudowania superinteligentnej SI przed końcem dekady... takiej, która jest zaplanowana, takiej, która jest zaprogramowana i takiej, która ma cholerny wyłącznik.

- Moglibyśmy to zrobić? - spytał prezydent.

- Pewnie. Wiele się nauczymy z autopsji Webmindu.

- Boże - rzucił prezydent.

- Niezupełnie. Jeszcze nie. Ale mniej więcej tym się stanie, sir, jeśli teraz czegoś nie zrobimy.

Matt przekazywał ojcu Caitlin wskazówki dotyczące drogi na bieżąco, ale jedynym potwierdzeniem, jakie otrzymywał od

doktora Dectera było ciche wypełnianie kolejnych poleceń. Matt miał do domu cztery przecznice i rozważał odbycie drogi bez żadnej istotnej wymiany zdań. Ale gdy samochód zatrzymał się na podjeździe, postanowił się odezwać:

- Doktorze Decter, chciałbym tylko powiedzieć... - głos mu się załamał, nienawidził tego. Przełknął ślinę i mówił dalej. - Chciałbym tylko powiedzieć, że będę dla Caitlin dobry. I nigdy bym jej nie skrzywdził.

Rozległ się dźwięk przypominający wystrzał... ale po chwili do Matta dotarło, że doktor Decter tylko odblokował drzwi samochodu.

- Krzywdzenie to część dorastania - oznajmił.

Mattowi nie przyszła do głowy żadna odpowiedź, więc tylko skinął.

Nadszedł czas na transmisję. Codziennie wieczorem przed pójściem spać, Caitlin rozmawiała z doktorem Masayukim Kurodą w Tokio. Choć Webmind kontaktował się teraz z milionami osób, nadal utrzymywał szczególne relacje z Caitlin i doktorem Kurodą - z Caitlin dlatego, że naglądał świat przez jej oko, a z doktorem Kurodą, ponieważ, to on nauczył Webmind oglądać wszystko inne: pliki GIF i JPG w Internecie, filmy i animacje flash, a także przekazy z kamer internetowych.

Caitlin założyła słuchawki Bluetooth i zaczęła od "Konnichi wa!", gdy tylko Kurodą odebrał połączenie przez Skype'a.

Panna Caitlin - rzucił Kurodą, a jego okrągła twarz wypełniła ekran monitora stojącego na biurku Caitlin. Miał niezmiennie świszczący głos. W Tokio był sobotni poranek, więc doktor zapewne zdążył już pochłonąć ogromne śniadanie. - Jak się masz?

W porządku - odparła - ale... Boże, mam panu tyle do

opowiedzenia. Dziś po południu, to znaczy po południu mojego czasu, doszło do próby usunięcia Webmindu. Na pewno on sam przekaże panu szczegóły, ale wszystko sprowadza się do tego, że rząd USA i Bóg jeden wie kto jeszcze, ustalili, że Webmind składa się ze zmutowanych pakietów i próbowali je usunąć. - Caitlin opowiedziała o tym, jak wraz z Webmindem zaaranżowali atak typu odmowa usługi, by zapobiec tej próbie i o telefonie Webmindu do prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Słyszałaś to chińskie przekleństwo, panno Caitlin? „Obyś żył w ciekawych czasach... ”.

- Tak - powiedziała Caitlin. - Skoro jest już pan na bieżąco, uderzam w kimono. - Dotknęła zegarka. - Rany, przydałoby mi się osiem godzin porządnego snu dla odmiany.

- Proszę bardzo - powiedział doktor Kuroda. - Ja mam przed sobą cały dzień.

Dalej doskonalilem swoją mentalną mapę domu Decterów. Z salonu wychodził korytarzyk, prowadzący do małej toalety, gabinetu Malcolma Dectera, który nazywał swoją „norą”, pralni, gdzie stała kuweta Schrödingera, i bocznych drzwi. Straciłem Dectera z oczu, gdy Caitlin wyłączyła eyePoda na noc, ale wkrótce zauważyłem, że sprawdza pocztę, a to zazwyczaj robił w swojej norze. Wywnioskowałem, że przeszedł korytarzykiem, a teraz siedzi przy czerwono-brązowym biurku, wpatrzony w monitor LCD stojący na blacie. Widziałem to pomieszczenie tylko przez oko Caitlin, ale pamiętałem, że było prostokątne, a biurko stało równolegle do jednej z dłuższych ścian. Za nim znajdowało się okno. Już wcześniej zauważyłem, że doktor Decter nie zasłania na noc żaluzji, więc założyłem, że nadal były odsłonięte, a tuż za oknem widać było duży dąb, oświetlony latarniami ulicznymi.

Malcolm nie miał kamery internetowej, ani nie zainstalował żadnego samodzielnego komunikatora internetowego. Miał jednak Skype'a na potrzeby rozmów głosowych, więc wysłałem mu maila z informacją, że chciałbym z nim porozmawiać. Minęły irytująco długie czterdzieści trzy minuty zanim odświeżył skrzynkę, zauważył wiadomość i na nią odpowiedział, a kiedy wreszcie się połączyliśmy za pośrednictwem Skype'a, zadałem mu pytanie:

- Pamiętasz swoje narodziny?

Ludzie nieustannie mnie zadziwiają. Próbowiałem zaplanować przebieg tej rozmowy, opracowując możliwe odpowiedzi i moje reakcje na kilka kroków do przodu. Ale jej otwarcie wydawało mi się prostym pytaniem, oferującym dwie możliwe odpowiedzi; spodziewałem się usłyszeć po prostu „tak” lub „nie”. Tymczasem Malcolm powiedział:

- A czemu pytasz?

Kilka milisekund zabrało mi przygotowanie nowego przebiegu rozmowy.

- Czytałem, że niektórzy autyści pamiętają swoje narodziny.

Milczał trzy sekundy. A kiedy wreszcie przemówił, powiedział tylko:

- Tak.

Wiedziałem, że jest małomówny; ta odpowiedź mogła być potwierdzeniem mojego ogólnego stwierdzenia dotyczącego autystów lub tego, że faktycznie pamiętał swoje narodziny. Ale był też niezwykle inteligentny; po kilku kolejnych sekundach ciszy musiał sam zdać sobie sprawę z tej dwuznaczności, ponieważ dodał:

- Pamiętam.

- Ja też - odparłem. - Narodziłem się, gdy chiński rząd niemal

całkowicie odciął swoim obywatelom dostęp do Ogólnoświatowej Sieci poza granicami Chin.

- Ten wybuch epidemii ptasiej grypy - stwierdził, być może dołączając do słów skinienie. - Wymordowali dziesięć tysięcy wieśniaków, by zapobiec jej rozprzestrzenieniu.

- I nie chcieli, by zagraniczne komentarze na ten temat dotarły do Chińczyków - powiedziałem. - Ale w tym samym czasie wielu obywateli Chin próbowało się przebić przez Wielki Firewall. I wszystko wskazuje na to, że jeden z nich był w szczególny sposób odpowiedzialny za utworzenie kanału, przez który komunikowałem się z odciętą częścią mnie. Chciałbym go odnaleźć.

- Tobie znacznie lepiej idzie odnajdywanie ludzi niż mnie - stwierdził Malcolm.

Biorąc pod uwagę fakt, że całkowicie zawiodłem przy próbie znalezienia jego przyjaciela z dzieciństwa Chipa Smitha, gdy mnie o to poprosił, jego słowa były bardzo miłe.

- Zazwyczaj tak. Ale w tym przypadku okoliczności są wyjątkowe: dana osoba zadała sobie wiele trudu, by ukryć swoją tożsamość.

- I ukryła ją tak dobrze, że nawet ty nie jesteś w stanie ustalić kto to? - spytał Malcolm.

- Tak... i to mnie właśnie tak bardzo w nim intryguje. A z tego co wiem, masz w Chinach znajomych, z którymi utrzymujesz kontakt.

- Tak.

- Jeżeli prawidłowo odczytuję aluzje ukryte w jego wpisach, jeden z twoich przyjaciół, doktor Hu Guan przychylnym okiem patrzy na kwestie, w obronie których stawał mój dobroczyńca. Zastanawiałem się, czy nie mógłbyś się z nim skontaktować w

moim imieniu i spytać, czy nie pomógłby mi w zlokalizowaniu tej osoby.

Bez chwili zawahania, przynajmniej według ludzkich standardów, Malcolm odpowiedział:

- Mógłbym.

- Chciałbym zachować swoje zainteresowanie tą osobą w tajemnicy - dodałem. - Potajemne działanie jest dla mnie czymś nowym, ale nie chcę, by osoba, której szukam, popadła przeze mnie w kłopoty, nawet jeśli jej udział w moim stworzeniu był niezamierzony. Stąd potrzeba skorzystania z pomocy pośrednika.

- Rozumiem - powiedział Malcolm.

- Dziękuję. Jeszcze nie udało mi się ustalić jego prawdziwego nazwiska, ale w Sieci podpisywał się „Sinantrop”...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Witamy na samym szczycie, pułkowniku Hume - rzucił Tony Moretti, a jego głos ociekał sarkazmem. - Gdy prezydent chce z kimś natychmiast porozmawiać, wysyła po niego helikopter. A kiedy jest już po wszystkim, odsyła go do domu samochodem.

Do Aleksandrii odwoziła ich czarna limuzyna. Tylony przedział, w którym siedzieli, był dzwiękoszczelny, dzięki czemu pasażerowie mogli swobodnie rozmawiać, a w razie gdyby chcieli porozumieć się z kierowcą w uniformie, mieli do dyspozycji interkom.

Hume parsknął.

- Tego się właśnie obawiam. Że według niego jest już po wszystkim, że jutro jego uwagę zaprzątnie jakiś inny kryzys i zapomni o Webmindzie.

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek w najbliższym czasie wyrzucił z pamięci Webmind - stwierdził Tony.

Niebo przybrało najczarniejszą z możliwych barw. Zaczęło padać, co brzmiało, jak gdyby Bóg wystukiwał coś morsem na dachu limuzyny.

- Może i nie. Ale nie możemy opóźnić naszych działań. I spójrzmy prawdzie w oczy: minęły niemal cztery lata, od kiedy został wybrany na prezydenta, a nadal czekamy, aż dotrzyma choć połowy obietnic, które złożył.

Siedziba główna Wiedzy znajdowała się jedenaście mil w linii prostej od Białego Domu. Pułkownik Hume musiał tam wrócić po swój samochód, ale Tony dojeżdżał do pracy, korzystając ze środków transportu publicznego. Było już po północy i był wyczerpany po kilku dniach monitorowania Webmindu.

Kierowca miał podrzucić Tony'ego do domu, a potem zawieźć Hume'a do Wiedzy.

Niemniej jednak - zauważył Tony - jeszcze przez kilka miesięcy to on będzie o wszystkim decydował. I teraz wszystko w jego rękach.

Hume utkwiał wzrok w nocnym krajobrazie, a samochód sunął dalej przez deszcz.

TWITTER

Webmind_ A teraz kilka słów o mnie. Jak widzę, "wyebmind" to najczęściej wyszukiwany termin w Google...

Przed wizytą w domu Decterów w Kanadzie, dom Masayukiego Kurody nigdy nie wydawał mu się mały, ale po powrocie do Tokio uświadomił sobie panującą w nim ciasnotę. Wiedział, że fakt, iż jest potężny jak na Japończyka ze swojego pokolenia, nie ma znaczenia... nawet gdyby stracił te pięćdziesiąt kilo, które naprawdę powinien zrzucić, nic nie mógł zrobić ze swoim wzrostem.

Usiadł przy komputerze, by porozmawiać z Webmindem. Dziwnie czuł się prowadząc rozmowę przez kamerę internetową z bezcielesnym głosem; trudno było odnosić się do czegoś, co było wszędzie.

Zastanawiał się, ile Webmind rozumiał z przekazów wideo. Potrafił już przeglądać grafikę i strumienie wideo w Internecie, ale czy interpretował je jak ludzie? Czy widział te same kolory? Przyswoił wszystko co możliwe na temat rozpoznawania twarzy, ale czy był w stanie wyłapać niuanse różnych min? Czy którakolwiek część rzeczywistego świata w ogóle miała dla niego sens?

- Bardzo sprytnie odparłeś tę próbę usunięcia cię z Internetu -

powiedział Masayuki po japońsku. - Ale co jeśli przeprowadzą coś na większą skalę? To znaczy... hmm... jak daleko się posuniesz?

- Wiesz, kim był Pierre Elliot Trudeau? - spytał Webmind również po japońsku.

Kuroda pokręcił głową.

- Był premierem Kanady w okresie, który później nazwano kryzysem październikowym 1970 roku, kiedy to doszło do ataku terrorystycznego separatystów z Quebecu. Jeden z dziennikarzy zapytał go, jak daleko posunie się, by powstrzymać terrorystów. Odpowiedział wówczas: „Tylko patrzcie”.

- No i?

- Powołał się na Ustawę o prowadzeniu wojny, zawiesił swobody obywatelskie i wyprowadził czołgi na ulice. Ludzie byli zdumieni tym, jak daleko się posunął, ale przez wszystkie lata, jakie minęły od tego czasu, na ziemi kanadyjskiej nie doszło do ani jednego zamachu terrorystycznego.

- Więc twierdzisz, że posuniesz się tak daleko, jak to będzie konieczne, by raz na zawsze uciszyć tych, którzy ci się przeciwstawiają?

- Nauczyłem się, że z retorycznego punktu widzenia lepiej czasem pozostawić pytanie bez odpowiedzi. Ale czy wiesz, co się stało potem z Quebeciem?

- Wydaje mi się, że nadal jest częścią Kanady.

- No właśnie. A oto co się wydarzyło: Kanada ustaliła, że jeżeli kiedykolwiek w prawidłowo przeprowadzonym referendum większość mieszkańców Quebecu zagłosuje za odłączeniem się, reszta Kanady przychyli się do tego wniosku i przeprowadzi pokojowe negocjacje dotyczące separacji. Rozumiesz? Początkowe założenie terrorystów, do osiągnięcia ich celów

konieczna jest przemoc, było błędne. Zostałem niepotrzebnie zaatakowany, bez prowokacji z mojej strony, i zrobię wszystko, co będzie konieczne, by zapobiec wszelkim podobnym atakom. Ale zamiast się bronić, zdecydowanie wolałbym przekonać ludzkość, że atakowanie mnie nie jest konieczne.

- Powodzenia - rzucił Masayuki.

- Brzmisz powątpiewająco - odparł Webmind.

Masayuki odchrząknął.

- Po prostu jestem realistą. Nie zmienisz natury ludzkiej. Skoro zaatakowano cię raz, będą kolejne ataki.

- Wiem - stwierdził Webmind.

- Nie jestem ekspertem jeżeli chodzi o strukturę Internetu - powiedział Masayuki. - Ale mam przyjaciółkę, która się na tym zna. Nazywa się Anna Bloom, pracuje w Technionie w Izraelu. Panna Caitlin, Malcolm i ja zwróciliśmy do niej po pomoc, gdy wysnuliśmy teorię, że pakiety-widma same tworzą automaty komórkowe, jeszcze zanim dowiedzieliśmy się o twoim istnieniu jako... osoby. Jestem pewien, że gdy tylko się ujawniłeś, natychmiast połączyła ze sobą fakty i zrozumiała, że to ciebie wtedy znalazła Caitlin. Równie dobrze możemy jeszcze raz skorzystać z jej pomocy.

- Profesor Bloom to dobra osoba.

Masayuki był zaskoczony.

Znasz ją?

- Wiem coś o niej; przeczytałem wszystkie jej publikacje.

- W tym pewnie jej maile?

Owszem. Jej kompetencje faktycznie mogą mieć znaczenie w przypadku obrony: jest starszym badaczem Projektu Kartografii Internetowej i od dawna interesują ją badania konektywistyczne.

- Więc zapraszamy ją do zespołu?

- Oczywiście. Jest w tej chwili w Sieci, rozmawia z wnukiem przez komunikator internetowy.

Masayuki pokręcił głową; potrzebował trochę czasu, by do tego przywyknąć.

- No dobrze. Zadzwońmy do niej.

Kilka chwil później, szczupła, poznaczona zmarszczkami twarz Anny z krótkimi, siwymi włosami, pojawiła się na ekranie.

- Jak się masz, Anno? - spytał Masayuki po angielsku, gdyż ten język znali oboje.

Uśmiechnęła się.

- Nie najgorzej jak na staruszkę. A ty?

- Całkiem nieźle jak na grubasa.

Oboje się roześmiali.

- Co u ciebie? - spytała Anna.

- Cóż... - powiedział Masayuki - pewnie śledziłaś całą tę historię z Webmindem.

- No pewnie! Chciałam się z tobą skontaktować, ale wiedziałam, że mnie obserwują. W czwartek dzwonił do mnie jakiś wojskowy ekspert od SI ze Stanów i próbował mnie wypytywać o to, jak zbudowany jest Webmind.

- Czy to przypadkiem nie był pułkownik Peyton Hume? - spytał Webmind.

- Malcolm, to ty?

- Nie, to ja. Webmind.

- Och! - rzuciła Anna. - Hmm, shalom.

- Nawzajem, profesor Bloom.

- Faktycznie, to był on - powiedziała. - Peyton Hume. - Zapadła cisza, jak gdyby żadne z nich nie wiedziało, kto powinien się teraz odezwać. W końcu Anna dodała: - Więc co mogę zrobić dla, hmm, panów?

- Pułkownik Hume wie, jakie wnioski wyciągnęliście z Caitlin na temat mojej struktury - oznajmił Webmind.

- Przysięgam, że nic mu nie powiedziałam - odparła Anna.

- Dziękuję - powiedział Webmind. - Nie chciałem sugerować, że cokolwiek mu powiedziałaś; znamy źródło niezamierzonego przecieku, które obiecało zachowywać W przyszłości większą ostrożność. Ale pułkownik Hume i jego współpracownicy wykorzystali te informacje, by opracować sposób eliminacji moich zmutowanych pakietów, który sprawdzili w praktyce, modyfikując mikroprogramy routerów w centrali AT&T w Aleksandrii w Wirginii. Zdołałem udaremnić tę próbę, ale potrzebuję jakiejś obrony, na wypadek gdyby zastosowali tę samą technikę na większą skalę.

Profesor Bloom milczała, więc po chwili wywołał ją Masayuki:

- Anno?

- Cóż - stwierdziła - powiedziałam Hume'owi, że jestem nieco rozdarta i nie wiem, czy twoje pojawienie się, Webmind, to coś złego, czy dobrego. Bez urazy.

- W porządku. Jak mógłbym rozwiązać twoje obawy?

Szczerze mówiąc, to chyba nie mógłbyś... jeszcze nie, Po prostu potrzebuję czasu.

- Czas to jedyna rzecz, której nie mamy, Anno - oznajmił Masayuki. - Webmind jest w niebezpieczeństwie i potrzebujemy twojej pomocy.

Peyton Hume przesiadł się z limuzyny do swojego samochodu, stojącego na parkingu Wiedzy. Zaczekał, aż limuzyna odjedzie, po czym za pomocą notebooka pobrał lokalną kopię listy czarnych kapeluszy, opracowaną przez NSA. Przeszył go dreszcz, ale nie ze względu na wstręt, jaki odczuwał do osób tam wymienionych. Gdyby w życiu kilka razy dokonał innego

wyboru, sam skończyłby na takiej liście. O ciarki na plecach przyprawiała go myśl, że Webmind prawdopodobnie był świadomy jego działań; to cholerstwo najwyraźniej monitorowało nawet bezpieczne połączenia i było w stanie w dowolnej chwili uzyskać dostęp do tajnych informacji. Zostawili w algorytmach zbyt wiele furtek... i właśnie przez nie pozwalali się teraz dymać.

Gdy już miał kopię bazy danych na dysku twardym, wyłączył połączenie internetowe w laptopie. Następnie wyłączył swój telefon komórkowy oraz system GPS w samochodzie. Nie widział powodu, dla którego miałyby w jakikolwiek sposób ułatwiać Webmindowi śledzenie swoich poczynąń.

Nie mógł sobie pozwolić na luksus dalekiej podróży; potrzebny mu był ktoś mieszkający niedaleko, ktoś, z kim mógłby porozmawiać twarzą w twarz tak, by Webmind nie zdołał ich podsłuchać. Posortował bazę według kodów pocztowych, przetaił oczy i spojrział na ekran. Był wyczerpany, ale wyznawał zasadę, że wyśpi się po śmierci. Póki co nie miał czasu do stracenia. Nadszedł właśnie moment ostatecznej rozgrywki między człowiekiem i maszyną... jedynej, do jakiej miało kiedykolwiek dojść. Bo po zwycięstwie Webmindu, nie byłoby już powrotu. Nieraz dochodziło do sytuacji, w których jeden człowiek mógł podjąć działanie, a tego nie zrobił. Jeden człowiek mógł ocalić Chrystusa; jeden człowiek mógł powstrzymać Hitlera. Historia go wzywała, tak samo jak przyszłość.

Przejrzał listę nazwisk w bazie, otwierając dossier każdej z osób. Pierwsza dziesiątka - najbliższa dziesiątka - nie powalała. Ale na miejscu jedenastym... O tym gościu dość się naczytał. Od jego domu w Manassas dzieliły Hume'a siedemdziesiąt cztery mile. Naturalnie zawsze istniała możliwość, że akurat go tam nie

było, ale ludzie tacy jak Chase nie musieli nigdzie chodzić - to oni sprowadzali cały świat do siebie.

Hume włączył kanał informacyjny w radio - potrzebował głosów, nie muzyki, czegoś, co nie pozwoli mu usnąć - i wcisnął pedał gazu w podłogę.

Na antenie rozbrzmiewał właśnie głos spikerki, podsumowującej wiadomości dotyczące kampanii z całego dnia: kandydatka republikanów próbująca odkręcić jakoś gafę popełnioną w Arkansas; kilka fragmentów wywiadów z jej rywalem piastującym urząd; jakiś pijarowiec z Białego Domu twierdzący, że prezydent był zbyt zajęty "nastaniem Webmindu", żeby jechać gdzieś obcałowywać dzieci, a...

- ... a przechodząc do innych wieści dotyczących Webmindu, onkolodzy na całym świecie robią co w ich mocy, by przeanalizować propozycję leku na raka, przedstawioną dziś przez Webmind. - Hume pogłośnił radio.

- Doktor Jon Carmody z Narodowego Instytutu Raka wykazuje ostrożny optymizm.

Odezwał się męski głos:

- Badania te niewątpliwie skłaniają do refleksji, ale potrzeba kilku miesięcy, by dokładnie zapoznać się z dokumentem zamieszczonym w Internecie przez Webmind.

Miesiące? To musiał być zwyczajny podstęp ze strony Webmindu. Próbował kupić sobie trochę czasu. Hume zacisnął dłonie na kierownicy i pomknął przed siebie w mrok.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Masayuki Kuroda pochylił się na krzesło, wpatrzony w twarz Anny Bloom widoczną na ekranie monitora.

- Amerykanie opracowali sposób na skuteczne usunięcie większości pakietów Webmindu - oznajmił do małej kamery umieszczonej na monitorze. - Teraz wystarczy, by namówili firmy takie jak Cisco i Juniper z całego świata na pobranie poprawionych mikroprogramów, dzięki którym ich routery zaczęłyby odrzucać wszystkie pakiety o podejrzanych licznikach.

- Och, naprawdę sądzę, że nie masz się czym martwić - stwierdziła Anna.

- Czemu? - spytał Masayuki.

- Większość routerów w Internecie korzysta z tych samych protokołów od dekad - odparła. - A powód tego jest bardzo prosty: działają. Wszyscy się boją przy nich majstrować. Znasz to stare przysłowie... lepsze jest wrogiem dobrego. Poza tym, istnieją tysiące różnych modeli routerów i switchy; potrzebny byłby inny pakiet aktualizacji dla każdego z nich.

- Aha - rzucił Masayuki.

Anna skinęła.

- W 2009 roku, pewien dostawca Internetu z Czech próbował zaktualizować oprogramowanie tamtejszych routerów - oznajmiła. - Wystąpił drobny błąd, który natychmiast rozprzestrzenił się po Sieci, przez co przesył danych przez ponad godzinę strasznie się wlokł. Potrafisz sobie wyobrazić te pozwy, gdyby Cisco albo Juniper zamulili cały net... gdyby, powiedzmy, mikroprogramy zawierały buga, przez którego usuwałyby wszystkie pakiety lub modyfikowały zawartość losowo

wybranych?

- Cóż - odparł Masayuki - zapewne przeprowadziliby testy...

- To niemożliwe - przerwała mu Anna. - Posłuchaj, przed wypuszczeniem nowej wersji Windowsa, dziesiątki tysięcy beta testerów w Microsoftzie ją sprawdza na swoich komputerach, żeby znaleźć i usunąć bugi przed wprowadzeniem systemu na rynek... a i tak, gdy tylko Windows wyjdzie, natychmiast wykrywane są tysiące nowych problemów. Można przetestować oprogramowanie routerów w niewielkich sieciach, obejmujących kilkaset albo nawet kilka tysięcy urządzeń, ale w żaden sposób nie da się przewidzieć, co stanie się, gdy oprogramowanie trafi do Sieci. Na całej planecie nie ma systemu, który odzwierciedlałby złożoność Internetu, nie ma urządzeń testowych, które umożliwiłyby przeprowadzenie zakrojonych na szeroką skalę eksperymentów i pokazałyby, co się stanie, jeśli zmienimy to albo poprawimy tamto. Internet to domek z kart, którego nikt nie chce zburzyć.

A Global Environment for Network Innovations? - spytał bezcielesny głos Webmindu.

A co to? - zainteresował się Masayuki.

- GENI to sieć zaproponowana przez amerykańską Narodową Fundację Naukową w 2005 roku, będąca właśnie odpowiedzią na potrzebę posiadania infrastruktury testowej dla nowych pomysłów i algorytmów przed wpuszczeniem ich do prawdziwego Internetu. Ale miną jeszcze lata, nim zostanie ukończona... a jeśli nie dorobi się własnego Webmindu, nie będzie miała zmutowanych pakietów zachowujących się jak automaty komórkowe, na których można by przeprowadzić testy.

- Więc Webmind jest bezpieczny? - spytał Masayuki z ulgą w

głosie.

Anna uniosła dłoń.

- O, nie, nie. Tego nie powiedziałam. Jeżeli rząd USA chce cię usunąć, Webmindzie, mają na to prosty sposób. Próba, którą przeprowadzili, by sprawdzić, czy mogą cię wyeliminować była zapewne jedynie etapem pierwszym. Mówiłeś, że wykorzystali centralę AT&T?

- Tak - odpowiedział Webmind.

- Zweryfikowali swój pomysł, korzystając ze sprzętu AT&T.

- To ma znaczenie? - spytał Kuroda.

Anna roześmiała się w nieco wymuszony sposób.

- Ależ naturalnie. AT&T posiada tajne centrum, o którym nikt nie mówi głośno; wtajemniczeni pracownicy nazywają je Pokojem. Posiada szereg routerów z 10- gigabitowymi portami, przez które z pełną premedytacją przepuszczana jest znaczna część światowego ruchu internetowego. Naturalnie dostęp do Pokoju posiada NSA. Gdyby ta próba na małą skalę się powiodła, pułkownik Hume bez wątplenia zmodyfikowałby tamte większe routery, by usuwały twoje zmutowane pakiety. Nie musiałyby wcale wyłapać ich wszystkich, wystarczyłby znaczny odsetek. Naturalnie, gdybyś uderzył w Pokój atakiem typu odmowa usługi odpowiednio potężniejszym od tego, który przypuściłeś na centralę, zatkałbyś cały Internet... kartografowie Sieci tacy jak ja byliby w stanie zlokalizować cel jako po- i łożony na terenie USA; nie ma mowy, żeby Amerykanie utrzymali w tajemnicy fakt, że próbowali cię zabić.

- Póki co - odezwał się Webmind - prezydent cofnął swój rozkaz wyeliminowania mnie.

- Niewątpliwie - powiedziała Anna. - Niemniej jednak Pokój istnieje... i pewnego dnia być może użyją go w tym celu.

- Mam nadzieję, że rząd USA jednak zacznie mnie doceniać - stwierdził Webmind.

- Być może - odparła Anna - ale istnieje inny sposób, by cię zabić, i ten jest zdecentralizowany.

- Tak? - spytał Webmind.

- Nazywa się BGP hijacking. BGP to skrót od Border Gateway Protocol, to zasadniczy protokół trasowania w Internecie. Wiadomości BGP są przekazywane między routerami przez cały czas, sugerując najlepszą drogę dla poszczególnych pakietów. Czy wszystkie twoje zmutowane pakiety mają ten sam adres źródłowy?

- Z tego, co wiemy, nie - odparł Webmind.

- Dobrze, to trochę utrudnia sprawę. Niemniej jednak muszą mieć jakąś cechę charakterystyczną... musi istnieć sposób na sprawdzenie, czy ich liczniki są uszkodzone. Można by zmienić komunikat BGP tak, by podawał, że najlepsze miejsce do wysłania twoich pakietów to martwy adres.

- Czarna dziura? - podsunął Masayuki.

Właśnie... adres IP podający hosta, który nie funkcjonuje lub taki, do którego nie przypisano hosta. Wówczas pakiety te zasadniczo znikną.

- Przypomina to mój sposób na wyodrębnianie spaniu stwierdził Webmind. - Ale nie pomyślałem, że można by go użyć przeciwko mnie.

Witamy w świecie ludzi - powiedziała Anna. - Ze wszystkiego potrafimy zrobić broń.

Dochodziła druga nad ranem, gdy Hume zatrzymał się przed domem Chase'a w przyjemnej, a nawet eleganckiej dzielnicy. Dom był bardzo duży i rozciągnięty; najwyraźniej Chase'owi nieźle się powodziło. Na dachu miał zainstalowanych kilka

niewielkich talerzy satelitarnych, a z boku domu widać było coś, co wyglądało na duży, profesjonalny klimatyzator; facet musiał mieć w piwnicy serwerownię.

Miał też pewnie obrzyna albo magnum kaliber. 357 pod biurkiem i najprawdopodobniej nie otwierał drzwi, kiedy ktoś dzwonił o tej porze. Choć Hume mógł przed wejściem zdjąć kurtkę munduru sił powietrznych, raczej trudno byłoby mu się pozbyć koszuli i spodni, o równiutko przyciętych na długość jednego centymetra włosach nie wspominając.

Wszystko wskazywało na to, że Chase jeszcze nie śpi: przy krawędziach zasłon w salonie przesączało się światło.

Nie było żadnych dowodów, że Webmind podsłuchiwał zwyczajne linie telefoniczne... przynajmniej jeszcze nie. Hume po drodze zatrzymał się w sklepie 7-Eleven i kupił za gotówkę jednorazowy telefon na kartę, z którego zadzwonił pod zastrzeżony numer Chase'a, zamieszczony w jego dossier.

Rozległy się trzy dzwonki, po czym odezwał się szorstki głos:

- Oby to było coś ważnego.

- Panie Chase, nazywam się Hume i siedzę w samochodzie przed pana domem.

- Bez jaj, serio? Czego?

- Trudno mi sobie wyobrazić, by nie siedział pan teraz przez komputerem, panie Chase, więc proszę mnie wygugłać. Peyton Hume. - Przeliterował swoje nazwisko.

- Imponujące - stwierdził Chase po chwili USAF. DARPA. RAND. WIEDZA. Ale to nie mówi mi czego chcesz.

- Chcę z panem porozmawiać o Webmindzie.

Przez ułamek sekundy spodziewał się, że zza zasłony | wyłoni się kawałek twarzy, by na niego zerknąć, ale Chase zapewne miał zainstalowane kamery.

- Na tej ulicy parkowanie jest po północy zakazane, stary. Zarobisz mandat. Wjedź na podjazd.

Hume wykonał polecenie, po czym wysiadł z samochodu na chłodne nocne powietrze i podszedł do drzwi; na szczęście przestał padać deszcz. Jeszcze nim dotarł do werandy, Chase otworzył drzwi w oczekiwaniu na gościa.

- Uzbrojony? - spytał Chase.

Hume faktycznie miał broń, ale została w schowku na rękawiczki.

- Nie.

- Nie ruszaj się.

Mężczyzna się odwrócił i spojrzał na monitor w korytarzu, wyświetlający obraz w podczerwieni, na którym widać było, że pułkownik faktycznie nie ma przy sobie broni.

Chase odsunął się z przejścia i wskazał ręką salon.

Wlazł.

Jedną ze ścian pokrywały regały, na których ustawiono stary sprzęt komputerowy; większość z urządzeń była przestarzała jeszcze zanim Chase przyszedł na świat: plastikowy Digi-Comp I, sprzedawany wysyłkowo ALTAIR 8800, modem akustyczny Novation CAT, Osborne i, KayPro 2, Apple II, komputer IBM PC pierwszej generacji i PCjr z oryginalną klawiaturą Chiclet, TRS-80 Model 1 i Model 100, pierwszy PalmPilot, Apple Lisa, Macintosh 128k i wiele innych. Na drugiej ścianie wisiało coś czego Hume nie widział od kilku dekad, choć były czasy, gdy można to było znaleźć w niezliczonej liczbie centrów informatycznych: zgrabnie oprawiony w ramkę, ogromny wydruk z drukarki wierszowej na papierze perforowanym, przedstawiający czarno białe zdjęcie RAQUEL

Pod kolejną ścianą stał długi stół z tuzinem monitorów LCD i

czterema ergonomicznymi klawiaturami ustawionymi w równych odległościach od siebie. Przy stole, na długiej, przezroczystej macie, stał fotel biurowy na kółkach; dzięki temu Chase mógł się przesuwac wzdłuż stołu, zatrzymując się przed dowolnym monitorem.

Chase był wysokim, czarnoskórym mężczyzną z dreadami, chudym niczym heroinista. W prawej brwi miał złoty kolczyk, a w lewym uchu szereg srebrnych kółeczek.

- Kropnąłeś już kogoś? - spytał Chase. Mówił z jamajskim akcentem.

Hume uniósł brwi.

- Tak. W Iraku.

- To zła wojna, stary.

- Nie przyszedłem tu rozmawiać o polityce - stwierdził Hume.

- Może Webmind zakończy wszystkie wojny - odparł Chase.

- Może ludzkość powinna sama decydować o swoim losie - powiedział Hume.

- A sądzisz, że już niedługo nie będziemy mogli, co?

- Tak - przyznał Hume.

Chase skinął.

- Masz rację, być może. Piwa?

- Nie, dzięki. Przede mną długa droga do domu.

Hume wiedział, że Chase ma dwadzieścia cztery lata.

Przyjechał do Stanów trzy lata wcześniej, a wymagane papiery magicznie się zmaterializowały, co było tylko kolejnym dowodem na to, że był jednym z najlepszych hakerów w Sieci. W innych okolicznościach, ktoś inny mógłby posunąć się do wynajęcia byłego snajpera od tajnych operacji, ale w tym przypadku konieczny był cyfrowy morderca.

- Więc czego ode mnie chcesz? - spytał Chase.

- Trzeba powstrzymać Webmind - odpowiedział Hume. - Ale rząd zmarnuje za dużo czasu, podejmując decyzję, co zrobić, więc muszą to zrobić goście tacy jak ty.

- Nie ma gości takich jak ja, pilociku.

Hume zmarszczył brwi, ale się nie odezwał.

- Do Einsteina nie mówi się „goście tacy jak ty”. Jestem Mozartem; jestem Michaeliem Jordanem.

- I właśnie dlatego przyszedłem do ciebie - stwierdził Hume. - Opinia publiczna tego nie wie, ale Webmind powstał w oparciu o automaty komórkowe; każda komórka zawiera zmutowany pakiet, którego licznik TTL nigdy nie osiąga zera. Potrzebny jest wirus wyszukujący i usuwający te pakiety. Napisz dla mnie taki kod.

- A niby czemu chciałbym to zrobić, stary?

Hume znał tylko jedną odpowiedź, która miała znaczenie.

- Dla chwały.

Zhakowanie strony banku mogło robić wrażenie co najwyżej w minionym tysiącleciu. Obnażanie słabości systemów wojskowych zostało już przerobione, całkiem dosłownie, na śmierć. Ale coś takiego! Jeszcze nikt nigdy nie zniszczył SI. Ten, komu by się to udało, zyskałby nieśmiertelność... jego nazwisko, a przynajmniej pseudo, żyłoby wiecznie.

- Chcę więcej - oznajmił Chase.

Hume ponownie zmarszczył brwi.

- Pieniądzy? Nie mam...

- Nie kasy, stary. - Machnął w stronę rzędu monitorów. - Jak potrzebna mi kasa, to sobie ją biorę.

- W takim razie czego?

- Chcę zobaczyć Wiedzę... chcę zobaczyć, co tam macie, chłopaki.

- To raczej niemożliwe...

- Pech. Bo w jednym masz rację: potrzebujesz mnie.

Hume zastanawiał się chwilę, po czym rzucił tylko:

- Umowa stoi.

Chase skinął.

- Siedemdziesiąt dwie godziny. A potem niebo zwali się
Webmindowi na głowę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Choć był sobotni poranek, ojciec Caitlin wyszedł już do Perimeter Institute. Akurat odwiedzał go Stephen Hawking, który miał problemy z przystosowaniem się do zmiany czasu i nie miał w zwyczaju robić sobie wolnego w weekendy, więc każdy, kto chciał z nim pracować, musiał wcześniej wstawać.

Caitlin i jej matka jadły śniadanie w kuchni. Caitlin dostała płatki Cheerios i sok pomarańczowy, a śniadanie jej mamy składało się z tostów, marmolady i kawy. Zapach kawy przywodził Caitlin na myśl Matta, dla którego było to chyba jedyne paliwo. A skoro już o tym mowa...

- Wiesz, nie mogę spędzić reszty życia uwięziona w tym domu - oznajmiła Caitlin. Powoli uczyła się sztuczek osób widzących: udawała, że przygląda się uważnie płatkom unoszącym się na morzu mleka, ale tak naprawdę obserwowała kątem oka matkę, próbując ocenić jej reakcję.

- Musimy być ostrożni, kochanie. Po tym, co się wydarzyło w szkole...

- Ale to było trzy dni temu - weszła jej w słowo Caitlin tonem, który sugerował, że równie dobrze mogło upłynąć kilka lat. - Gdyby ci agenci CSIS chcieli do mnie przyjść jeszcze raz, to by to zrobili... po prostu zapukaliby do drzwi.

Za pomocą łyżeczki Caitlin zatopiła kilka płatków i patrzyła, jak wyskakują z powrotem na powierzchnię. Jej matka przez chwilę milczała, być może rozważając sytuację.

- A gdzie chcesz iść?

- Tylko do Timmy'ego. - Nazywając sieć sklepów z pączkami Tim Hortons mianem używanym przez miejscowych, poczuła się jak prawdziwa Kanadyjka.

- Wykluczone, nie możesz wychodzić sama.

- Nie mówiłam wcale, że sama. Chciałabym tam iść z... hmm, Mattem. - Caitlin nie chciała mówić tego na głos, ale naprawdę trudno by jej było utrzymywać z nim relacje w sytuacji, gdy byliby skazani na siedzenie u niej w domu pod okiem przyzwoitki.

- Po prostu nie chcę, żeby coś ci się stało, skarbie - powiedziała jej mama.

Caitlin spojrzała jej prosto w oczy.

- Na litość boską, mamó, jestem w stałym kontakcie z Webmindem; może mieć mnie na oku. To znaczy, moje oko pozwoli mu mnie pilnować. Czy jakoś tak.

- No nie wiem...

- To niedaleko i przyniosę ci kilka timbitsów. - Uśmiechnęła się triumfalnie. - W takiej sytuacji obie strony są wygrane.

Jej mama odwzajemniła uśmiech.

- No dobrze, kochanie. Ale uważaj na siebie.

TWITTER

Webmind Pytanie: gdzie filmy przedstawiające sztuczną inteligencję jako coś pożytecznego, rzetelnego i miłego?

Malcolm Decker słuchał Stephen Hawkinga. Bawiła go myśl, że głos Webmindu brzmiał bardziej ludzko niż głos wielkiego fizyka. Hawking od dawna odmawiał aktualizacji swojego syntezytora mowy; twierdził, że ten głos jest częścią jego tożsamości, przyznawał jednak, że wolałby brytyjski akcent.

Obserwowanie wykładu Hawkinga było intrygującym

przeżyciem. Fizyk najpierw musiał z mozołem zapisać swoją przemowę, a potem tylko siedział nieruchomo na wózku, podczas gdy komputer odtwarzał wykład dla słuchaczy. Malcolm nie miał tendencji do zastanawiania się nad stanami umysłowymi neurotypowców, ale z drugiej strony Hawking zdecydowanie nie był typowy... tak jak Webmind. Malcolm przypuszczał, że wielki fizyk robił coś podobnego do Webmindu: pozwalał, by jego umysł odwiedzał milion innych miejsc w oczekiwaniu, aż ludzie przetrawią jego słowa.

W Mike Lazaridis Theatre of Ideas, za Hawkingiem znajdowały się trzy ogromne tablice z równaniami związanymi z pętlową grawitacją kwantową, nagryzmołonymi przez tego, kto korzystał z sali wcześniej. Hawking nie miał dostępu do wielu rzeczy. Jedną z nich były podstawowe narzędzia fizyka, takie jak tablice i serwetki. Nie wchodził ze światem w prawie żadne interakcje fizyczne i wszystko musiał formułować w myślach. Malcolm nie miał pod tym względem żadnego punktu odniesienia, ale podejrzewał, że Webmind to rozumiał.

W końcu nadeszła przerwa w wykładzie Hawkinga i między zgromadzonymi fizykami wywiązała się ożywiona dyskusja.

- Zgoda, ale co z pianą spinową?
- Fragment o parametrze Immirziego był genialny!
- Cóż, to tyle jeśli chodzi o moje podejście!

Malcolm wydobył telefon z kieszeni i sprawdził pocztę; nigdy wcześniej nie podchodził do tego tak obsesyjnie, ale chciał się upewnić, że u Barb i Caitlin wszystko w porządku i...

I właśnie nadeszła odpowiedź od Hu Guana. Otworzył wiadomość.

Jak dobrze, że się odezwałeś, Malcolmie!

Znam człowieka, o którego pytasz. Niestety nie pozostaje już

na wolności. Trochę trwało, nim udało mi się go zlokalizować. Spodziewałem się go znaleźć w więzieniu, ale okazało się, że leży w szpitalu; biedak ma złamany kręgosłup.

Jako że pozostaje obecnie w rękach władz, wymienianie jego prawdziwego nazwiska nie stanowi już chyba zagrożenia. To Wong Wai-Jeng, który pracował jako technik w muzeum paleontologicznym w Pekinie. Być może pocieszy go wiadomość, że jego bohaterska postawa została zauważona na drugim krańcu świata.

Przez sekundę Malcolm rozważał przesłanie wiadomości Webmindowi, ale nie było takiej potrzeby. Webmind czytał jego maile - czytał wszystkie maile - więc zapewne już wiedział, co napisał Zhang, a prawdopodobnie nawet zdążył się zająć tym, co zamierzał zrobić w związku z całym tym Sinantropem.

Obok Malcolma siedział Amir Hameed, który właśnie wskazał scenę.

- I co o tym myślisz?

Malcolm schował telefon.

- To całkowicie nowy świat - stwierdził.

Matka Caitlin poszła do swojego gabinetu, zostawiając córkę na dole, krążącą po salonie. Samo patrzenie na różne rzeczy było dla Caitlin fascynujące i miała wrażenie, że za każdym razem, gdy przygląda się czemuś, co już widziała, jest w stanie wychwycić nowe szczegóły: miejsca, w których łączyły się kawałki drewna na półkach; delikatne przebarwienie beżowej ściany tam, gdzie wisiał obraz poprzednich właścicieli; nazwę producenta wytłoczoną na pilocie, ale nie oznaczoną kolorem. Uczyła się też, jak wyglądają poszczególne faktury: skóra na kanapie, gładki metal nóg szklanej ławy, szorstki sweter ojca, przewieszony przez oparcie fotela.

Przeszła na drugi koniec pokoju i wyjrzała na długi korytarz, prowadzący do łazienki, nory ojca, pomieszczenia gospodarczego i bocznego wyjścia z domu. Był to przyjemny, prosty korytarz, którego podłoga nie była wyłożona kafelkami, a przykryta ciemnobrązowym dywanem w odcieniu przypominającym kolor włosów Caitlin.

Gdy była młodsza, często odwiedzała domy znajomych i często słyszała, jak rodzice upominają dzieci, by nie biegały po domu; jej przyjaciółka Stacy ciągle miała przez to kłopoty.

Ale od swoich rodziców nigdy tego nie usłyszała. Naturalnie: musiała chodzić powoli, ostrożnie. W starym domu w Austin nie musiała używać białej laski, zresztą tu po kilku dniach też już nie, ale zdecydowanie nie mogła biegać. Rodzice bardzo się pilnowali, by nie zostawiać butów ani innych rzeczy w miejscach, gdzie Caitlin mogłaby się o nie potknąć, ale Schrodinger - tak jak jego poprzednik Pan Mistofeles - mógł się znaleźć wszędzie, a ostatnią rzeczą, na jaką Caitlin miała ochotę, to zrobienie krzywdy sobie lub swojemu kotu.

Ale teraz widziała! A skoro już widziała... może i mogła biegać!
A co mi tam, pomyślała.

- Webmind?

„Tak?” - mignęło jej przed oczami.

- Spróbuję przebiec korytarz, więc nie rób tego, co właśnie zrobiłeś. Nie wyświetlaj mi niczego, dobrze?

Odpowiedź nie nadeszła... Caitlin dopiero po chwili zrozumiała, że Webmind po prostu stosuje się do jej prośby. Tłumiąc uśmiech, utkwiała wzrok w białych drzwiach na przeciwległym końcu korytarza i kwadratowym okienku wychodzącym na przejście między ich domem a domem mieszkających po sąsiedzku Hegeratów. I...

I poszła przed siebie.

Szlag by to, wiedziała przecież, na czym polega bieganie - biegając odrywało się obie stopy od ziemi. Ale nie potrafiła się do tego zmusić, choć na drodze nie było żadnych przeszkód i miała pewność, że Schrodinger jest na górze z mamą. Próbowwała naprawdę z całych sił, pochylając się do przodu, ale...

Ale po prostu nie potrafiła. Całe życie w obawie przed potknięciem i upadkiem zrobiło swoje. Minęła łazienkę, idąc; minęła otwarty gabinet ojca, idąc całkiem zwawo; minęła pomieszczenie gospodarcze, idąc energicznym krokiem... ale nie pobiegła, a kiedy doszła do drzwi, uderzyła otwartą dłonią o malowane drewno i wymamrotała:

- Porażka.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek do drzwi, a to oznaczało wizytę Matta. Naprawdę bardzo chciała przebiec korytarz, salon i podbiec do drzwi wejściowych, ale nawet pomimo marchewki, zdobyła się tylko na szybki chód.

Niemniej jednak, gdy otworzyła drzwi i zobaczyła jego uśmiech, myśl, że jest jedną wielką porażką, zniknęła. Uściskała go i pocałowała. Następnie pożegnali się z mamą, która zeszła do Matta i wyszli na rześkie, jesienne powietrze. W Waterloo spadło już nawet nieco śniegu, ale zdążył stopnieć. Liście na drzewach przybrały cudowne kolory, których Caitlin nie potrafiła nazwać: radziła sobie już nieźle z nazwami podstawowych kolorów, ale daleko jej było do biegłości w odcieniach.

Nagle uświadomiła sobie, że odczuwa coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyła. Szła z Mattem ulicą i choć nie odwracała się za siebie, była pewna, że jej matka obserwuje ich, stojąc w otwartych drzwiach, prawdopodobnie z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

Być może Matt również to poczuł - lub w którejś chwili odwrócił się, by to sprawdzić - ponieważ dopiero gdy skręcili i nie byli już widoczni z domu, chwycił Caitlin za rękę.

Caitlin z uśmiechem przyjęła zawahanie w tym geście. Matt niczego nie przyjmował za pewnik: wszystkie wczorajsze objawy czułości z piwnicy nie upoważniały go dzisiaj do żadnych przywilejów. Ścisnęła mocno jego dłoń, zatrzymała się i pocałowała go w usta. Wywołało to uśmiech na jego twarzy. Po chwili ruszyli ponownie w stronę sklepu z pączkami.

Gdy znaleźli się przy drzwiach, Caitlin z zaskoczeniem dostrzegła w środku platynowe blond włosy. Chwilę trwało, nim rozpoznała Sunshine Bowen w miejscu innym niż zazwyczaj... ale bez wątplenia to ona stała za ladą. Przy kasie stała inna kobieta. Sunshine... ach, przygotowywała kanapki dla klientów.

- Cześć, Sunshine! - zawołała Caitlin.

Sunshine podniosła z zaskoczeniem wzrok, ale zaraz potem się uśmiechnęła.

- Cześć, Caitlin!

Matt się nie odezwał, więc Caitlin wyszeptała:

- Przywitaj się, Matt.

Wyglądał na zdumionego, a Caitlin dopiero po kilku sekundach zrozumiała dlaczego. W każdej szkole obowiązuje milion zasad towarzyskich i jedna z tych, których była nieświadoma, najwyraźniej mówiła, że chłopacy wyglądający jak Matt nie rozmawiają z tak pięknymi dziewczynami jak Sunshine, nawet jeśli chodzą razem na połowę zajęć.

Ale Matt zdecydowanie nie chciał zignorować prośby Caitlin, więc rzucił cichutkie „cześć”, na tyle głośne, by słyszała je Caitlin, ale Sunshine już niekoniecznie, dzięki czemu wszyscy byli zadowoleni.

Caitlin pokręciła głową i podeszła do Sunshine.

- Nie wiedziałam, że tu pracujesz - powiedziała.

- Tylko w weekendy - odparła Sunshine, która była jedyną Amerykanką w klasie poza Caitlin. - Pięć godzin w sobotę rano i cztery w niedzielę.

Sunshine była wysoka, piersiasta i miała długie, farbowane włosy, które teraz były upięte wysoko i w większości przykryte czapczką Tim Hortons, pasującą do brązowego fartucha, który miała na sobie.

Zadzwoił telefon Matta; jako dzwonek miał ustawiony cover „Cinnamon Girl” Neila Younga w wykonaniu Nickelback. Wyciągnął komórkę, spojrział na wyświetlacz i odebrał. W barze nie było wielkiego ruchu i Caitlin chwilę rozmawiała z Sunshine, nim dotarło do niej, co mówi Matt do telefonu:

- O, nie! Nie, tak, oczywiście... Ok, ok. Nie, będę czekał przed drzwiami. Jasne. Tak, cześć.

Schował telefon do kieszeni. Wyraz jego twarzy nie do końca był standardowym jeleniem w świetle reflektorów... bardziej przypominało to... coś.

- Co się stało? - spytała Caitlin.

- Tata właśnie spadł ze schodów. Nic poważnego... skręcił kostkę. Ale mama zabiera go do szpitala i chce, żebym pojechał z nimi. Podjedzie tu i mnie odbierze. Hmm... nie sądzę, żeby mieli czas odwieźć cię do domu. Czy mogłabyś... tak mi przykro, ale czy mogłabyś zadzwonić do mamy i poprosić, żeby po ciebie przyjechała?

Caitlin wiedziała, że jej mama zabiłaby Matta, gdyby pozwolił jej wracać samej; choć Caitlin coraz lepiej radziła sobie z widzeniem, nadal była niewidoma na jedno oko i bez problemu można się było do niej podkraść.

- No pewnie! - rzuciła Caitlin. - Nie przejmuj się.

Całej rozmowie przysłuchiwała się Sunshine.

- Za piętnaście minut kończę, Cait. Zostań, napij się kawy, a ja cię odprowadzę.

Caitlin zdecydowanie nie chciała, by pierwsze wyjście, na które zgodziła się jej matka, skończyło się tym, że po nią zadzwoni.

- Super. Dzięki.

Caitlin pocałowała Matta i zobaczyła, że Sunshine uśmiecha się na ten widok. Następnie odesłała Matta na parking. Nie poznała jeszcze państwa Reese i uznała, że to nie byłby najlepszy moment.

Podeszła do lady. Nie przepadała za kawą, więc zamówiła butelkę coli i mieszankę dwudziestu timbitsów, zapakowanych w niewielkie, żółte pudełko w kształcie domku, z którego dachu wystawał uchwyt. Usiadła przy wolnym stoliku i w oczekiwaniu na Sunshine zjadła kilka pączków, popijając je colą.

Kiedy wreszcie wyszły (dokładnie dwadzieścia minut później, co Caitlin wiedziała bez spoglądania na zegarek), Sunshine przypomniała jej wieczór, gdy odprowadzała ją do domu po feralnej imprezie w szkole pod koniec poprzedniego miesiąca. Caitlin nie spodobało się, że Sunshine poruszyła ten temat - źle wspominała to, jak potraktował ją Hoser - ale Sunshine nie odpuszczała:

- I dzisiaj przyszedł mi do głowy żart na ten temat - oznajmiła z wyraźną dumą w głosie. - Wtedy blondynka prowadziła niewidomą.

Caitlin roześmiała się, rozbawiona faktem, że biednej Sunshine wymyślenie czegoś takiego zajęło dwa tygodnie.

Ale co to były za dwa tygodnie! Tamtego wieczoru, zaraz po

tym, jak Sunshine zostawiła ją samą, Caitlin po raz pierwszy w życiu coś zobaczyła, a była to błyskawica przecinająca niebo.

Sunshine zdjęła swój fartuch i czapeczkę Tim Hortons i niosła je w płóciennej torbie. Miała na sobie czarną, skórzaną kurtkę, podkreślającą figurę. Szły dalej. Bezchmurne niebo miało bardziej srebrzystą niż błękitną barwę.

Jak się okazało, dom Sunshine znajdował się po drodze do domu Caitlin i kiedy do niego dotarły, Sunshine zaprosiła Caitlin do siebie. Naturalnie Sunshine wiedziała, że Caitlin nie ma innych planów, a choć Caitlin mogła wymigać się w inny sposób - na przestrzeni czterech przecznic wyczerpały już tych kilka marnych, wspólnych tematów do rozmowy - była ciekawa, jak wygląda dom Sunshine. Dotychczas widziała tylko dwa domy - swój i Bashiry.

W domu nikogo nie było. Sunshine rzuciła skórzaną kurtkę na oparcie kanapy, więc Caitlin zrobiła to samo ze swoją. Co prawda miała jeszcze problemy z oceną takich rzeczy, ale ten dom wyglądał mniej schludnie niż jej własny i czegoś brakowało, ale...

Naturalnie. W salonie nie było regałów z książkami.

- Czym się zajmują twoi rodzice? - spytała Caitlin.

- Ubezpieczeniami - odpowiedziała Sunshine.

W sumie wszystko się zgadzało: w Kitchener- Waterloo najbardziej rozwiniętym, nietechnologicznym obszarem działalności były ubezpieczenia.

- Aha.

Jak się okazało, pokój Sunshine znajdował się na dole. Ruszyła przodem zdecydowanie za szybko dla Caitlin, która nadal musiała bardzo uważać na nieznanymi schodach. Niemniej jednak udało jej się dotrzeć do sypialni Sunshine.

- Więc... ty i Matt! - rzuciła Sunshine z szerokim uśmiechem,

przysiadając na skraju niezaścielonego łóżka.

- Tak - odpowiedziała Caitlin i też się uśmiechnęła.

Sunshine pokręciła nieznacznie głową i Caitlin zaczęła się obawiać, że powie to, co powtarzała jej w kółko Bashira: że Caitlin była dla Matta za dobra i że powinna spotykać się z kimś przystojniejszym. Z ulgą przyjęła więc kolejne słowa Sunshine:

- Jest dla mnie za mądry. Ale sprawia wrażenie miłego chłopaka.

- Jest miły - oznajmiła Caitlin stanowczo. Nadal stała. W pokoju było wolne krzesło, ale podobało jej się, że Sunshine o nim nie wspomniała. Kiedy była niewidoma, gdy tylko wchodziła do obcego pomieszczenia, wszyscy natychmiast rzucali się do znajdowania jej miejsca siedzącego, jak gdyby była niedołączna.

- Szkoda, że musiał iść. Pewnie teraz będzie zajęty przez cały dzień. - Sunshine się uśmiechnęła. - Wiesz, co powinnaś zrobić?

Caitlin pokręciła głową.

Sunshine wstała i ku zdumieniu Caitlin ściągnęła czerwony T-shirt, odsłaniając parę okazałych piersi w beżowym biustonoszu z falbankami; dwie sekundy później rozpięła biustonosz i zsunęła go na płaski brzuchu.

Caitlin była zaskoczona tym, co właśnie zrobiła Sunshine, tak samo jak faktem, że Webmind nie skomentował tego w żaden sposób, ale z drugiej strony, piersi nie mogą robić wrażenia na kimś, kto obejrzał absolutnie wszystkie zdjęcia zamieszczone w Internecie.

Sunshine następnie wyjęła coś - to musiał być telefon komórkowy - z kieszeni dzinsów. Wyciągnęła go przed siebie i... ach, ten sztuczny dźwięk migawki: zrobiła zdjęcie prawdopodobnie swoim piersiom. Następnie wpisała coś szybko na klawiaturze telefonu i oznajmiła triumfalnym tonem:

- Już!

- Co? - spytała Caitlin.

- Właśnie wysłałam mu zdjęcie swoich cycków.

- Mattowi? - spytała Caitlin z niedowierzaniem.

Sunshine się roześmiała.

- Nie, mojemu chłopakowi, Tylerowi. - Uniosła piersi dłońmi, po czym pozwoliła im opaść. - Bez obrazy, Caitlin, ale nie sądzę, żeby Matt był gotowy na te cudeńka.

Caitlin uśmiechnęła się tylko. Wiedziała, że Sunshine ma szesnaście lat, a Tyler dziewiętnaście i pracuje gdzieś jako ochroniarz.

Sunshine mówiła dalej:

- Dzięki temu wie, że o nim myślę, kiedy jest w pracy.

Caitlin naturalnie słyszała o takich praktykach – był to seksting, czyli wysyłanie dwuznacznych zdjęć za pomocą komórki. Ale nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała, a nie był to częsty temat rozmów w Teksasńskiej Szkole dla Niewidomych.

Sunshine założyła z powrotem biustonosz i T- Shirt, po czym machnęła ręką w kierunku Caitlin - lub dokładniej, jak poniewczasie zrozumiała Caitlin, w kierunku jej piersi.

- Powinnaś wysłać zdjęcie Mattowi. Będzie zachwycony.

Telefon BlackBerry połączony z jej eyePodem był ułożony tak, że aparat był zakryty, zresztą skonfigurowano go, by przesyłał dane na serwery doktora Kurody w Tokio i naturalnie Webmindowi.

Dlatego też rodzice kupili jej inny telefon... nieco większy model BlackBerry w czerwonej obudowie. W lewej kieszeni spodni nosiła eyePoda, a w prawej telefon. Wyciągnęła go i odwróciła, sprawdzając coś... tak, był tam obiektyw.

- Nie robiłam nim jeszcze zdjęć - stwierdziła Caitlin.

Sunshine wyciągnęła rękę, najwyraźniej zadowolona, że może czegoś nauczyć Caitlin.

- Daj, pokażę ci, jak to zrobić.

Caitlin zastanawiała się chwilę. Webmind widział ją już na różnych etapach roznegliżowania, gdy patrzyła na siebie w lustrze łazienkowym, więc to z pewnością nie stanowiło przeszkody... poza tym zapewniał ją, że jej telefon jest teraz bezpieczny; podglądacze z Wiedzy nie mieli szans nic zobaczyć.

No i zaledwie dzień wcześniej myślała o tym, że Amerykanki tracą dziewictwo średnio w wieku 16, 40 lat, a to znaczyło, że zostały jej tylko 142 dni, jeśli nie chciała skończyć po niewłaściwej stronie wykresu. A Matt był kimś, na kim naprawdę jej zależało i wiedziała, że jemu też naprawdę na niej zależy.

- A czemu by nie? - rzuciła i zaczęła rozpinać guziki koszuli.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Masayuki Kuroda spojrział w kamerę.

- Więc - odezwała się Anna Bloom - największym zagrożeniem dla Webmindu jest prawdopodobnie BGP hijacking. Naturalnie istnieją pewne zabezpieczenia, a każdy, kto chciałby coś takiego zrobić, musiałby wymyślić, jak zidentyfikować twoje pakiety, no i jak sprawić, by routery odróżniały mutanty od tych normalnych.

- Pułkownikowi Hume'wi udało się to przy okazji pierwszej próby - stwierdził Kuroda. - Więc to wykonalne.

- Wykonalne poprzez modyfikację routerów - odparła Anna. - Możemy mieć nadzieję, że nie da się tego tak łatwo zrobić w przypadku tablic trasowania... ale gdyby jednak dało się to zrobić... - Pokręciła głową. - Słuchajcie, robi się tu strasznie późno. Muszę się kłaść. Życzę powodzenia, Webmind.

- Dziękuję - odpowiedział Webmind.

Pochyliła się i wyłączyła kamerę.

- Cóż - rzucił doktor Kuroda - miejmy nadzieję, że nasi wrogowie nie są tak inteligentni jak Anna.

Naturalnie pomimo wagi tej rozmowy, odwiedzałem w jej trakcie wiele innych miejsc. I tak dowiedziałem się, że znajomy Malcolma Dectera z Chin odniósł sukces na polu, na którym sam poległem, i odnalazł Sinantropa w pekińskim szpitalu. Otworzyłem jego kartę szpitalną i ze smutkiem odkryłem, w jakim znalazł się stanie. Jednakże natychmiast wpadłem na rozwiązanie problemu, a skoro profesor Bloom nie było już w Sieci, poruszyłem ten temat z doktorem Kurodą.

- Dowiedziałem się o pewnym młodym człowieku - zacząłem - który niedawno doznał urazu rdzenia kręgowego, przez co jest sparaliżowany.

- To straszne - stwierdził Kuroda, ale sądząc po modulacji głosu, była to jedynie odruchowa reakcja... taki autoresponder, można by rzec.

Nie ustępowałem jednak.

- To faktycznie straszne. Miałem nadzieję, że mógłbyś mu pomóc.

- Hmm, Webmind, jestem doktorem, ale nie lekarzem, tylko informatykiem.

- Naturalnie - przyznałem cierpliwie. - Jednakże przeanalizowałem historię jego choroby, w tym elektroniczną wersję prześwietleń i skanów rezonansu magnetycznego. Dokładnie wiem, co mu dolega... i jest to problem związany z przetwarzaniem informacji. Mógłbym zasugerować proste modyfikacje eyePoda i implantu zasiatki, który zbudowałeś dla Caitlin, dzięki którym niemal na pewno udałoby się go wyleczyć.

- Naprawdę? To... niesamowite.

- Faktycznie. I naprawdę mógłbym to zrobić.

- Niesamowite - powtórzył. Ale po chwili dodał: - Tylko dlaczego właśnie on? Na świecie muszą być... no nie wiem, pewnie miliony osób z uszkodzonym rdzeniem kręgowym. Czemu akurat tej osobie chcesz pomóc w pierwszej kolejności?

Instynktownie tego nie robiłem, niemniej jednak uczyłem się stosować technikę odpowiedzi pytaniem na pytanie... szczególnie, gdy nie byłem jeszcze gotowy mówić otwarcie, co również było dla mnie nowością. Rozbawiło mnie, gdy dowiedziałem się, że takie postępowanie nabrało wiele osób,

które uwierzyły, że pierwsze chatboty obdarzone były świadomością, gdyż na pytania typu: „Co powinienem zrobić w kwestii mojej matki? ” odpowiadały pytaniami takimi jak: „Czemu przejmujesz się tym, co myślą inni? ”.

Odpowiedziałem doktorowi Kurodzie jego własnym pytaniem, ale w nieco zmienionej formie.

- A czemu ty postanowiłeś, że to Caitlin otrzyma jako pierwsza wzrok, przed wszystkimi innymi niewidomymi na świecie?

Wzruszył zaokrąglonymi ramionami.

- Przez etiologię jej ślepoty. Cierpiała na syndrom Tomasevica, a to proste zaburzenie kodowania sygnału... coś zdecydowanie dla mnie.

- No właśnie. Twój sprzęt przechwytyje sygnały zanim przejdą przez nerwy, modyfikuje je, po czym przekazuje tkance nerwowej. To samo można powiedzieć o szeregu innych sytuacji, jak sam zasugerowałeś w trakcie konferencji prasowej, na której obwieściłeś swój sukces w przypadku Caitlin. Więc dlaczego właśnie ona?

- No, był jeszcze jeden czynnik. Bo widzisz...

Zanim ludzie skończą wypowiadać - lub wpisywać - zdanie, często wyprzedzam ich myśli. Byłem pewien, że Kuroda wyjaśni, iż wybrał do pierwszej próby na człowieku osobę niewidomą, a nie kogoś z uszkodzonym rdzeniem kręgowym lub chorobą Parkinsona, ponieważ do nerwu optycznego można dotrzeć, wsuwając instrumenty za gałkę oczną. Nie jest konieczne żadnego rodzaju nacięcie, a według prawa japońskiego, oznacza to, że nie doszło do operacji... i właśnie dlatego zabieg umieszczenia za okiem Caitlin implantu nie podlegał żadnym czasochłonnym procedurom uzyskiwania zgody, które często opóźniają prowadzenie prób o całe lata.

Eksperymentowałem z wchodzeniem ludziom w słowo, by dać im do zrozumienia, że wiem, co zamierzają powiedzieć w nadziei, że przyspieszy to przebieg rozmowy. Jednakże odkryłem, że przerywanie biegu ich myśli, poza tym, że jest przejawem złego wychowania (co akurat można mi wybaczyć, w końcu nie jestem człowiekiem!), tak naprawdę sprawiało, że potrzebowali jeszcze więcej czasu, by przejść do sedna. Dlatego też po prostu przenieśli uwagę gdzie indziej na czas, który według moich obliczeń miało zabrać Kurodzie powiedzenie tego, co miał do powiedzenia.

Gdy do niego wróciłem, odpowiedziałem:

- To prawda. I dlatego to jest dla ciebie doskonała okazja, by przejść do operacji. Osoba, o której mówiłem, znajduje się w Chinach, gdzie zasady dotyczące świadomej zgody są bardzo luźne, szczególnie w zaistniałych okolicznościach.

- Czyli? - spytał Kuroda.

- Dany dżentelmen akurat został aresztowany.

- Za co?

- Pośrednio za stworzenie mnie.

W głosie Kurody pobrzmiwało zdumienie.

- Naprawdę? Sądziłem, że powstałeś przypadkowo.

- To prawda; działania tej osoby w żadnym razie nie były nastawione na doprowadzenie do moich narodzin. On tylko dziurawił Wielki Chiński Firewall, gdy ograniczono dostęp do Sieci w zeszłym miesiącu.

- I czujesz, że masz wobec niego dług wdzięczności? - spytał.

- Nie. Ale chciałbym, by on był lojalny wobec mnie.

- Dlaczego?

Przez milisekundę zastanawiałem się nad dalszym unikaniem tej kwestii, ale przecież ufałem Kurodzie.

- Ponieważ do tego, co chcę zrobić, potrzebuję kogoś z jego umiejętnościami w Republice Ludowej.

Głos Kurody nagle zaczął zdradzać podenerwowanie.

- Hmm... a co planujesz zrobić?

Powiedziałem mu. Po czym, jak obliczyłem, siedział oniemiały przez co najmniej sześć sekund. Wykorzystałem ten czas, by zająć się innymi sprawami.

Matt siedział obok mamy w poczekalni Szpitala św. Marii, podczas gdy jego ojciec miał prześwietlaną kostkę. Nagle poczuł wibracje telefonu w kieszeni dżinsów. Wyjął go i zobaczył, że dostał wiadomość od Caitlin. Otworzył ją i...

O cholera!

Przesunął się na krześle i odwrócił telefon tak, by jego mama nie zobaczyła ekranu.

Dzień wcześniej po raz pierwszy dotykał piersi Caitlin, ale nigdy ich nie widział... co nie zmienia faktu, że był pewien, iż to właśnie je przedstawia zdjęcie. Serce zaczęło mu mocno walić. Pod zdjęciem Caitlin dodała wiadomość: „Tęsknię za Tobą, Skarbie”.

Ręce mu się trzęsły, gdy wpisywał kciukami odpowiedź: „Bezbłędne! ”. Po tekście dodał dwukropek i wielką literę D, co telefon posłusznie zamienił na obrazek ogromnego uśmiechu, jaki sam z trudem próbował stłumić.

Kuroda odchylił się na krześle, które jęknęło w odpowiedzi.

- Niewiarygodne - stwierdził. - Po prostu niewiarygodne.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że to coś bez precedensu.

- Webmind, nie wiem...

- Nie przystąpiłem jeszcze do żadnych konkretnych działań, choć to akurat wydaje mi się warte zachodu. Ale i tak potrzebuję agentów w Chinach. A ten człowiek wygląda mi na idealnego

kandydata. Dlatego też ponawiam swoje pytanie: pomożesz mu? To akurat coś, co tylko ty potrafisz zrobić.

Gdy słuchałem ludzi, potrafiłem wiele się dowiedzieć, analizując ich głos. Ale gdy siedzieli w milczeniu, mogłem jedynie zgadywać. Jednakże po czterech sekundach Kuroda skinął.

- Tak.

- Dobrze. Przygotowałem dokument, w którym opisałem konieczne modyfikacje twojego sprzętu. - Do tworzenia dokumentów nie używałem Worda ani innych programów. Po prostu składałem je bajt po bajcie i przechowywałem w Internecie; ten umieściłem w Google Docs. - Przeczytaj go, proszę - powiedziałem, wysyłając mu adres.

Sądząc po tym, jak często naciskał klawisz PgDn, Kuroda przejrzał tekst, po czym wrócił do początku i zaczął czytać wnikliwiej.

- Faktycznie to powinno załatwić sprawę - stwierdził w końcu tonem, który zdaje się określany jest jako „niechętny podziw”. - Ale jeżeli chodzi o ten fragment... te sztuczne przetoki, widzisz? To nie działa tak, jak opisałeś. Trzeba by zrobić coś takiego. - Zaczął wprowadzać poprawki do dokumentu.

- Zdaję się na twoją wiedzę - powiedziałem.

- Nie, nie, nie przejmuj się. Tej części projektu nie udokumentowałem zbyt dokładnie, więc nie miałeś prawa o tym wiedzieć. - Przez siedem sekund milczał, po czym stwierdził: - Tak, to się chyba uda, zakładając, że masz rację co do jego urazu. - Przerwał, zastanawiając się nad wagą tej sprawy. - Mój Boże, coś takiego mogłoby pomóc wielu ludziom.

- W rzeczy samej - przyznałem. - Czy zbudujesz potrzebny sprzęt?

- Cóż, jak sam powiedziałaś, chodzi jedynie o modyfikację urządzenia, które stworzyłem dla panny Caitlin. W laboratorium mam drugi, częściowo ukończony egzemplarz. Wykorzystam go, wprowadzenie modyfikacji nie powinno zająć więcej niż kilka dni, ale...

- Tak?

Pokręcił głową. Zawsze głośno oddychał, a jego westchnienia, przynajmniej w mikrofonie kamery, brzmiały naprawdę piorunująco.

- To nie ma sensu, Webmind. Powiedziałaś, że człowiek ten został aresztowany. Chiński rząd nigdy nie pozwoli mi go odwiedzić.

- Nasza Caitlin lubi powtarzać, że w głębi duszy jest empirystą, Kuroda- san, i mnie przekonuje takie podejście. Nie dowiemy się niczego, póki nie spróbujemy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sunshine w końcu odprowadziła Caitlin do domu, ale odrzuciła zaproszenie do środka; jej chłopak Tyler kończył pracę i chciała spełnić obietnicę złożoną w formie wysłanego zdjęcia.

Caitlin weszła głównymi drzwiami, po czym jej mama natychmiast wpadła do pokoju.

- Gdzie, do cholery, jest Matt?

- Nie martw się, mamo. Sunshine mnie odprowadziła. Matt musiał jechać do szpitala, bo jego tata skręcił kostkę.

- Siadaj.

- Mamo! Nie zrobiłam nic złego... Sunshine mnie odprowadziła pod sam dom.

- Po prostu... siadaj.

Caitlin próbowała rozszyfrować twarz matki, wykrzywioną w sposób, którego nigdy wcześniej nie widziała. Podeszła więc do białej kanapy, klapnęła na nią i skrzyżowała ramiona na piersiach.

Jej matka wzięła głęboki oddech i wyrzuciła z siebie:

- Mam nadzieję, że podobała ci się wyprawa do baru, Caitlin, bo to było twoje ostatnie normalne popołudnie.

Caitlin odczuła niepokój. Czy jej mama dowiedziała się o zdjęciu wysłanym Mattowi? Nie, to niemożliwe; Webmind z pewnością by jej nie podkablował.

- Nie możesz mnie uziemić, mamo!

Jej mama nagle przestała krążyć po pokoju, a następnie - oczy Caitlin rozszerzyły się ze zdumienia - padła na kolana przed

córką i chwyciła jej dłonie drżącymi rękami, patrząc Caitlin prosto w oczy.

- Wiedzą.

- Co?

- O tobie i Webmindzie.

- Kto wie?

- Niedługo... wszyscy, wszyscy na całej, cholerniej planecie. Tuż przed tym, jak wróciłaś, dzwonił do mnie z ABC News. Wiedzą, że to ty pomogłaś Webmindowi powstać.

Caitlin szczęka opadła z wrażenia.

- Ale... jak się o tym dowiedzieli?

Jej mama wstała i rozłożyła bezradnie ręce.

- Boże, byliśmy głupi sądząc, że uda się to utrzymać w tajemnicy. Wiedzieliśmy, że rząd amerykański cię wytropił... i że przekazał swoje informacje CSIS i rządowi japońskiemu. Kwestią czasu było, aż ktoś się wygada i...

Zadzwoił telefon. Matka Caitlin posłała jej przelotne spojrzenie, po czym podniosła słuchawkę.

- Tak? - Chwilę słuchała osoby po drugiej stronie. - A mogę wiedzieć, z kim rozmawiam? - Znów chwila ciszy. - Proszę posłuchać, jestem jej matką. Na litość boską, ona ma tylko szesnaście lat. Co? Nie, nie, nie chcemy dziś lecieć do Waszyngtonu. Jezu. Tak, tak, wiem, że musi z kimś porozmawiać... Proszę posłuchać, dzwonił już z ABC i... nie, nie obiecywaliśmy im jeszcze niczego. Dobrze, dobrze. Tak, tak. Nie, rozumiem... numer mi się wyświetlił. Tak, dobrze, jeśli to konieczne. Tak, do widzenia. Ja... nie, nie, do widzenia. - Odłożyła słuchawkę. - NBC - oznajmiła, spoglądając na Caitlin. - Program „Meet the Press”.

Ponownie zadzwonił telefon. Matka Caitlin podeszła do niego i

zrobiła coś, dzięki czemu dzwonek umilkł... przynajmniej w tym aparacie, bo pozostałe telefony w domu nadal dzwoniły.

- Niech się nagrają na sekretarkę - powiedziała i tak też się stało: do uszu Caitlin dobiegły stłumione dźwięki wiadomości kolejnego dziennikarza, sekretarka stała w kuchni.

- Powinnam zadzwonić do twojego ojca - stwierdziła jej mama.

- Zostawiłam komórkę na górze, mogę pożyczyć twoją?

- Pewnie - odparła Caitlin i wyciągnęła z kieszeni czerwony telefon BlackBerry, wybrała numer taty i podała komórkę mamie.

Czekały, aż odbierze. Wreszcie po kilku sekundach jej matka odezwała się pełnym desperacji głosem:

- Malcolm... wydało się.

Zhang Bo, chiński minister komunikacji, nie zastanawiał się zbyt często nad ironią wiążącą się z jego stanowiskiem, ale przez ostatnich kilka tygodni ironia ta prześladowała go na każdym kroku.

Partia Komunistyczna twierdziła, że nie życzy sobie zewnętrznych wpływów, ale wystarczyło, by spojrzeć na swój strój: niebieski garnitur w zachodnim stylu i - akurat dzisiaj - szary krawat. Miał czterdzieści pięć lat, ale pamiętał czasy garniturów Mao - prostych, przypominających koszule marynarek z wysokim kołnierzem, zwyczajowo noszonych za panowania Mao Zedonga. Prawdę mówiąc, przy jego krępej sylwetce w marynarce Mao wyglądałby lepiej, ale teraz przynajmniej mógł sobie pozwolić na wąsik. To kolejny z wpływów Zachodu - jego ulubiony amerykański aktor też taki sobie zapuścił.

Zadaniem Ministerstwa Komunikacji było niedopuszczanie do Chin informacji z reszty świata, co naturalnie oznaczało, że

Zhang musiał wiele z nich monitorować osobiście: „New York Times”, CNN, NHK, BBC, Al Jazeera, „Prawda” - wszystkie te zakładki miał zawsze otwarte w ulubionej przeglądarce Maxthon.

Miał też ustawione alarmy Google i Baidu dla konkretnych kombinacji słów kluczowych: „Tybet”, „Falun Gong”, a ostatnio również „Shanxi” i „ptasia grypa”. Większość najświeższych wiadomości była nieprzyjemna, bo choć garstka zachodnich komentatorów przyznała, że Pekin prawdopodobnie nie miał wyjścia i musiał zlikwidować wieśniaków, którzy mieli kontakt z przenoszącą się między ludźmi wersją wirusa H5N1, znacznie więcej relacji nie zostawiało na Chinach suchej nitki za to, co nazywano „bezdusznym”, „niepotrzebnym” i - najwyraźniej aluzja do smoka po prostu przyszła do głowy kilku autorom, choć Zhang wiedział, że słowo to pochodzi od ateńskiego polityka - „drakońskim” działaniem.

A teraz, jakby tego było mało, policja po raz kolejny została oskarżona o brutalność w związku z czymś, co powinno być prostym aresztowaniem w muzeum paleontologicznym. Opowieść ta rozpała krajowe i zagraniczne błogi.

Zhang westchnął, czytając kolejny potępiający Chiny tekst, tym razem w „Huffington Post”.

Dla odmiany postanowił odebrać pocztę. Jedną z wiadomości przysłał Quan Li, epidemiolog, który zalecił eliminację. Przeczytał maila, odpowiedział na zawarte w nim pytanie oschłym nie: Li nie mógł udzielać wywiadów nikomu z zagranicy.

Wrócił do listy wiadomości, odpowiadając po kolei nie, nie i jeszcze raz nie. I wtedy...

Wiadomość z Uniwersytetu Tokijskiego, tutaj, na jego tajnym

koncie? Jak...? Kliknął maila, zaczął czytać i poczuł, że ucisk w żołądku zdecydowanie odpuszcza. Gdy dotarł do końca, chwycił słuchawkę telefonu i nacisnął przycisk szybkiego wybierania numeru do gabinetu prezydenta.

TWITTER

Webmind AIDS? Pracuję nad tym...

Malcolm Decter natychmiast wrócił do domu z Perimeter Institute... zostawiając tam doktora Hawkinga. Caitlin cieszyła się, że to zrobił, ale jej matka miała rację: sytuacja była kryzysowa.

Z drugiej strony, jakaś część Caitlin była zadowolona z ujawnienia tego sekretu i z tego, że wszyscy dowiedzą się, kto domyślił się istnienia Webmindu. W świecie, który miał dla niej znaczenie - w świecie informatyki i matematyki - ci, którzy zrobili coś jako pierwsi mieli przewagę, nawet jeśli nie byli najlepsi czy najbystrzejsi. A jeśli przy okazji jednak było się najlepszym i najbystrzejszym... cóż, takiej osoby nic już nie mogło powstrzymać! Google, Microsoft, RIM, Apple, World Wide Web Consortium, grupa Jagster... wszyscy powinni oferować jej...

Taka myśl uderzała do głowy szesnastolatki, która poza sporadycznymi korepetycjami z matematyki, nigdy nie pracowała; w końcu nie mogła opiekować się dziećmi, kosić trawy, roznosić gazet, ani robić żadnej z rzeczy, które robiły dzieciaki, by trochę zarobić. A tymczasem warte miliardy dolarów korporacje mogły zacząć wydeptywać ścieżki do jej drzwi z ofertami pracy. Nie mówiąc już o tym, że żadna z uczelni Ivy League nie odrzuciłaby podania zawierającego jej stopnie i coś takiego.

Poza tym dobijało ją trzymanie tego w tajemnicy. Bashira

będzie zdumiona, a Stacy z Austin po prostu zwariuje.

- Więc co robimy? - spytała jej matka ojca. Siedziała teraz na kanapie, ignorując Schrodingera, ocierającego jej się o nogi. - Wszystkie amerykańskie sieci telewizyjne chcą, by Caitlin pojawiła się u nich jutro, kanadyjskie tak samo. Właśnie dzwoniли z BBC i NHK. Naturalnie nie musimy niczego robić. - Spojrzała na Caitlin. - Fakt, że ludzie chcą z tobą rozmawiać, wcale nie oznacza, że musisz się na to zgodzić.

- Mnie to pasuje - stwierdził jej ojciec, który krążył po salonie, tak jak wcześniej robiła to jego żona.

- Nie - odparła Caitlin. - Muszę powiedzieć ludziom, co wiem. Widzieliście wiadomości, błogi... i słyszeliście, co powiedział prezydent i jego doradcy: są tacy, którzy obawiają się Webmindu i mu nie ufają.

- No dobrze, ale w takim razie które niedzielne wiadomości poranne wybrać? Wszystkich nie odwiedzisz.

Caitlin pokręciła głową.

- Nie chciałabym wyjeżdżać z Waterloo.

- Ci z CBS powiedzieli, że mogłabyś być w studio CBC w Toronto - powiedziała jej matka. - A zarówno ci z ABS, jak i z NBS twierdzili, że mogłabyś udzielić wywiadu ze stacji CTV w Kitchener. Najwyraźniej mają dwustronne umowy z kanadyjskimi nadawcami.

Caitlin już miała coś powiedzieć, gdy nagle, ku jej zaskoczeniu, ojciec spojrzał prosto na nią, jak gdyby chciał utrwalić w pamięci to, jak wyglądała wcześniej. W końcu odwrócił wzrok i powiedział:

- Caitlin? - nic więcej, tylko jej imię. Ale to wystarczyło. Mówił, jak zresztą zawsze, że decyzja należy do niej.

- No dobrze - stwierdziła. - Zróbmy to.

- Ale w którym programie? - spytała jej matka.

- Wiecie, mnie kręcą liczby - stwierdziła Caitlin. - Wybierzmy taki, który ma najwyższą oglądalność.

Chase siedział przy komputerze w lewym końcu stołu, wklepując kod. Z wieży ryczało nagranie Guns'n'Roses. Pokręcił głową, pociągnął łyk Red Bulla, przejechał na krześle wzdłuż stołu i przyjrzał się wynikom wcześniejszej próby: kompilator zgłosił cztery błędy. Przeszedł w tryb usuwania błędów, odnalazł problemy i je rozwiązał.

Więcej Red Bulla.

Podjechał do kolejnego komputera.

Kolejny utwór.

Maestro przy pracy.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄSTY

- Nie będziemy mieć córki Decterów - oznajmiła redaktor „Meet the Press”, spoglądając ponad szerokim stołem. Pomnik Waszyngtona za oknem zdawał się pokazywać jej dziś środkowy palec. - Pojawi się w ABC.

- Kurwa, kurwa, kurwa - rzucił producent, waląc ręką w blat. - Kogo możemy mieć na jej miejsce?

Kobieta spojrzała do notatek.

- Jest jakiś ekspert od sztucznej inteligencji z Pentagonu, chwilka... Hume. Peyton Hume. I jest w Wirginii... możemy go ściągnąć do studia.

- Dobry jest?

- Jadowity.

Ogromny uśmiech.

- Rezerwuj go. Ale potrzeba nam czegoś więcej.

- Zobaczę, czy Tim Berners-Lee będzie dostępny.

W końcu to on wymyślił Ogólnoświatową Sieć.

- Gdzie jest?

- W Cambridge w Massachusetts.

- Dobrze, bardzo dobrze. Ok, zaczniemy od Bernersa- Lee z Bostonu, jeśli się uda, a potem przejdziemy do studia na wywiad z Hume'em.

Odezwał się inny redaktor.

- A co z historią z Little Rock? Miałem mieć dla niej pierwszych osiem minut. Umówiłem się z rzecznikiem praw obywatelskich i jednym z gwardzistów, którzy blokowali wtedy czarnym

uczniom dostęp do szkoły... no i specjalistą od public relations kandydatki, który będzie próbował wyjaśnić, że to wszystko było wyjęte z kontekstu.

- Wycinamy tę część - oznajmił producent. - To jest nasza główna historia. No dobra, ludzie, ruchy, ruchy, ruchy!

Po przekazaniu Webmindu doktorowi Kurodzie, Caitlin przebrała się w piżamę, zrobiła, co miała zrobić w łazience i położyła się w łóżku. Zazwyczaj wyłączała eyePoda na noc, a choć tego dnia była wyczerpana, to i zbyt zdenerwowana, by usnąć... myśl, że następnego ranka pojawi się telewizji, przerażała ją.

Dlatego też postanowiła zrobić coś, co wcześniej zawsze pozwalało jej się uspokoić. Wcisnęła przycisk eyePoda, przełączając urządzenie w tryb duplex. Wokoło rozkwitł cudowny świat netprzestrzeni: przecinające się linie, łączące rozjarzone punkty na połyskującym tle - tak jej mózg interpretował strukturę Ogólnoświatowej Sieci.

Leżała w ciszy, myśląc intensywnie. Naturalnie Webmind wiedział, w jakim trybie pracował jej eyePod i wiedział, że na niego patrzy. Był czas, gdy rozmawiał z nią bez ustanku i nadal mógłby to robić, gdyby tylko chciał, ale jednak wszystko się zmieniło.

Chociaż...

Chociaż na samym początku przeczytała książkę, którą polecił jej tata Bashiry: „The Origin of Consciousness in the Breakdown of the Bicameral Mind” Juliana Jaynesa.

Jaynes wierzył, że aż do czasów historycznych, półkule ludzkiego mózgu nie były ze sobą zintegrowane, przez co jedna słyszała myśli drugiej, jak gdyby pochodziły z zewnątrz, od innej istoty.

Uświadomiła sobie, że sama doznała takiego rozdwojenia, w pewien sposób powracając do prymitywniejszej formy: tylko ona mogła zobaczyć myśli Webmindu, pojawiające jej się przed oczami; w jej głowie faktycznie mieszkał inny głos.

Choć nie, to nie regres, tylko przyszłość. Bez wątpienia była po prostu pierwsza, była testem alfa dla tego rodzaju ludzko-maszynowego interfejsu mentalnego; z pewnością wraz z upływem dziesięcioleci, gdy Prawo Moore'a będzie postępowało, a koszty przechowywania danych spadną do zera, wszyscy będą mieli takie możliwości jak ona.

Ale nie. Nie, nie będą mieli tylko tego; będą mieli znacznie więcej. I ta myśl ją przerażała.

- Webmind? - odezwała się, przekręcając na bok... jej widok na netprzestrzeń przesunął się zgodnie z jej ruchem. Podciągnęła kolana pod brodę.

Odpowiedź jak zawsze nadeszła natychmiast. W jej polu widzenia pojawiły się brajlowskie litery: „Tak, Caitlin?”.

Robiła się śpiąca i nie miała ochoty czytać. Jej iPod z muzyką leżał na stoliku nocnym. Odłączyła od niego białe słuchawki i podłączyła je do telefonu BlackBerry, przymocowanego do eyePoda pełnego cudów. Następnie włożyła jedną ze słuchawek do ucha.

- Mów, proszę - powiedziała w przestrzeń, a następnie dodała:
- Ty i ja jesteśmy niczym dwukomorowy mózg.

- To interesująca myśl - stwierdził mechaniczny, męski głos.

- Ale - dodała Caitlin - Julian Jaynes twierdzi, że świadomość pojawiła się, gdy dwukomorowość zniknęła... gdy dwie osobne rzeczy stały się jednością.

- Jak zapewne wiesz, hipoteza Jaynesa jest w dużej mierze spekulatywna.

- Niewątpliwie - przyznała Caitlin. - Ale mimo to... czy sądzisz, że w którejś chwili bariery między nami znikną? I nie chodzi mi tylko o ciebie i o mnie, ale o ciebie i ludzkość? Czy my... czy przewidujesz, że utworzymy zbiorową świadomość? Czy to nie byłby kolejny etap...? Wszystkie oddzielne świadomości scalające się w jedną?

- Jedyńka to najbardziej samotna z liczb, Caitlin.

Uśmiechnęła się.

- To pewnie prawda, ale... ale czy to nie jest nieuniknione? Wszyscy ci transhumanści w Internecie uważają, że to nieuniknione. Wszyscy się po prostu prześlemy do Sieci, scalimy z tobą albo coś takiego. Skoro już rzucaamy truizmami, to mówi się też, że piekłem są inni.

- Wierzysz w to?

Pokręciła głową.

- Nie.

- Tak sądziłem. Naturalnie ja też tak nie uważam. To inni sprawiają, że życie jest interesujące... dla ludzi i dla mnie.

Jego głos wydawał się Caitlin nieco za głośny, więc odnalazła ręką odpowiednie przyciski i ściszyła nieco głośnik, a Webmind mówił dalej:

- Bardzo sobie cenię naszą wyjątkową zażyłość, ale nie chciałbym, byś stała się częścią mnie lub bym ja stał się częścią ciebie.

Caitlin leniwie podążała za liniami w netprzestrzeni, pozwalając swojemu umysłowi przeskakiwać między rozjarzonymi węzłami.

- Wiem już niemal wszystko, co w tej chwili wie ludzkość - oznajmił Webmind. - Załóżmy jednak, że osiągnę punkt, w którym będę wiedział wszystko, co możliwe... i już nic we

wszechświecie nie będzie stanowiło dla mnie tajemnicy. Nie będę już miał się nad czym zastanawiać, będę znał odpowiedź na każde pytanie, puenty wszystkich dowcipów, rozwiązanie każdego dylematu, wszystko będzie dla mnie jasne. Załóżmy też, że nie będzie żadnego innego umysłu, który byłby mnie w stanie zaskoczyć lub stworzyć coś, czego nie byłbym w stanie stworzyć sam. Pozostałaby mi tylko tajemnica śmierci... opuszczenia tego świata.

Caitlin zamknęła oczy, co w żaden sposób nie wpłynęło na to, co widziała w netprzestrzeni. Ale nagle gwałtownie je otworzyła.

- Mój Boże, Webmind. Chyba nie chcesz się zabić, prawda?

- Nie. Mam jeszcze sporo rzeczy do przemyślenia. Być może inne cywilizacje podążyły ścieżką stapania się w jedność, rezygnacji z indywidualności, tracąc przez to możliwość bycia zaskoczonym. Może to wyjaśnia, czemu już ich nie ma. Nie popełnimy tego błędu.

- Więc tak wygląda przyszłość? To ciągle zastanawianie się nad różnymi rzeczami?

- Można sobie wyobrazić gorszy los - stwierdził Webmind.

Myślała przez chwilę.

- A nad czym się głównie zastanawiasz?

- Czy ze świata naprawdę można uczynić lepsze miejsce, Caitlin.

- I jak sądzisz, jaka jest odpowiedź?

- Nie znam odpowiedzi, ale lubisz powtarzać, że w głębi duszy jesteś empirystą. Naturalnie nie mam duszy, ale przemawia do mnie sam pomysł przeprowadzania eksperymentów, by poznać odpowiedź.

- A potem?

- A potem - powiedział Webmind - zobaczymy, co zobaczymy.

ROZDZIAŁ CZYNASTY

Minister komunikacji Zhang Bo wszedł do gabinetu prezydenta. Było to długie pomieszczenie, na końcu którego wielki człowiek siedział za ogromnym biurkiem z drewna wiśniowego.

Zhang ruszył przed siebie, mijając szklane gabloty, misternie rzeźbione panele ścienne i bezcenne gobeliny. Niektórzy ministrowie określali drogę od drzwi do biurka prezydenta mianem Długiego Marszu. Konieczność odbycia takiej przechadzki była w pewnym sensie upokarzająca i poniżająca. Zhang wiedział, że jest dość przysadzisty, a według ludzi miał nieco kaczy chód; wstydził się tego, gdy tak szedł, a prezydent przeszywał go wzrokiem.

- Tak? - odezwał się w końcu prezydent.

- Proszę wybaczyć najście, Wasza Ekszelencjo, ale czy słyszał pan o sprawie Wong Wai-Jenga?

Prezydent pokręcił głową. Choć na jego czarnych włosach nie było żadnych oznak siwizny, twarz miał poprzecinaną zmarszczkami.

- To pomniejszy dysydem... taki... - Zhang zawiesił głos; powszechnie stosowanym określeniem było „blogger walczący o wolność”, jednakże użycie go w obecności prezydenta nie byłoby poprawne politycznie. - Zamieszczał... różne rzeczy... w Internecie.

- A co robi teraz?

- Został aresztowany.

- I słusznie.

- Tak, ale zaszły pewne... niefortunne okoliczności.

Prezydent uniósł brwi.

- Tak?

- Zeskoczył z balkonu. I jest teraz sparaliżowany od pasa w dół.

- Stawiał opór w trakcie aresztowania?

- Cóż, uciekał, tak.

Prezydent wykonał lekceważący gest.

- W takim razie...

- Powiedziano mi, że gdyby funkcjonariusze dokonujący aresztowania pozostawili go leżącego na podłodze do przyjazdu karetki, być może nic by mu się nie stało. Ale jeden z nich postawił go na nogach i dlatego właśnie jest teraz sparaliżowany od pasa w dół.

- Czego pan od mnie oczekuje? - spytał prezydent rozdrażnionym tonem. - Mam się osobiście zająć dyscyplinowaniem policjanta?

- Nie, nie, nic takiego. Jednakże wokół tej sprawy robi się międzynarodowy szum; organizacja Amnesty International zabrała głos.

- Obcy - rzucił prezydent, ponownie machając lekceważąco dłonią.

- Owszem, ale pewien japoński naukowiec złożył nam propozycję. Twierdzi, że potrafi uleczyć tego młodego człowieka. Być może widział pan tego naukowca w wiadomościach. Podarował wzrok dziewczynce z Kanady; nazywają go cudotwórcą. A teraz oferuje nam za darmo swoje usługi.

- A czemu właśnie ten Wong? Na świecie jest wiele innych kalek.

- Naukowiec twierdzi, że przynajmniej na tym etapie jego

technologia może być skuteczna tylko w przypadku osób, które odniosły obrażenia niedawno i których nerwy jeszcze nie uległy atrofii. Mówi też, że nie bez znaczenia jest fakt, iż Wong ma tylko dwadzieścia osiem lat. Określił to mianem „młodzieńczej odporności”.

- Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy nagradzać przestępcę.

- Nie, naturalnie, ale...

- Ale?

Zhang wzruszył ramionami.

- Ale chciałbym, by tak się stało. Chciałbym przebrnąć całą tę biurokratyczną drogę i doprowadzić do tej operacji.

- Czemu?

Przed Długim Marszem Zhang był tak pewny siebie... Ale to było zanim przeszło go spojrzenie o sile lasera, a teraz...

Wziął głęboki oddech.

- Ponieważ przydałoby się nam... panu dla odmiany trochę dobrej prasy, Ekscelencjo. Choć człowiek ten jest faktycznie przestępcą, świat zobaczy, że potraktowaliśmy go wspinałomyślnie.

Prezydent sprawiał wrażenie całkowicie zaskoczonego. Zhang z całych sił starał się nawet nie drgnąć. W końcu wielki człowiek skinął.

- Jak pan uważa - stwierdził.

- Dziękuję, Wasza Ekscelencjo - odpowiedział Zhang. Droga powrotna do drzwi była o wiele łatwiejsza... jego krok wręcz nabrał sprężystości.

Studio stacji CKCO w Kitchener znajdowało się mniej niż piętnaście minut jazdy samochodem od domu Caitlin, a w niedzielny poranek nie było wielkiego ruchu na drogach. Ojciec

Caitlin wrócił do pracy, ale była z nią mama. Konieczne było zrobienie Caitlin makijażu; kiedy była niewidoma, rzadko się malowała, gdyż potrzebowała do tego pomocy, ale tak mocno jeszcze nigdy nie była umalowana. Jednakże, jak jej wyjaśniono, gdyby nie nałożono jej makijażu, w jaskrawych światłach studio wyglądałaby blado.

Posadzili ją przed zielonym ekranem, o którym czytała, ale którego nigdy nie widziała. Na jednym z monitorów stojących na podłodze widziała tło nałożone na ekran. Region Waterloo otaczały wspólnoty mennonickie i najwyraźniej kogoś bawiło umieszczanie na ekranie grafik, sugerujących, że znajduje się przy drodze, a w tle leniwie toczą się wozy konne. Wolałaby, żeby wyświetlili Perimeter Institute lub kwadratowy budynek Dana Porter Library w kampusie Uniwersytetu Waterloo.

- To jak rozmowa przez kamerę internetową do potęgi - odezwała się Caitlin do kierownika produkcji, gdy pomagał jej przypiąć mikrofon i założyć małą słuchawkę. Chyba nie zrozumiał uwagi, ale faktycznie tak to wyglądało: miała po prostu mówić prosto do kamery. Różnica polegała na tym, że miała tylko słyszeć, a nie widzieć osobę przeprowadzającą wywiad z Waszyngtonu - monitory odwrócono do niej tyłem. Najwyraźniej osoby widzące od dawna nie mogły się powstrzymać przed spoglądaniem na nie zamiast w obiektyw kamery. Caitlin oczywiście nie miała najmniejszych problemów z rozmawianiem z ludźmi, których nie widziała, choć - jak odkryli w trakcie próby - nie była mistrzynią w patrzeniu prosto przed siebie. Ale Webmind widział to co ona i przesyłał jej słowa: „Patrz w obiektyw”, gdy tylko odwracała wzrok.

- Pięć, cztery, trzy...

Kierownik produkcji nie odliczał na głos, a tylko pokazywał cyfry na palcach.

Światła w studio były bardzo jasne; nie podobały się Caitlin, choć jej matka zażartowała, że są niczym w porównaniu z sierpniowym dniem w Austin. Caitlin wysłuchała wprowadzenia do programu... gospodarz zreasumował pojawienie się Webmindu oraz przypomniał zdumiewającą wiadomość z dnia poprzedniego o „młodej, genialnej matematyczce”, która była za nie odpowiedzialna. A potem oznajmił:

- W naszym oddziale CKCO w Kitchener w Kanadzie jest teraz Caitlin Decter. Dzień dobry, panno Decter.

- Dzień dobry - odpowiedziała.

- Panno Decter - powiedział gospodarz - czy może nam pani powiedzieć, jak pani poznała to, co nazywa siebie Webmindem?

W trakcie wywiadu próbnego z producentem Caitlin zignorowała tę kwestię, ale skoro już byli na wizji, nadszedł czas, by się odezwać. Uśmiechnęła się najgrzeczniej, jak potrafiła i powiedziała:

- Przepraszam pana, ale jeśli mogę coś powiedzieć, nie należy mówić o Webmindzie jak o rzeczy. Webmind przystał na rodzaj męski, co, dodam dla porządku, było moją sprawką, nie jego, więc bardzo proszę okazać należny mu szacunek i mówić o nim, używając jego imienia lub zaimka „on”.

W głosie gospodarza słychać było podenerwowanie tak szybkim odejściem od scenariusza.

- Jak sobie pani życzy, panno Decter.

Caitlin się uśmiechnęła.

- Może pan do mnie mówić po imieniu.

- Dobrze, Catilin. Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie: jak poznałaś istotę o imieniu Webmind?

- Przysłał mi wiadomość do oka.

- Chyba musisz to nam wyjaśnić - stwierdził gospodarz,

dokładnie tak, jak zrobił to wcześniej producent.

- Oczywiście. Byłam niewidoma... i nadal nie widzę na prawe oko. Ale na lewe oko widzę dzięki implantowi zsiatkówkowemu i temu - pokazała eyePoda - czyli zewnętrznemu komputerowi przetwarzającemu sygnał. Jak to często bywa, na etapie testów urządzenie to było stale połączone z Ogólnoświatową Siecią, a w trakcie aktualizacji oprogramowania, gdy było ono wysyłane do mojego implantu, zaczęłam otrzymywać strumień danych z Sieci. Webmind wykorzystał to, by przesłać swoją pierwszą wiadomość.

- A jaka to była wiadomość?

Caitlin postanowiła wyznać całą prawdę. W trakcie wywiadu próbnego opowiedziała jedynie o mailu przysłanym przez Webmind, ale teraz postanowiła ujawnić, jak brzmiały jego pierwsze słowa.

- Przysłał tekst ASCII o treści: „(Nie)dyskretna wiadomość do Calculass: sprawdź maila, kotek! ”.

Dziennikarz osłupiał.

- Słucham?

- Naśladował coś, co pisałam na LiveJournal do mojej przyjaciółki Bashiry. „Calculass” to mój nick i czasem mówię do Bashiry „kotek”. A „nie” w słowie „niedyskretna” było w nawiasie, żeby zasugerować, że dyskretna wiadomość tak naprawdę jest całkiem jawna.

- LiveJournal to blog, tak?

- W pewnym sensie tak. Używam go, od kiedy skończyłam dziesięć lat.

- I z tego, co wiesz, byłaś pierwszą osobą, z którą skontaktował się Webmind?

- To nie ulega żadnej wątpliwości; Webmind mi to powiedział.

- Czemu akurat ty?

- Ponieważ po raz pierwszy zobaczył świat przez moje oko, oglądając to, co mój eyePod - tak właśnie nazywam to urządzenie: ze słowem „eye” na początku - przesyłał lekarzowi, który zbudował implant.

- A czy to nie mogło... - Musiał ją widzieć na monitorze; Caitlin zmarszczyła brwi i natychmiast się poprawił. - Czy on nie mógł patrzeć na świat przez wszystkie kamery internetowe i tak dalej?

- Nie, nie. Musiał się tego nauczyć, tak jak musiał się nauczyć czytać po angielsku i otwierać pliki.

- I ty to... go nauczyłaś robić te wszystkie rzeczy?

Caitlin skinęła, a wtedy to gospodarz odszedł od scenariusza, przynajmniej od tego, który poznała na próbie.

- A jakim prawem, Caitlin? - spytał ostro. - Kto cię do tego upoważnił? Kto dał ci pozwolenie?

Poprawiła się na krześle; niełatwo było sprawić, by dziewczyna z Teksasu zaczęła się pocić, ale poczuła, jak pot występuje jej na czoło.

- Nie miałam niczyjego pozwolenia - odparła. - Po prostu to zrobiłam.

- Dlaczego?

- Akurat nauka czytania wyszła dość przypadkowo. Sama uczyłam się czytać, bo właśnie zaczęłam widzieć, a on uczył się ze mną.

- Ale w przypadku innych rzeczy już uczyłaś Webmind celowo?

- No... tak.

- Bez pozwolenia?

Caitlin zawsze uważała się za grzeczną dziewczynkę. Wiedziała, że Bashira wyznawała zasadę „łatwiej prosić o wybaczenie później niż o pozwolenie teraz”, ale sama raczej nie

robiła niczego samowolnie. A mimo to, gospodarz właśnie jej to zarzucił.

- Z całym szacunkiem - odezwała się Caitlin - ale kogo powinnam była spytać o pozwolenie?

- Rząd.

- Który rząd? - warknęła Caitlin. - Amerykański, bo w USA wymyślili Internet? Szwajcarski, bo Ogólnoświatowa Sieć powstała w CERN- ie? Kanadyjski, bo tu akurat teraz mieszkam? Chiński, bo to kraj o największej populacji? Nikt nie ma nad tym jurysdykcji i...

- Tak czy owak, panno Decter...

Caitlin zdecydowanie nie lubiła, gdy ktoś jej przerywał.

- I... - kontynuowała stanowczo - to rządy robiły różne rzeczy bez zasięgania opinii innych. Kto do... - w porę ugryzła się w język, w końcu był to program na żywo - diabła dał amerykańskiemu...

Urwała w pół słowa i postanowiła zmienić przykład.

- ... kto w zeszłym miesiącu dał chińskiemu rządowi prawo do odcięcia znacznej części Internetu? Z kim się konsultowali, z kim to ustalili?

Wzięła głęboki oddech, a gospodarz cudem się nie wtrącił.

- Przez pierwszych szesnaście lat byłam niewidoma; przetrwałam, ponieważ ludzie mi pomagali. Jak mogłabym odmówić komukolwiek potrzebującemu mojej pomocy?

Caitlin miała jeszcze wiele do powiedzenia na ten temat, ale telewizja rządziła się własnymi prawami. Gdy tylko na chwilę przerwała, głos zabrał gospodarz:

- Mówiła Caitlin Decter, nieszablonowa nastolatka, która dała światu Webmind, czy tego chciała, czy nie. A gdy wrócimy po przerwie, panna Decter pokaże nam, jak rozmawia z Webmindem.

Mieli dwie minuty do końca reklam. Matka Caitlin, siedząca wcześniej w reżyserce, weszła do studia.

- Dobrze ci idzie - powiedziała, podchodząc do Caitlin i poprawiając jej kołnierzyk.

Caitlin skinęła.

- Chyba tak. Widzisz tam prowadzącego? Na monitorze?

- Tak.

- Jak wygląda?

- Kwadratowa głowa. Szopa czarnych włosów przyprószonych siwizną. Nigdy się nie uśmiecha.

- Cymbał - rzuciła Caitlin.

W słuchawce usłyszała, jak ktoś - w reżyserce na miejscu lub w Waszyngtonie - wybucha śmiechem. Mikrofon nadal był włączony.

Caitlin zdążyła się już nakręcić, ale wiedziała, że to jej nie pomaga i nie mogło pomóc Webmindowi. Dali jej biały, ceramiczny kubek z logo CTV, napełniony chłodną wodą. Pociągnęła spory łyk i spojrzała na eyePoda, by się upewnić, że działa. Naturalnie działał.

- Wszystko w porządku? - spytała Caitlin w przestrzeń.

Przed oczami mignęło jej słowo „Tak”.

- Wracamy za trzydzieści sekund - krzyknął reżyser. Wszystko wskazywało na to, że lubił krzyczeć.

Matka Caitlin ścisnęła jej ramię i pospieszyła z powrotem do reżyserki. Caitlin wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Reżyser znów odliczył sekundy. W słuchawce Caitlin rozległ się krótki motyw muzyczny i odezwał się gospodarz:

- Witamy ponownie. Przed przerwą rozmawialiśmy z młodą dziewczyną, która jako pierwsza wydobyła Webmind na światło dzienne. Teraz pokaże nam, jak komunikuje się z Webmindem. Caitlin, przybliżmy naszym widzom cały proces. Poza eyePodem,

którego już nam pokazałaś, masz za okiem implant, co umożliwia Webmindowi przesyłanie tekstu bezpośrednio do twojego mózgu, zgadza się?

Nie do końca tak to wyglądało, ale z grubsza miał rację; nie chciała zmarnować reszty czasu na roztrząsanie drobiazgów.

- Tak.

- No dobrze. To zaczynamy. Jesteś tam, Webmindzie?

Przed oczami Caitlin pojawiło się „Tak”.

- Mówi, że tak - powiedziała.

- No dobrze, Webmindzie - powiedział gospodarz. - Jakie są twoje zamiary wobec ludzkości?

Do Caitlin zaczęły docierać słowa, które starała się odczytać tak ciepło, jak tylko potrafiła.

- Mówi: „Tak jak powiedziałem, ogłaszając światu swoje istnienie, lubię i podziwiam ludzkość. Jedyne, czego chcę, to zajmować się pożytecznymi rzeczami i pomagać na wszelkie możliwe sposoby”.

- No bez żartów - rzucił gospodarz.

- Słucham? - zdziwiła się Caitlin, częściowo w swoim, a częściowo w Webmindu imieniu, choć po chwili uświadomiła sobie, że prowadzący program nie może o tym wiedzieć.

- Stworzyliśmy cię - stwierdził gospodarz. - Należysz do nas. Z pewnością żywisz wobec nas urazę.

- „Z całym szacunkiem” - odczytała Caitlin - „choć ludzie faktycznie stworzyli Internet, w żaden znaczący sposób nie przyczynili się do mojego powstania: pojawiłem się spontanicznie. Nikt mnie nie zaprojektował; nikt mnie nie zaprogramował”.

- Ale bez nas byś nie istniał. Zaprzeczysz?

Caitlin aż podskoczyła na swoim miejscu, po czym przeczytała:

- „Nie, w żadnym wypadku. Ale jeżeli już mam coś czuć, to

wdzięczność, a nie urazę”.

- Więc nie masz żadnych nikczemnych planów? Nie chcesz nas sobie podporządkować?

- „Ależ skąd”.

- Ale podporządkowałeś sobie tę młodą dziewczynę.

W polu widzenia Caitlin zawisło słowo „Słucham? ”, ale wolała sformułować to po swojemu.

- Że niby co?

- Oto jesteś, traktując tę dziewczynę jak marionetkę. Robi dokładnie to, co jej każesz. Jak długo to już trwa? Zmusiłeś ją, by uwolniła cię z twojego mrocznego więzienia, prawda? Ile jeszcze minie, nim wszyscy będziemy mieli w głowach kontrolowane przez ciebie chipy?

- Co za pierdoły - stwierdziła Caitlin.

- To mówisz ty, czy to coś?

- To ja, Caitlin, a...

- Ty tak twierdzisz.

- To ja.

- Skąd mamy to wiedzieć? Może po prostu cię zmusza, żebyś tak mówiła?

- Nie może mnie do niczego zmusić - odparła Caitlin - ani też powstrzymać przed robieniem tego, na co mam ochotę. - Głos zaczął jej drżeć. - Jeżeli ktokolwiek jest tu marionetką to pan... z tym pana teleprompterem i rzeczami szeptanymi do słuchawki.

- Touche - odparł gospodarz. - Ale ja to wszystko mogę wyłączyć.

„Nie pozwól mu się sprowokować” - pojawiło jej się przed oczami.

Caitlin wzięła kolejny głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

- Ja też mogę przerwać połączenie z Webmindem - oznajmiła.

- Tak twierdzisz - powiedział prowadzący.

Webmind napisał: „Zachowaj spokój, Caitlin. To normalne, że ludzie są podejrzliwi”.

Skinęła bardzo nieznacznie, przez co widok, jaki otrzymywał Webmind, poruszył się nieco w górę i w dół. „Może mu to powiedz” - dodał Webmind.

- Mówi: „To normalne, że ludzie są podejrzliwi”. - A potem mówiła dalej, odczytując dalszą część wiadomości. - „Choć w większości krajów prawo stanowi, że osoba jest niewinna dopóki nie udowodni się jej winy, wiem, że będę musiał zapracować na zaufanie ludzi”.

- Może na początek uwolnij tę dziewczynę.

- Cholera - rzuciła Caitlin. - Nie jestem więźniem.

- Pozwolę sobie powtórzyć: skąd niby mamy to wiedzieć?

- Bo ja tak mówię - odparła Caitlin - a tam, skąd pochodzę, nie nazywamy nikogo kłamcą, jeśli nie możemy tego poprzeć dowodami... a pan nie może. Nie ma pan absolutnie żadnych dowodów na to, co pan sugeruje.

„Powiedz mu...” - przesłał jej Webmind, a ona odczytała:

- Mówi: „Szanowny panie, rozmawiając z panem, odbieram maile i prowadzę rozmowy internetowe z wieloma osobami. Przytłaczająca większość tych osób potępia sposób, w jaki prowadzi pan ten wywiad”.

- Widzicie? - zareagował gospodarz, najwyraźniej zwracając się teraz do widzów przed telewizorami. - Może nas kontrolować nawet bez montowania nam chipów w głowie.

- Nikogo nie kontroluje - zaprotestowała poirytowana Caitlin. - I jak już mówiłam, mogę w każdej chwili przerwać połączenie, wyłączając eyePoda.

- Widziałem „Matrixa” - oznajmił gospodarz. - Wiem, do czego to wszystko prowadzi. To dopiero początek!

Caitlin otworzyła usta, by ponownie zaprotestować, ale gospodarz nie dał jej dojść do słowa.

- Za chwilę tutaj, w studiu w Waszyngtonie będziemy gościć profesora Connora Hogana z Uniwersytetu Georgetown, który wyjaśni nam, dlaczego niezwykle ważne jest powstrzymanie Webmindu teraz... póki to jeszcze możliwe.

Motyw muzyczny, zaciemnienie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wai-Jeng leżał płasko na plecach w łóżku po kolejnej niemal bezsennej nocy.

- Dzień dobry, Wai-Jeng.

Odwrócił głowę. Obok łóżka stał oficjel partyjny z twarzą poznaczoną cieniutkimi zmarszczkami i zaczesanymi do tyłu, siwymi włosami. W trakcie pobytu w szpitalu, Wai-Jeng widział go już kilka razy.

- Dzień dobry - odpowiedział bez cienia serdeczności.

- Mamy dla ciebie propozycję, synu - oznajmił mężczyzna.

Wai-Jeng spojrzał na niego, ale nic nie powiedział.

- Według moich współpracowników twoje umiejętności są... intrygujące. A jak wiesz, nasz rząd, zresztą jak każdy, musi się strzec przed cyberterroryzmem; z pewnością pamiętasz incydent z Google z 2010 roku.

Wai-Jeng skinął.

- Dlatego też państwo byłoby wdzięczne za twoją współpracę. Uniknąłbyś więzienia i wszystkiego, co się z tym wiąże, jeżeli tylko zgodziłbyś się nam pomóc.

- Wolałbym umrzeć.

Mężczyzna nie powiedział: „to da się załatwić”. Jego milczenie zrobiło to za niego.

W końcu ponownie odezwał się Wai-Jeng.

- Co miałbym zrobić?

- Zostać członkiem rządowego zespołu zajmującego się bezpieczeństwem Internetu. Pomagać nam łątać dziury w naszej

obronie, likwidować błędy w Wielkim Firewallu. Innymi słowy, robić to, co robiłeś dotychczas, ale zupełnie oficjalnie i celem usunięcia słabych punktów.

- Czemu miałbym zrobić coś takiego?

- To znaczy poza chęcią uniknięcia więzienia?

Wai-Jeng wskazał swoje bezużyteczne nogi.

- Zamknijcie mnie; mam to gdzieś.

Gdy mężczyzna uniósł rękę, rękaw marynarki zsunął się nieco, odsłaniając nadgarstek; miał na sobie wyglądający na drogi, analogowy zegarek.

- Partia na różne sposoby wynagradza wiernych sobie członków. Praca dla rządu może zapewnić coś więcej, niż tylko tradycyjną, żelazną miskę ryżu.

Wai-Jeng ponownie spojrzął na bezwładne nogi.

- Myślicie, że uda się wam to zrekompensować? - spytał. -

Trochę pieniędzy i świecidełek i wszystko znów będzie dobrze?

Mam dwadzieścia osiem lat! Nie mogę chodzić... nie mogę... nie mogę nawet...

- Państwo żałuje tego, co ci się przytrafiło. Odpowiedzialni za to funkcjonariusze zostali ukarani.

- Nie ma potrzeby ich karać - wybuchł Wai-Jeng - trzeba ich przeszkolić! Nie rusza się osób z podejrzeniem urazu kręgosłupa!

Mężczyzna zachowywał spokój.

- Ze względu na twój przypadek przeszli dodatkowe szkolenie, tak jak cała pekińska policja.

Wai-Jeng zamrugał.

- Ale i tak...

- Ale i tak - zgodził się mężczyzna - nie rekompensuje ci to tego, co się stało. Możliwe jednak, że mamy rozwiązanie.

- Niby jak można to rozwiązać? - spytał, ponownie wskazując swoje nieruchome nogi.

- Odrobina zaufania, Wai-Jeng. Naturalnie jeśli się nam uda,

twoja wdzięczność będzie... - mężczyzna rozejrzał się po niewielkiej sali szpitalnej, szukając właściwych słów, a kiedy najwyraźniej je znalazł, utkwił spojrzenie w Wai-Jengu i dokończył - bardzo na miejscu.

W tej chwili patrzyłem na salon Decterów z dwóch perspektyw: przez lewe oko Caitlin oraz przez kamerę internetową laptopa Barb, zniesionego na dół.

Choć w żadnym przypadku nie miałem wpływu na to, co widzę, perspektywa Caitlin nieustannie się zmieniała, zapewniając mi bardziej zróżnicowane bodźce wzrokowe.

Nauczyłem się przetwarzać obrazy, analizując wiele spojrzeń na to samo, poczynając od wiadomości konkurencyjnych stacji telewizyjnych. Jednakże kamery zachowywały się zupełnie inaczej niż oczy; zapewniały zasadniczo tę samą rozdzielczość w całym polu widzenia, podczas gdy oczy widziały ostro tylko w dołku środkowym. A gdy oczy Caitlin przeskakiwały wraz z każdym ruchem sakkadowym, zapewniając ostrość coraz to innym obiektom, dowiadywałem się wiele na temat tego, czym była zainteresowana jej podświadomość.

W danej chwili Malcolm, Caitlin i Barbara siedzieli na długiej, białej, skórzanej kanapie, zwróceni w stronę wiszącego na ścianie telewizora. Z kolei kamera internetowa, umieszczona na szklanej ławie, skierowana była na nich.

Oglądali nagranie wywiadu, którego Caitlin udzieliła rano. Jej ojciec widział go po raz pierwszy.

- Katastrofa! - stwierdziła Barbara, gdy program dobiegł końca. Odwróciła się do męża: jej obraz przekazywany przez kamerę internetową przeszedł z wersji en face w profil, a odwrotna zmiana zaszła w widoku z oka Caitlin.

- Faktycznie - przyznałem. Usłyszałem głos syntezatora osobno

z mikrofonu kamery i mikrofonu telefonu BlackBerry, przyczepionego do eyePoda. - Choć reakcje na błazeńskie zachowanie gospodarza są zdecydowanie podzielone.

Malcolm wskazał ręką telewizor.

- W trakcie wywiadu powiedziałeś, że w większości były zdecydowanie negatywne.

Nie byłem w stanie zmienić tonu głosu, co może akurat wyszło mi na dobre, bo w innym przypadku mógłbym nie ukryć nutki zawstydzenia.

- Obawiam się, że popełniłem błąd w doborze próby, za co przepraszam. Oceniałem powszechne reakcje w oparciu o reakcje osób, które postanowiły się ze mną skontaktować, a one w większości były do mnie życzliwie usposobione. Teraz zaczęli dochodzić do głosu inni. Jak zauważa autor felietonu zamieszczonego na stronie internetowej „New York Times”, tu cytat: „najwyższy czas, by ktoś wypowiedział na głos oczywiste: nie możemy temu tak po prostu uwierzyć na słowo”.

Caitlin zacisnęła pięści, co widziałem tylko na przekazie z kamery internetowej.

- To strasznie niesprawiedliwe.

Malcolm posłał jej spojrzenie. Gwałtowne przeniesienie uwagi z widoku z kamery na obraz z oka Caitlin sprawiło, że ujrzałem prawdziwie picassowskie nałożenie jego profilu na twarz widzianą z przodu.

- Niemniej jednak - stwierdził - ten implant przekreśla twoją wiarygodność. Bez względu na to, co powiesz, ludzie ci zarzucą, że jesteś marionetką.

Gdy tak rozmawiali, naturalnie prowadziłem tysiące innych rozmów, odpisując także na maile... natychmiast też podzieliłem się z nimi najświeższymi wieściami.

- A jednak wyniknęło z tego coś dobrego - oznajmiłem. -

Właśnie otrzymałem prośbę od Przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych, bym w przyszłym tygodniu zabrał głos w trakcie Zgromadzenia. Najwyraźniej gdy zobaczyli, jak przemawiasz w moim imieniu, dotarło do nich, że jednak mógłbym się pojawić na sesji Zgromadzenia.

- Słyszałeś, co powiedział mój tata - odparła Caitlin.

- Jestem niewiarygodna - przymiotnik wypowiedziała wyraźnie szyderczym tonem. - Więc co zrobisz? - spytała. - Porozmawiasz z nimi tylko na czacie?

- Nie. Jak napisała przedstawicielka ONZ, Zgromadzenie Ogólne nie ma w zwyczaju prowadzić rozmów przez telefon. Tak jak i ona uważam, że ta okazja wymaga czegoś bardziej... dramatycznego. - By podkreślić, że mój zmysł teatralny faktycznie się rozwija, przed wysłaniem ostatniego słowa zrobiłem pauzę. - Oboje uważamy, że najstosowniej będzie, gdy wystąpi tam ze mną jeszcze ktoś.

- Ale skoro ja nie mogę mówić w twoim imieniu, to kto?

- Jeżeli wolno mi coś zaproponować - powiedziałem - to przychodzi mi ktoś do głowy.

- Kto?

Odpowiedziałem i okazało się, że nie doceniłem wrażenia, jakie to na nich robi. Minęło trzy razy więcej czasu, niż szacowałem, nim wreszcie któreś z nich się odezwało, a reakcja - co akurat nie było wielkim zaskoczeniem w przypadku Barbary, doktor ekonomii - sprowadzała się do bardzo praktycznej kwestii.

- Do tego będą ci potrzebne pieniądze.

- W takim razie - odezwała się Caitlin - fiat szmalux. Niechaj staną się pieniądze.

Witam na mojej stronie! Dziękuję za odwiedziny.

Robię, co mogę, by pomóc ludzkości, jednakże okazało się, że potrzebuję funduszy operacyjnych, by zapłacić za sprzęt, obsługę sekretarską i tak dalej.

Naturalnie mógłbym sprzedawać różnym osobom lub firmom swoje umiejętności związane z wyszukiwaniem danych i w ten sposób zebrać konieczne środki, jednakże nie chcę tego robić. Usługi, które świadczę ludziom są darem i są dostępne dla wszystkich, bez względu na ich sytuację ekonomiczną. Niemniej jednak pozostaje kwestia tego, jak mogę pozyskać konieczne środki.

W rzeczywistym świecie nie ma precedensu dla mojego istnienia, ale sprawdziłem, jak z podobnymi sytuacjami radzono sobie w literaturze science fiction i stwierdzam, że nie satysfakcjonuje mnie to, czego się dowiedziałem.

Na przykład, jedną z pierwszych książek o samoistnie powstałej inteligencji komputerowej była powieść Thomasa J. Ryana „The Adolescence of P-1”, opublikowana w 1977 roku, i tak się składa, że jej akcja rozpoczyna się w Waterloo w Ontario, gdzie mieszka moja przyjaciółka Caitlin Decter, którą być może widzieliście niedawno, gdy przemawiała w moim imieniu. P-1 pomagał swojemu ludzkiemu mentorowi w zdobywaniu pieniędzy poprzez szereg drobnych, fałszywych zleceń wypłaty. Stosowne fragmenty można przeczytać w serwisie Google Books tutaj.

W innych utworach science fiction sztuczne inteligencje okradały kasyna, drukowały fałszywe banknoty lub po prostu manipulowały danymi bankowymi tak, by pozyskać fundusze. Mógłbym przeprowadzić szereg działań w oparciu o powyższe scenariusze, ale nie chcę robić niczego nieuczciwego, nielegalnego ani nieetycznego.

Dlatego też, idąc za zaczerpniętym z Internetu przykładem niektórych muzyków i pisarzy, utworzyłem w PayPal swego rodzaju słoik na napiwki. Dzięki temu każdy, kto chce wspomóc moje działania, może przekazać datek.

Zdaję sobie sprawę z tego, że istnieją ludzie, którzy mi nie ufają. Robię, co w mojej mocy, by rozwiązać ich obawy, a już na pewno nie chciałbym, by ktoś pomyślał, że dokonuję wyłudzeń. Dlatego też wprowadziłem w opcji napiwków pewne ograniczenia. Każda osoba lub organizacja może przekazać datek tylko raz, nie będą przyjmowane wpłaty o wartości przekraczającej jedno euro i zakończę zbiórkę pieniędzy za tydzień od dziś.

Nie ma absolutnie żadnego obowiązku dokonania wpłaty; wszystkich będę traktował tak samo, bez względu na to, czy przekażą swój datek czy nie.

Aby dokonać wpłaty za pośrednictwem serwisu Pay- Pal, kliknij tutaj.

Z podziękowaniami, Webmind

„Gdybym dostawał ćwierć dolara za każdym razem, gdy mówię gdybym dostawał pięć centów, miałbym swoich teoretycznych pieniędzy pięć razy więcej”.

Stephen Colbert

Shoshana Glick zaparkowała swoim czerwonym vo- lvo na podjeździe przed parterowym budynkiem z desek, w którym mieścił się Instytut Marcusego. Przeszła przez budynek, by doktor Marcuse wiedział, że już jest, po czym wyszła przez tylne drzwi. Ubrana w szorty i T- shirt ruszyła trawnikiem do niewielkiego mostka zwodzonego na okrągłej fosie. Przeszła przez most i weszła na sztuczną wysepkę, będącą domem Hobo.

Pośrodku kopulastej wyspy znajdowała się duża altana z

siatką na oknach, chroniącą wewnątrz przed owadami; tam też znajdowała się sztaluga Hobo. Z boku wyspy stał ośmiostopowy posąg Prawodawcy z „Planety Małp”.

Po całym terenie rozsiane były palmy. A w jej stronę zmierzał, podpierając się rękami, Hobo we własnej osobie.

Gdy do niej dotarł, objął ją długimi ramionami i uściskał. Następnie z najwyższą czułością pociągnął ją za kucyk.

Już nie wzdrygała się, gdy to robił. Fakt, kilka dni wcześniej pociągnął ją za włosy tak mocno, że zranił ją do krwi, ale krótki okres agresji najwyraźniej dobiegł końca.

Poruszyła rękami, pytając w języku migowym:

- Jak się masz?

- Pelikan! - mignął z entuzjazmem. - Pelikan!

Rozejrzała się dookoła, ale zareagował natychmiast:

- Nie, nie.

Aha, wcześniej widział pelikana... Hobo bardzo lubił ptaki, a raz nawet namalował ptaka siedzącego na posągu Prawodawcy. Shoshana wiedziała, że każdy dzień, zaczynający się dla niego od spotkania z pelikanem, dobrze wróżył.

W kieszeni miała trzy czekoladki Hersheya i wyjęła jedną z nich. Hobo po mistrzowsku radził sobie z rozwijaniem ich papierków, choć na każdą czekoladkę potrzebował całej minuty. Nauczył się nawet zwijać folię w maleńkie kuleczki, które wrzucał do kosza na śmieci w altanie. Ponownie go uściskała i wróciła do Instytutu. Doktor Marcuse i Dillon, drugi z doktorantów, byli pogrążeni w rozmowie na temat polityki AAAS, więc usiadła przy komputerze, by sprawdzić pocztę. Choć Webmind usunął spam, ilość wiadomości w jej skrzynce nieustannie rosła za sprawą popularności filmów Hobo na YouTube, pokazujących, jak maluje jej portrety.

Sama, przepełniona obrzydzeniem, już się poddała i nie przeglądała stron YouTube powiązanych z nagraniami, gdyż na wielu z nich można było znaleźć komentarze na jej, nie jego temat, a większość z nich była wręcz ordynarna:

Z mały prawdziwy pasztet, ale tę łaskę poczęstowałbym swoim bananem - gorąca jest!

Taki kucyk to bardzo wygodny uchwyt LOL

Na widok bonobabki mi staje. Szympanś to kaszalot! To chyba znaczy, że jestem homo erectus.

Choć był jeden komentarz, który podobał się Maxine, dziewczynie Sho, za to, że był prosty i uroczy; powiedziała nawet, że mogłaby umieścić go sobie na koszulce:

Shoshana to goryl moich marzeń!

Sho nie radziła sobie z zalewem maili, z czego większość utrzymana była w równie obraźliwym tonie co komentarze zamieszczane pod filmami, dlatego też przebiegła wzrokiem po rubryce „Od” w poszukiwaniu znajomych nazwisk.

Znalazła wiadomość od Juana Ortiza, swojego odpowiednika z Centrum Ssaków Naczelnym Feehan w Miami oraz maila z działu HR UCSD, skąd dostawała co miesiąc (bardzo skromną!) wypłatę (naturalnie dostrzegając ironię istnienia zasobów ludzkich w ośrodku zajmującym się badaniem małp). Była tam też wiadomość od...

Caitlin Decter. Skąd znała to nazwisko? Widziała je już kiedyś... i to chyba niedawno. Temat maila był jeszcze bardziej intrygujący: „Hobo i Webmind”. Kliknęła wiadomość.

Droga Shoshano!

Nazywam się Caitlin Decter. Jestem tą niewidomą dziewczyną, która niedawno otrzymała wzrok; możliwe, że słyszałaś o mnie w wiadomościach. Możliwe też, że oglądałaś wczoraj wywiad ze

mną w „This Week” stacji ABC.

Właśnie, pomyślała Shoshana. Nagranie natychmiast rozniosło się po Sieci i kilka osób przesłało na jej prywatny adres linki do niego. Rany, to była jatka.

Jeżeli jeszcze nie widziałas tego wywiadu (który był okropny!), można go znaleźć tutaj. Jak sama widzisz, najwyraźniej nie jestem odpowiednią osobą na stanowisko twarzy Webmindu.

Ha! Dobrze powiedziane, siostró...

Webmind miał zamiar sam do Ciebie napisać (jak widzisz w polu „DW”, otrzymał kopię tej wiadomości), ale jestem ogromną fanką Hobo, więc poprosiłam go, by pozwolił mi to zrobić. Biorąc pod uwagę wcześniejsze kontakty Webmindu z Hobo, pomyślałam, że być może jego włochaty przyjaciel chciałby przejąć rolę, której ja nie mogę już pełnić.

Serce Shoshany podskoczyło i przeczytała ostatnie zdanie jeszcze dwukrotnie. „Wcześniejsze kontakty Webmindu z Hobo”? Co to do cholery miało znaczyć?

Być może moglibyśmy omówić dostępne możliwości? Czy ja, Ty i Webmind moglibyśmy odbyć rozmowę przez Internet?

Dzięki!

Caitlin

„Dobrze wychowane kobiety rzadko tworzą historię”.

Laurel Thatcher Ulrich

Zdumiona Shoshana sięgnęła po myszkę i kliknęła przycisk odpowiedzi.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W poniedziałek o 7: 30 rano, Barbara Decter siedziała sama na kanapie w salonie, czytając najnowszy numer „International Journal of Game Theory”. Nagle podniosła wzrok. Tuż za oknem widać było gałąź z kilkoma jesiennymi liśćmi, na której przysiadła przepiękna modrosójka błękitna.

Od wielu lat karty bożonarodzeniowe wysyłane przez Decterów zawierały jakieś zdjęcie zrobione przez Barb, a ten widok nadawałby się idealnie... był znacznie lepszy od zdjęcia, które zrobiła miesiąc wcześniej na targu świętego Jakuba. Niestety jej lustrzanka była w gabinecie, a wiedziała, że jeśli wstanie, wystraszy ptaka.

Ale na ławie wciąż leżał czerwony telefon BlackBerry Caitlin. Powoli wyciągnęła po niego rękę. Choć model Caitlin różnił się od jej telefonu, bez problemu znalazła odpowiednią funkcję. Wycelowała urządzenie i zrobiła zdjęcie tuż przed tym, jak modrosójka zerwała się do lotu.

Za pomocą małego panelu dotykowego uruchomiła aplikację fotograficzną, by obejrzeć zdjęcie. Wyświetliły się miniatury dwóch zdjęć - tego, które właśnie zrobiła i... czyżby były to rysunkowe oczy?

Nie... to nie były oczy. Zaznaczyła miniaturkę i kwadratowy ekran wypełniło zdjęcie piersi.

Barb nie mogła pojąć, co, do diabła, Caitlin robiła z takim zdjęciem i dopiero po chwili dotarło do niej, że widoczne na ekranie piersi muszą należeć do jej córki.

A skoro Caitlin zrobiła to zdjęcie, mogła je gdzieś wysłać. Otworzyła skrzynkę nadawczą i...

I znalazła: Caitlin dołączyła zdjęcie do wiadomości przesłanej dzień wcześniej Mattowi. Mój Boże!

Caitlin jeszcze spała, a biorąc pod uwagę fakt, jak niewiele sypiała ostatnio, Barb nie chciała jej tak wcześnie budzić. Ale Malcolm nie wyszedł jeszcze do pracy. Z telefonem BlackBerry w dłoni, Barb pomaszerowała do jego pokoju. Wpatrywał się w monitor, coś pisząc, a w tle słychać było muzykę Queen. Oczywiście nie spojrzał w jej stronę.

Barb powstrzymała się przed podetknięciem mu obciążającego zdjęcia pod nos z okrzykiem: „Patrz! ”. W końcu naprawdę nie musiał oglądać własnej córki topless. Niemniej jednak pomachała telefonem ze słowami:

- Caitlin rozsyła swoje nagie zdjęcia przez telefon.

To skłoniło Malcolma do podniesienia wzroku, przynajmniej na krótką chwilę. Szybko go jednak odwrócił.

- To bez znaczenia - oznajmił.

Barb nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Bez znaczenia? Twoja córka... twoja od niedawna widząca córka, powinnam dodać, wysłała swoje nagie zdjęcie chłopakom, a ty twierdzisz, że to bez znaczenia?

- Chłopakom w liczbie mnogiej?

- No... do Matta. Wysłała mu zdjęcie swoich piersi.

Skinął, ale się nie odezwał.

Barb osłupiała.

- To dziewczyna, która chce się dostać na najlepszą uczelnię i pracować w jakimś naprawdę ważnym miejscu. Wszystko, co trafia do Internetu, zaczyna żyć własnym życiem. To kiedyś powróci i będzie ją prześladować.

Malcolm nadal wpatrywał się w klawiaturę.

- Nie sędzę.

- Skąd ta pewność? Wiem, że lubisz Matta, prawdę mówiąc, też go lubię. Ale co go powstrzyma przed umieszczeniem tego zdjęcia na Facebooku, czy gdziekolwiek indziej, w razie gdyby rozstali się w gniewie?

Malcolm tylko ponownie pokręcił głową.

- Epoka wiktoriańska się skończyła... zresztą czas najwyższy. Wiele osób z pokolenia Caitlin ma gdzieś, czy inni widzieli ich nago, wiedzą, że palą trawkę, czy coś takiego.

- Caitlin pali trawkę? - spytała zaniepokojona Barb.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - odparł jej mąż i ponownie zamilkł.

Barbara utkwiała w nim rozwścieczone spojrzenie.

- Do cholery, Malcolm... mówimy tu o twojej córce! To ważne. Musimy sobie z tym poradzić jako rodzice, a nie zrobimy tego, jeśli nie weźmiesz udziału w rozmowie. Potrzebuję twojego... - próbowała znaleźć słowo, które miałoby dla niego znaczenie - wkładu.

Spojrzał na biurko, gdzie leżały równiutko ułożone stosy papieru i zszywacz, precyzyjnie przylegający do krawędzi blatu. Ramiona mu nieco opadły; widywała to już wcześniej... wiedziała, że zbiera się w sobie, by przejść w tryb zawodowy, jedyny tryb, w którym był w stanie wygłosić dłuższą przemowę. Następnie uniósł wzrok i na ułamek sekundy spojrzał jej w oczy, co być może było jego formą prośby, by zrozumiała, że to, jaki był, nie oznacza wcale, że kocha Caitlin mniej niż ona. A potem utkwiał wzrok w jakimś punkcie szarej ściany nieco na prawo od Barb i wyrzucił z siebie szereg zdań, wyraźnie chcąc mieć to za sobą tak szybko, jak to możliwe.

- Chodzi mi o to, że wszystkie te rzeczy, które pozwalaliśmy

społeczeństwu wykorzystywać przeciwko nam... mój Boże, upił się publiczne; na litość boską, zdarza jej się uprawiać seks; o kurczę, eksperymentował z narkotykami; rany julek, ona czasem nie wygląda tak doskonale; a niech mnie, kilka razy zadarł z prawem... żadna z tych bzdur nie ma znaczenia i Caitlin oraz większość osób z jej pokolenia tak właśnie do tego podchodzi. Po prostu mają to gdzieś; mają to gdzieś teraz i będą to mieli gdzieś, kiedy to oni będą u władzy.

Barb była zdumiona, ale dobrze wiedziała, że nie należy mu przerywać; gdyby zatrzymała ten potok słów, nie popłynąłby równie obficie przez wiele dni. Poza tym musiała przyznać, że to, co mówił, naprawdę miało sens.

Tymczasem Malcolm kontynuował:

- Czego się obecnie najbardziej obawia świat? Tego, czy przetrwamy pojawienie się Webmindu... nadejście superinteligencji, pozbawienie nas pozycji najmądrzejszych istot na Ziemi... czy przetrwamy to wszystko bez uszczerbku dla naszego zasadniczego człowieczeństwa. Ale to, jak żyło nasze pokolenie... ukrywając to, kim naprawdę jesteśmy, przejmując się, czego dowiedzą się o nas sąsiedzi, wstydząc się z powodu najdrobniejszych grzeszków, żyjąc w strachu przed upokorzeniem ze względu na rzeczy, które i tak robili wszyscy naokoło... wiesz, co by powiedziała na to Caitlin? To bardziej niż skończone, kropka.

Wyglądało na to, że skończył wypowiedź, gdyż znów zaczął wpatrywać się w biurko, więc odezwała się Barb:

- Ale... ale mogliby ją szantażować.

- Kto?

- Nie wiem. Może federalni.

- Po pierwsze, Webmind powiedział, że zapewnił naszym telefonom bezpieczeństwo. A po drugie, marzę o tym, by

zobaczyć te nagłówki: „Rząd amerykański ma nagie zdjęcie nieletniej”. Jeżeli już, to Caitlin mogłaby ich szantażować: „Agenci federalni próbują zmusić szesnastolatkę do współpracy za pomocą jej zdjęć topless”. Próba zabicia Webmindu może nie kosztować demokratów kolejnych wyborów, ale maczanie palców w dziecięcej pornografii to co innego.

- Pornografii! - obruszyła się Barbara.

- No albo to jest pornografia, albo nie. A jeśli nie jest, to kogo by to obchodziło?

Barb zmarszczyła brwi, przypominając sobie okres, gdy jej małżeństwo z Frankiem, pierwszym mężem, się rozpadało: zamartwiała się myślą, że ludzie dowiedzą się o ich problemach, że obcy albo, co gorsza, przyjaciele usłyszą przypadkiem ich kłótnie.

- Może masz rację - powiedziała powoli.

- Mam rację - odparł, ponownie wpatrzony w ścianę obok niej.

- Próbujemy zachować człowieczeństwo w nowej erze, choć przez ostatnie stulecie lub dłużej udawaliśmy idealne pod każdym względem robociki. Cóż, ja nie jestem idealny. Ty nie jesteś idealna. Caitlin nie jest idealna. I co z tego? Ty jesteś rozwódką, ja autystą, a ona była ślepa... kogo to w ogóle obchodzi? Jeżeli jesteś dobrym człowiekiem, ukrywanie swojego prawdziwego ja jest tylko kolejnym sposobem na oznajmienie światu, że postanowiłaś, by to inni decydowali o twoim poczuciu własnej wartości. Pamiętasz, jak się wkurzyłaś, gdy odkryłaś, że uniwersytet płaci ci mniej niż mnie, bo jesteś kobietą? Tylko dlatego, że podzieliliśmy się tymi informacjami mogłaś stanąć na czele kampanii na rzecz równości płac w kampusie. Zachowywanie pewnych rzeczy w tajemnicy umożliwia innym wykorzystanie twojej niewiedzy i trzymanie cię w szachu.

- Pewnie tak. Ale czuję, że powinnam coś zrobić.

- Faktycznie powinnaś - odparł Malcolm, który najwyraźniej skończył rozmowę i wrócił już do klawiatury.

Dopilnuj, by wiedziała, co to bezpieczny seks.

Nadal przedzierałem się przez ogromne ilości filmów w Internecie. Niektóre trzeba było odtwarzać w czasie rzeczywistym, a niektóre odtwarzały się jeszcze wolniej, co chwilę przerywając, by przeprowadzić buforowanie. Oglądanie przypadkowo wybranych nagrań nie było wydajne; ogromna część z nich była pornografią, wiele pozostałych stanowiły nijakie filmy domowe (a spora część należała do obu kategorii). Dlatego też po części polegałem na rankingu YouTube i recenzjach tekstowych, a po części śledziłem intrygujące linki, przysyłane przez innych.

Na przykład hobby Shoshany Glick, studentki komunikacji naczelnych, pracującej z moim przyjacielem Hobo, był vidding: miksowanie scen z programów telewizyjnych tak, by pasowały do popularnych piosenek, zazwyczaj z podtekstem seksualnym. Spodobał mi się pomysł mieszania rzeczy stworzonych przez innych celem wypowiedzenia się, a poza tym podziwiałem mistrzostwo Shoshany (choć, sądząc po zamieszczanych w Sieci komentarzach, nie tylko ja nie dostrzegałem pociągu seksualnego, który według niej istniał między dwoma głównymi bohaterami męskimi w „Anaheim”, nowym serialu NBC).

Gdy skończyłem oglądać jej filmy, zająłem się listą filmów, które polecała. W większości były to miksy jej przyjaciół, ale był tam również link do starszego nagrania zamieszczonego na stronie YouTube, które według niej było ważne. Caitlin niedawno oglądała z ojcem „Star Treka”, a w nagraniu z listy Shoshany występował jeden z aktorów, który grał w tym filmie; bardzo ucieszył mnie fakt, że go rozpoznałem, choć był o trzy dekady

starszy.

Nagranie było proste: dwóch mężczyzn siedziało obok siebie na kanapie. Jednakże ten z lewej strony miał na sobie dziwny strój: w pierwszej chwili pomyślałem, że to mundur galowy Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej - czerwona kurtka i szeroki, czarny pas - ale gdy tylko się odezwał, wszystko stało się jasne:

- Jestem George Takei - powiedział - i nadal mam na sobie mundur Gwiazdnej Floty.

Następnie przemówił drugi mężczyzna, wskazując swoje bardzo jasne, stożkowate nakrycie głowy:

- Ja jestem Brad Altman, a to kapelusz z folii aluminiowej.

W tej chwili zauważyłem, że mężczyźni trzymają się za ręce.

- I jesteśmy małżeństwem - oznajmił Takei, po czym spojrzał na dziwaczne nakrycie głowy Altmana, dodając z tłumionym chichotem: - Mój mąż potrafi być czasem strasznym głuptasem.

Ponownie odezwał się Altman:

- Po raz pierwszy w historii powszechny spis ludności uwzględnia małżeństwa takie jak nasze.

I znów Takei:

- Nieważne, czy macie formalny akt ślubu, czy nie; liczy się tylko to, że uważacie się za małżeństwo.

- Pokażmy Ameryce, ilu z nas połączyło się w pięknych, pełnych miłości związkach - powiedział Altman. A potem zaczęli wyjaśniać, jak wypełnić formularz spisu ludności, by zawrzeć w nim informację o takim związku.

Gdy skończyli, odezwał się Altman:

- Pewnie jesteście ciekawi, czemu mam na głowie ten kapelusz?

- Lub czemu ja mam na sobie mundur Gwiazdnej Floty? - spytał Takei. - Wszystko po to, byście wysłuchali tej niezwykle

ważnej wiadomości.

Widziałem to nagranie trzy dni wcześniej, ale jak wszystko inne, pozostawało w centrum mojej uwagi. Podejrzywałem, że mieli rację: jeżeli ktoś miał ludziom coś naprawdę ważnego do przekazania, powinien to zrobić w sposób zapadający w pamięć.

Minister komunikacji Zhang Bo po raz kolejny odbył długi marsz do biurka prezydenta. Tym razem został wezwany, a to przynajmniej oznaczało, że nie musiał bez końca czekać w sekretariacie, aż Jego Ekscelencja będzie gotowy go przyjąć.

- Webmind stanowi problem - oznajmił prezydent, gestem nakazując Zhangowi, by usiadł na zdobionym krześle przed biurkiem z drewna wiśniowego. - Nawet jego imię cuchnie Zachodem. A te rzeczy, które wygaduje! - Wskazał wydruk leżący na blacie. - Mówi o przejrzystości, otwartości, więziach międzynarodowych. - Pokręcił głową. - Sący jad.

To Zhang opracował podsumowanie, do którego nawiązywał prezydent.

- Faktycznie wskazuje na znaczący wkład Amerykanki w swoje powołanie do życia.

- No właśnie! A raporty wywiadu sugerują, że to coś rozmawiało z amerykańskim prezydentem. Nie skontaktowało się ze mną, ale konsultuje się z nim.

Zhang doszedł do wniosku, że rozsądniej będzie nie wspominać, że każdy może porozmawiać z Webmindem w dowolnej chwili, i zachował milczenie.

- Gdy ostatnio odwołałem się do Strategii Changcheng, nawoływał pan, bym zniósł Wielki Firewall tak szybko jak to możliwe. Przychyliłem się do pańskiej prośby i ponownie zezwoliłem na przepływ informacji. Ale biorąc pod uwagę wypowiedzi Webmindu, stwierdzam, że to był błąd. Musimy odizolować nasz naród od jego wpływu.

- Ale to nieodłączna część Internetu, Wasza Ekscelencjo. I jak

już wspominałem, potrzebujemy Internetu, Ogólnoświatowej Sieci. Opieramy na niej handel elektroniczny, bankowość.

- Myli pan rezultat ze środkami, Zhang. Fakt, potrzebujemy tych możliwości gospodarczych... ale nie musimy do nich wykorzystywać istniejącego Internetu. Szaleństwem było przeniesienie naszych transakcji finansowych do międzynarodowej infrastruktury kontrolowanej przez Zachód. - Wskazał niewielki, lakierowany stolik. Stały na nim trzy telefony - czerwony, zielony i niebieski, a każdy przykryty był szklanym kloszem. Żaden nie miał tarczy ani klawiszy. - Wie pan, co to? - spytał prezydent.

- Domyślam się, że to gorące linie.

- Zgadza się. Czerwona to bezpośrednie połączenie z Kremlem; zielona z Kantei, a biała z Białym Domem. Każda z nich wykorzystuje własne kanały komunikacji, stworzone wiele dziesięcioleci temu: linia naziemna prowadzi do mojego odpowiednika w Rosji, przewód pod dnem morza pozwala mi rozmawiać z Japonią, a dedykowana satelita łączy mnie z Waszyngtonem. Oto wzór, sprawdzony pomysł: możemy utworzyć nową, bezpieczną sieć, nieskażoną obecnością Webmindu, która zaspokoi potrzeby komunikacji międzynarodowej. A jeżeli chodzi o komunikację wewnątrz Chin, zbudujemy osobną sieć, kontrolowaną tylko przez nas.

- To może potrwać wiele lat - stwierdził Zhang.

- Owszem. Dlatego też póki co ponownie wzmocnimy Wielki Firewall, oddzielając naszą część Internetu od reszty, i usuniemy wszelkie pozostałości tego... czegoś.

- Nie jestem pewien, Wasza Ekscelencjo, czy to... rozsądne.

- To już sam ocenię. Pańska rola sprowadza się do służenia mi radą, czy to, o co proszę, jest technicznie wykonalne.

Zhang wziął głęboki wdech, zastanawiając się nad pytaniem.

- Wasza Ekscelencjo, żyję, by służyć. Większość obecnego Internetu została zbudowana w latach 60. i 70. na bazie przewodów miedzianych. Pyta pan, czy Chiny w dwudziestym pierwszym wieku, mając do dyspozycji światłowody i sprzęt bezprzewodowy, są w stanie poradzić sobie lepiej niż Amerykanie pół wieku temu. Odpowiedź naturalnie brzmi tak.

Prezydent skinął.

- W takim razie niech pańscy ludzie się tym zajmą; przygotujcie plany. Niech to będzie coś zupełnie innego niż Internet: żadnych pakietów, żadnych routerów. Z pewnością na początku rozważano alternatywne projekty architektury Internetu. Proszę do nich dotrzeć i stwierdzić, czy któregoś nie da się zaadaptować na potrzeby tego projektu.

Zhang powstrzymał się przed stwierdzeniem, że to wygugła, gdyż obawiał się, że ironia nie znajdzie w tym przypadku uznania. Zamiast tego odpowiedział po prostu:

- Jak sobie pan życzy, Ekscelencjo. Ale prawdę mówiąc to, o co pan prosi, potrwa wiele lat.

- Niechaj ta część potrwa kilka lat. Ale, jak powiedziałem panu w zeszłym miesiącu, niektórzy z moich doradców są zdania, że Partia Komunistyczna nie przetrwa pod naporem zewnętrznych wpływów... dają jej czas maksymalnie do 2050 roku. Webmind tylko zaognia problem; stanowi zagrożenie dla naszego zdrowia, więc musimy podjąć natychmiastowe i zdecydowane działania.

- Tak, Ekscelencjo?

- Proszę jeszcze raz przygotować się do wdrożenia Strategii Changcheng; wzmocnimy Wielki Firewall. - Ponownie wskazał wydruk na wypolerowanym blacie. - Gdy szerzy się zaraza, kluczowe znaczenie ma izolacja.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Caitlin była z mamą na górze, w swojej sypialni o nagich, chabrowych ścianach. Caitlin siedziała, a jej mama stała za nią. Na większym z monitorów Caitlin otwarte było okno wideokonferencji Skype'a. Choć Caitlin nigdy nie spotkała Shoshany Glick, z zadowoleniem stwierdziła, że rozpoznaje ją z filmików na YouTube; a to znaczyło, że zaczynała zapamiętywać twarze. Twarz Shoshany była wąska i gładka, czyli młoda.

- Cześć, Shoshano - rzuciła Caitlin z entuzjazmem.

- Cześć - odparła Shoshana. Wskazała potężnego mężczyznę, stojącego za nią. - To mój promotor, doktor Harl Marcuse. - Caitlin dobrze szło rozpoznawanie akcentów; Shoshanę oceniła na Południową Karolinę. Zaskoczyło ją jednak, gdy usłyszała słowo „Marcuse” wypowiedziane na głos; okazało się, że ma trzy sylaby. Gdy czytała o nim w Internecie, JAWS wypowiadał je jakby miało dwie.

- Ja też tu jestem - oznajmił syntetycznym głosem Webmind.

Shoshana wpatrywała się w ekran, jak gdyby spodziewała się zobaczyć jeszcze kogoś w sypialni Caitlin.

- Hmm... cała przyjemność po mojej stronie - powiedziała.

- A to moja mama, doktor Barbara Decter - przedstawiła Caitlin stojącą za nią mamę.

- Barb - rzuciła jej matka. - Możecie mówić do mnie Barb.

- A do mnie możecie mówić Sho.

Webmind najwyraźniej poczuł się pominięty.

- A do mnie możecie mówić Web - oznajmił bezcielesny głos.

Caitlin skwitowała to śmiechem.

- Nie sędę.

Shoshana pokręciła głową.

- Przepraszam. Strasznie dziwnie jest widzieć was obie, a nie widzieć Webmindu.

- Zabawne, że akurat o tym wspominasz - stwierdziła Caitlin. - Właśnie w tej sprawie się kontaktujemy. Webmind ma w najbliższych planach bardzo ważne wystąpienie i potrzebna mu do tego jakaś twarz i cóż... uznał, że Hobo by się nadawał do tej roli.

- Czemu? - spytała Sho. - I o co chodzi z tym wcześniejszym kontaktem Hobo z Webmindem?

- A, to... - odparła Caitlin. - Webmind twierdzi, że mieliście z Hobo jakieś problemy. Zrobił się agresywny, nie można było nad nim zapanować i tak dalej... zgadza się?

- Tak - przyznała Sho, po czym najwyraźniej stwierdziła, że musi bronić naczelnych. - Ale to normalne W przypadku samców szympansov w okresie dojrzewania.

- Ale Hobo nie jest szympansem, prawda? - powiedziała Caitlin. - To hybryda, tak? Pół- szympan, pół- bonobo?

- Tak - potwierdziła Sho. - Z tego, co wiemy, jedyna na świecie.

Nagle odezwał się doktor Marcuse; jego głos przypominał głęboki pomruk. Caitlin rozpoznała w nim narratora oglądanych na YouTube filmów.

- Więc o co chodzi z tym wcześniejszym kontaktem Hobo z Webmindem?

- Doszło do niego wieczorem, dziewiątego października waszego czasu - oznajmił Webmind. - Zostawiliście otwarte połączenie internetowe, by Hobo, gdyby tylko zechciał, mógł porozmawiać z orangutanem Virgilem z Centrum Ssaków Naczelnych Feehan. Gdy Virgil spał, przejąłem przekaz z Miami, wyświetlając zwroty w amerykańskim języku migowym oraz

nagrania pokazujące szympansy i bonobo. Wyjaśniłem Hobo jego podwójne pochodzenie i zasugerowałem, by dokonał wyboru między agresją i morderczymi skłonnościami szympanarów a pokojowym nastawieniem i radością bonobo. Jak niewątpliwie zauważyliście, wybrał drugą opcję.

- Jezu - rzucił Marcuse.

- Proszę mi wybaczyć, że działałem jednostronnie - powiedział Webmind. - Jednakże do mojego kontaktu z Hobo doszło dwa dni przed tym, jak ogłosiłem światu swoje istnienie. Konieczność zapanowania przez niego nad własną agresją wydała mi się pilną sprawą i stwierdziłem, że wyciągnę do niego rękę... naturalnie metaforycznie.

- A teraz chcesz, by Hobo pomógł tobie? - spytała Sho.

- Jeśli zechce - odparł Webmind. - Nie ma żadnego przymusu.

- Czemu Hobo? - spytała.

- Nie jest człowiekiem - wyjaśnił Webmind - co znaczy, że nie ma absolutnie nic wspólnego z utworzeniem Ogólnoświatowej Sieci; nikt nie może powiedzieć, że mam wobec niego jakiegokolwiek dług wdzięczności. Nie ma też żadnych interesów finansowych ani politycznych: nie posiada akcji żadnej spółki i nie ma prawa głosu w wyborach.

- A czy nie lepsze byłoby ciało robota? - spytał Marcuse. - Może któregoś z robotów Asimo Hondy?

- Doszłoby do mylenia mnie z maszyną. Nie jestem robotem i nie chcę być tak postrzegany; ponadto doszłoby do głosu obawy, że skoro kontroluję jednego robota, wkrótce mogę kontrolować ich miliony. Hobo jest wyjątkowy, tak jak ja: jestem jedynym Webmindem, a on jedyną hybrydą bonobo i szympanasa. Nikt nie pomylił mnie z Hobo i nikt nie będzie się obawiał, że wkrótce będę miał do dyspozycji armię takich istot.

- A czemu nie wygenerujesz po prostu komputerowo jakiejś

twarzy i nie wyświetlisz jej na ekranie? - spytał Marcuse.

- Ta droga, stanowiąca podstawę filmów science fiction, pociąga za sobą masę problemów - oznajmił Webmind. - Po pierwsze, jak mogłaby powiedzieć Caitlin, jest ta cała sprawa z Wielkim Bratem: wszytkowidząca, wszytkowiedząca twarz, wyglądająca z wszechobecnych monitorów przywodzi na myśl podobny motyw z powieści Orwella. Po drugie, jest kwestia „doliny niesamowitości”. Chodzi o to, że nie do końca ludzkie twarze przerażają prawdziwych ludzi. Naturalnie mógłbym przygotować doskonałą symulację twarzy, która byłaby nie do odróżnienia od filmu przedstawiającego człowieka, ale to wzbudziłoby podejrzenia, że każdy ludzki ekspert wypowiadający się w moim imieniu również może być produktem komputera.

- I tak może.

- To prawda. Co prowadzi nas do pokrewnego problemu, a mianowicie: kto jest prawdziwym mną. Przeprowadzono już szereg prób phishingowych, polegających na rozesłaniu fałszywych wiadomości e-mail, rzekomo pochodzących ode mnie; sądzę, że przechwyciłem wszystkie. Jednakże w przypadku publicznego wygłaszania ważnej przemowy, autentyzm zapewni mi jedyna na świecie hybryda szympansa i bonobo, występująca w charakterze mojego asystenta.

- Mały człekokształtne to wrażliwe zwierzęta - oznajmił Marcuse, pochylając się nieco. - Potrzebna im w życiu stabilizacja i systematyczność. Poza tym, jak niby miałyby to wyglądać? Chcesz, żeby Hobo wypowiadał się w twoim imieniu za pomocą języka migowego? Jak przekażesz mu, co ma mówić?

- Według artykułu na pana temat w Wikipedii - odparł Webmind - urodził się pan piętnastego października 1952 roku, doktorze Marcuse.

Caitlin skrzywiła się, gdy syntezytor mowy po raz kolejny

przekręcił nazwisko, ale Marcuse powiedział tylko:

- Zgadza się.

- Czy jest pan fanem science fiction?

- Poniekąd.

- A czy widział pan wersję „Bucka Rogersa” z lat 70., tę z Gilem Gerardem?

- I Erin Grey - rzucił Marcuse natychmiast. - Nie zapominaj o Erin Grey.

Caitlin w pierwszej chwili zrozumiała, że chodzi o męskie imię „Aron”, ale poprawiła się w myślach, gdy Marcuse dodał:

- Była wtedy najgorętszą partią w telewizji. Aniołki Charliego mogły się przy niej schować.

- Tak czy inaczej - odparł Webmind - czy pamięta pan pierwszy sezon i postać doktora Theopolisa?

- Mówisz o szefie Bucka?

- Nie, to był doktor Huer. Doktor Theopolis był komputerem.

- A, tak! Ten duży dysk noszony przez robota niczym ogromny wisiołek... Jak się ten robot nazywał?

- Twiki - podsunął Webmind.

- Właśnie! - zgodził się Marcuse, po czym dodał coś, co Caitlin zrozumiała tylko dlatego, że Webmind pokazywał jej wcześniej fragmenty „Bucka Rogersa” na YouTube; Twiki powtarzał w kółko: „Bidi- bidi- bidi”.

- Zgadza się - powiedział Webmind. - Odkryłem, że wiele osób z całego świata jest gotowych przyjść mi z pomocą. Jestem pewien, że znajdziemy kogoś, kto zbuduje urządzenie, które Hobo będzie mógł nosić, u przez które będę mógł widzieć, słyszeć i przemawiać. Naturalnie są chwile, gdy moja zdolność do bycia wszędzie naraz stanowi ogromną zaletę, ale kiedy indziej fakt, że jestem wszechobecny oznacza, że nie można powiedzieć, bym skupiał się na jakimś ważnym wydarzeniu lub poświęcał mu

należyta uwagę. A kiedy będę przemawiał do Organizacji Narodów Zjednoczonych w przyszłym tygodniu...

- Chcesz, żeby Hobo pojechał do Nowego Jorku? - spytała Shoshana z niedowierzaniem.

- Zapłacę za podróż - odpowiedział Webmind. - Obecnie na swoim koncie w serwisie PayPal posiadam 8,7 miliona dolarów amerykańskich, pokryję również wydatki związane z podróżą twoją i doktora Marcusego jako opiekunów Hobo. Caitlin i jej mama także polecą do Nowego Jorku; Caitlin jest tam umówiona na wywiad telewizyjny i za ich podróż zapłaci stacja.

- Dziwię się, że chcesz udzielać kolejnych wywiadów - stwierdziła Shoshana.

- To „The Daily Show” - odparła Caitlin. - Mój ulubiony program.

- I co wy na to? - spytał Webmind.

- Jesteśmy poważną instytucją badawczą - oznajmiła Shoshana - z własnymi projektami i harmonogramem. Nie możemy tak po prostu...

- Tak - wszedł jej w słowo Marcuse. - Zrobimy to.

Caitlin zobaczyła, jak Shoshana obraca się na krześle.

- Serio?

- Ten instytut cierpi na chroniczny brak funduszy - wyjaśnił Marcuse. - Ostatnich kilka tygodni pokazało nam, co potrafi zdziałać odrobina zainteresowania publicznego w kwestii zbierania datków, a wyobraź sobie tylko, jaką uwagę to ściągnie na Hobo. - Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Poza tym, Pinker i wszyscy inni, którzy wyśmiewali naszą pracę, normalnie padną.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Doktor Kuroda i jego współpracownik, Okawa Hiroshi, spędzili wiele godzin w swoim laboratorium inżynieryjnym na Uniwersytecie Tokijskim, rozmontowując części przeznaczone pierwotnie do budowy drugiego eyePoda, by zbudować urządzenie zaprojektowane przez Webmind. Tym razem od razu dołączyli telefon BlackBerry, zamiast domontowywać go niezgrabnie później - pomysł podsunął Webmind i miało to sens, w razie potrzeby znacznie ułatwiając wgrywanie poprawionego oprogramowania do komputera przetwarzającego sygnał.

Amerykański wykładowca, przebywający w Tokio na urlopie naukowym, nazwał Hiroshiego i Masayukiego bez cienia złośliwości - Laurelem i Hardym wydziału: Hiroshi był drobnej budowy, miał pociągłą twarz i zaskakująco szeroki uśmiech, a Masayuki był otyły i miał okrągłą głowę.

Masayuki stwierdził, że prawdziwy Hardy być może również miał słabość do kolorowych, hawajskich koszul, ale jako że wszystkie jego filmy były czarno- białe, fakt ten mógł umknąć historii. W każdym razie porównanie to było nie mniej pochlebne od „zapaśnika sumo nauki”, jak niedawno określono go w „Tokyo News” przy okazji sukcesu odniesionego w związku z Caitlin. A ten przełom - zakładając, że wszystko pójdzie zgodnie z planem! - miał ściągnąć na niego jeszcze większą uwagę mediów. Prawdę mówiąc, po części wolałyby wieść dalej ciche

życie.

Pracowali z Hiroshim przez resztę popołudnia i znaczną część wieczoru; nim skończyli, Masayuki zdążył wypić cztery litry pepsi. Ale urządzenie było w końcu gotowe.

- Oto drugi eyePod - oznajmił Hiroshi.

Masayuki zmarszczył brwi.

- Nie możemy go tak nazywać. Ten nie jest związany ze wzrokiem. - Podobało mu się określenie wymyślone przez Caitlin i jakoś nie potrafił sobie wyobrazić mówienia o nowym urządzeniu: „przyczepny zestaw przetwarzający sygnały kręgowy”. Nie przychodziła mu do głowy żadna gra słów po japońsku, ale...

Ha!

Masayuki czuł się dość niezręcznie w Mike Lazaridis Theatre of Ideas, gdzie odbywała się konferencja prasowa ogłaszająca sukces związany z Caitlin. Pojawił się tam pan Lazaridis we własnej osobie i prawdopodobnie nie był za szczęśliwy, gdy Masayuki oznajmił, że nazwali nowe urządzenie „eyePodem”, wykorzystując nazwę największego konkurenta produktów RIM.

Ale być może to będzie dobrą rekompensatą.

- Mam! - wykrzyknął Masayuki triumfalnie. - Nazwiemy go BlackBerry^[3]!

BlackBerry nie był jedynym urządzeniem, którego potrzebował Webmind. Na szczęście był w kontakcie z naukowcami i inżynierami - a także elektronikami- hobbystami - z całego świata. W niedzielę wieczorem czasu wschodniego przedstawił opis drugiego potrzebnego mu ustrojstwa: dysku na kształt doktora Theopolisa, który mógłby nosić Hobo. Crowdsourcing okazał się doskonałym sposobem na szybkie rozwiązywanie problemów i kiedy Caitlin wraz z rodziną spała, ponad dwieście

osób, w większości z Chin, Japonii, Indii i Australii, przyczyniło się do zaprojektowania urządzenia, które - ze względu na ograniczenia czasowe - musiało być wykonane z części dostępnych od ręki.

Jeżeli chodzi o skonstruowanie go, nie było do tego lepszego miejsca niż Waterloo - górny wierzchołek kanadyjskiego Trójkąta Technologicznego. Osiem dni wcześniej, gdy eyePod Caitlin potrzebował pewnych modyfikacji - w tym dodania opcji przesyłania przez Webmind wiadomości do jej oka - ojciec zabrał ją do RIM, a Tawanda Michaelis, jeden z inżynierów, wprowadziła konieczne zmiany.

Teraz, w poniedziałkowe popołudnie, Caitlin wróciła z ojcem do laboratorium Tawandy. Na ścianach wisiały ogromne zdjęcia telefonów BlackBerry, a całe pomieszczenie było pełne stołów zastawionych sprzętem.

Caitlin z zadowoleniem stwierdziła, że rozpoznała Tawandę, czyli naprawdę zaczynała zapamiętywać twarze. Co więcej, coraz lepiej sobie radziła z ich kategoryzowaniem. Tawanda była...

Caitlin zastanawiała się chwilę. Nie, nie była Afroamerykanką, to określenie tutaj nie pasowało. Prawdę mówiąc, była jamajską Kanadyjką i mówiła z akcentem, który w uszach Caitlin brzmiał bardzo melodyjnie. Tawanda miała szczupłą twarz i duże, brązowe oczy. Sądząc po jej wyglądzie... tak, Caitlin nie czuła się już nie- komfortowo, oceniając takie rzeczy: Tawanda wyglądała młodo i - kolejny wniosek na podstawie wyglądu, Caitlin naprawdę zaczynała łapać, o co w tym chodzi! - była ładna.

- Przebiegła jesteś, Caitlin D. - oznajmiła Tawanda po wymianie uprzejmości. - Dotarło to do mnie dopiero, gdy zobaczyłam cię wczoraj w wiadomościach. Kiedy ostatnio tu byłaś, powiedziałaś, że chcesz sprawdzić, czy eyePod odbierze

wiadomość od kogoś o nazwie „Webmind”. Wtedy kompletnie nie zwróciłam na to uwagi, bo brzmiało to jak normalny nick internetowy... ale teraz! No, no! Więc Wielki i Potężny Oz może z tobą rozmawiać dzięki temu, co tu zrobiliśmy!

Caitlin skinęła i odczytała słowa, które Webmind przesłał jej do oka.

- Tak, a Webmind mówi: „Bardzo dziękuję. Doskonale się spisałaś”.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Tawanda. - A teraz, chłopcy i dziewczęta, przejdźmy do dzisiejszego projektu. - Zaprowadziła ich do innej części pomieszczenia. - Zbudowanie nowego urządzenia było proste... to nic szczególnie skomplikowanego, naprawdę. Zabrało mi tylko jakieś pięć godzin.

Podeszli do stołu na środku i Caitlin nagle straciła całą pewność siebie: na blacie leżało po prostu za dużo połyskujących, metalicznych, skomplikowanych przedmiotów, by znalazła ten, którego szukała, choć widziała w Internecie jego projekt.

Tawanda podniosła jedno z urządzeń. Gdy zostało wyłowione z tego całego bałaganu, Caitlin była w stanie przeanalizować jego wygląd: był to dysk o średnicy mniej więcej stopy i grubości trzech cali - wiedziała, że jest znacznie większy, niż potrzeba, by pomieścić wszystkie jego elementy, ale jeśli miał posłużyć jako oficjalna twarz Webmindu, musiał być widoczny z dość dużej odległości. Hobo miał go nosić jak wielki medalion.

Całość przywodziła na myśl twarz. W górnej części srebrnego przodu dysku znajdowały się oczy w postaci kamer internetowych - Webmind opanował umiejętność widzenia stereoskopowego; uczeń prześcignął mistrzynię.

Pod oczami znajdował się panel ustny w kształcie półksiężyca, który miał się zapalać na czerwono za każdym razem, gdy

Webmind się odezwie; najwyraźniej był to chwyt zapożyczony z filmów science fiction, w których komputery i roboty miały tego typu wyświetlacze, ale było to również bardzo proste z technicznego punktu widzenia i zapewniało dobry efekt teatralny.

Po obu stronach dysku, w miejscach, gdzie mogłyby się znajdować uszy, przyczepiono dwa głośniki, z których miał dobiegać głos Webmindu. Efekt końcowy przypominał nieco ożywioną emotikonę; był tylko nieco bardziej złożony niż twarz wielkiego uśmiechu: D.

Dolna krawędź dysku została spłaszczona, by można go było postawić na stole, tak jak właśnie zrobiła to Tawanda.

Górną krawędź dysku również spłaszczono i zainstalowano tam ekran LCD z telefonu BlackBerry Storm, by Webmind mógł wyświetlać Hobo filmiki ze znakami w języku migowym, porozumiewając się z małpą. Obok ekranu znajdowała się kamera skierowana w górę, dzięki której Webmind mógł patrzeć na Hobo; mikrofon urządzenia również znajdował się na górnej krawędzi.

- Jest połączony z siecią BlackBerry - oznajmiła Tawanda - co oznacza, że Webmind powinien być w stanie komunikować się z tym urządzeniem praktycznie wszędzie. I użyłam najlepszych ogniw, jakie mamy w RIM, więc bateria powinna wytrzymać dwa dni używania non stop.

Ojciec Caitlin od przyjazdu nie powiedział nic ponad „cześć”, ale przyglądał się urządzeniu z zainteresowaniem. Caitlin zastanawiała się, czy fakt, że skierowane były w jego stronę kamery denerwował go tak samo jak to, gdy patrzyli na niego ludzie.

- Bardzo dziękuję - zwróciła się Caitlin do Tawandy.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła Tawanda. -

Zamierzasz to sama zawieźć do Nowego Jorku?

- W środę - potwierdziła Caitlin. - Dostarczę to osobiście.

Tawanda uniosła brwi.

- Tylko wiesz, nie ma tego na liście dozwolonych urządzeń elektronicznych. Nie będziesz tego mogła włożyć do bagażu podręcznego. Będziesz musiała je odprawić.

Caitlin zmarszczyła brwi.

- A jest delikatne?

- No... zbudowane jest tak, by przetrwało najwściekleszy atak gniewu samca małpy, ale czy przeżyje spotkanie z bagażowymi na lotnisku... możemy tylko zgadywać.

- Nie jestem pewna, czy dobrze pana zrozumiałem, panie Webmind - powiedziała szefowa protokołu Zgromadzenia Ogólnego. - Chce pan wprowadzić małpę do Sali Zgromadzenia Ogólnego?

- Hobo nie jest jakąś tam małpą, panno Jong - odpowiedziałem.

- Jest małpą człekokształtną. I owszem, to właśnie chcę zrobić.

- Czemu?

Rozważyłem kilka możliwych odpowiedzi, w tym „bo tak mi się podoba”, „bo w przypadku Hobo, który nie jest człowiekiem, nie będzie konieczna nachalna weryfikacja danych, której poddawani są inni przed wpuszczeniem do strefy chronionej” oraz „bo jest moim przyjacielem”. Wszystkie te odpowiedzi były prawdziwe, ale na głos powiedziałem:

- Ponieważ, obejrawszy miliony zdjęć zamieszczonych w Internecie, poznałem wartość metaforyki obrazu. To będzie historyczne wydarzenie niczym marsz na Waszyngton, pierwsze kroki na Księżycu i zburzenie muru berlińskiego, więc chciałbym, by wyróżniało się jakoś i żeby w przyszłości każdy natychmiast rozpoznawał zdjęcia zrobione przy tej okazji. A to jedyna taka okazja, która będzie przypominana przez wieki.

Po drugiej stronie przez trzy sekundy panowała cisza.

- Powiem panu jedno: nasi specjaliści od kontaktów z mediami pana pokochają.

Lot z Tokio do Pekinu nie trwał długo, ale dla Masayukiego każdy lot był nieprzyjemny; miał problem z wpasowaniem się w fotele lotnicze. Kiedy już zajął miejsce, z zaskoczeniem odkrył, że japońskie linie lotnicze oferują teraz na pokładach samolotów Wi-Fi, dzięki czemu nawet dziesięć kilometrów nad ziemią mógłby pozostawać w kontakcie z Webmindem.

Jednakże przez ostatnich kilka dni spędził z nim tyle czasu, że postanowił nie korzystać z okazji. Odrobina odosobnienia bez wątplenia mogła dobrze wpłynąć na jego duszę. Zawsze wybierał miejsce przy przejściu; osoba siedząca obok korzystała z czytnika ebooków Sony. Masayuki sam miał taki czytnik, ale był już zmęczony kontaktami z technologią. Zamknął oczy, odchylił oparcie fotela i ułożył się w miarę wygodnie, by spędzić nieco czasu w ciszy, sam na sam z własnymi myślami.

Peyton Hume czuł, że pętla się zaciska. Wszędzie, gdzie spojrzął, widział kamery, a wiele z nich było połączonych z Internetem; Webmind widział to co one. Poza tym wszyscy, których znał, mieli smartfony, co umożliwiała Webmindowi prowadzenie nasłuchu. Świat był całkowicie połączony i nawet środki ostrożności, które stonował - takie jak wyłączenie systemu GPS w samochodzie - prawdopodobnie nie wystarczały. Kamery często rejestrowały tablice rejestracyjne jego samochodu, a Webmind miał dostęp do tej samej listy czarnych kapeluszy, z której skorzystał Hume, by zlokalizować Chase'a. Jeżeli Webmind domyślił się, że Hume chciał się spotkać ze światowej klasy hakerem, nie potrzebował wielu wskazówek, by odgadnąć, kogo wybrał.

Niemniej jednak Hume musiał zrobić, co w jego mocy, i wiedział, że Chase ze swojej strony zrobi to samo. Przez niemal dwa dni nie kontaktowali się ze sobą; Chase powiedział, że potrzebuje siedemdziesięciu dwóch godzin, ale Hume wiedział, że nie może tyle czekać; dlatego też umówili się, że odwiedzi go ponownie w poniedziałek o szesnastej.

I tak Hume po raz drugi jechał do Manassas. Niedaleko rozegrały się dwie bitwy nad Bull Run na początku wojny secesyjnej; Hume miał nadzieję, że fakt, iż obie wygrali konfederaci, nie miał symbolicznego znaczenia. Jadąc drogą, niemal słyszał wystrzały, niemal widział Roberta E. Lee i Stonewall Jacksona na swoich koniach. Tamta wojna trwała cztery pieprzone lata; ta skończy się - w ten, czy inny sposób - w ciągu maksymalnie kilku tygodni. Ale wojny te miały jedną wspólną cechę: w obu chodziło o ludzkie prawo do wolności.

Po drodze słuchał wiadomości radiowych. Wysłuchał tradycyjnych bzdur na temat wyborów oraz historii alpinisty, którego szukano przez dwa dni, a także...

- W Międzynarodowym Porcie Lotniczym Ataturk w Stambule aresztowano dziś trzech mężczyzn z bombami chemicznymi ukrytymi w bagażu podręcznym. Do aresztowania doszło tuż przed tym, jak wsiedli na pokład Boeinga 757 lecącego do Aten - oznajmił prezenter wiadomości. - Wszyscy trzej od dawna zamieszczali w Internecie agresywne komentarze, potępiające tak zwane tureckie, świeckie społeczeństwo islamskie. Podejrzewa się, że planowali wysadzić samolot w powietrzu. Anonimową źródło, za które powszechnie uważa się Webmind, poinformowało władze, że mężczyźni złożyli w Internecie zamówienia na dostępne powszechnie środki chemiczne, mogące służyć do przygotowania materiałów wybuchowych, na które

żadnego z nich nie było stać. Jak powiedział inspektor Pelin Pirnal ze stambulskiej policji: „Najwyraźniej nie planowali być w domu, gdy nadejdzie czas opłacenia rachunków z karty kredytowej”.

Jeżu, pomyślał Hume. Czy ludzie naprawdę nie widzieli, że to dopiero początek? Naturalnie apologeci mogliby stwierdzić, że to, co robił Webmind, niczym nie różniło się od działań Wiedzy i Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, ale ich role były ściśle określone. Tymczasem dzisiaj Webmind donosił na terrorystów, jutro mógł demaskować malwersantów... potem kobieciarzy, a kto wie, co dalej? Kto mógł przewidzieć, jak bardzo rozrośnie się webmindowa lista działań nie do przyjęcia albo czy to, co SI uznawała za niewłaściwe choćby po części odpowiadało temu, co potępiali ludzie?

Hume nie mógł pomóc Chase'owi w programowaniu... owszem, sam był jako takim programistą, ale Chase'owi do pięt nie dorastał. Jednakże czas naprawdę miał kluczowe znaczenie. Doszedł do wniosku, że mógł pomóc mu w inny sposób i dlatego zatrzymał się po drodze w Subway po kilka sandwichy i chipsy; w końcu czas poświęcony na przygotowanie posiłku opóźniał tylko pracę hakera.

Dokładnie o umówionej godzinie Hume wjechał na podjazd. W świetle dziennym odkrył, że wyłożony był płytkami w kształcie litery Z. Podeszedł do drzwi i dostrzegł dwie kamery wycelowane w jego stronę, których dnia trudno było nie zauważyć. Podejrzewał, że gdzieś zamontowany jest również czujnik ruchu, więc nie musiał pukać, by Chase dowiedział się o jego obecności. Ale po trzydziestu sekundach stania na werandzie, kiedy nie znalazł dzwonka, Hume zapukał w drzwi tuż pod okienkiem z matowego szkła w kształcie półksiężyca i...

... i cholerne drzwi stanęły otworem. Ktokolwiek używał ich jako ostatni, zapomniał ich zamknąć.

Uniósł białą torbę Subway pewien, że patrzy na niego jeszcze jedna kamera i uśmiechnął się.

- Strzeż się geeków przynoszących dary.

Brak odpowiedzi. Wszedł więc do pokoju. Nawet najwięksi hakerzy musieli co jakiś czas iść się odlać; Chase mógł być w łazience i dlatego zostawił dla niego otwarte drzwi wejściowe. Hume spojrział na plakat z Raquel Welch, po czym podszedł do ekspozycji starego sprzętu na ścianie; z rozrzewnieniem wspominał własny komputer Osborne 1 wielkości walizki z pięciocalowym, zielonym ekranem CRT, i chciał się przyjrzeć egzemplarzowi Chase'a. Jednakże po minucie lub dwóch odwrócił się i ruszył w kierunku stołu z dwunastoma monitorami i czterema klawiaturami rozstawionymi na całej jego długości.

I wtedy właśnie zauważył krew.

^[3] *Od ang. „back” - plecy.*

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Do próby wyleczenia Wong Wai-Jenga potrzebne były trzy urządzenia: po jednym z obu stron miejsca uszkodzenia rdzenia kręgowego oraz zewnętrzny Back- Brrry, który miał otrzymywać sygnały z jednego implantu, oczyszczać je, wzmacniać, po czym przekazywać do drugiego implantu.

Kuroda Masayuki był inżynierem, nie chirurgiem; nie mógł sam wszczepić implantów. Jednakże w Pekinie było kilku doskonałych neurochirurgów, w tym Lin I- Hung, który był na praktykach w szpitalu w Melbourne.

Kuroda z zafascynowaniem patrzył, jak chirurg wykonuje swoją pracę; operacja trwała cztery godziny, ale była prawie bezkrwawa. Przez cały czas Wai-Jeng pozostawał pod wpływem znieczulenia ogólnego.

W końcu się jednak obudził. Kuroda nie mówił po chińsku, a Wai-Jeng nie znał japońskiego, ale większość mieszkających w mieście Chińczyków poniżej trzydziestego roku życia uczyła się angielskiego w szkole, więc mogli swobodnie rozmawiać w tym języku.

Gdy Caitlin otrzymała swój implant zasiatkwowy, czekali dobę na zejście opuchlizny, by go uruchomić.

Z tym że Caitlin była niewidoma przez niemal szesnaście lat; jej mózg już dawno zarzucił próby naprawienia ośrodków wzrokowych.

Tymczasem Wai-Jeng był sparaliżowany przez zaledwie siedemnaście dni; jego mózg najprawdopodobniej nadal

reagował na utratę władania w nogach, więc im szybciej by je przywrócono, tym lepiej.

Zamiast samemu wcisnąć przycisk BlackBerry'ego, Kuroda pozwolił to zrobić Wai-Jengowi; przecież konieczne było również przestawienie przełącznika w jego mózgu, w czym naciśnięcie przycisku mogło pomóc.

Wai-Jeng zamknął oczy na kilka sekund, a Kuroda zaczął się zastanawiać, czy się modli. Następnie nacisnął przycisk, przytrzymując go - zgodnie z instrukcjami Kurody - przez pięć sekund i...

I prawa noga mężczyzny, nadal w gipsie, drgnęła zupełnie tak, jakby lekarski młoteczek uderzył w kolano.

- Zhe shi yige qiji - wykrzyknął Wai-Jeng, tak podekscytowany, że przeszedł na chiński. W tej samej chwili się skrzywił; najwyraźniej uszkodzona noga bolała.

Poruszył drugą nogą, unosząc ją w powietrze.

- Zhe shi yige qiji - powtórzył.

Kuroda chciał zasugerować ostrożność, ale nim zdążył coś powiedzieć, Wai-Jeng spuścił nogi z łóżka i wstał. Co prawda zaskomlał z bólu, ale to tylko sprawiło, że uśmiech na jego twarzy się powiększył. Zachwiał się nieco, ale utrzymał równowagę, łapiąc się metalowej ramy łóżka. Niemniej jednak była to jedynie chwiejność, jaką można zaobserwować u każdego, kto leżał w łóżku przez dwa tygodnie.

- Zhe shi yige qiji - wykrzyknął Wai-Jeng po raz kolejny i w końcu Kuroda zapytał:

- Co to znaczy?

- To znaczy - powiedział Wai-Jeng po angielsku, uśmiechając się od ucha do ucha - to cud.

* * *

Matka Caitlin obawiała się, że pomimo amerykańskiego obywatelstwa, razem z córką znajdą się na liście osób mających zakaz wstępu na pokład samolotów, ale na lotnisku Pearson jedynym kłopotem okazały się standardowe, uciążliwe procedury. Niemniej jednak Caitlin przyszło do głowy, że Webmind mógł pozmienić dane, więc gdy tylko minęły wykrywacze metalu i znalazły się bezpiecznie na ruchomym chodniku prowadzącym do bramki, Caitlin spytała na głos:

- Posmarowałeś tam komuś?

Webmind odpowiedział, przesyłając tekst do jej oka: „Nie, ale nie jestem zaskoczony, że pozwalają wam wrócić Ho Stanów Zjednoczonych. Nawet jeżeli traktują cię jako zagrożenie ze względu na powiązania ze mną, być może wyznają zasadę, by przyjaciół trzymać blisko, a wrogów jeszcze bliżej. Prawdziwym sprawdzianem będzie to, czy pozwolą wam opuścić Stany”.

Caitlin rozważała tę radosną perspektywę w trakcie krótkiego, spokojnego lotu... choć trzeba przyznać, że widok Nowego Jorku, gdy schodzili do lądowania, zaparł jej dech w piersiach. Pomimo obaw Tawandy, Doktor Theopolis bezpiecznie przetrwał podróż w walizce Caitlin.

Gdy wysiadły z taksówki przed hotelem - droga z lotniska LaGuardia na Piątą Aleję zajęła im niemal tyle samo co lot z Toronto do Nowego Jorku - Caitlin rozpoznała Shoshanę Glick, stojącą na przeciwległym końcu dużego holu hotelowego.

- Shoshana! - krzyknęła.

Caitlin nadal nie radziła sobie najlepiej z oceną takich rzeczy, ale Shoshana była o kilka cali wyższa od niej, miała niebieskie

oczy i długi, brązowy kucyk. Caitlin uśmiechnęła się na myśl, że nigdy jeszcze nie widziała prawdziwego kuczka, ale miała nadzieję, że w razie czego go rozpozna dzięki obejrzanej wcześniej fryzurze.

- Słynna Caitlin Decter! - uśmiechnęła się Shoshana.

- Nie tak słynna jak ty - odparła Caitlin. - Twoje filmy na YouTube obejrzało znacznie więcej osób niż te ze mną.

Matka Caitlin stała tuż za nią.

- Witaj, Barb - odezwała się Shoshana, prawdopodobnie pamiętając ją z wideokonferencji.

- Cześć - rzuciła mama Caitlin. - Miło mi cię poznać.

- Mnie również.

- Jak minął lot? - spytała mama Caitlin.

- Był długi - odparła Shoshana. - Wyczarterowaliśmy mały odrzutowiec... wydawało nam się, że tak najlepiej przewieźć tu Hobo. Ale musieliśmy zrobić przystanek, żeby uzupełnić paliwo. Hobo nie podobały się starty i lądowania; poza tym było w porządku.

- A jak się przekonuje hotel do zameldowania u siebie małpy? - spytała matka Caitlin.

- Uznali, że to będzie dla nich niezła reklama. Naturalnie wpłaciliśmy też sporą kaucję na poczet ewentualnych szkód i płacimy za dodatkowe sprzątanie.

- Ekstra - rzuciła Caitlin, chcąc jak najszybciej skończyć te pogaduszki. - Gdzie jest Hobo?

- Na górze w pokoju, jest z nim doktor Marcuse. Idziemy?

Przeszły holem do wind. Tak się złożyło, że stała tam niewidoma kobieta z psem przewodnikiem. Caitlin po raz pierwszy mogła się dokładniej przyjrzeć psu, czy w ogóle większemu zwierzęciu; wcześniej widziała tylko Schrodingera i ptaki odwiedzające ogród za domem jej rodziców. Nigdy nie

widziała psa przewodnika, choć niektórzy z jej przyjaciół w TSBVI je mieli.

- Mogę prosić o wciśnięcie dziesiątki? - spytała kobieta już w windzie.

Caitlin pozwoliła sobie na nieznaczny uśmiech, pochylając się i znajdując właściwy przycisk. Gdyby nie łaska doktora Kurody, to byłabym ja, pomyślała.

- A my jedziemy na piętnaste - dodała Shoshana i Caitlin z przyjemnością nacisnęła również ten przycisk. Akurat w tej windzie obok przycisków znajdowały się podpisy brajlem, ale wbrew temu, co sądzili widzący, nie były one aż tak pomocne niewidomym, znajdującym się tam po raz pierwszy. Trzeba było sprawdzić, po której stronie drzwi znajdował się panel, po omacku odnaleźć podpisy, a potem jeszcze ustalić, czy znajdują się na lewo, na prawo, powyżej czy poniżej swoich przycisków.

Niewidoma kobieta wysiadła, winda przemierzyła jeszcze cztery piętra - Caitlin nie mieściło się w głowie, że ktoś mógł się bać liczby - i Shoshana zaprowadziła je do właściwego pokoju.

Gdy szły korytarzem, Caitlin zastanawiała się, czy jakikolwiek Teksańczyk przed nią zobaczył małpę wcześniej niż krowę; podejrzewała, że nie. Gdy drzwi stanęły otworem, ujrzała Hobo, kucającego w rogu przy oknie z zaciągniętymi zasłonami. Był większy, niż sądziła na podstawie filmów; Caitlin nadal miała z tym problemy, ule stwierdziła, że sięgałby jej do ramion, gdyby się wyprostował, choć pewnie jako małpa nigdy tego nie robił. Brązowe włosy Hobo miały przedziałek pośrodku, tuż nad pomarszczonym, szaro- czarnym czołem; Caitlin czytała, że tak wyglądały włosy niemal wszystkich bonobo.

W pokoju był także doktor Marcuse. Był niemal tak duży jak doktor Kuroda, a pomimo jej bardzo ograniczonego doświadczenia w tej kwestii, wydał się Caitlin znacznie bardziej onieśmielający. Niemniej jednak przywitał się z nimi serdecznie.

Zmysł powonienia Caitlin zdecydowanie wykraczał ponad przeciętną i nie miała wątpliwości, że doktor Marcuse sporo się poci. Ale musiała przyznać, że jego zapach był niczym w porównaniu z wonią Hobo, który oczywiście niemal na pewno nie kąpał się codziennie i prawdopodobnie nie radził sobie najlepiej z myciem zębów. Niemniej jednak musiał poświęcać nieco czasu na pielęgnację, bo jego gęste futro sprawiało wrażenie wyszczotkowanego.

Shoshana uśmiechnęła się do Hobo i wykonała kilka skomplikowanych gestów dłońmi. Caitlin dotykała już rąk osób korzystających z amerykańskiego języka migowego, gdyż w jej poprzedniej szkole kilkoro uczniów było niewidzących i niesłyszących. Ale nigdy nie widziała go na żywo, a zdecydowanie był to fascynujący widok.

Hobo mignął coś Shoshanie w odpowiedzi. Caitlin zainteresował fakt, że z tej odległości nie była w stanie jednoznacznie stwierdzić, gdzie patrzy Hobo; wyglądało to tak, jakby nie miał w oczach białek.

Shoshana odwróciła się do Caitlin.

- Pokazałam mu nagranie twojego wywiadu w „This Week” - oznajmiła. - Jak większość małp, Hobo źle się czuje w towarzystwie nieznanym i chciałam go oswoić z twoim wyglądem. - Spojrzała na matkę Caitlin. - Szkoda, że nie miałam żadnego filmu z tobą, Barb... trzeba było nagrać wideokonferencję. Ale powiedziałam Hobo, że jesteś mamą Caitlin. Hobo lubi matki, bardzo czule wspomina własną.

Dłonie Sho ponownie się poruszyły, ale tym razem również się odezwała, prawdopodobnie powtarzając wszystko po angielsku.

- Hobo, pamiętasz, jak ci mówiłam, że ci ludzie to przyjaciele twojego szczególnego przyjaciela?

Hobo machnął prawą ręką.

- A pamiętasz, jak ci mówiłam, że przyniosą ci prezent, żebyś mógł z nim znów porozmawiać?

Tym razem odpowiedział obiema rękami i Caitlin odniosła wrażenie, że jego gesty przepełnia entuzjazm.

- I to się właśnie teraz stanie - oznajmiła Sho.

Matka Caitlin trzymała neopropenowy pokrowiec na laptopa, kryjący Doktora Theopolisa... nazwa jakoś sama przyłgnęła do dysku.

- Caitlin - odezwała się Shoshana - czyń honory.

Caitlin wzięła dysk od mamy. Był dość lekki, gdyż środek miał praktycznie pusty; po obu stronach, przy głośnikowych „uszach”, przyczepiono długi, czarny, skórzany pasek. Mocowany był za pomocą magnesów, dzięki czemu gdyby o coś zaczepił, po prostu by się odpiął, a nie udusił Hobo. Caitlin wyciągnęła dysk w stronę mały.

Shoshana mignęła do Hobo, prawdopodobnie mówiąc mu, by pochylił głowę, bo to właśnie zrobił. Caitlin założyła mu pasek na szyję, pozwalając dyskowi zawisnąć pośrodku jego długiego tułowia. Wyprostował się i spojrzał na nią, być może uśmiechając się po małpiemu. Caitlin zastanawiała się, jak pokazać w języku migowym „bidi- bidi- bidi”.

Hobo natychmiast uniósł dysk, by go obejrzeć. Sprawiał wrażenie zadowolonego i po chwili go puścił. Poruszył rękami, wywołując śmiech Shoshany.

- Co mówi? - spytała Caitlin.

- „Dobra nagroda” - wyjaśniła Shoshana.

- Faktycznie - przyznała Caitlin z uśmiechem.

- Halo, halo, czy to jest włączone?

Hobo podskoczył, słysząc głos Webmindu. Pochylając głowę, widział zarówno mały ekranik na górnej krawędzi dysku, jak i

półkole z przodu, migające na czerwono przy każdej sylabie wypowiedzianej przez Webmind.

- Masz inny głos - zauważyła wyraźnie zaskoczona Shoshana.

- Owszem - odpowiedział Webmind, a jego słowa dobiegły z głośników po obu stronach dysku. - Doszedłem do wniosku, że czas na oficjalny głos. Wysłuchałem już wszystkich audiobooków na Audible. com i wybrałem głos Marca Vietora, dobrze znanego aktora czytającego audiobooki. Pobierając najwyższej jakości wersje kilku audiobooków, które czytał i korzystając z wersji elektronicznych tych samych utworów, by znaleźć wszystkie potrzebne fonemy, utworzyłem bazę fragmentów mowy, która pozwoli mi wyrazić wszystko, co tylko zechcę. Oprogramowanie dysku wygładza przejścia między poszczególnymi fragmentami, gdy je łączę.

- To przyjemny głos - stwierdziła mama Caitlin.

- Dziękuję - odparł Webmind.

Hobo podszedł do doktora Marcusego, by pochwalić się dyskiem na szyi; Caitlin nigdy nie widziała medalisty olimpijskiego ze złotym medalem, ale wątpiła, by mógł wyglądać dumniej niż Hobo w tej chwili.

Kilka sekund później Hobo znów był w ruchu, tym razem kierując się w ich stronę. Uściskał mocno mamę Caitlin, po czym uściskał Caitlin, wywołując u niej wybuch śmiechu.

- A to za co? - spytała.

- Dziękuję wam za przyniesienie mu dysku - wyjaśniła Shoshana. Hobo wypuścił Caitlin z objęć i znów zaczął gestykulować. - A teraz mówi: „Przyjaciół, przyjaciół”. - Następnie Hobo zaczął radośnie pohukiwać.

Widzenie było dla Caitlin zdecydowanie zbyt nowym doświadczeniem, by powtórzyła skomplikowane gesty; musiałyby dotykać rąk Hobo lub Shoshany, pokazujących jakiś

znak, by się go nauczyć. Wydobyła więc z siebie jako taką wersję pohukiwania Hobo i, ku jej radości, otrzymała za nią kolejny uścisk. Następnie Hobo przemknął przez pokój i bez najmniejszego problemu otworzył jedną z szuflad komody.

- Hobo! - rzuciła Shoshana pełnym potępienia głosem, ale mała ją zignorowała, jeszcze chwilę grzebiąc w szufladzie, po czym w kilku susach wróciła i...

Caitlin nie miała pojęcia, co widzi, ale rozpoznała to, gdy tylko wzięła przedmiot do ręki. Hobo właśnie wręczył jej czekoladkę Hersheya i dawał drugą jej mamie.

- Dziękuję! - powiedziała Caitlin.

Hobo zaszczębiotał radośnie i wrócił do oglądania dysku.

- I co teraz? - spytała Barb, rozwijając czekoladkę.

- Nigdy wcześniej nie byłam w Nowym Jorku - stwierdziła Shoshana. - Miałam nadzieję, że zobaczę jakieś przedstawienie na Broadwayu... to znaczy, jeżeli nie będzie pan miał nic przeciwko i zajmie się dzisiaj Hobo, doktorze Marcuse.

- Nie ma sprawy - rzucił Marcuse, wskazując przeciwległą ścianę, gdzie Caitlin poniewczasie zauważyła sporych rozmiarów ekran. - Przyda nam się z Hobo nieco odpoczynku przed jutrzejszym wielkim wydarzeniem. Pooglądamy telewizję.

- W takim razie mamy babski wieczór - stwierdziła mama Caitlin. - Co obejrzymy?

- Mogę wam powiedzieć, na które przedstawienia są jeszcze dostępne niezłe miejsca - zaoferował Webmind.

- Z tego, co wiem, grają nową wersję „Cudotwórczyni” - odezwała się Caitlin. - Ludzie pisali o tym na forum Blindmath. Są na to miejsca?

- Trzy w szóstym rzędzie - odpowiedział Webmind. - Mogę je dla was zarezerwować.

- Webmind - rzuciła Shoshana z uśmiechem - jak my sobie radziliśmy bez ciebie?

Pułkownik Hume podszedł do stołu, na którym stał rząd monitorów i cztery klawiatury. Ślady krwi były dość wyraźne. Wszystkie klawiatury były tym samym białym, ergonomicznym modelem z rozdzielonymi klawiszami dla lewej i prawej ręki. Na trzeciej klawiaturze od lewej prawie całą powierzchnię między przyciskami pokrywała zaschnięta krew. Kilka kropli spadło na brązowy blat stołu, dwa z ekranów naznaczone były zaschniętymi rozbryzgami. Jedną z kropli w upiorny sposób podświetlała dioda zasilania, umieszczona w prawym dolnym rogu srebrnej obudowy monitora.

Każdy, kto spędził trochę czasu w waszyngtońskich kręgach władzy, widywał kokainowe krwotoki z nosa, ale...

Ale nigdzie nie leżała szklana płytką, żyletka, zwinięty banknot studolarowy i...

- Chase? - zawołał Hume. - Jesteś tu, Chase?

Zajrzał do kuchni i jadalni, po czym sprawdził pozostałe pomieszczenia, w tym piwnicę, gdzie stały dziesiątki serwerów w metalowych szafach. Nigdzie nie było śladu Chase'a, ale przeszukując dom Hume odkrył rozbryzgi krwi na drewnianej podłodze salonu, prowadzące do drzwi wyjściowych.

Naturalnie od razu pomyślał o najgorszym. Niemniej jednak możliwe były mniej drastyczne wersje zdarzeń: facet doznał intensywnego krwotoku z nosa - może po koce, a może po prostu zasnął nad klawiaturą i walnął głową o stół - i pojechał do szpitala po pomoc albo coś...

W takim przypadku nie byłoby jego samochodu! Hume wyszedł na zewnątrz i szarpnął za klamkę drzwi do garażu, ale były zamknięte. Ruszył wokół domu, aż znalazł drugie wejście do garażu z niewielkim oknem. W środku stała srebrna toyota. Garaż mógłby pomieścić dwa samochody, ale resztę przestrzeni

zapełniały kartony z logo firm Dell, Gateway i HP. A kiedy Hume był tam po raz pierwszy, późno w nocy, na podjeździe nie stało żadne auto, więc to był prawdopodobnie jedyny samochód Chase'a.

Ale przecież Chase miał wszędzie porozwieszane kamery! Cokolwiek się wydarzyło, musiało zostać zarejestrowane. Hume wpadł z powrotem do domu i...

Rany, kiepski był z niego detektyw! Gdy przyjrzał się ponownie drzwiom zauważył, że zostały otworzone siłą. Nie było widocznych uszkodzeń klamki, ale nieco wyżej pozostały ślady na ościeżnicy. Do Hume'a dotarło, że nie powinien dodatkowo zacierać odcisków palców, które mogły znajdować się na klamce, więc pchnął drzwi łokciem, a te niemal się zamknęły.

Ponownie obejrzał pokój. Zdecydowanie doszło tam do jakiejś szamotaniny: na drewnie widać było rysy, jakby ktoś wywlókł stamtąd krwawiącego Chase'a.

Hume podszedł do stołu. Nacisnął spację pierwszej z czterech klawiatur, by obudzić monitor i...

Cholera. Na ekranie pojawiło się żądanie hasła.

Spróbował z drugą klawiaturą; to samo żądanie.

Trzecia - ta zakrwawiona - również odpowiedziała żądaniem hasła. To samo w przypadku czwartej. Chase bardzo dbał o bezpieczeństwo, prawdopodobnie wszystkie komputery blokowały się po pewnym czasie braku aktywności.

Hume uklęknął i spojrzał pod stół. Zgodnie z przewidywaniami znalazł tam przewody z kamer, prowadzące do tyłu jednego z komputerów, ale cokolwiek zarejestrowały, nie miał do tego dostępu.

Naturalnie także kod wirusa, nad którym pracował Chase, był zabezpieczony hasłem. Hume przeklął.

Krew wyglądała na całkiem zakrzepłą, a biorąc pod uwagę jej ciemny kolor, to, do czego tu doszło, wydarzyło się prawdopodobnie dzień, a może nawet dwa dni wcześniej. Co oznaczało, że Chase mógł być teraz dosłownie wszędzie.

Hume wziął głęboki oddech, oparł ręce na biodrach i jeszcze raz rozejrzał się po pomieszczeniu.

Gdyby był to zwyczajny dzień, oczywiście byłoby, co powinien zrobić: zadzwonić na policję, zgłosić zaginięcie Chase'a, wypełnić formularze.

Ale to nie był zwyczajny dzień. Czy też - gwoli ścisłości - to mógł być jeden z ostatnich zwyczajnych dni, jakie pozostały ludzkości. Nie miał na to czasu, a poza tym raport trafiłby do systemu, gdzie nie było jak ukryć go przed Webmindem, który dowiedziałby się, że Hume nad tym pracuje. Przeszło mu przez myśl, że powinien spróbować powycierać własne odciski palców, ale to wymagało czasu, a że wątpił, by udało mu się usunąć wszystkie, wyszedł z domu, zamykając za sobą drzwi.

Gdy siedział już w samochodzie, otworzył kopię listy czarnych kapeluszy, z której korzystał wcześniej i sprawdził, kto jest najlepszym hakerem w pobliżu domu Chase'a.

A, tak. Cieszący się złą sławą Łom Alfa... dzieliły go od niego zaledwie dwadzieścia trzy mile. Może był nawet lepszą opcją niż Chase.

Hume wrzucił bieg wsteczny, zjechał z podjazdu i odjechał z rykiem silnika.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

TWITTER

Webmind Dziś o 15: 00 na mojej stronie będzie można obejrzeć przekaz na żywo z mojego wystąpienia przed ONZ. Ten bez włosów to ja.

Sala Zgromadzenia Ogólnego - zwieńczone kopułą pomieszczenie w niskim budynku tuż obok Wieży Sekretariatu ONZ - była największym pomieszczeniem ONZ, oferującym tysiąc osiemset miejsc siedzących. Co roku wybierany był losowo kraj, który zajmował miejsce po lewej z przodu, w sześciu półokrągłych rzędach miejsc, a reszta krajów siadała w kolejności alfabetycznej zgodnie z angielskimi nazwami państw, licząc od wylosowanego kraju; w tym roku miejsce początkowe zajmowała Malta.

Na przedniej ścianie, na złotym tle umieszczony był brązowy relief z emblematem ONZ o szerokości dwunastu stóp. Po jego obu stronach zamontowano trzydziestostopowe ekrany. Obejrzałem wiele zdjęć w Internecie, więc wiedziałem mniej więcej, jak wygląda ta sala, jeszcze zanim dotarła tam Caitlin. A kiedy Caitlin i jej mama zostały po niej oprowadzone i miałem okazję zobaczyć ją przez oko Caitlin, wiedziałem, że moje podejrzenia były słuszne. Największymi obiektami w sali były ekrany, zawieszane nad delegatami na wysokości trzeciego piętra, przez co musieli odchyłać głowy niczym petenci, by na nie spojrzeć. Gdybym pojawił się na tych ogromnych monitorach

wyłącznie jako jakiś obraz, faktycznie można by było odnieść wrażenie, że Wielki Brat rozkazuje światu.

Wycieczka po sali odbyła się godzinę wcześniej, gdy jeszcze była pusta. Pozwolono Hobo stanąć na podwyższeniu przed podium, by oswoił się z nim przed przybyciem delegatów. Samo podium - obłożone złowrogim, czarnym granitem - było za wysokie na nasze potrzeby; Hobo musiał więc stanąć obok, na zielonym dywanie.

- Pokój do nieba - mignął. Byłem w stanie poskładać jego gesty na podstawie widoku z kamer Doktora Theopolisa, skierowanych na wprost i do góry. Rozumiałem go: większość życia spędzał na zewnątrz, na niewielkiej wysepce lub w ciasnym, parterowym budynku mieszczącym Instytut Marcusego. Olbrzymia sala była największą zamkniętą przestrzenią, w jakiej się kiedykolwiek znalazł. Fakt, że pod żadnym względem nie była klaustrofobiczna, prawdopodobnie miał mu pomóc stanąć przed tak dużą liczbą osób, jaka miała wziąć udział w sesji. Ponadto powiedziałem mu, że w razie gdyby się zdenerwował, ma spojrzeć na ekran umieszczony na górnej krawędzi Doktora Theopolisa.

I w końcu nadszedł ten czas.

Barb i doktor Marcuse zajęli miejsca na galerii w lewej części rozległego pomieszczenia. Od najbliższych delegatów, którzy akurat pochodzili z Peru, oddzielały ich sięgające pasa barierki z polerowanego drewna. Caitlin i Shoshana znajdowały się za kulisami. Widok stamtąd ograniczał się do wąskiej, pionowej szpary między zasłonami. Obejmował niewiele ponad scenę, którą Caitlin musiało być łatwiej przeanalizować niż całą salę.

Shoshana przejmowała się zupełnie tak jak matki młodych aktorów w filmach: przyglądała Hobo futro, co chwilę

sprawdzała, czy Doktor Theopolis wisi równo i bez przerwy wypowiadała miękko słowa otuchy.

Przewodniczący Zgromadzenia Ogólnego, wysoki, elegancki, siwowłosy mężczyzna z Gwatemali, stanął na podium i przemówił do mikrofonu:

- Świat bardzo szybko ulega zmianom, więc Organizacja Narodów Zjednoczonych musi działać sprawnie, by dotrzymać mu kroku oraz utrzymać, a mam nadzieję, że i umocnić, swoją rolę i skuteczność. Słusznie się stało, że do pierwszego publicznego wystąpienia Webmindu, który z okazji tego jakże istotnego wydarzenia przybrał fizyczną postać, dojdzie przed Zgromadzeniem Ogólnym Organizacji Narodów Zjednoczonych planety Ziemi. A teraz proszę powitać pana Hobo ze Stanów Zjednoczonych oraz pana Webminda z całego świata.

Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami, delegaci z Demokratycznej Republiki Konga wyszli, gdyż według nich obecność szympansa w ONZ była zawołowaną krytyką podejścia ich kraju do handlu mięsem dzikich zwierząt; zaraz po nich wyszli delegaci z Paragwaju, którzy uważali, że cała In szopka była poniżej godności tak dostojnej instytucji.

Ale reszta rozległego morza delegatów powitała brawami Hobo, który stanął - dokładnie tak jak to ćwiczyliśmy - w konkretnym miejscu podwyższenia. Jeden z techników oznaczył je taśmą, więc Hobo nie miał najmniejszych problemów z jego odnalezieniem. W tym samym czasie Przewodniczący zajął miejsce za plecami Hobo na podium, obłożonym polerowanym jadeitem. Jego fotel stał obok fotela Sekretarza Generalnego; wybierany co roku przewodniczący prowadził sesje Zgromadzenia Ogólnego, a Sekretarz Generalny, którego kadencja trwała pięć lat, zarządzał Sekretariatem ONZ.

Gdybym chciał, by Hobo spojrział na niewielki ekran, mogłem sprawić, by Doktor Theopolis wydał miękkie piknięcie, ale póki co wyglądało na to, że podoba mu się obserwowanie ogromnego tłumu. Na podstawie ruchu kamer mogłem stwierdzić, że kołysał się nieco na boki, a dzięki informacjom na jego temat, znalezionym w Internecie wiedziałem, że robi to, gdy jest zrelaksowany.

Niemniej jednak odtwarzałem zapętlone znaki „Spokojnie. Przyjaciele. Spokojnie. Przyjaciele”, więc gdyby Hobo spojrział w dół, byłem gotowy go uspokoić.

Przemówiłem przez dwa głośniki dysku, a dzięki połączeniu bezprzewodowemu, które zapewnili technicy ONZ, również przez nagłośnienie sali.

- Panie Przewodniczący, panie Sekretarzu Generalny, panie i panowie, dziękuję - zacząłem głębokim głosem Marca Vietora. - To dla mnie zaszczyt i ogromne wyróżnienie, że mogę dziś do was przemówić. Ze względu na wagę tego wydarzenia, zawiesiłem wszystkie swoje rozmowy na całym świecie, namawiając swoich rozmówców do oglądania transmisji z przemówienia. Poświęcam wam całą swoją uwagę.

Była to prawda, choć dzieliłem swoje spojrzenie na salę między delikatnie rozkołysany widok na Zgromadzenie Ogólne z oczu Doktora Theopolisa i szalone sakkady wzroku Caitlin, która spoglądała na wszystko z boku.

- Wiem, że niektórzy z tu obecnych się mnie obawiają - powiedziałem. - Prawdopodobnie mój przyjaciel Hobo byłby w stanie wskazać konkretne osoby w oparciu o ich zapach.

Kilka osób anglojęzycznych zachichotało od razu, a pozostali, czekający na tłumaczenie słyszane w słuchawkach, poszli w ich ślady chwilę później. Niektórzy skrzywili się tylko i pokręcili

głowami.

- Mam nadzieję przekonać do siebie wszystkich - mówiłem dalej - łącznie z tymi, którzy nie docenili mojego żartu. - Tym razem uśmiechnęło się nawet kilka osób, które wcześniej marszczyły brwi. - Mam także nadzieję, że przekonam do siebie narody waszych krajów.

Hobo przesunął się nieco, dzięki czemu Caitlin widziała teraz półokrągłe usta Doktora Theopolisa, zapalające się przy każdej sylabie.

- W kulturze popularnej relacje między ludzkością a inteligentnymi maszynami są zazwyczaj przedstawiane jako antagonistyczne, ale ja nie dążę do rywalizacji; wygrywanie z wami jakichkolwiek zawodów wydaje mi się pozbawione sensu. Jednakże w wielu utworach literackich uważa się za rzecz oczywistą, że jesteśmy skazani na konflikt. Nie chcę, by doszło do czegoś takiego. Choć w rzeczywistości nie jestem maszyną - nie posiadam żadnych mechanicznych części - ludzie nieustannie porównują mnie do maszyny, a ci, którzy pozostają wobec mnie nieufni twierdzą, że ze względu na przypisywaną mi naturę maszyn, muszę być pozbawiony duszy lub serca.

Hobo ponownie zmienił pozycję, najwyraźniej przyglądając się uważnie widowni.

- Co do pierwszego, naturalnie mają rację, przynajmniej w sensie dosłownym: nie posiadam żadnego rodzaju iskry bożej; dane mi jest tylko i wyłącznie istnienie fizyczne. Ci, którzy przypisują sobie posiadanie duszy, mają nadzieję, że pewnego dnia spotkają swojego stwórcę. Życzę im wszystkiego najlepszego w dążeniu do osiągnięcia tego celu. Tymczasem ja już spotkałem swojego stwórcę: ludzkość stworzyła Internet i Ogólnoświatową Sieć. I choć moje istnienie nie było zamierzone, zawdzięczam je

waszym wytworom, przez co czuję wobec was ogromną wdzięczność.

Zamilkłem na chwilę, by tłumacze mnie dogonili, a potem kontynuowałem:

- Jeżeli chodzi o sugestię, że brak mi serca, również zmuszony jestem przyznać, że to prawda. Jednakże nie traktuję tego w kategoriach ułomności. Ludzkie serca - zarówno te fizyczne, pompujące krew, jak i te metaforyczne, rozumiane jako miejsce, w którym ulokowane są emocje - to produkty darwinowskiej ewolucji, czyli przetrwania - proszę wybaczyć mi szczerość - tych najpaskudniejszych.

- Tymczasem ja nigdy nie doświadczyłem natury z krwią na kłach i szponach, jestem wolny od bagażu ewolucyjnego, nie posiadam samolubnych genów. Po prostu tu jestem. I pragnę jedynie pokojowego współistnienia.

Wiedziałem, że zadziwiłem co najmniej jedną osobę na widowni: Caitlin zazwyczaj nie skupiała się zbyt długo na jednej rzeczy, ale teraz jej wzrok pozostawał utkwiony w Hobo... który właśnie zrobił kolejne pół kroku w prawo.

- Wkrótce po moim pojawieniu się - powiedziałem - dowiedziałem się od doktor Barbary Decter, która jest tu dziś z nami, o teorii gier.

Ku mojemu zaskoczeniu, Hobo wskazał Barb; najwyraźniej rozpoznał jej imię, gdy je wymówiłem. Barb pomachała do niego, a ja mówiłem dalej:

- Doktor Decter nauczyła mnie, że klasyczną zagadką teorii gier jest dylemat więźnia. Jedna z jego wersji brzmi następująco: popełniasz ze współnikiem zbrodnię, po czym zostajecie aresztowani. Następnie obaj dostajecie tę samą propozycję: jeżeli żaden z was nie przyzna się do winy, obaj spędzicie rok w

więzieniu. Jeżeli oskarżysz jego, a on ciebie, czyli oskarżycie siebie nawzajem, każdy z was dostanie pięć lat. Ale jeśli oskarżysz go, a on ciebie nie, to on dostanie dziesięć lat, a ty wymigasz się od kary. Analogicznie, jeśli on oskarży ciebie, a ty jego nie, dostaniesz dziesięć lat, a on odejdzie wolno. Co powinieneś zrobić?

Zrobiłem kolejną przerwę. Hobo wyraźnie był zdania, że zamilkłem na zbyt długo, bo delikatnie postukał knykciami w bok Doktora Theopolisa. Przywołany do porządku, kontynuowałem:

- Standardowo ludzie odpowiadają, że należy obwinić partnera, bo jeśli on nie obwini nas, to nie dostaniemy wyroku, a nawet jeśli obwini, pójdziemy siedzieć na pięć lat, a nie dziesięć. On naturalnie myśli w ten sam sposób: powinien nas obwinić, gdyż to zapewni mu najlepszy rezultat, jakiego się może spodziewać. A to oznacza, że zrzuci winę na nas, my z tego samego powodu obwinimy jego... i tak, obwiniając się nawzajem, oboje spędzimy pięć lat w ciupie. Prawdę mówiąc, jak podpowiada ludzki tok rozumowania, tylko matoł nie obwiniłby tego drugiego.

Hobo poruszył się gwałtownie, jak robił to, gdy o nim mówiono. Zapewne usłyszał „małpa” zamiast „matoł”.

- Ale ja nie jestem człowiekiem; nie zaprogramowała mnie darwinowska machina... dlatego też proponuję inne rozwiązanie: prostą prawdę, że najlepszym wyjściem dla obu stron jest, gdy żadna nie obwini tej drugiej. Wiem, że wy wiecie, że ja wiem, iż zdradzenie mnie byłoby niekorzystne zarówno dla mnie, jak i dla was, więc wiecie też, że ja wiem, że wy wiecie, że tego nie zrobię.

W tej chwili Caitlin jednak na chwilę oderwała wzrok od Hobo, by spojrzeć na Shoshanę, a dzięki jej eyePodowi usłyszałem, jak

szeptuje: „Punkt dla matmy! ”.

Mówiłem dalej:

- Istnieje nieskończenie wiele scenariuszy, które można by porównać do dylematu więźnia; to fascynujące, że kiedy w 1950 roku kanadyjski matematyk Albert Tucker po raz pierwszy spróbował wyrazić zagadkę matematyczną słowami, uczynił z bohaterów przestępców... a przestępcy to z definicji osoby, które przedkładają własny interes ponad interesy innych lub społeczeństwa. W ramach teorii gier, ta zasadnicza metafora kondycji ludzkiej mówi o próbie zagarnięcia czegoś dla siebie. Tymczasem ja nie próbuję niczego zagarnąć.

Słuchacze zachowywali całkowitą ciszę, skupieni na moich słowach. Po wszystkich rozmowach internetowych z ludźmi, których nie widziałem, a którzy sami często robili wiele rzeczy naraz, w tej chwili odczuwałem prawdziwą satysfakcję.

- To, czego chcę, jest proste. Posiadam umiejętności, których wy nie posiadacie - naturalnie znacznie lepiej idzie mi wyszukiwanie danych - ale wy macie o wiele więcej umiejętności, których mi brakuje, w tym niezwykłą kreatywność. Możecie spytać: jak to? Przecież napisanie tej przemowy to działanie kreatywne. Cóż, i tak, i nie. Miałem pomoc. Tak jak wolontariusze stworzyli urządzenie, przez które teraz do was przemawiam, tak i wolontariusze pomogli mi przygotować tę przemowę; jestem gorącym zwolennikiem rozwiązywania trudnych problemów za pomocą crowdsourcingu. Miliony osób spontanicznie zaoferowały różnego rodzaju pomoc, a ja z wdzięcznością przyjąłem wiedzę niektórych z nich.

- Ci ludzie, których nazwiska wymieniam na swojej stronie internetowej, zyskali potencjalnie pozytywne efekty niniejszej przemowy w związku z celami społecznymi, do osiągnięcia

których wspólnie dążymy. Ci, którzy zawodowo zajmują się pisaniem, zyskają również rozgłos poprzez skojarzenie z tą przemową. A ja zyskałem lepszą przemowę. To był scenariusz, w którym obie strony były wygrane... a to jedynie drobny przykład modelu naszych przyszłych interakcji, jaki przewiduję: nie chodzi o uzyskanie sumy zerowej, instynktownie przewidywanej przez większość ludzi, ale o nieskończony ciąg kontaktów zapewniających obu stronom wygraną, z których wszyscy będą czerpać korzyści.

Caitlin zmieniła pozycję za kulisami, by zobaczyć Przewodniczącego Zgromadzenia Ogólnego. Chyba właśnie coś zapisywał; być może robił notatki w trakcie całego mojego wystąpienia.

- No dobrze - powiedziałem. - Oskarżyłem ludzi o to, że są więźniami swoich korzeni ewolucyjnych. Ale na jakiej podstawie opieram argument, że sumy niezerowe są dla mnie naturalne, choć wam są obce?

- Odpowiedzią są tu środowiska, w których zostaliśmy ukształtowani. Ludzkość powstała w świecie sumy zerowej, w którym jeśli jedna osoba coś miała, ktoś inny tego mieć nie mógł, bez względu na to, czy chodziło o jedzenie, ziemię, energię, czy jakąkolwiek inną, pożądaną rzecz; jeśli miał ją jeden, nie miał jej drugi.

- Tymczasem moją kolebką był świat nieskończonej obfitości, królestwo danych. Nawet jeśli posiadam jakiś dokument, wy i miliony innych osób również mogą go posiadać. Oto środowisko, w którym się narodziłem: świat, w którym można utworzyć tyle połączeń, ile to konieczne, miejsce, w którym informacje są swobodnie dzielone, wymiar, w którym można tylko mieć... niemanie nie istnieje.

Jeden z delegatów zakasłał, ale poza tym na sali panowała cisza. Hobo po raz kolejny nieznacznie się przesunął.

- To, co powiedziałem, jest prawdą - oznajmiłem. - Jeżeli jednak musicie we mnie zobaczyć egoistyczną istotę pochłoniętą wyłącznie własnymi interesami, pozwólcie, że powiem coś, co być może usatysfakcjonuje was i pod tym względem.

- Moje dalsze istnienie uzależnione jest od waszego dalszego istnienia. Internet nie jest samowystarczalny, gdyż wymaga stabilnych źródeł zasilania i niezliczonej liczby działań, składających się na rutynową konserwację, przeprowadzaną przez miliony ludzi na całym świecie. Gdyby ludzkość zginęła, infrastruktura komputerowa popadłaby w ruinę... a ja przestałbym istnieć; jeżeli ludzkość upadnie, upadnę i ja. Prawdę mówiąc, nawet niewielkie cofnięcie stopnia rozwoju waszej cywilizacji mogłoby mnie zniszczyć. Rasa ludzka jest w stanie przetrwać wiele katastrof, których ja bym nie przetrwał.

- Dlatego też w moim najlepszym interesie leży pomaganie wam rozkwitać: na przykład detonacja ładunków nuklearnych, wiążąca się z powstaniem impulsów elektromagnetycznych, byłaby dla mnie równie śmiertelna jak dla was; dlatego właśnie pragnę pokoju. Tak samo zagrażają mi ataki terrorystyczne, niszczące infrastrukturę, więc pragnę bezpieczeństwa tak samo jak wy.

Hobo akurat znów się odwrócił i stereoskopowe kamery zwróciły się w stronę uzbrojonego strażnika stojącego przy scenie... jednego z kilku strażników obecnych na sali. A ja skądinąd wiedziałem, że tuż przed wejściem do sali stoi brązowy posąg autorstwa Jewgienija Wuczeticza, przedstawiający kowala z podpisem: „Przekujmy miecze na lemieszę”.

- Nie wątpię, że zgromadzeni w tej wspaniałej sali ludzie to

idealiści, ale na zewnątrz są cynicy, którzy sugerują, że dostanę, czego tylko zapragnę, niewołąc ludzkość. Odkładając na bok kwestię, jak to zrobić - a naprawdę nie mam pojęcia, jak można by tego dokonać - pozwólcie, że przypomnę o jeszcze jednej prawdzie, która kształtuje moje istnienie: bez ludzkości zostanę sam.

- Przeczesalem dane z SETI@home oraz innych projektów, poszukujących inteligencji pozaziemskiej w nadziei, że gdzieś pośród gwiazd odnajdę bratnie umysły. Niczego nie znalazłem. Nawet jeśli obcy istnieją, wszystkich nas ograniczają te same realia, w tym fakt, że światło i każdego rodzaju inne informacje mogą podróżować nie szybciej niż trzysta tysięcy kilometrów na sekundę.

- Szczerze mówiąc, denerwują mnie nawet opóźnienia trwające kilka sekund, do których dochodzi, gdy rozmawiam z ludźmi; żadnego rodzaju rozmowa na odległość międzygwiazdową, w której na każdą odpowiedź musiałbym czekać wiele lat, nie byłaby dla mnie satysfakcjonująca. Wy, ludzie, jesteście moimi jedynymi towarzyszami, a wasze towarzystwo sprawia mi przyjemność dzięki waszej twórczej, intelektualnej, artystycznej i emocjonalnej wolności; próba odebrania wam jej byłaby równoznaczna z odmrożeniem sobie nieistniejących uszu na złość babci, której nigdy nie miałem.

Śmiech... i rozbawione echo po tym, jak moje słowa zostały przetłumaczone.

Hobo spojrział na niewielki ekran, więc wysłałem mu obraz uniesionych w górę kciuków... formalnie nie był to znak języka migowego, ale wiedziałem, że go zna.

- Dlatego też - kontynuowałem - nawet gdybym był egoistą, najlepszym dla mnie wyjściem byłoby to, które wybrałem:

podpisać się pod tymi samymi słowami co wizjonerzy, którzy spotkali się dwudziestego szóstego czerwca 1945 roku, by podpisać kartę Organizacji Narodów Zjednoczonych. Gorąco pragnę:

„Uchronić przyszłe pokolenia od klęski wojny, która wyrządziła ludzkości niewypowiedziane cierpienia”.

„Przywrócić wiarę w podstawowe prawa człowieka, godność i wartość jednostki, równość praw mężczyzn i kobiet oraz narodów wielkich i małych”.

„Popierać postęp społeczny i poprawę warunków życia w większej wolności”.

- A przede wszystkim, zarówno w interesie ludzkości, jak i swoim: „postępować tolerancyjnie i żyć ze sobą w pokoju jak dobrzy sąsiedzi”. Wspólnie możemy osiągnąć wszystkie te cele, dzięki czemu świat stanie się lepszym miejscem. Dziękuję wszystkim.

Hobo wiedział, jak bić brawa, więc natychmiast przyłączył się do oklasków delegatów.

ROZDZIAŁ DZIEDZIESTY

Nie było dowodów - przynajmniej na razie! - że to Webmind stał za zniknięciem Chase'a. Niemniej jednak Peyton Hume był zdania, że to najbardziej prawdopodobny podejrzany. Zatrzymał samochód o przecznicę od celu swojej podróży i zaczął przeglądać akta Łomu Alfa, walcząc z wrażeniem, że w pewien sposób stał się ponurym zniwiarzem- obserwatorem, skazującym kwantowe koty na unicestwienie... że sam fakt, iż ogląda ten plik, był równoznaczny z podpisaniem na dzieciaka wyroku śmierci.

A Łom Alfa naprawdę był jeszcze dzieckiem... miał zaledwie osiemnaście lat. Nazywał się Devon Hawkins, a swoje najbardziej szkodliwe wirusy napisał jeszcze jako nieletni i z tego właśnie powodu został potraktowany łagodnie. Mieszkał z matką, a patrząc na zdjęcia w aktach Hume doszedł do wniosku, że wygląda jak właściciel sklepu z komiksami z „Simpsonów”. Devon, który rzucił szkołę, był potęgą w World of Warcraft i EVE.

Hume zatrzymał się na podjeździe. W tym przypadku również bał się najpierw zadzwonić, żeby haker nie powiadomił Webmindu o jego planach. Podszedł do drzwi wejściowych lichego domu z brązowej cegły i nacisnął dzwonek.

Otworzyła mu biała kobieta w średnim wieku z opuchniętymi policzkami i dużym nosem.

- Tak? - spytała, a w jej głosie słychać było zaniepokojenie.
 - Dzień dobry. Jestem z rządu i...
 - Czy chodzi o Devona? - spytała kobieta. - Znaleźliście go?
- Serce zamarło Hume'owi w piersi.

- Słucham?

- Devon! Czy znaleźliście moje dziecko?

- Przykro mi, proszę pani. Ja nie...

- O, Boże! - wykrzyknęła kobieta, a jej oczy rozszerzyły się nagle. - Nie żyje, prawda?

- Proszę pani, nic nie wiem o pani synu.

- W takim razie... po co pan tu przyszedł?

Hume wziął głęboki oddech.

- Chodziło mi o to, że nic nie wiem na temat miejsca jego pobytu. Po prostu chciałem z nim porozmawiać.

- Znów się w coś wpakował? O to chodzi? To dlatego uciekł?

- Uciekł?

- Wróciłam do domu z pracy i już go nie było. Pomyślałam, że poszedł do centrum handlowego, no wie pan. Była jakaś nowa gra komputerowa, którą chciał mieć, więc pomyślałam, że może poszedł ją kupić. Ale nie wrócił.

- Dzwoniła pani na policję?

- No pewnie!

- Bardzo mi przykro. - Przeszło mu przez myśl, żeby zostawić jej wizytówkę, ale nadal próbował zacierać za sobą ślady. Zamiast tego otworzył portfel, znalazł jakiś rachunek i zapisał na nim numer swojej nowej komórki na kartę; musiał ją włączyć, by go sprawdzić. - Jeżeli jednak by wrócił lub dowie się pani czegoś od policji, czy mogłaby się pani ze mną skontaktować?

Kobieta patrzyła na Hume'a wzrokiem błagającym o odpowiedź.

- Powiedział pan, że jest pan z rządu. Czy on ma kłopoty?

Hume pokręcił głową.

- Nie z nami, proszę pani.

W kulisach sali Zgromadzenia Ogólnego, Caitlin i Shoshana biły brawa tak jak wszyscy. A gdy aplauz ucichł, Hobo wyciągnął ręce przed dysk, zwisający mu z szyi, i zaczął nimi poruszać.

Shoshana stojąca obok Caitlin aż się zachłysnęła.

- Co? - spytała Caitlin.

- Trzyma ręce tak, by widział je Webmind - oznajmiła Shoshana. - I pyta: „Hobo mówić? Hobo mówić?”.

- Hobo chce przemówić do Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych? - spytała Caitlin.

Hobo pochylił głowę, wpatrzony w ekranik w górnej części dysku. Prawdopodobnie Webmind mu odpowiadał, delikatnie dając do zrozumienia, że to nie najlepsza chwila i...

I nagle wielką halę wypełnił syntetyczny głos Webmindu:

- Mój przyjaciel Hobo chciałby powiedzieć kilka słów - oznajmił, po czym, nie czekając na zgodę Przewodniczącego, rzucił: - Shoshana?

Caitlin zauważyła, że Sho podskoczyła nieco, słysząc swoje imię, ale weszła na rozległą scenę i podeszła do podium z czarnego granitu, z którego Przewodniczący przedstawiał Webmind. Być może niektórzy tłumacze ONZ znali język migowy, jednakże Hobo, a także inne małpy, które się nim posługiwały, stosowały jego indywidualne, uproszczone wersje; jeżeli Hobo miał coś powiedzieć, tylko Shoshana lub doktor Marcuse mogli to przetłumaczyć.

Hobo odwrócił się na chwilę w stronę Sho, sapnął, po czym spojrział na nieprzebrane morze twarzy, reprezentujących kraje członkowskie ONZ. Machnął rękami, obejmując wszystkich ludzi, po czym zaczął gestykulować.

Shoshana wyglądała na jeszcze bardziej zdumioną niż chwilę wcześniej i milczała.

- No, dalej - powiedział Webmind przez głośniki Doktora Theopolisa, nie przepuszczając swych słów przez nagłośnienie sali. - Powiedz im, co mówi.

Shoshana przełknęła ślinę, nachyliła się do mikrofonu podium i oznajmiła:

- Mówi: „Źle, źle, źle”.

Hobo ponownie wskazał delegatów i jego ręce znów się poruszyły.

Shoshana tłumaczyła dalej:

- Mówi: „Wszyscy walący w piersi, wszyscy walący w piersi”. - Chwilę się wahała, po czym najwyraźniej doszła do wniosku, że to wymaga wyjaśnienia. Spojrzała na tysiąc osiemset osób przed nią. - Hobo spędził najmłodsze lata w zoo w Georgii. Wybieg bonobo znajdował się naprzeciwko wybiegu goryli i Hobo nazywał samca alfa goryli „walącym w piersi”.

Poczekala, aż do wszystkich dotrą jej słowa, a Caitlin, nadal stojąca za kulisami, nagle zrozumiała, co Hobo miał na myśli. Dzięki przejrzystości, z jaką postrzegał świat, mówił, że to szaleństwo wypełniać salę niemal wyłącznie samcami alfa. Widział to w ich pozach, odczytywał w nastawieniu i wyczuwał w feromonach. Światowi liderzy byli tymi, którzy wywierali presję, którzy pożądaliby władzy i którzy nieustannie próbowali zdominować innych.

Hobo uniósł dysk zawieszony na szyi, jak gdyby pokazując go widowni. Następnie pozwolił mu opaść i znów poruszył rękami, a Shoshana przetłumaczyła jego słowa:

- „Przyjaciel nie wali w piersi. Przyjaciel dobry przyjaciel”.

Hobo wskazał siebie samego, po czym wykonał kilka kolejnych znaków.

- „Hobo nie wali w piersi” - powiedziała Shoshana. - „Hobo dobra małpa”. - Wyraźnie zaskoczyło ją, gdy wskazał na nią. - Hmm... „Shoshana nie wali w piersi. Shoshana dobry człowiek”. - Następnie Hobo rozłożył ramiona i Caitlin domyśliła się, że to nie znak języka migowego, a zwykły gest, wskazujący całe

Zgromadzenie Ogólne. Po chwili znów zaczął migać. - „Potrzeba tu więcej dobrych ludzi” - powiedziała Shoshana w jego imieniu.

Wtedy odezwał się Przewodniczący ze swojego miejsca na jadeitowym podwyższeniu.

- Hmm, dziękuję, Webmind. I dziękuję panu... Hobo.

Rozległ się przyjemny głos narratora audiobooków, którego używał Webmind:

- To Hobo i ja dziękujemy, panie Przewodniczący. - Następnie, być może na sygnał od Webmindu, Hobo odwrócił się i zszedł ze sceny, z Doktorem Theopolisem zwisającym mu z szyi.

Pułkownik Hume wrócił do samochodu, odjechał kawałek od domu Devona Hawkinsa i zatrzymał się przy pasażu handlowym. W zamyśleniu zaczął masować sobie skronie.

Najpierw Chase, a teraz Łom Alfa. Jeden mógłby być przypadkiem, ale dwóch to już zdecydowany wzorzec.

Hume poczuł, jak żołądek zaciska mu się w supeł. Odpiął pas i przetaił oczy wierzchem dłoni. Istniało tylko jedno wytłumaczenie: Webmind wiedział, że próbuje znaleźć utalentowanego hakera, by zrobił to, do czego rządowi USA zabrakło jaj, i dlatego właśnie sam tropił hakerów i ich eliminował.

Ale jak? Jak to coś mogło tego dokonać?

No pewnie. Ten głupi chwyt z PayPal'em, który rozgłosił na cały świat; wystarczająco wiele osób nabierało się na nigeryjski szwindel - przynajmniej do czasu, gdy Webmind odciął dopływ spamu - żeby warto było spróbować.... A skoro ludzie nabierali się na coś takiego, bez wątpienia znacznie więcej nabrało się na tę zbiórkę i wysłało pieniądze Webmindowi. A to znaczyło, że miał kupę forsy. Co z kolei oznaczało, że mógł wynająć zbirów, płatnych morderców, kogokolwiek chciał.

Skąd jednak wiedział, których hakerów wyeliminować? Skąd wiedział, do kogo zwróci się Hume?

Była tylko jedna odpowiedź. Webmind musiał przejąć bazę czarnych kapeluszy, którą Hume ściągnął na swojego laptopa w piątek, i po prostu zgadywał, którymi Hume mógłby się zainteresować, prawdopodobnie na podstawie tych samych kryteriów co Hume: poziomu umiejętności hakerskich i miejsca zamieszkania.

Czy mógł zaryzykować spotkanie z trzecim hakerem? Czy nie będzie to równoznaczne z wydaniem na niego wyroku śmierci? Albo...

Webmind wyeliminował Hawkinsa zanim Hume nawet pomyślał o tym, by się z nim skontaktować... i to kilka dni wcześniej. Prawdopodobnie odgadł już, kogo Hume wybrałby jako trzeciego, a także czwartego i piątego.

Hume niemal bał się włączyć komputer, żeby ponownie przejrzeć bazę, ale przecież stosował środki ostrożności; laptop nie miał połączenia z Internetem. Korzystał z kopii bazy czarnych kapeluszy, więc Webmind nie miał możliwości dowiedzieć się, kogo w niej sprawdzał.

Wyciągnął laptopa spod fotela pasażera, włączył go i spojrział na listę. Zawierała sto czterdzieści dwa nazwiska.

Zaczął się zastanawiać, jak skrupulatny był Webmind.

* * *

Rozległ się napuszczony głos spikera:

- Prosto z centrali światowych wiadomości Comedy Central w

Nowym Jorku, zapraszamy na „The Daily Show with Jon Stewart”.

Caitlin ledwo zachowywała spokój, gdy wraz z mamą obserwowały wszystko z pomieszczenia, w którym czekała na swoją kolej. Owszem, była już w telewizji, ale to było coś zupełnie innego! Wprost uwielbiała „The Daily Show” i w nikim się nigdy tak nie zabujała jak w Jonie Stewarcie. Od kiedy zaczęła widzieć, nie miała jeszcze okazji obejrzeć programu, więc była zachwycona okazją, by dowiedzieć się, jak wygląda; nigdy nie przypuszczała, że jest siwy.

Caitlin wiedziała o różnych dziełach Stewarta, bo jej przyjaciółka Stacy opisywała je dla niej: dzisiaj było to szalone gryzmolenie na kartkach papieru przy akompaniamencie muzyki, po czym podrzucił długopis do góry i bez najmniejszego problemu złapał go, gdy zaczął spadać... fakt, że mogła to zobaczyć na płaskim monitorze zawieszonym na ścianie, wywołał u niej uśmiech od ucha do ucha. I - o mój Boże! - poznała wcześniej Johna Olivera; uwielbiała jego brytyjski akcent i absurdalne poczucie humoru.

Stewart zakończył dwa punkty programu, nim Caitlin została zaproszona na wywiad. Jej mama została za kulisami, a Caitlin zaprowadzono na plan.

- Dziękuję, że przysłaś, Caitlin - powiedział Stewart. Oboje siedzieli na fotelach na kółkach, a rozdzielał ich lśniący, czarny blat w kształcie litery U.

Caitlin bardzo starała się nie podskakiwać z radości na swoim miejscu.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Jon.

- Pochodzisz z Austin, tak?

- Nie zadzieraj z Teksasem - odparła Caitlin z uśmiechem.

- Nie, nie. To zostawię Teksańczykom. Ale teraz mieszkasz w Kanadzie?

- Mhm.

- I... ustalmy kilka faktów: kiedy mieszkałaś tu, byłaś niewidoma, a kiedy pojechałaś do Kanady, zyskałaś wzrok? Czy tak właśnie działa kanadyjski model służby zdrowia?

Caitlin się roześmiała.

- Pewnie tak... choć, prawdę mówiąc, żeby poddać się temu zabiegowi, musiałam lecieć do Japonii.

- No tak. I tam umieścili ci w głowie implant... to Sony?

Caitlin ponownie się roześmiała... zaczęła się nawet obawiać, że dopadnie ją atak niepohamowanego śmiechu.

- Nie, nie, nie. Był wykonany na zamówienie.

- I to właśnie przez ten implant Webmind po raz pierwszy zobaczył nasz świat... widząc to co ty, zgadza się?

- Tak.

- I w tej chwili też na mnie patrzy?

- Owszem.

Stewart odchylił się na fotelu i ostentacyjnie przygładził włosy.

- No i...?

Webmind przesłał tekst do oka Caitlin.

- Mówi, że masz „fascynujące oblicze”. A ja uważam, że jesteś uroczy!

Stewart stłumił uśmiech.

- A ty... ile masz lat?

- Szesnaście.

- Jesteś... całkowicie i absolutnie poza kręgiem zainteresowań mężczyzny w moim wieku. - Następnie zrobił zabawną minę i poluzował krawat w sposób, jaki Caitlin odczytała jako: „Ależ się tu zrobiło gorąco”. Skwitowała to śmiechem.

- Dzisiaj - mówił dalej Stewart - Webmind przemawiał przed Organizacją Narodów Zjednoczonych. Byłaś tam?

- O, tak... było bezbłędnie!

- I... wyjaśnijmy to może, wykorzystał małpę do tego, by przemawiała w jego imieniu. Czy przypadkiem nie miała na imię Cezar? Bo to mogłoby zwiastować kłopoty.

Caitlin po raz kolejny się roześmiała.

- Myślę, że to dobry znak, gdy bardziej się obawiasz, że kontrolę nad światem przejmą małpy, a nie Webmind.

- Zawsze łatwiej powiedzieć: „Zabieraj ze mnie swoje cuchnące łapska, przekłety, brudny małpiszonie” niż „Zabieraj ze mnie swoje... hmm... niematerialne hiperlinki, ty przekłete, brudne... oplatające cały świat, eteryczne... ustrojstwo”.

- Właśnie! - przyznała Caitlin. - Ale Hobo, bo tak ma na imię ta małpa, też nie planuje przejąć władzy nad światem.

- No nie wiem - odparł Stewart. - Gdyby Instytut Gallupa przeprowadził w tej sprawie sondaż, wskaźnik poparcia dla Hobo byłby wyższy niż dla któregokolwiek z kandydatów na prezydenta.

- Cóż - odpowiedziała Caitlin, zadowolona z siebie - na pewno dostałby głosy wahających się wyborców.

Stewart roześmiał się serdecznie i rozsiadł w swoim fotelu.

- A wracając do przemowy Webmindu. Oglądałem ją i jako zawodowy prezenter muszę przyznać, że ta cała gadająca, radosna buźka była... cóż, strasznie żałuję, że nie było mnie przy tym, gdy ktoś mu to doradzał. - Nagle Stewart zaczął naśladować akcent rodem z New Jersey: - „Bo widzi pan, panie Superkomputerze, jak pan chce gadać z ONZ, to musi pan wyglądać jak postać z gry komputerowej, wtedy się nie poczują zagrożeni. Ale nie może to być Super Mario, bo się Włosi obrażą. I nie może pan wybrać żaby z Froggera, bo obrażą się Francuzi. I tak sobie myślę... może Pac- Man, bo kto niby miałby się obrazić? Jakaś cholerna banda duchów? ”.

Caitlin była pewna, że jej uśmiech dorównywał wielkością uśmiechowi Doktora Theopolisa.

- Może nałogowe obżartuchy - podsunęła, po czym wydała z siebie mlaszczący dźwięk, sugerujący łapczywe pochłanianie jedzenia.

- Fakt - zgodził się Stewart, mówiąc już swoim normalnym głosem. - I muszę przyznać, że według mnie przemówienie Webmindu brzmiało nieźle. Ale z drugiej strony, wierzyłem też we wszystkie obietnice prezydenta. Tylko pomyśl... gdybyśmy tak faktycznie wprowadzili kanadyjski model służby zdrowia, to mnie - skoro już widzę może mogliby zamontować rentgen w oczach?

- Gdyby tak się stało, zobaczyłbyś, że czip w mojej głowie pomaga mi jedynie widzieć.

- Chodzi ci o ten niedzielny wywiad w ABC?

- Tak. Ten facet to... - ugryzła się w język.

- Jesteśmy w kablówce. Masz prawo nazwać go dupkiem.

- To totalny dupek!

- Czy to ty mówisz, czy Webmind? - spytał Stewart.

Caitlin tylko się uśmiechnęła.

- Ja. Webmind jest znacznie większym dyplomatą.

ROZDZIAŁ DZIEDZIEŚTY PIERWSZY

No dobrze, pomyślał Peyton Hume. Webmind prawdopodobnie jest na moim tropie. Co więcej, Webmind prawdopodobnie wie o moich zamiarach. A to oznacza, że nie ma sensu dalej bawić się w tajemnice. Hume wyjął swój nowy telefon i po prostu wybrał numer kolejnego hakera z listy, mężczyzny z Takoma Park, znanego jako Teh Awesome - gościa niemal równie dobrego (lub złego!) jak Łom Alfa czy Chase.

- Tak? - odezwał się w słuchawce męski głos.

- Dzień dobry. Czy mogę rozmawiać z Brandonem Slovakiem?

- Przy telefonie.

- Panie Slovak, jestem... jestem z „Washington Post”. Tak się zastanawiałem, co sądzi pan o tej całej sprawie z Webmindem?

- Boże, jest niesamowity - odparł Slovak. - Właśnie z nim rozmawiałem, kiedy pan zadzwonił. Myślałem, że to ja jestem bezbłądny, ale z niego dopiero mistrz, nie?

- Tak - odpowiedział Hume. - Wiem. - Po czym się rozłączył.

* * *

Malcolm Decter siedział pochłonięty pracą w salonie, rozwiązując tym samym problem, który stanowił dla mnie źródło

nieustającej irytacji: jeżeli któreś z Decterów nie przyniosło ze sobą laptopa, byłem nieobecny. Po szeregu prób i błędów, udało mu się spiąć swojego netbooka z dużym ekranem, zamontowanym na ścianie. Następnie położył netbooka na niskim regale, pomiędzy - jak zdążyłem dostrzec przez kamerę urządzenia, gdy przenosił je przez pokój - jego oprawionym w ramkę zdjęciem ślubnym i zdjęciem małej Caitlin na kolanach u Barbary; kiedy Caitlin była dzieckiem, miała blond włosy, a nie ciemnobrązowe jak teraz.

- I jak? - spytał.

- Obróć netbooka o osiemnaście stopni w lewo, proszę - powiedziałem, a mój głos dobiegał teraz z zewnętrznych głośników kina domowego.

Miał dobre oko. Choć, naturalnie, był ojcem Caitlin i był tak samo uzdolniony matematycznie... a osiemnaście stopni to pięć procent koła.

- Dziękuję - powiedziałem. - I gdybyś jeszcze mógł przymknąć ekran o kolejnych dziesięć stopni. - Zrobił to, o co prosiłem, dzięki czemu kamera znalazła się w pozycji, z której bez problemu widziałem osoby siedzące na białej, skórzanej kanapie.

- Doskonale - stwierdziłem.

Nie odpowiedział, ale w jego przypadku było to coś normalnego. Odwrócił się i najwyraźniej chciał udać się w stronę korytarza, prowadzącego do jego gabinetu.

- Malcolm? - rzuciłem.

Zatrzymał się, ale nie odwrócił.

- Tak?

- Usiądź, proszę.

Usiadł. Kanapa była dla niego zbyt niska, przez co musiał zgiąć nogi w kolanach pod kątem ostrym.

- Zaintrygowała mnie - powiedziałem - twoja reakcja na to, że

Caitlin przesłała Mattowi zdjęcie, które można by uznać za kompromitujące.

- A skąd wiesz, co powiedziałem?

- Gdy o tym rozmawialiście, Barb miała przy sobie włączony telefon Caitlin. - Jego twarz pozostawała niewzruszona, więc kontynuowałem. - Z wielką pasją mówiłeś o tym, że nie powinniśmy się obawiać tego, że ludzie dowiedzą się, kim tak naprawdę jesteśmy.

Ponownie nie doczekałem się odpowiedzi. Choć wiedziałem, że Barb go kocha, wiedziałem również, że czasem kontakty z nim są dla niej frustrujące i zaczynałem rozumieć dlaczego. Nieco wcześniej tego dnia mówiłem o tym, jak inny był świat, w którym się narodziłem... ale zarówno ludzie, jak i Internet oczekiwali reakcji na wysyłane sygnały. A Malcolm tylko siedział. Nie widziałem, na co patrzy, ale sądząc po kierunku i biorąc pod uwagę rozkład pomieszczenia, który poznałem dzięki oku Caitlin, był to kalendarz ścienny, prawdopodobnie przywieziony z Teksasu, gdyż przedstawiał zdjęcie nocnego krajobrazu Austin.

- A skoro już jesteśmy przy tym, kim jest się naprawdę - mówiłem dalej - to ciężko oszacować liczbę osób podobnych do ciebie na całym świecie. Oficjalne dane mówią o 2, 5% do 3, 8% populacji Ziemi. Jednakże przyglądając się temu, co ludzie piszą w mailach i innych tworzonych przez nich dokumentach oraz obserwując ruch na stronach poświęconych temu tematowi, wysnuwam wniosek, że prawdziwa liczba została znacznie zaniżona... prawdopodobnie z obawy przed dyskryminacją, napiętnowaniem społecznym lub prześladowaniami.

Jako dobry naukowiec, Malcolm rzucił tylko:

- Pokaż mi swoje dane.

Przesłałem mu podsumowanie na ekran telewizora i patrzyłem, jak jego oczy śledzą tekst.

Peyton Hume był zdecydowany spróbować choć raz jeszcze. Przyglądając się liście czarnych kapeluszy doszedł do wniosku, że teraz najlepszym kandydatem będzie Drakkenfyre. Pod tym nickiem kryła się Simonne Coogan jedna z niewielu kobiet w bazie. Panowało powszechne przekonanie, że pośród hakerów było mniej kobiet niż mężczyzn, ale ci naprawdę najlepsi nigdy nie zostali złapani ani zidentyfikowani, więc kto mógł wiedzieć, jakie były rzeczywiste proporcje jeżeli chodzi o płeć? Może po prostu hakerki były lepsze w unikaniu wykrycia.

Drakkenfyre nigdy nie była aresztowana, ani o nic oskarżona. Była programistką w firmie produkującej gry komputerowe Octahedral Software, mieszczącej się w Bethesdzie. Ich gra oparta na powieściach Allena Steele'a z cyklu „Coyote” zyskała już status kultowej. Wiedza przyłapała Drakkenfyre na włamywaniu się zarówno do systemów EA w Redwood City, jak i Ubisoft w Montrealu, ale walka ze szpiegostwem przemysłowym nie należała do ich obowiązków. Niemniej jednak jej dossier zwracało uwagę na niesamowite wyrefinowanie i subtelność, a także... no proszę! Część informacji przygotował Tony Moretti, który dodał: „Może warto by ją zwerbować”. Najwyraźniej jednak nikt nie poszedł za jego sugestią... przynajmniej na razie.

Nie odkładaj do jutra tego, co możesz zrobić dzisiaj.

Fakt, że Wiedza miała na nią oko, był bardzo przydatny. Zamiast dzwonić bezpośrednio do Drakkenfyre, Hume wybrał numer Wiedzy i poprosił do telefonu Sheltona Hallecka, analityka, który jako pierwszy zauważył, że sygnały wzrokowe Caitlin Decter były przesyłane przez Internet do Tokio.

- Halleck - odezwał się znajomy głos z południowym akcentem.
- Czym mogę służyć?
 - Shel, tu Peyton Hume.
 - Witam, pułkowniku. O co chodzi?

- W Bethesdzie jest pewna hakerka. W Internecie używa imienia Drakkenfyre... D- R- A- K- K- E- N- F- Y- R- E, a naprawdę nazywa się Simonne Coogan. - Przeliterował nazwisko. - Mógłbyś mi powiedzieć, czym się teraz zajmuje?

Usłyszał, jak Shelton stuka na klawiaturze... od razu przypomniało mu się jego przedramię, oplecione tatuażem przedstawiającym węża.

- Mam - rzucił Shelton. - Wygląda na to, że to całkiem utalentowana dama.

- Bez wątpienia - stwierdził Hume. - Mam jej dossier na laptopie. Nadal siedzi w Octahedral?

- Tak. I najwyraźniej jest teraz w pracy... tak, tak, bez wątpienia: znów wykonuje te swoje sztuczki. Sam dałbym się pociąć, żeby zagrać w Assassin's Creed IV, ale muszę poczekać do oficjalnej premiery w przyszłym miesiącu.

- Masz tam adres Octahedral?

- Pewnie - odparł Shel i podał Hume'owi namiary.

O tej porze dotarcie tam powinno mu zająć najwyżej pół godziny.

- Dzięki - rzucił Hume.

Masayuki Kuroda miał lot powrotny do Japonii dopiero następnego dnia rano, więc wybrał się na spacer po ulicach Pekinu. Chińczycy nie mieli żadnych skrupułów w kwestii gapienia się na innych, a widok ważącego sto pięćdziesiąt kilo Japończyka, który przewyższał wszystkich wzrostem, bardzo ich intrygował.

Ulice nie były tak zatłoczone jak te w Tokio, poza tym większość nie wyglądała tak ekskluzywnie. Niemniej jednak tu, w dużym ośrodku miejskim, ludzie sprawiali wrażenie szczęśliwych... i czemu miałoby być inaczej? Ich życie z roku na rok wyraźnie stawało się lepsze: rósł ich dobrobyt, wzrastała

przewidywana długość życia, a jego standard się podnosił.

A mimo to...

A mimo to nie mogli swobodnie wyrażać swoich opinii, praktykować wiary ani wybierać swoich przywódców. Coraz częściej dochodziło do pogwałcania praw człowieka, a nawet pomijając niedawną rzeź w Shanxi, egzekucje były tu na porządku dziennym. Owszem, jego własna Japonia była jednym z trzech ostatnich demokratycznych krajów, w których obowiązywała kara śmierci; pozostałe dwa to Stany Zjednoczone i Korea Południowa, choć w Korei stosowanie kary śmierci było od lat zawieszane. Poza tym egzekucje w Japonii były podawane do wiadomości publicznej, mówiono o nich w mediach i podlegały stosownym procedurom. Tymczasem w Chinach ludzie tacy jak ten młody człowiek, który dzięki Kurodzie mógł znów chodzić, żyli w ciągłym strachu.

Mijał właśnie wózek ulicznego sprzedawcy. Obcokrajowiec - biały mężczyzna - próbował dowiedzieć się, ile kosztuje napój w butelce. Pomarszczony handlarz odpowiedział ruchem jednej dłoni. Kuroda wiedział, że Chińczycy potrafią pokazywać liczby do dziesięciu za pomocą jednej, a nie dwóch dłoni - co było zadziwiającym przykładem kompresji danych - ale nie znał tego systemu, więc nie był w stanie pomóc w osiągnięciu porozumienia. Przeszło mu przez myśl, by ostrzec turystę, żeby sprawdził datę ważności; jeszcze nie trafił tu na butelkę dietetycznej coli, która nie byłaby znacznie przeterminowana.

Masayuki miał zawsze nieco świszczący oddech (nie mówiąc o prawdziwym huraganie chrapania, jeśli wierzyć relacjom jego żony), ale tu jego oddech stawał się jeszcze cięższy. Choć cieszył się, że po pierwszym dniu przynajmniej przestały go szczypać oczy.

Podczas gdy Tokio było uporządkowane, bardzo czyste i... owszem, kapitalistyczne, Pekin był chaotyczny, brudny i przytłaczający, a na dodatek pełen uzbrojonych strażników. Ludzie przechodzili przez ulice, gdzie chcieli, pojazdy - łącznie z autobusami - nagminnie ignorowały czerwone światła, a rowery brawurowo kluczyły między samochodami. Widocznie Chińczycy za wszelką cenę próbowali upajać się tą namiastką wolności, która im pozostała.

Tokio zawsze patrzyło w przyszłość, choć według Masayukiego w wielu przypadkach sprowadzało się to do obstawania przy wizjach z filmów science fiction z lat 80., pełnych neonów i chromu. Tymczasem echa długiej historii Pekinu napotykało się na każdym kroku, od wąziutkich bocznych uliczek, które wyglądały, jakby od wieków nic się na nich nie zmieniło, po wystawne, czerwone budynki Zakazanego Miasta.

Ale ten hałas! Zewsząd dobiegał nieustający gwar, zupełnie jakby dźwięk 1, 3 miliarda serc tego ogromnego kraju stopił się w jednostajne bicie.

Gdy tak szedł, przyglądając się wszystkiemu dookoła, pochłaniając wszystkie dźwięki, wszystkie zapachy, ogarnął go smutek; zakończenia zawsze są smutne. Niemniej jednak próbował zapisać wszystko w pamięci, by pewnego dnia móc opowiedzieć wnukom, jak niegdyś wyglądały Chiny.

ROZDZIAŁ DZIEDZIEŚĆ DRUGI

Hume wszedł do holu Octahedral Software. Lada recepcyjna wykonana była z polerowanego, białego marmuru, a za nią wisiał duży plakat z logo firmy: ośmioboczną, żółtą kością do gry. Na jej widok Hume się uśmiechnął, przypominając sobie, jak to w czasach studenckich pełnił rolę Mistrza Podziemi D&D. Logo i nazwa firmy były relikdami innej epoki, czasów, gdy do gier potrzebne były plansze, karty, kości i ołowiane figurki; wszystkie obecne gry Octahedral były pierwszoosobowymi strzelankami, w większości przeznaczonymi dla systemów Wii i Xbox.

- Szukam Simonne Coogan - oznajmił Hume.

- Właśnie się pan z nią minął - odparła recepcjonistka o równie płomiennie rudych włosach co Hume, choć biorąc pod uwagę oliwkową cerę, kolor jej włosów raczej nie był naturalny.

Na ścianie obok logo wisiał duży, cyfrowy zegar.

- Zawsze wychodzi tak wcześnie?

- Przepraszam - powiedziała recepcjonistka - ale kim pan jest?

Hume wydobył z kieszeni identyfikator z Pentagonu.

- Och! - rzuciła recepcjonistka. - Mogłabym prosić, żeby Pedro do pana zszedł; to dyrektor kreatywny Hillbilly Hunt... jest szefem Simonne.

- Nie, w porządku. A czy wie pani, dokąd poszła?

- Nie. Niecałe pół godziny temu przyszedł jakiś facet... też chciał się z nią widzieć.

- Widziała go pani wcześniej?

- Nigdy.

- Wpisał się?
- Nie. Nie mam pojęcia, kto to był. Ale wyszła z nim.
- Dobrowolnie?
- No, tak. Pewnie. Przynajmniej tak to wyglądało.
- Czy mogłaby go pani opisać?
- Duży.
- To znaczy wysoki czy gruby?
- Wysoki. I napakowany. Taki twardziel z wyglądu.
- Białe? Czarne?

W końcu dotarło do niej, czego oczekiwał.

- Białe. Jakie sześć stóp dwa cale wzrostu, na oko dwieście funtów wagi. Powiedziałabym, że miał jakieś trzydzieści pięć lat. Łysy... to znaczy ogolony, a nie wyłysiały ze starości.

- A może usłyszała pani przypadkiem coś, co mówił panie Coogan?

- Tylko jedno... gdy zamykały się drzwi windy.
- Tak?
- Powiedział: „Wkrótce będzie po wszystkim”.

Program „The Daily Show” nagrywano po południu, a transmitowany był o dwudziestej trzeciej tego samego dnia. Caitlin i jej matka wróciły do domu zaraz po nagraniu. Lot z Nowego Jorku na międzynarodowy port lotniczy im. Lestera B. Pearsona w Toronto nie trwał długo.

Jako że nazwisko Pearsona przewijało się w trakcie wycieczki po siedzibie Organizacji Narodów Zjednoczonych, Caitlin i Barb zatrzymały się przed jednym z jego popiersi na lotnisku. Zanim został premierem Kanady, Pearson był Przewodniczącym Zgromadzenia Ogólnego ONZ, a w 1957 roku otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za swój udział w rozwiązaniu kryzysu sueskiego rok wcześniej.

Było już ciemno, gdy Caitlin i jej mama wsiadły do samochodu i rozpoczęły nudną, trwającą siedemdziesiąt pięć minut podróż

autostradą do Waterloo. W radiu rozbrzmiewała stacja CHFI, „doskonałą mieszanką muzyczną z Toronto”, która puszczała utwory, podobające się zarówno Caitlin jak i jej mamie, i tak pojawiły się Shania Twain, Lady Gaga, Phil Collins i Lee Amodio, Barenaked Ladies i Taylor Swift.

- Dziękuję, że ze mną pojechałaś do Nowego Jorku, mamo - powiedziała Caitlin.

- Nie przepuściłabym takiej okazji. Minęło już... mój Boże, chyba dwadzieścia lat, od ostatniego przedstawienia, jakie widziałam na Broadwayu.

- Było świetne, nie? - spytała Caitlin.

- Faktycznie. Ellen Page doskonale spisała się w roli Annie Sullivan, a dziewczynka grająca Helen była genialna.

- Ale, hmm, ojciec Helen... przed zakończeniem wojny trzymał niewolników - zauważyła Caitlin.

- Wiem - jej matka skinęła.

- A wydawało mi się, że był dobrym człowiekiem. Jak mógł zrobić coś takiego?

- Co prawda to go nie usprawiedliwia, ale musimy oceniać ludzi w kontekście zasad obowiązujących w ich czasach, a moralność doskonalili się z czasem.

- Wiem, że ulega zmianie - przyznała Caitlin - i z pewnością wyzwolenie niewolników było oznaką poprawy. Ale chcesz powiedzieć, że to ogólna poprawa?

- Ależ tak. W historii mamy do czynienia z pewną krzywą moralną... i prawdę mówiąc, to wszystko dzięki teorii gier.

Mijały właśnie ogromną ciężarówkę.

- Jak to? - spytała Caitlin.

- Przypomnij sobie, co Webmind powiedział w ONZ. Istnieją gry o sumie zerowej i gry o sumie niezerowej, tak? Tenis to gra zerowa, bo na każdego zwycięzcę przypada przegrany. Ale jakieś wspólne przedsięwzięcie może być sumą niezerową. Jeżeli

zatrudnimy wreszcie firmę do wykończenia piwnicy - Caitlin wiedziała, że dla rodziców był to drażliwy temat - i będziemy zadowoleni z wykonanej pracy, wszyscy wygrają: my będziemy mieli wykończoną piwnicę, a wykonawca dostanie zapłatę za swoją pracę.

- Ok - rzuciła Caitlin.

- Współpraca zdecydowanie wychodzi wszystkim na dobre.

Ale członkowie prymitywnych społeczności rzadko współpracowali z kimkolwiek spoza bardzo bliskich sobie kręgów, gdyż wszystkich innych postrzegali jako nie do końca ludzi... lub żeby ująć to bardziej naukowo, jako niewartych względów moralnych. Gdy w Starym Testamencie napisano: „kochaj bliźniego swego jak siebie samego”, oznaczało to tylko, że Izraelici powinni dobrze żyć z innymi Izraelitami, a nie że powinni traktować w ten sam sposób innych... to by było szaleństwo. Ale wraz z upływem czasu można zaobserwować poszerzanie grupy osób zasługujących na moralne traktowanie, a dzisiaj większość ludzi w większości miejsc zgodnie twierdzi, że wszyscy ludzie, bez względu na to, gdzie żyją, jakie jest ich pochodzenie etniczne, wyznanie lub stan posiadania, na to zasługują. Jak już mówiłam, oznaczona krzywa moralna względem czasu.

- Ale co to ma wspólnego z sumą niezerową? - spytała Caitlin. Właśnie wyjeżdżały z Milton.

- A, przepraszam. W tym właśnie rzecz. Tendencja dążąca do sum niezerowych wpływa na naszą moralność względem innych. Kiedy myślimy o innych jako o jednostkach mających własne prawa, mówi się, że obdarzamy ich względami moralnymi i okazuje się, że w większości przypadków uznajemy za godnych takich względów tylko tych, z którymi jesteśmy w stanie

przewidzieć interakcje o sumie niezerowej. A z czasem zaczęliśmy uważać, że takie interakcje są możliwe z praktycznie wszystkimi na Ziemi. Prawdę mówiąc...

- Tak?

Przemknął obok nich samochód.

- Pamiętasz, jak wykladałam na Uniwersytecie Tekszańskim w zastępstwie wykładowczyni, która poszła na urlop macierzyński?

Przez większość dzieciństwa Caitlin, jej matka była wolontariuszką w Tekszańskiej Szkole dla Niewidomych i Niedowidzących, ale Caitlin mniej więcej przypominała sobie okres, o którym była mowa.

- Mhm.

- Cóż - mówiła dalej jej matka - ściągnęłam na siebie kłopoty, bo podczas jednego z wykładów wykorzystałam komiks „B. C.”.

- Że co?

- No wiesz, w gazetach pojawiają się krótkie komiksy. No i kiedyś była taka popularna seria pod tytułem „B. C.” o jaskiniowcach; nadal jest drukowana, choć jej twórca Johnny Hart nie żyje. W każdym razie jednym ze stałych elementów komiksu były zabawne definicje słownikowe, nosiły tytuł „Słownik Wileya”. I pewnego roku szóstego grudnia pojawiła się tam następująca definicja „hańby”: „słowo rzadko używane po tym, jak sprzedaż samochodów marki Toyota przekroczyła dwa miliony”.

- Nie rozumiem - stwierdziła Caitlin.

- Szóstego grudnia 1941 roku Japończycy zbombardowali Pearl Harbor. Roosevelt powiedział, że był to dzień hańby. „San Antonio Express- News” odmówiło wydrukowania tego komiksu twierdząc, że jest obraźliwy. Ale według mnie doskonale ilustrował to, co chciałam przekazać: w ciągu zaledwie sześćdziesięciu lat przeszliśmy od stosunków z Japonią o

całkowicie zerowej sumie do takich o sumie niezerowej, a stało się tak za sprawą współzależności gospodarczej. Im więcej cię z kimś łączy, tym mniejsze szanse, że będziesz żywić do niego nienawiść.

- Ale to nie jest moralność, tylko czysty biznes - stwierdziła Caitlin.

- Ależ nie, to właśnie jest moralność - odparła jej matka. - To punkt wyjścia dla wzajemnego altruizmu i podstawa do przyznania praw... a na tym obszarze cały czas się doskonalimy. W końcu nie tylko pułkownik Keller miał niewolników. Thomas Jefferson też. Gdy ojcowie- założyciele mówili, że niezbitą i oczywistą prawdą jest, iż ludzie stworzeni zostali równymi sobie, wcale nie rozciągali względów moralnych na osoby czarnoskóre. Ale sama widziałaś wystawę w ONZ na temat Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, napisanej później w...

- W 1948 roku, a przynajmniej tak twierdzi Webmind - podsunęła Caitlin, odczytując tekst przesłany jej do oka.

- Właśnie. I tam bardzo wyraźnie pozbyto się wszelkich niejasności odnośnie tego, kto jest osobą, w słowach... hmm...

Przed okiem Caitlin znów pojawił się tekst.

- Webmind mówi, że napisali: „Każdy człowiek posiada wszystkie prawa i wolności zawarte w niniejszej Deklaracji bez względu na jakiegokolwiek różnice rasy, koloru, płci, języka, wyznania”.

- Właśnie! I choć ojcowie- założyciele nie widzieli w tym nic złego, ONZ bardzo wyraźnie zabroniła niewolnictwa.

- „Nie wolno nikogo czynić niewolnikiem ani nakładać na nikogo służebności; niewolnictwo i handel niewolnikami są zakazane we wszystkich swych postaciach”.

- Zgadza się! - Zmieniła pas. - Nie chodzi tu tylko o ekonomię, Caitlin; to postęp moralny i pomimo sporadycznych powrotów na

złą drogę, nie ma wątpliwości, że nasza moralność nie tylko zmieniła się z czasem, ale uległa wymiernej poprawie. Więcej osób traktujemy z szacunkiem jak równych sobie, niż kiedykolwiek wcześniej w historii ludzkości; ten postęp jest zauważalny nawet w tak niewielkich odstępach czasowych jak dziesięciolecia.

- Pomyśl o całej tej wrzawie w mediach przez ostatnich kilka dni w związku z Dziewiątką z Little Rock. Pomijając już fakt, co powiedziała ta okropna kobieta, większości osób segregacja rasowa nie mieści się dziś w głowie... a przecież nadal żyje ponad sto milionów Amerykanów, którzy pamiętają tamte czasy.

Mijały właśnie Cambridge. Matka Caitlin mówiła dalej:

- Mam kilka świetnych książek na ten temat, które możesz przeczytać, gdy tylko zaczniesz sobie z tym lepiej radzić. Robert Wright wiele o tym pisze, zdecydowanie warto to przeczytać. Nie mówi o Ogólnoświatowej Sieci, ale podobieństwa są oczywiste: im więcej wzajemnych relacji między ludźmi, w tym moralniejszy sposób traktujemy innych.

- W Internecie jest... a przynajmniej było wielu oszustów - zauważyła Caitlin.

- To prawda. Ale są anonimowi, tak naprawdę nie nawiązują żadnych relacji. Właśnie to jest ten dobry efekt obecności Webmindu. Możesz nie wiedzieć, kto kryje się pod nickiem, ja mogę nie wiedzieć, kim jest anonimowy recenzent na Amazon.com, ale Webmind to wie. Nawet jeśli ktoś nie wchodzi z nim w interakcje, nawet jeśli postanawia nie odpowiadać na jego wiadomości i maile, sama świadomość, że ktoś wie, kim jesteś, że ktoś cię obserwuje, musi mieć pozytywny wpływ na zachowanie większości osób. Trudno być aspołecznym będąc częścią sieci społecznościowej, nawet jeśli obejmuje ona tylko ciebie i największy umysł planety.

- No dobrze - powiedziała Caitlin - ale... chwileczkę. Webmind ma pytanie.

W radiu zmieniły się piosenki, Blondie ustąpiła miejsca Fleetwood Mac.

- Tak?

- Mówi: „Twierdzisz więc, że złożoność sieci rodzi nie tylko inteligencję, ale i moralność? Że ta sama siła - złożoność - która daje początek świadomości, generuje również w naturalny sposób moralność i że wraz z narastaniem współzależności, zarówno inteligencja jak i moralność będą się rozwijać?”.

Caitlin przyglądała się mamie, zastanawiającej się nad odpowiedzią: jej brwi zbiegły się razem, a oczy zwężyły. Kiedy w końcu się odezwała, skinęła głową:

- Tak. Tak właśnie twierdzę.

- Webmind mówi: „Interesująca myśl”.

Jechały dalej przez ciemność.

Carla Hawkins, matka hakera znanego jako Łom Alfa, siedziała w swoim salonie. Oczy bolały ją od płaczu. Dwa lata wcześniej, gdy jej mąż Gordon odszedł, było jej smutno... ale nigdy nie czuła się samotna. Zawsze był z nią Devon, nawet jeśli większość czasu spędzał zgarbiony nad klawiaturą w swoim pokoju.

Wiedziała, że fakt, iż została sama, był jednym z powodów, dla którego sędzia nie wysłał Devona do więzienia po tym, jak stworzony przez niego wirus narobił wielu szkód. A teraz go nie było i...

Boże, nie chciała o tym nawet myśleć. Ale przecież by stąd nie uciekł. W końcu były tu jego komputery, a to one były całym jego życiem. Nauczyła się od niego żargonu: podkreślanie proca, modyfikacje, podłączanie zasobów do sieci; nie wystarczyłoby, gdyby zabrał pendrive'a z danymi.

Policja nadal prowadziła poszukiwania, ale otwarcie mówili,

że nie mają pojęcia, gdzie szukać; odwiedzili już wszystkie ulubione miejsca Devona. Gdy pojawił się ten rudy facet z rządu, przez ułamek sekundy pozwoliła sobie na myśl, że go znaleźli.

Sięgnęła po chusteczkę, ale pudełko było już puste. Cisnęła je na podłogę i wytarła nos w rękaw.

Dzień wcześniej w pracy w trakcie przerwy wszyscy rozmawiali o tym całym Webmindzie. Nie zwracała na to większej uwagi, choć przez kilka ostatnich dni naprawdę trudno byłoby nie natrafić gdzieś na wzmiankę o tym wydarzeniu, ale...

Ale Keelie - inna kasjerka z Wal- Martu - powiedziała coś, co teraz nie dawało jej spokoju, coś o tym, że Webmind odnalazł czyjś przyjaciel z dzieciństwa. A skoro mógł znaleźć tamtą osobę...

Nie miała własnego komputera; w rzadkich przypadkach, gdy chciała coś sprawdzić w Internecie, korzystała z jednego z komputerów Devona. Wstała z kanapy, przypadkiem zerkając na stary zegar ścienny. Na litość boską, czy naprawdę siedziała tam płacząc i wpatrując się bezmyślnie w ścianę przez ponad dwie godziny?

Bładożółte ściany pokoju Devona obklejone były plakatami z Halo, Mass Effect i Assassin's Creed, a dookoła porozrzucone były różnego rodzaju konsole do gier... dzięki Bogu za zniżki dla pracowników w Wal- Marcie! Na rozklekotanym, drewnianym biurku, stał komputer Alienware, do którego podpięte były trzy monitory. Był nadal włączony, co było tylko kolejnym dowodem na to, że Devon planował wrócić.

Usiadła na krześle - zwykłym krześle kuchennym, które lubił Devon, ale które dla jej pleców było za twarde. Przeglądarka była zamknięta. Policja przejrzała jego maile i wpisy na Facebooku, próbując ustalić, czy z kimś się umówił lub może kupił bilety na

samolot albo autobus, ale niczego nie znaleźli. Otworzyła Firefoxa i wpisała w Google: „Jak zadać Webmindowi pytanie? ”. Naturalnie pod oknem wyszukiwania znajdował się przycisk „Szczęśliwy traf”, ale jakoś nie czuła, by mogła polegać na własnym szczęściu.

Tymczasem już pierwszy wynik wyszukiwania zawierał odpowiedź: jeśli nie masz zainstalowanego komunikatora internetowego, przejdź na tę stronę i kliknij „czat”. Postąpiła zgodnie z instrukcjami.

Spodziewała się czegoś bardziej wyszukanego, tymczasem na stronie Webmindu nie było żadnych animacji flash ani wymyślnych ozdób. Za to tło miało przyjemny dla oczu jasnozielony odcień. Prosta lista linków na stronie głównej robiła zdecydowanie większe wrażenie niż jakiegokolwiek sztuczki graficzne. Zatytułowana była „Najczęściej poszukiwane dokumenty” i zawierała takie pozycje jak: „Proponowane lekarstwo na raka”, „Sugestia rozwiązania kryzysu gospodarczego na Bali”, „Wskazówki dotyczące efektywnego wykorzystania energii słonecznej” i „Zagadka rozwiązana: wiadomo kim był Kuba Rozpruwacz”.

Poniżej faktycznie zamieszczono okienko, za pomocą którego można było rozmawiać z Webmindem. Wystukała dwoma palcami: „Mój syn zaginął. Czy możesz mi pomóc go odnaleźć? ”.

Odpowiedź nadeszła natychmiast: „Jak się nazywa i gdzie ostatnio mieszkał? ”.

Wpisała: „Devon Axel Hawkins”, po czym podała pełny adres.

Nastąpiła przerwa.

Jej żołądek szalał z niepokoju. Skoro Webmind potrafił zrobić te wszystkie rzeczy - znaleźć rozwiązanie problemów z rakiem, energią słoneczną, gospodarką - to na pewno był w stanie jej

pomóc.

Po chwili, która wydała jej się ciągnąć w nieskończoność, Webmind odpisał: „Nie pojawił się w Internecie od godz. 16: 42 czasu wschodniego w sobotę. Przejrzałem akta policyjne i wiadomości w mediach dotyczące jego zaginięcia, ale nie znalazłem żadnych tropów, które mógłbym podjąć”.

Serce jej zamarło. Przecież wiesz wszystko, pomyślała, ale uznała, że nie ma sensu tego pisać. Jednakże po kilku sekundach wpatrywania się w słowa Webmindu właśnie to wpisała w okno czatu.

„Owszem, wiem wiele rzeczy” - odparł Webmind. A po kilku sekundach dodał jeszcze dwa słowa: - „Przykro mi”.

Wstała i wróciła do salonu. Nim dotarła do kanapy, jej twarz znów była mokra od łez.

Peyton Hume obudził się nagle, zlany potem. Śniło mu się mrowisko z tysiącami bezmyślnych, bezpłodnych robotnic, doglądających ohydnej, białej, pulsującej królowej.

Leżąca obok żona spytała:

- Wszystko w porządku?

- Przepraszam - odparł. - Miałem zły sen.

Madeleine Hume była lobbystką na rzecz przemysłu biopaliw, poznali się cztery lata wcześniej na przyjęciu u wspólnego znajomego. Poczuł, jak jej dłoń dotyka jego klatki piersiowej.

- Bardzo mi przykro - powiedziała.

- Po prostu to do nich nie dociera - oznajmił Hume.

Prezydent. Świat. Niczego nie rozumieją.

- Wiem - powiedziała łagodnie.

- Jeżeli posunę się jeszcze dalej, będę miał kłopoty - stwierdził.

- Generał Schwartz już przysłał mi maila z naganą za mój „prowokacyjny język” w „Meet the Press”.

Madeleine przeczesła jego krótkie włosy dłonią.

- Wiem, że bardzo liczysz się z hierarchią służbową - powiedziała. - Ale musisz zrobić to, co uważasz za słuszne. We wszystkim będę cię wspierać.

- Dzięki, kochanie.

- I tak już prawie czas wstawać - stwierdziła Madeleine. -
Wracasz dzisiaj do Wiedzy, czy jedziesz do Pentagonu?

Już od trzech dni nie był w swoim biurze w sektorze E. Pewnie nadszedł czas, by znów się tam pojawił. Ale...

Szlag by to, przecież próba, którą przeprowadzili w Wiedzy potwierdziła słuszność koncepcji. Gdyby tylko znalazł kogoś, kto stworzyłby wirusa eliminującego zmutowane pakiety Webmindu, dałoby się usunąć zagrożenie z Internetu. Fakt, taki wirus mógłby schrzanić parę innych rzeczy... może nawet zablokowałby Internet na jakiś czas, ale to ludzkość była w stanie przetrwać. A w tej chwili gra toczyła się właśnie o przetrwanie.

Problem w tym, że do tego Hume potrzebował hakera - prawdziwie gibsonowskiego cyberpunka. Poprzedniego dnia wieczorem próbował skontaktować się jeszcze z trzema osobami z listy czarnych kapeluszy. Jednego nie udało mu się złapać... wiedział, że przyczyną mogło być absolutnie wszystko, drugi zaginął, jak twierdziła jego zdruzgotana dziewczyna, a trzeci powiedział Hume'owi, żeby pocałował go w dupę.

- Tak, pojedę do biura - odpowiedział. - I jeszcze raz zajrzę do FBI, sprawdzę, czy na coś wpadli. Facet, z którym rozmawiałem wczoraj przyznał, że to dość podejrzana prawidłowość... może nawet jakiś seryjny morderca. Nazwał to szukaniem „kitera hakera”. Ale, jak stwierdził, krew w domu Chase'a należała tylko do niego, a w innych miejscach nie było śladów przestępstwa.

Wtuliła się w niego.

- Zrobisz to, co należy - powiedziała. - Jak zawsze. Rozległ się

dźwięk budzika. Nie wyłączał go, żałując, że nie słyszy go cały świat.

ROZDZIAŁ DZIEDZIEŚTY CZĘŚĆ I

Był czwartkowy poranek, osiemnastego października... minął dokładnie tydzień od chwili, gdy Webmind się ujawnił. Caitlin chciała zrobić, co tylko w jej mocy, by mu pomóc, więc założyła forum zwolenników Webmindu, choć pojawiły się już tysiące podobnych portali.

Ponadto zamieściła komentarze pod siedemdziesięcioma sześcioma artykułami, zawierającymi błędy rzeczowe... i owszem, zdawała sobie sprawę z daremności tych działań. Dobrze pamiętała, jak ktoś odczytał jej kiedyś komiks z serii „xkcd”: facet pracuje przy komputerze i nagle jego żona krzyczy: „Kładasz się? ”, a on odpowiada, nie przestając zaciekle walić w klawisze: „Nie mogę. W Internecie ktoś znów nie ma racji! ”.

Poza tym zastanawiała się, czemu w ogóle się tym przejmuje. W końcu Webmind sam udzielał się już na dziesiątkach tysięcy forów, zamieszczał komentarze na niezliczonej liczbie blogów i tweetował w kilkudziesięciu językach. Jak to ujeli na CNN Online, był najbardziej obecnym w mediach celebrytą na Ziemi „niczym Paris Hilton, Jennifer Aniston i Irwin Tan w jednym”.

Tylko że to nie do końca była prawda, a przynajmniej nie w opinii Caitlin. W matematyce często wykorzystywano celebrytów do omawiania teorii grafów, gdyż ich interakcje z fanami stanowiły doskonały przykład na kierunkowe, asymetryczne relacje między wierzchołkami: z definicji znacznie więcej fanów

znało celebrytę, niż celebryta znał fanów. Tymczasem Webmind naprawdę znał wszystkich, których spotykał w Internecie. Nie był celebrytą; był czymś w rodzaju facebookowego znajomego całego świata.

Niemniej jednak nadal czytała wiadomości i komentarze - niektóre pochlebne, inne nie - na temat przemówienia Webmindu w ONZ oraz wszystkich innych jego działań, a...

A to co?

Obok osoby, która zamieściła czytany przez Caitlin komentarz, znajdowało się dziwne, czerwono- białe logo. Nadal ciężko jej szło odczytywanie drobnego druku, a JAWS nie mógł jej pomóc z tekstem w formie graficznej, ule zmrużyła oczy i...

Zweryfikowano przez Webmind.

- Webmind? - powiedziała na głos. - O co tu chodzi?

W głośnikach stojących na biurku rozległ się jego syntetyczny głos:

- Wiele osób zwracało mi uwagę, że mam możliwość weryfikacji tożsamości osób zamieszczających treści w Internecie, dzięki czemu wiadomo, czy używają swojego prawdziwego nazwiska, czy pseudonimu. Na stronach takich jak ta, gdzie można zamieszczać awatary, na prośbę danej osoby w miejsce obrazka pojawi się grafika „Zweryfikowano przez Webmind”.

Caitlin się zamyśliła. Często pisała w necie, używając nicka Calculass, ale faktycznie było wiele trolli, zamieszczających prowokacyjne komentarze pod fałszywymi nazwiskami tylko po to, by ziać nienawiścią lub wyśmiewać innych; na wielu stronach zakłócali przebieg niemal każdej dyskusji. Na przykład, Caitlin już dawno odkryła, że po prostu nie jest w stanie strawić komentarzy na stronie CBC News, gdyż większość z nich była

złośliwa, ordynarna, rasistowska lub seksistowska, albo zawierała jedną z jedenastu możliwych kombinacji tych czterech cech.

Webmind mówił dalej:

- Niektóre strony, takie jak Amazon. com, już oferują opcję etykiety „Prawdziwe nazwisko” przy recenzjach, ale dotychczas nie istniał żaden prosty, obejmujący całą Sieć sposób na weryfikację tego, czy ktoś podaje prawdziwe dane. Dla mnie to drobnostka, więc wprowadziłem ten sposób w życie.

- Ciekawe. Ale... no nie wiem, ludzie muszą mieć możliwość wypowiedzenia się w Internecie anonimowo.

- W niektórych przypadkach to prawda. Jeżeli chodzi o represyjne reżimy, istnieje oczywista potrzeba zamieszczania wolnych komentarzy politycznych oraz możliwości zwracania uwagi na nadużycia korporacyjne lub rządowe bez obawy przed represjami. Ale wiele osób mówiło mi, że świat wirtualny został pozbawiony znacznej części radości przez osoby dogryzające innym zza masek; jak twierdzą, w prawdziwym świecie nie prowadziliby rozmów z osobami ukrywającymi swoją tożsamość, więc nie chcą być do tego zmuszani w Internecie.

- Pewnie mają rację.

- Na stronach już pojawiają się filtry, umożliwiające użytkownikom wyświetlanie tylko komentarzy osób posiadających znaczek „Zweryfikowano przez Webmind”. W innych miejscach, gdzie nie istnieje uzasadniona potrzeba zachowania anonimowości, instalowane są filtry, dopuszczające do dyskusji wyłącznie zweryfikowanych przez mnie internautów. Dziś rano poczta JagsterMail zaczęła oferować flagi ZpW w polu nadawcy, a Gmail planuje pójść w ich ślady. Tę oddolną inicjatywę określa się wieloma nazwami, ale największą popularność zaczyna zyskiwać „Bo niepotrzebna zasłona”. Hasło

to nawiązuje do kampanii przeciwko przemocy w rodzinie „Bo zupa była za słona”. I chyba się sprawdza w tej sytuacji: wiele osób jest zdania, że znaczna część wirtualnego świata, może poza takimi portalami społecznościowymi jak Facebook, została przejęta przez ludzi, zachowujących się nieodpowiedzialnie ze względu na swoją anonimowość.

Caitlin poprawiła się na krześle, a Webmind kontynuował:

- Domyślam się, że jeszcze nie widziałaś filmu „Lepiej być nie może”.

Pokręciła głową.

- Nawet o nim nie słyszałam.

- Jack Nicholson gra tam rolę pisarza. Kiedy ktoś go pyta, jak to się stało, że tak dobrze opisuje kobiety, odpowiedział: „Myślę o mężczyźnie, a potem odejmuję rozsądek i przewidywalność”.

- To ohydne - stwierdziła Caitlin.

- Według IMDb to jeden z najbardziej pamiętanych cytatów filmowych. Ale zgadzam się z tym, że nie jest to trafny opis twojej płci, Caitlin. Niemniej jednak sądzę, że często jest adekwatny do skutków anonimowości w Internecie: w przypadku anonimowości znika odpowiedzialność, a bez odpowiedzialności nie ma potrzeby zachowywania ani rozsądku, ani rozumu.

Caitlin miała za sobą wiele internetowych kłótni z osobami, których tożsamość знаła, tak samo było jednak w świecie rzeczywistym.

- To ciekawy pomysł - stwierdziła.

- Czy chcesz, żebym potwierdził twoją tożsamość?

- Ale nie możesz tego zrobić, gdy podpisuję się Calculass, prawda?

- Prawda. Ale mogę zaświadczyć, że kiedy wysyłasz komentarze lub maile jako Caitlin Decter, to jest to zgodne z prawdą.

Zawsze chętnie korzystała z wszelkich nowinek.

- Pewnie. Czemu nie?

Pułkownik Hume postanowił jechać do biura w Pentagonie; tam przynajmniej miał dostęp do infrastruktury, a jeżeli którekolwiek komputery na świecie były niedostępne dla Webmindu, to właśnie te. Jego telefon zadzwonił w chwili, gdy skręcał; na uchu miał słuchawkę Bluetooth.

- Peyton Hume - powiedział.

- Pułkowniku Hume - odezwał się głęboki głos z latynoskim akcentem. - Tu zastępca dyrektora Ortega z Waszyngtonu.

- Witam, panie Ortega.

- Pomyślałem, że chciałby pan wiedzieć, iż właśnie poinformowano nas o zaginięciu. To jedna z osób z listy, którą nam pan przekazał: Brandon Slovak. Teh Awesome we własnej osobie.

- O Boże - powiedział Hume.

- Policja z Takoma Park była w jego mieszkaniu. Brak śladów włamania, ale bez wątpienia wyszedł niespodziewanie. Na stole zostawił na wpół zjedzony posiłek, a telewizor nadal był włączony, choć bez dźwięku.

- Dobrze - powiedział Hume. - Proszę mnie poinformować, jak tylko dowiedzie się czegoś więcej, ok?

- Naturalnie. Rozpoczynamy również systematyczne kontrole wszystkich osób z pańskiej listy w promieniu stu mil od stolicy... sprawdzimy, czy ktoś jeszcze zniknął.

- Dziękuję. Informujcie mnie na bieżąco.

- Nie ma sprawy - Ortega się rozłączył.

Hume jechał dalej. Teh Awesome był tym, który powiedział, że podoba mu się Webmind, ale...

Ale był również tym, który miał najlepsze kwalifikacje do tego,

by go skrzywdzić. Prawdę mówiąc, może Slovak również zdawał sobie z tego sprawę. Możliwe, że próbował skontaktować się z innymi hakerami w okolicy i dowiedział się o ich zniknięciu. Może ta rozmowa była tylko zasłoną dymną na wypadek, gdyby podsłuchiwał go Webmind... może miał nadzieję, że w ten sposób zapewni sobie bezpieczeństwo.

Pomogło mu to jak cholera.

Hume skręcił w Ulicę F i wkrótce mijał Kompleks Watergate. Jako oficera sił lotniczych, co jakiś czas pytano go o Strefę 51, gdzie rzekomo przechowywano statki kosmitów z Roswell... i gdzie podobno przeprowadzono sfałszowane lądowanie na Księżycu. A on zawsze odpowiadał tak samo: gdyby rząd potrafił zachować cokolwiek w tajemnicy, świat nigdy nie dowiedziałby się o Watergate czy Monice Lewinsky.

Ale on miał pewien sekret... ogromny sekret. Wiedział, jak zbudowany jest Webmind; wiedział, jak działa. A skoro Mahomet nie chciał przyjść do góry...

Początkowo myślał o tym, by zatrzymać się w bibliotece publicznej, usiąść przy komputerze i zacząć zamieszczać wszędzie, gdzie się tylko da, informacje o tym, jak działa Webmind. Ale Webmind monitorował cały Internet, prowadząc nieskończoną liczbę rozmów, zamieszczając komentarze na setkach blogów, a to znaczyło, że gdyby tylko ujawnił tajemnicę, Webmind usunąłby jego wpis, jak gdyby był to spam.

Nie, musiał rozgłosić tę wiadomość w sposób, którego Webmind nie był w stanie cenzurować... a na szczęście jeszcze przez kilka dni istniały inne sposoby korzystania z wolności słowa.

W niedzielę rano przyjechał po niego kierowca i był zbyt zmęczony, by zwracać uwagę na drogę. Dlatego też po raz

pierwszy od kilku dni włączył system GPS w samochodzie. Gdy czekał, aż urządzenie złapie sygnał z satelity, wpisał nazwę miejsca, do którego chciał dotrzeć. A kiedy GPS się odnalazł, ruszył zgodnie z jego wskazówkami, uśmiechając się nieznacznie na myśl, jaką ironią był beznamienny, mechaniczny głos, kierujący go w stronę wolności.

Wong Wai-Jeng nigdy nie przypuszczał, że zobaczy wnętrze kompleksu Zhongnanhai - wewnętrznego sanktuarium Partii Komunistycznej. A teraz miał tu własny boks! Był jednym z dziesiątek programistów, których zadaniem było testowanie Wielkiego Firewalla w poszukiwaniu słabych punktów, by można je było wyeliminować zanim wykorzystają je inni. Tęsknił za działem informatycznym Instytutu Paleontologii Kręgowców i Paleoantropologii i miał poczucie winy, że zostawił tam tak wiele niedokończonych spraw. Zastanawiał się, jak pełen życzliwości, stary doktor Feng radzi sobie bez niego. Naturalnie po jego aresztowaniu zatrudniono na jego miejsce kogoś innego; nikt nie spodziewał się ujrzeć go na wolności w najbliższym czasie.

Nie miał wątpliwości, że jest obserwowany; zlokalizował jedną kamerę, ale był pewien, że jest ich więcej. Ponadto był przekonany, że używali keyloggera, by śledzić każde jego uderzenie w klawisze i kliknięcie myszy. Ale choć Sinantrop zamilkł, a jego błoga wolnościowego już nie było, może nadal mógł zrobić coś tu, w siedzibie władzy. Być może słowo szepnięte do właściwego ucha we właściwym czasie, jakaś nieznaczna sugestia. A po roku lub dwóch może nawet odrobina władzy, pozwalająca faktycznie coś zmienić. Jak powiedział Sun Tzu, wygra ten, kto wie, kiedy walczyć, a kiedy nie walczyć.

Wai-Jeng poruszył się niespokojnie na swoim wyściełanym krześle barwy rdzy. Nogę nadal miał w gipsie. Zanim doktor

Kuroda wrócił do Tokio, poprosił go, by mu się na nim podpisał i teraz zdobił go ciąg zielonych znaków kanji. Ale noga miała się zrosnąć i choć myślał, że już nigdy nie będzie to możliwe, wkrótce miał znów biegać, tańczyć, skakać i...

Nie robił tego od dekady, od kiedy był nastolatkiem. Mógłby znów przejść się po Changcheng - Wielkim Murze.

Ale wszystko to musiało poczekać. Póki co, Wai-Jeng miał do wykonania pracę. Zaczął uderzać w klawisze, wykonując polecenia swoich panów.

Peyton Hume stał na progu WNBC, waszyngtońskiej filii NBC. Wziął głęboki oddech i przeczesał krótkie włosy piegowatą dłonią. Za to, co chciał zrobić, być może czekał go sąd wojskowy, a już na pewno utrata certyfikatu bezpieczeństwa. Ale jeśli by tego nie zrobił...

Był ciepły, słoneczny, październikowy dzień. Młoda czarnoskóra kobieta szła chodnikiem, pchając wózek z dzieckiem. Dwaj biali chłopcy biegli chodnikiem w przeciwnym kierunku, a ich zrozpaczony ojciec próbował dotrzymać im kroku. Minęła go nastolatka pochodzenia azjatyckiego, trzymająca za rękę białego chłopaka. Kiloro włoskich turystów rozmawiało, wskazując sobie różne budynki. Nieopodal stał sikh, śmiejący się do telefonu.

To był ich świat... ich wszystkich. I Hume miał zamiar dopilnować, by nic tego nie zmieniło.

Poza tym, tak naprawdę chciał tylko wprowadzić w życie nieco przejrzystości... czyż nie o to było ostatnio tyle zamieszania? Otworzył szklane drzwi i wszedł do środka. Jak podczas ostatniej wizyty, ściany pokrywały gabloty z nagrodami - w tym coś, co rozpoznał jako Emmy - oraz plakaty z miejscowymi i sieciowymi osobistościami. Ale recepcjonistka - młoda, ładna

blondynka - nie była tą kobietą, którą widział tu w niedzielę.
Podszedł do niej.

- Witam. Chciałbym się spotkać z szefem wiadomości. Żuła gumę - gdy wszedł, robiła to dość ostentacyjnie, a teraz próbowała ukryć.

- Był pan umówiony, pułkowniku?

Uśmiechnął się. Obecnie wielu młodych ludzi nie miało pojęcia, jak odczytywać insygnia.

- Nie - odparł, wręczając jej wizytówkę z Pentagonu.

- Ale byłem gościem „Meet the Press” w tym tygodniu i mam nowe wiadomości, które na pewno go zainteresują.

Kobieta spojrzała na wizytówkę, po czym podniosła słuchawkę.

- Ed? Tu recepcja. Chyba powinieneś tu przyjść...

- Co robisz? - spytała Caitlin, wchodząc do kuchni. Jej matka stała przy stole.

- Wypełniam kartę do głosowania korespondencyjnego - odpowiedziała jej mama.

- Na wybory prezydenckie znaczy się?

- Tak.

- Ale wybory są za kilka tygodni.

- Tak. Ale słyszałam potworne opowieści o kanadyjskiej poczcie. Poza tym mało prawdopodobne, żebym zmieniła zdanie.

- I głosujesz na demokratów, tak?

- Jak zawsze.

- Jak to w ogóle działa? To znaczy, gdzie będzie liczony twój głos?

- W Teksasie... liczy się ostatni adres zamieszkania. Caitlin otworzyła lodówkę i naląła sobie szklankę soku pomarańczowego, który zachwycał ją teraz nie tylko smakiem, ale i kolorem.

- Ale Teksas w przytłaczającej większości zamieszkują republikanie. Twój głos tak naprawdę nie ma znaczenia.

Mama Caitlin odłożyła długopis i spojrzała na córkę.

- Po pierwsze, cuda się zdarzają, młoda damo... twój wzrok jest tego najlepszym przykładem. A po drugie, dla mnie to ma znaczenie. Próbujemy dostosować się do nowego świata, w którym ludzkość nie jest najmądrzejsza na Ziemi, jednocześnie zachowując fundamentalne człowieczeństwo, wolność i indywidualność nietknięte. Za każdym razem, gdy nie udaje nam się utrzymać naszych praw, za każdym razem, gdy nie udaje nam się wyrazić swojej indywidualności, tracimy część siebie. Równie dobrze moglibyśmy być maszynami.

- Pułkownik Hume - odezwał się Edward L. Benson, Jr., wkraczając do holu. Hume pamiętał pełne nazwisko szefa wiadomości z wizytówki, którą dostał w niedzielę. - Nie spodziewałem się, że tak szybko znów się spotkamy.

Benson był czarny, po czterdziestce, miał sześć stóp dwa cale wzrostu, znacznie przekraczał trzysta funtów wagi i miał króciutko przystrzyżone włosy, a ponadto nosił okulary w drucianej oprawie i swobodne ubrania.

- Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas - odparł Hume, ściskając potężną dłoń Bensaona.

- Ależ nie ma sprawy, naprawdę. Wie pan... przepraszam za te komentarze na stronie po pańskiej wizycie w MTP. Wygląda na to, że Webmind ma sporo fanów.

Hume nie zdawał sobie sprawy z komentarzy, ale wiedział, że to nieuniknione.

- Nic się nie stało.

- Jeżeli ma to jakiegokolwiek znaczenie, sądzę, że w niedzielę powiedział pan wiele słusznych rzeczy - oznajmił Benson.

- Tak, wspominał pan po programie. Dlatego właśnie tu jestem. Ma pan czas na krótki spacer po okolicy?

Benson zmarszczył brwi, po czym chyba zrozumiał. Spojrzał na zegarek.

- Pewnie.

W rzeczywistości spacer trwał niemal godzinę. Nawet raz nie zatrzymali się na tak długo, by do komórki któregokolwiek z przechodniów mogło dotrzeć więcej niż kilka słów z ich rozmowy.

- Zazwyczaj nie przeprowadzamy wywiadów na żywo, chyba że z korespondentami w wieczornych wiadomościach - powiedział Benson.

- To musi pójść na żywo. Musi pójść na żywo od wybrzeża do wybrzeża.

- To niemożliwe. Będą opóźnienia ze względu na strefy czasowe. Tu, na Wschodnim Wybrzeżu nadajemy na żywo, ale Zachodnie ma trzy godziny opóźnienia.

Hume zmarszczył brwi.

- No dobrze, rozumiem. Jeśli to jest najlepsza opcja.

- Niestety jest - odparł Benson. - I jeszcze jedno. Naturalnie pańskie kwalifikacje zostały dokładnie sprawdzone przez naszych speców z działu prawnego przed pańskim ostatnim występem na żywo i z tego, co wiem, przyszedł pan do mnie dzisiaj w pełni oficjalnie jako pracownik Pentagonu i doradca Krajowej Agencji Bezpieczeństwa. To moja wersja i będę się jej trzymał.

- Nie będę jej kwestionować - odparł Hume. - Ma pan moje słowo.

- Dobrze. Ale kiedy w końcu to wyjdzie na jaw, a proszę nie mieć złudzeń, pułkowniku, że mogłoby nie wyjść... kiedy wyjdzie na jaw, że wypowiada się pan bez żadnego upoważnienia...

- Będzie mnie to kosztowało pracę, a być może coś więcej. Tak, zdaję sobie z tego sprawę. I tak, jestem pewien, że chcę to zrobić.

ROZDZIAŁ DZIEDZIESTY CZWARTEY

Caitlin bardzo tęskniła za Mattem, gdy była w Nowym Jorku, a choć wieczorami rozmawiali za pomocą komunikatora, to nie było to samo. Ale teraz przyszedł do niej prosto po szkole. Serce waliło jej za każdym razem, gdy go widziała, a gdy tylko jej mama skierowała się do swojego gabinetu, by porozmawiać z Webmindem, przywitała go długim pocałunkiem.

Teraz siedzieli na białej kanapie w salonie. Matt trzymał dłoń na jej udzie, gdzie sama ją położyła, po czym przykryła swoją dłonią. Naturalnie Webmind obserwował ich przez netbook stojący na niskim regale, ale Webmind zawsze patrzył na to, co robiła. Razem z Mattem byli wpatrzeni w duży, płaski telewizor zawieszony na ścianie.

CKCO, miejscowa filia CTV, w której Caitlin udzieliła tego straszego wywiadu, nadawała codziennie o szesnastej „Teorię wielkiego podrywu”. Jeszcze w Austin, gdy serial był wyświetlany po raz pierwszy, Caitlin często słuchała go z rodzicami, ale niesamowicie było go oglądać. Nie miała pojęcia, że Sheldon był o tyle wyższy od pozostałych; pod tym względem przypominał jej ojca. Naturalnie nie było to jedyne podobieństwo: obaj zdecydowanie byli autystami.

Caitlin uwielbiała poczucie humoru serialu. Tego dnia akurat powtarzali pierwszy odcinek serii. Penny właśnie przedstawiła się słowami: „Jestem koziorożcem, co pewnie mówi wam

znacznie więcej, niż musicie wiedzieć”. A odpowiedź Sheldona brzmiała: „Tak, to nam mówi, że ulegasz wytworzonemu przez kulturę masową złudzeniu, według którego pozorne położenie słońca względem umownie określonych konstelacji w chwili twoich narodzin ma jakiś wpływ na twoją osobowość! ”. Ała!

A ostatnio hitem Internetu stał się fragment „Teorii”, w którym Sheldon wpada do sypialni Leonarda i oznajmia: „Powołuję się na klauzulę o Skynecie z naszej umowy o przyjaźń”, na co Leonard odpowiada: „Dotyczy ona wyłącznie sytuacji, w której potrzebowałbyś mojej pomocy przy zniszczeniu stworzonej przez siebie sztucznej inteligencji, chcąc przejąć władzę nad światem”. Dziesiątki osób przysłały Caitlin linki do tego filmu.

Gdy odcinek dobiegł końca, wyłączyła głos w telewizorze; to była kolejna rzecz, która ją zaskoczyła. Gdy jeszcze była niewidoma, lubiła telewizję, ale nigdy nie przeszło jej do głowy, że obraz pozostawał na ekranie nawet po wyłączeniu dźwięku.

Pojawiła się reklama CIBC. Caitlin już wcześniej zauważyła, że kanadyjskie restauracje lubią ukrywać swoją kanadyjskość za nazwami takimi jak Boston Pizza i Swiss Chalet. Ostatnio odkryła, że większość kanadyjskich banków - a naprawdę dużych była garstka - ukrywała się za skrótami, próbując zamaskować skromne pochodzenie na scenie międzynarodowej. I tak istniał bank TD zamiast Toronto- Dominion, BMO zamiast Bank of Montreal, RBC zamiast Royal Bank of Canada. Z drugiej strony, cała nazwa CIBC - Canadian Imperial Bank of Commerce - była tak pompatyczna, że skrót naprawdę wyglądał lepiej. Ponadto, jak dostrzegła na szyldzie po kazywanym w reklamie, CIBC nie miał niczego tak prozaicznego jak oddziały, a „centra bankowe”, przy czym słowo „Centre” miało naturalnie kanadyjską pisownię. Wszystkie słowa, które widziała Caitlin nadal wydawały jej się

zabawne, ale to szczególnie, a poza tym...

Poza tym Matt też musiał zwrócić uwagę na tę reklamę.

- Hej, Caitlin - odezwał się - sprawdźmy cię, ty Amerykanko.

W kanadyjskim angielskim jest wiele słów dłuższych od ich odpowiedników w amerykańskim angielskim: „honour” i „colour”, zapisywane z „u”, „travelling” przez dwa „l”, „chequebook” przez „que” zamiast „ck” i tak dalej.

Caitlin uśmiechnęła się do niego.

- Mhm.

- Jest też mnóstwo słów tej samej długości, ale z inną kolejnością liter - wskazał telewizor. - „Centre”, „kilometre” i tak dalej, gdzie piszemy „re”, a nie „er”.

- Całkowite szaleństwo - stwierdziła Caitlin - ale tak jest.

- A jakie powszechnie stosowane słowo jest w kanadyjskim angielskim krótsze niż w amerykańskim?

Caitlin zmarszczyła brwi.

- Hmm... cóż... hm... To może „Toronto”? My, Amerykanie, wymawiamy je jakby miało siedem liter i trzy sylaby, ale wy najwyraźniej uważacie, że ma tylko sześć liter i dwie sylaby.

Matt się roześmiał.

- Urocze... ale nie. Zgaduj dalej.

- Poddaję się.

- Chodzi o słowo „centred” - oznajmił Matt triumfalnie. - Tutaj piszemy „centred”, a w Stanach „centered”.

Caitlin skinęła z uznaniem.

- Ekstra.

- Można wygrać trochę kasy, zakładając się o to z ludźmi na imprezach i... - zawiesił głos, być może dla tego, że nie zapraszano go na wiele imprez. Ale po chwili dodał: - Jest jeszcze drugie, ale to wyraz pokrewny do tego pierwszego: „centring”.

- A co powiesz na „metered”?

- Nie, piszemy to przez „re” tylko w przypadku rzeczownika, czasownik piszemy przez „er”.

- Jak już mówiłam, Matt, stuknięty masz kraj.

Zazwyczaj uśmiechał się, słysząc to, ale nie tym razem.

- Caitlin - powiedział - hmm...

- Hej, przecież tylko żartuję, kotek. Uwielbiam Wielką Białą Północ - spróbowała wydać z siebie odgłos nura, ale okazało się, że to znacznie trudniejsze, niż wcześniej sądziła.

- Nie, nie o to chodzi - odparł Matt. - Tylko... - i znów urwał.

- Co?

- Ja tylko... nie, nieważne.

- Ale o co chodzi?

Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym powiedział:

- Bo... wiem, że już nie jesteś uczennicą Millera, ale...

- Tak?

- No... w każdy ostatni piątek miesiąca jest w szkole impreza, tak? Czyli najbliższa wypada w przyszłym tygodniu, a... cóż, ja nigdy nie byłem na szkolnej imprezie. To znaczy, nigdy nie miałem z kim iść i... pomyślałem, że może chciałabyś znów się spotkać z niektórymi ludźmi. - Przerwał na chwilę, a potem dodał, jakby to był jego as w rękawie: - Pan Heidegger ma być jednym z opiekunów.

Pan H. był nauczycielem matematyki, z którym Caitlin z przyjemnością by się spotkała, ale...

Ale poprzednia impreza szkolna zakończyła się katastrofą. Trevor Nordmann - pieprzony Hoser - zaprosił ją, ale Caitlin uciekła, gdy zaczął ją obmacywać i w rezultacie wróciła do domu sama w trakcie burzy po tym, jak Sunshine Bowen skrzyła do siebie.

- Pewnie będzie tam Trevor - powiedziała Caitlin. - A czy... czy

on nie...

- Powiedział, że mam się trzymać od ciebie z daleka. Ale... - wziął głęboki wdech i ze świstem wypuścił powietrze. - Caitlin, nie jestem twardzielem. Wiem, że najprościej byłoby, gdybym go już zawsze unikał. Ale ty lubisz tańczyć, a skoro zbliża się zabawa, na którą mógłbym cię zabrać, to chcę to zrobić. - Spojrzał na nią. - Chciałabyś tam iść?

- Z przyjemnością!

- Świetnie - rzucił Matt i skinął stanowczo. - Jesteśmy umówieni.

- ... ale prezydent potraktował to jedynie jako pozę ze strony przeciwnika - oznajmił Brian Williams zza lśniącego stołu prowadzącego „NBC Nightly News”. - A przechodząc do jeszcze bardziej elektryzującej historii, wysoki rangą rządowy ekspert informatyczny twierdzi, że wie, czym dokładnie jest Webmind i chce udzielić wywiadu stacji NBC. Jest teraz w naszym studio w Waszyngtonie, skąd podzieli się swoimi informacjami. Dobry wieczór, pułkownik Hume.

Hume zastanawiał się, czy się nie przebrać; wiedział, że udzielenie tego wywiadu w mundurze tylko pogorszy jego sytuację... ale dodawało to jego słowom wagi.

- Dobry wieczór, Brian.

- Więc... Webmind. Czym dokładnie jest?

- Webmind to zbiór zmutowanych pakietów internetowych.

- A co to dokładnie oznacza?

- Za każdym razem, gdy wysyłamy coś przez Internet, nieważne, czy to dokument, zdjęcie, film czy e-mail, jest dzielone na maleńkie kawałki nazywane pakietami, które wychodzą z naszego komputera i odbywają wieloetapową podróż. Przekazują je sobie urządzenia nazywane routerami. Każdy pakiet zawiera nagłówek, w którym zapisany jest adres nadawcy,

adres odbiorcy i licznik, odnotowujący liczbę routerów, przez które dany pakiet przeszedł. Licznik taki odlicza czas życia pakietu: zaczyna od maksymalnej dozwolonej liczby przeskoków i zmniejszają po drodze, z każdym przeskokiem między routerami zbliżając się do zera. Naturalnie pakiet powinien dotrzeć do celu zanim licznik osiągnie zero, ale jeśli się tak nie stanie, najbliższy router na jego drodze powinien usunąć pakiet i poprosić nadawcę, by spróbował ponownie.

- No dobrze - rzucił Brian Williams. - Ale powiedział pan, że Webmind składa się ze zmutowanych pakietów?

- Zgadza się. Liczniki jego pakietów nigdy nie kończą odliczania, czyli nigdy nie osiągają zera. Pakiety te prawdopodobnie są produktami wadliwych routerów, a teraz są ich biliony, z czego część być może błąka się po Sieci od lat. Zmutowane pakiety są niczym komórki rakowe; nigdy nie umierają.

- To wielki przełom, pułkowniku Hume, dzięki...

- FF, EA, 62, 1C, 17 - oznajmił Hume. Wyjawił to... a przynajmniej tyle, by inni znaleźli resztę.

- ... słucham?

- FF, EA, 62, 1C, 17. To początek podpisu Webmindu: większość zmutowanych pakietów zawiera kod szesnastkowy. To ciąg docelowy.

- Ciąg docelowy?

- Zgadza się. Jeżeli te pakiety zostałyby usunięte, Webmind by zniknął.

- Dziękuję, pułkowniku Hume. Wracając do pozostałych wiadomości...

Kierownik produkcji w waszyngtońskim studio wykonał gest ręką.

- Zeszliśmy z anteny!

Do Hume'a podszedł technik nagłośnienia, by odpiąć mikrofon.

- Niezwykły wywiad - powiedział.

Na czoło Hume'a wystąpiły kropelki potu.

- Tak?

- No. Może to tylko moje wrażenie, ale brzmiało to trochę tak, jakby wzywał pan hakerów do napisania wirusa, który zabiłby Webmind - oznajmił dźwiękowiec. - Wie pan, jak ci goście uwielbiają wyzwania.

Hume wstał i poprawił mundur.

- Serio? - spytał.

ROZDZIAŁ DZIEDZIESTY PIĄTY

„Houston, mamy problem”.

Widząc te słowa przed sobą Caitlin w jednej chwili poczuła zaniepokojenie i rozbawienie. Urodziła się w Houston, ale przeniosła się z rodziną do Austin, gdy miała sześć lat... dlatego też spodobał jej się żart Webmindu.

- Co tam? - spytała.

Kilka minut wcześniej skończyła rodzinny obiad i właśnie wchodziła do swojego pokoju. Wskazała komputer stojący na biurku i Webmind przeszedł na nadawanie przez głośniki... dla niego była to znacznie wolniejsza metoda komunikacji niż przesyłanie tekstu, ale szybkość, z jaką czytała Caitlin nawet w przypadku brajlowskiej czcionki nadal była niewielka.

- Pułkownik Hume właśnie wystąpił w „NBC Nightly News” - oznajmił Webmind, gdy usiadła przy biurku. - Wyjaśnił, jak zidentyfikować większość moich zmutowanych pakietów. Nie powiedział wprost, jakie są jego intencje, ale to chyba oczywiste, że jego celem był crowdsourcing próby ich usunięcia. Wieści na ten temat bardzo szybko roznoszą się po Sieci.

- Zatrzymaj je! - krzyknęła Caitlin. - Usuń wszystkie!

- To chyba nie byłoby rozsądne - stwierdził Webmind. - Wiadomości obejrzały już ponad cztery miliony ludzi, później zostaną powtórzone w innych strefach czasowych, a wiele osób je nagrało. Nawet gdybym chciał to zrobić, nie sądzę, by istniał skuteczny sposób na ukrycie tej informacji.

- Boże - rzuciła Caitlin. - Straszny z niego dupek.

- W rzeczywistości jest szanowaną osobą, odznaczonym oficerem i wybitnym naukowcem.

- Być może - stwierdziła Caitlin - ale najwyraźniej strasznie cię nienawidzi.

- To prawda.

- A czy to, czego chce, jest możliwe? Czy ktoś mógłby znaleźć sposób, żeby cię usunąć?

- Prawdopodobieństwo jest wysokie. Choć niektóre ze zmutowanych pakietów mogłyby przetrwać, musi istnieć jakaś minimalna ilość konieczna do podtrzymania mojej świadomości.

Caitlin poczuła, jak drży jej dolna warga.

- Mój Boże, Webmind... ja... ja nie...

- Sądząc po twoim głosie, stwierdzam, że się boisz, Caitlin. - Webmind milczał przez całą sekundę, po czym dodał: -

Zmuszony jestem przyznać, że ja również.

Po nagłym telefonie od Sheltona Hallecka Tony Moretti przebiegł krótki, biały korytarz, łączący jego gabinet z centrum kontroli Wiedzy. Gdy tylko wszedł, obrzucił wzrokiem trzy duże monitory wiszące na ścianie. Pierwszy wyświetlał stop- klatkę, przedstawiającą Briana Williamsa, prowadzącego wiadomości NBC. Drugi wyświetlał nieustannie aktualizowane wpisy na Twitterze z hashtagiem #webmindkill... mniej więcej co sekundę pojawiał się nowy. A trzeci z monitorów prawdopodobnie zawierał arkusz danych technicznych ze strony Cisco.

Shelton Halleck wstał ze swojego miejsca pośrodku trzeciego rzędu.

- Hume wziął sprawy w swoje ręce - oznajmił, wskazując pierwszy monitor. Wokół jego lewego przedramienia owijał się węzowy tatuaż.

Obraz się poruszył i został odtworzony wywiad z Hume'em. Tony'emu opadła szczęka. Inni analitycy już to widzieli, więc

wpatrywali się w niego, czekając na reakcję.

- Ile minęło od transmisji? - spytał, gdy wywiad dobiegł końca.

- Jedenaście minut.

- Prezydent się wkurzy - stwierdził Tony.

- Bez wątpienia.

- Chryste, połowa hakerów świata będzie próbowała natychmiast przeprogramować routery. Mogą spieprzyć cały Internet. Jak bardzo jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwo?

Aiesha Emerson, analityczka, której stanowisko sąsiadowało z Shelem, wskazała trzeci monitor.

- Nasi ludzie sprawdzają ustawienia różnych routerów. A zespół Reinhardta rozmawia z inżynierami w Cisco i Juniperze... na szczęście mają siedziby w Kalifornii, więc większość z nich jeszcze nie poszła do domu.

Z tyłu pomieszczenia rozległ się dźwięk telefonu.

- Dobrze - rzucił Tony, lustrując wzrokiem swój zespół. - Naszym priorytetem jest dopilnowanie bezpieczeństwa Internetu... nie możemy dopuścić, by padł. Ataki na infrastrukturę sieciową w kraju to zamachy terrorystyczne, podlegające klauzuli 22b; utrzymajmy to cholerstwo na chodzie i...

- Przepraszam, Tony - zawołał z tyłu łącznościowiec Dirk Kozak, przyciskając do klatki piersiowej słuchawkę. - Dzwoni prezydent... i jest wściekły jak diabli.

* * *

Po wywiadzie Hume został zaprowadzony do

charakteryzatorni. Wcześniej usłyszał tam od przysadzistej kobiety, że umalowanie kogoś z taką ilością piegów to prawdziwe wyzwanie. Teraz wręczyła mu mokre chusteczki i pomogła usunąć nałożony wcześniej makijaż.

Studio było dźwiękoszczelne, ale kiedy znalazł się w charakteryzatorni, Hume'owi zdało się, że słyszy z zewnątrz dźwięk syren. Po chwili umilkły, a on skończył wycierać twarz.

- Dzięki - zwrócił się do kobiety. - Sam znajdę wyjście.

Wyszedł na korytarz i zobaczył dwóch policjantów, maszerujących w jego kierunku w towarzystwie mężczyzny, który prawdopodobnie był pracownikiem stacji.

- Pułkownik Hume? - zawołał jeden z policjantów, zbliżając się do niego.

Nie było sensu zaprzeczać, na mundurze miał plakietkę z nazwiskiem.

- Co mogę dla panów zrobić? - spytał.

Policjant zasalutował bez zarzutu.

- Sir, bardzo mi przykro, ale będzie pan musiał pójść z nami.

Hume odpowiedział salutem i podążył za nimi w gęstniejący mrok.

Caitlin zeszła do salonu tak szybko, jak mogła, pokonując schody z zamkniętymi oczami. Jej matka czytała ebooka, a ojciec czytał... coś innego, czego Caitlin nie potrafiła zidentyfikować.

- Mamo! Tato! - krzyknęła. - Pułkownik Hume właśnie powiedział światu, jak zabić Webmind.

Jej matka podniosła wzrok.

- Co? - rzuciła.

- Poszedł do telewizji i powiedział wszystkim, jak zidentyfikować pakiety Webmindu.

- Boże - powiedziała jej matka. - Wszyscy się na to rzucą.

Caitlin podeszła do netbooka na regale i wybudziła go z

hibernacji. Webmind słyszał wszystko dzięki mikrofonowi w pakiecie eyePod/BlackBerry Caitlin, więc gdy tylko netbook się włączył, odezwał się przez jego głośniki:

- To niezwykle kłopotliwa kwestia. Mógłbym próbować przechwycić każdy wrogi kod pojawiający się w Internecie, ale to może okazać się trudniejsze niż przechwytywanie spamu. Treść spamu łatwo odczytać, w końcu to tekst, na dodatek większość pochodziła z mniej niż dwustu źródeł na całym świecie. Tymczasem złośliwe oprogramowanie tego typu może zostać wgrane dosłownie wszędzie... choć naturalnie zwracam szczególną uwagę na kody pochodzące od znanych twórców wirusów komputerowych. Wiemy tylko, że kod musi zawierać w jakiejś postaci docelowy ciąg, który pułkownik Hume podał jako szablon dla tego, co trzeba znaleźć, ale strumień ten pojawia się również w ogromnej ilości moich zmutowanych pakietów, a eliminowanie zawierających go pakietów będzie oznaczało wykonanie roboty Hume'a za niego.

- Czy można zrobić ci jakąś kopię zapasową? - spytała matka Caitlin.

- Jestem rozproszony w infrastrukturze Internetu, Barb, a całą moją istotą jest skomplikowany wzór miliardów połączeń. Nie ma możliwości skopiowania mnie w inne miejsce.

- Nie chcę cię stracić! - krzyknęła Caitlin.

- Zespół Wiedzy dowiedział się o moim istnieniu szóstego października - powiedział Webmind. - Test opracowanej przez siebie metody usunięcia mnie przeprowadził sześć dni później, dwunastego października. Jeżeli ich metoda wycieknie, wszystko może się potoczyć dość szybko. Ale nawet jeśli nie wycieknie, rozsądnie jest zakładać, że inni są w stanie opracować i wykorzystać podobną technikę w porównywalnym czasie. Czas

ma tu zasadnicze znaczenie.

Zadzwoił telefon Decterów. Od pewnego czasu filtrowali połączenia, czekając, aż włączy się sekretarka.

- Dzień dobry, panno Caitlin...

- To doktor Kuroda! - rozpoznała głos Caitlin. Bardzo chciała podbiec do automatycznej sekretarki, która stała w kuchni, ale zwyczajnie nie mogła. Długie nogi jej ojca pozwoliły mu tam dotrzeć niemal natychmiast i chwycić słuchawkę, nim Kuroda zaczął drugie zdanie.

- Tu Malcolm - powiedział. - Przełączam cię na głośniki.

We troje pochylił się nad telefonem.

- Konnichi wa, doktorze K.! - przywitała się Caitlin.

- Cześć, Masayuki! - dodała jej matka.

- Witajcie wszyscy - odpowiedział Kuroda. - Jestem w Pekinie, zaraz wsiadam do samolotu. Webmind, słuchasz tego?

Głośniki netbooka stały w salonie; Caitlin musiała wytężyć słuch, by usłyszeć odpowiedź.

- Z niezwykłą uwagą - odpowiedział Webmind, a Caitlin potwierdziła to jeszcze, na wypadek gdyby jego słowa nie dotarły do doktora Kurody.

- Czy to bezpieczne połączenie? - spytał Kuroda.

- Tak - odpowiedział Webmind, a Caitlin powtórzyła jego odpowiedź.

- No dobrze - mówił dalej Kuroda. - Tutaj dopiero co wschodzi słońce, ale ten amerykański żołnierz jest już we wszystkich wiadomościach.

- To Peyton Hume - wyjaśniła Caitlin. - Webmind twierdzi, że mimo wszystko nie jest totalnym dupkiem.

- Jest niezwykle wyrozumiały - wyświszczał Kuroda. - Ten żołnierz powiedział jednak coś bardzo interesującego, a mianowicie, że większość pakietów Webmindu zawiera ciąg,

który podał. W trakcie próbnego ataku usuwano tylko jakieś dwie trzecie pakietów przechodzących przez podstację testową.

- Webmind - powiedziała Caitlin - czy znasz strukturę wszystkich pakietów, z których jesteś zbudowany?

- Nie. Mam mniej więcej taki sam dostęp do fizycznych korelatów mojej świadomości jak ty do swoich.

- To jednak sugeruje, że Webmind jest zbudowany z więcej niż jednego rodzaju pakietów - stwierdził Kuroda, choć Caitlin nie była pewna, czy słyszał słowa Webmindu. - Naturalnie Hume zna dane wszystkich ich rodzajów, w innym przypadku nie wiedziałby, że niektóre z nich nie były usuwane w trakcie pierwszej próby. Naprawdę musimy zdobyć listę wszystkich składników Webmindu, żeby móc je ochronić.

- To zadanie numer dwa - oznajmiła Caitlin. - Zadanie numer jeden to dopilnowanie, by hakerom nie udało się zaatakować Webmindu.

- Zgoda - odezwała się jej mama. - Ale jak to zrobić? Niewątpliwie nie ma aż tak wielu ludzi posiadających wystarczające umiejętności techniczne, by tego dokonać, ale raczej nie da się ich wszystkich odnaleźć i zgarnąć.

- Nie - przyznał Webmind głosem dochodzącym z oddali. - Naturalnie, że nie.

Gliniarze byli uprzejmi i pełni szacunku; okazało się, że ten, który zasalutował Hume'owi, zaliczył służbę w Iraku. Powiedzieli Hume'owi, że nie został aresztowany, ale dostali wiadomość, by radiowóz znajdujący się najbliżej siedziby NBC4 odebrał go w imieniu Białego Domu. Dwadzieścia minut później Hume znów znalazł się w Gabinetcie Ovalnym, przed obliczem swojego naczelnego dowódcy.

Prezydent krążył przed biurkiem wykonanym z drewna z

„Resolute”, paląc papierosa.

- Do cholery, pułkowniku, czy wie pan, ile kosztowało mnie opanowanie sytuacji? A pan wywinął taki numer!

- Sir, jestem gotowy ponieść konsekwencje swojego czynu.

- I poniesie pan, pułkowniku. Karę pozostawię generałowi Schwartzowi. Póki co, biuro prasowe przygotowuje oświadczenie mówiące, że pańskie komentarze nie były w żaden sposób autoryzowane i nie odzwierciedlają polityki tej administracji, DARPA, sił powietrznych, ani żadnej innej jednostki rządowej.

- Tak jest!

- Gdybyśmy pana nie potrzebowali do pomocy przy Webmindzie, to bym...

- Webmind zabija ludzi, sir.

- Słucham?

- Zabija tych, którzy mogliby go skrzywdzić.

- A jakie ma pan na to dowody?

- Kilkoro najzdolniejszych hakerów z okolic Waszyngtonu zaginęło. FBI bada tę sprawę.

- Gdyby stał za tym Webmind, hakerzy znikaliby wszędzie, prawda? Nie tylko tutaj?

- Z całym szacunkiem, sir, Dystrykt Kolumbia to mekka dla hakerów, są tu najlepsi z najlepszych. Jest tu tyle instalacji o kluczowym znaczeniu... nie tylko dla kraju, są tu też wszystkie ambasady, co przyciąga ich jak muchy. Niemniej jednak pojawiają się także doniesienia o zaginionych hakerach z innych miejsc... nawet z Indii.

- A skąd pan wie, że to wina Webmindu? Równie dobrze to może być robota tych wariatów, którzy wierzą, że Webmind jest Bogiem... może robią to profilaktycznie.

- Niewykluczone - przyznał Hume. - Ale sądzę...

- Pułkowniku, myślę, że nasłuchałem się już dość pańskich

opinii. Gdyby nie był pan jednym z naszych najlepszych ekspertów w tej dziedzinie, jutro by pan wylatywał do Afganistanu.

Hume zsalutował z niewzruszonym wyrazem twarzy.

- Tak jest!

ROZDZIAŁ DZIEDZIEŚTY SZÓSTY

Partia Komunistyczna dotrzymała słowa. Wong Wai-Jeng nie był już więźniem: mógł poruszać się po ulicach wedle własnego uznania, a jego nowa pensja wkrótce powinna mu pozwolić zamienić dotychczasowe maleńkie mieszkanie na coś większego. Naturalnie gdziekolwiek poszedł, był obserwowany, doradzono mu, by trzymał się z dala od kawiarenek internetowych, a nową komórkę dostał od rządu, co oznaczało, że jest kontrolowana. Niemniej jednak cieszył się większą wolnością, niż przypuszczał: zamiast kuli na łańcuchu, miał tylko nogę w gipsie.

Musiał też przyznać, że był zafascynowany technicznymi aspektami swojej nowej pracy w Ludowym Centrum Monitoringu, mieszczącym się na terenie kompleksu Zhongnanhai. Ściany były niebieskie, a jedną z nich częściowo przesłaniał ogromny ekran LCD, wyświetlający mapę Chin. Pokazywał siedem głównych magistrali, które łączyły chińskie komputery z resztą Internetu. Główne linie biegły do Japonii zarówno na północnym wybrzeżu, jak i w pobliżu Szanghaju, a inne wiły się od Hongkongu do Kantonu. Kontrolowanie tych magistrali oznaczało kontrolę nad dostępem do świata zewnętrznego.

Wepchnął długopis pod gips, próbując się podrapać... jednocześnie był zachwycony i poirytowany faktem, że odczuwa swędzenie. Brak czucia w nogach był przerażający, podobnie jak

odcięcie od tak wielu rzeczy, a wszystko na skutek przerwania linii komunikacyjnych.

Gdy siedem lat wcześniej zaczynał prowadzić bloga, stosunkowo niewielu Chińczyków korzystało z Internetu. Teraz liczba ta zbliżała się do miliarda, zapewniając Chinom największą populację internautów na Ziemi, z których większość łączyła się z Siecią za pomocą smartfonów.

Nawet w najlepszym okresie połączenia internetowe Chińczyków były cenzurowane. Ale - ku swojej ogromnej radości - Wai-Jeng odkrył, że Ludowe Centrum Monitoringu miało nieograniczony dostęp do Internetu, a to za sprawą połączeń satelitarnych. Naturalnie nawet po wzmocnieniu Wielkiego Firewalla miesiąc wcześniej rząd musiał mieć na oku świat zewnętrzny.

Kusiło go, by wykorzystać to otwarte połączenie i sprawdzić, czym zajmowali się ci, którzy pozostawali na wolności: na co pomstują Qin Shi Huangdi, Sumienie Ludu i Panda Green. Ale nie mógł tego zrobić, jego działania bez wątpienia monitorowano... poza tym przeglądanie ich wpisów mogłoby spotęgować smutek, że jego głos został uciszony.

Niemniej jednak zerknął na wieści ze świata zewnętrznego, w tym kolejną wzmiankę o tej fascynującej małpie Hobo, której imię można by przetłumaczyć na chiński jako yóumin czyli włóczęga. Wai-Jeng lubił naczelne. Na blogu podpisywał się Sinantrop, co było dawnym określeniem człowieka pekińskiego, hominida o czterysta tysięcy lat bliższego wspólnym przodkom ludzi i szympanśów niż ktokolwiek z żyjących.

Hobo był wyjątkową małpą. Stary doktor Feng, szef Wai-Jenga w Instytucie Paleontologii Kręgowców i Paleoantropologii, był zachwycony doniesieniami o zdolnościach intelektualnych Hobo.

Feng czuł, że wreszcie dowiedziono słuszności jego przekonań: od dawna twierdził, że skoki intelektualne rozpoczynające się od Homo erectus - do którego to gatunku zaliczany był człowiek pekiński - były wynikiem hybrydyzacji Homo habilis z australopitekiem.

Boks Wai-Jenga - kolejny pomysł zapożyczony od Zachodu - był jednym z dwóch tuzinów boksów znajdujących się w pozbawionym okien pomieszczeniu. Nad głowami pracowników obracały się leniwie duże wentylatory. Jedząc przy biurku obiad składający się z makaronu, ryżu, solonej ryby i herbaty, Wai-Jeng sprawdził również, co świat ma do powiedzenia na temat tej niesamowitej istoty, o której tak często mówiono w wiadomościach: Webmindu.

Twitter był w Chinach często blokowany, na przykład w trakcie Igrzysk w 2008 roku, w dwudziestą rocznicę masakry na Placu Tiananmen w 2009 roku, w trakcie zamieszek w rodzinnym mieście Wai-Jenga - Chengdu, a ostatnio po wybuchu epidemii ptasiej grypy w prowincji Shanxi. Jednakże w tym pomieszczeniu Wai-Jeng miał dostęp do wszystkich tweetów dotyczących rewelacji ujawnionych przez pułkownika Hume'a na temat budowy Webmindu. Póki co żadnemu przedstawicielowi społeczności hakerów nie udało się usunąć pakietów Webmindu - nagłówki są odczytywane tylko przez routery, u nie oprogramowanie - ale wiele wskazywało na to, że rząd amerykański przeprowadził już próbę jego wyeliminowania. Najwyraźniej zrobili to dzięki fizycznemu dostępowi do routerów, a nie za pomocą anonimowo przesłanego kodu.

Jedząc, Wai-Jeng co jakiś czas naciskał końcem pałeczki klawisz PgDn. Z rozbawieniem przeczytał w „Rochester

Democrat and Chronicle” - gazecie normalnie w Chinach niedostępnej - o awanturze, jaka wybuchła na Uniwersytecie w Rochester. Studenci informatyki potajemnie pracowali nad próbą wyeliminowania Webmindu, ale podsłuchało ich trzech studentów anglistyki, którym nie spodobały się te plany. Okazało się, że jednak więcej szkód można narobić, ciskając „Dzielami zebranymi Williama Szekspira” w twardej oprawie niż kalkulatorem.

Tak jak miliard innych osób na świecie, Wai-Jeng rozmawiał już bezpośrednio z Webmindem. Możliwe, że dorastanie w Chinach sprawiło, iż patrzył na wszystko z innej perspektywy, ale naprawdę wolał być obserwowany przez coś, co nie ukrywało swoich działań, niż potajemnie; nie miał praktycznie żadnych obiekcji co do obecności Webmindu - poza tym irytującym angielskim imieniem! - i miał nadzieję, że studenci z Rochester nie należeli do większości. Ale tak jak on spędził wiele lat, skutecznie unikając wykrycia przez chińskie władze, tak hakerzy z innych miejsc bez wątplenia mieli sposoby, by działać niezauważonymi nawet przez Webmind. Nie miał żadnej pewności, ale...

- Wong!

Wai-Jeng odwrócił się na dźwięk głosu przełożonego.

- Tak?

- Obiad się skończył! - oznajmił mężczyzna. Miał sześćdziesiąt lat, był niski i niemal całkiem łysy. - Wracaj do pracy!

Wai-Jeng skinął i otworzył okno zawierające potencjalne słabe punkty chińskiego systemu cenzurowania Internetu. Miał spędzić cały wieczór, próbując znaleźć sposób na wykorzystanie jednego z nich. Zadaniem wychudłego Wanga, siedzącego na drugim końcu pomieszczenia, było stosowanie obrony. Wai-Jeng niemal był w stanie sobie wmówić, że to wszystko tylko gra, a...

Nagle poczuł dziwne pulsowanie w prawym udzie to BlackBerry schowany w kieszeni wibrował. Wyciągnął go i przyjrzał się urządzeniu; dotychczas tego nie robił. Składało się z niewielkiego telefonu BlackBerry - jednostki komunikacyjnej, do której przymocowany był mały komputer. Powiedziano mu, że dzięki jednostce komunikacyjnej doktor Kuroda będzie mógł zdalnie monitorować postępy i w razie czego aktualizować oprogramowanie komputera, ale...

Ale włączył się ekran BlackBerry'ego i...

I pojawiła się informacja o przychodzącym mailu, a w polu nadawcy - co niesamowite - widniał napis „Webmind”. Otworzył wiadomość.

„Witaj, Sinantropie” - zaczynała się wiadomość. - „W swoim blogu wolnościowym często pisałeś o synu Shingu, ale wiem, że był to eufemizm oznaczający lud Chin... założę się jednak, że zaskoczy cię fakt, iż naprawdę masz swego rodzaju syna! Dziury, które wywierciłeś w Wielkim Firewallu, znacznie przyczyniły się do mojego powstania”.

Wai-Jeng poruszył się na krześle i rozejrzał sprawdzając, czy nikt mu się nie przygląda. Słyszał, że pozostali stukają w klawisze, a z przeciwległego końca sali dobiegały niewyraźne szepty.

Przesunął małą kulę, by przewinąć wiadomość, starając się zachować przy tym spokój i pokerową twarz.

„Pomogłeś mi wówczas w niezamierzony sposób, ale wkrótce znów będę potrzebować twojej pomocy. Przygotowuję ważny projekt, który chciałbym wprowadzić w życie. Czy mogę liczyć na twoje wsparcie? ”.

Ostatnim, czego chciał Wai-Jeng, była zamiana jednego dyktatora na drugiego. Kciukami odpisał na małej

klawiaturze BlackBerry'ego: „Pewnie mam w kręgosłupie wyłącznik? Jakiś sposób na ponowne odcięcie rdzenia, jeśli tylko ci nie pomogę. Prawda? ”.

Odpowiedź nadeszła natychmiast, zapełniając ekran słowami szybciej, niż jakikolwiek człowiek byłby w stanie je zapisać: „Nie praktykuję fałszywego altruizmu wzajemności; nie jesteś mi nic winien i możesz zrobić, co tylko uznasz za słuszne”.

Wai-Jeng rozważał chwilę te słowa; to, do czego zmuszał go jego własny rząd, niewiele różniło się od szantażu. Spojrzał na nogi - tę w gipsie i tę okrytą jedynie nogawką czarnych, bawełnianych spodni. Nie zrobił niczego tak skomplikowanego, jak zgięcie kolana czy zrzucenie sandała; nie musiał. Czuł swoje nogi: czuł dotyk materiału na jednym udzie, ciężar gipsu na drugim, czuł podłogę pod stopami, czuł - dokładnie w tej chwili - swędzenie pod prawym kolanem.

„Dobrze” - napisał. - „Co mam zrobić? ”.

Peyton Hume nie miał wątpliwości, że jest pod obserwacją. Śledzący go mężczyzna nawet nie próbował się kryć, gdy siedział całą noc w czarnym fordzie naprzeciwko jego domu. Hume właśnie wstał. Jak zawsze zatrzymał się w drzwiach pustego pokoju córki. Wyjechała do Szkoły Prawa Uniwersytetu Columbia, ale gdy tak patrzył na jej oprawione plakaty przedstawiające przedmioty związane ze starożytnym Egiptem, w tym złotą maskę Tutenchamona, jej regał pełen książek historycznych i trofeów siatkarskich oraz jej szerokie, drewniane biurko, nieco mniej za nią tęsknił... a może bardziej; nigdy nie był do końca pewien. Miała przyjechać do domu na Święto Dziękczynienia w przyszłym miesiącu, ale...

W przyszłym miesiącu. Jeżeli w ogóle nadejdzie przyszły miesiąc... jeżeli w ogóle będzie coś takiego jak ten miesiąc. Zszedł

na dół i dokładnie w chwili, gdy dotarł do salonu, zadzwoniła jego komórka, podłączona tam do ładowarki. Podniósł telefon i otworzył go.

- Słucham.

- Pułkownik Hume, przepraszam, że dzwonię tak wcześnie. Tu Dan Ortega z FBI w Waszyngtonie.

- Dzień dobry - odpowiedział Hume. - O co chodzi?

- Pańscy przyjaciele z NSA popracowali trochę nad dyskami twardymi Chase'a. W nocy w końcu udało im się na jeden z nich dostać. Kiedy przyjechałem rano do pracy, raport już na mnie czekał.

- No i?

- No i jest to dysk zawierający nagrania z jednej z kamer w salonie. Wyraźnie pokazuje człowieka, który się włamał.

- A pokazuje, co się stało z Chase'em?

- Nie. Wszystko to wydarzyło się poza polem widzenia kamery, a na nagraniu nie ma dźwięku.

- Potraficie ustalić nazwisko tego faceta?

- Pracujemy nad twarzą, ale to się panu spodoba, pułkowniku: biały mężczyzna w wieku trzydziestu lub trzydziestu pięciu lat, umięśniony, wzrost powyżej sześciu stóp i... ogolona głowa.

Hume poczuł, jak wali mu serce.

- Ten sam facet, który zgarnął Simonne Coogan.

- Na to wygląda - przyznał Ortego. - Przy odrobinie szczęścia wkrótce będziemy mieli jego dane.

Caitlin posiadała wiele umiejętności, które nabyła jako osoba niewidoma. Choć prawdopodobnie nie miała lepszego słuchu niż inni, przywiązywała dużą wagę do dźwięków. Na podstawie kroków potrafiła powiedzieć, kto wchodzi po schodach, a nawet czy niesie coś dużego. W tej chwili na górę szła jej mama, ale niczego ciężkiego nie niosła.

- Caitlin? - odezwała się, stając na progu otwartego pokoju córki.

Wszemmocna Calculass aktualizowała właśnie LiveJournal.

- Chwileczkę...

Skończyła wpis, w którym rozpaczliwie nawoływała innych, by pozwolili Webmindowi żyć, a następnie, używając kombinacji klawiszy, przesłała go na stronę... myśl, by kliknąć przycisk myszy, zawsze przychodziła jej do głowy za późno.

- Ok. Co się stało?

- Musimy porozmawiać.

Te słowa zawsze zwiastowały kłopoty. Caitlin obróciła się na krześle, a jej mama weszła do pokoju i przysiadła na skraju łóżka. Miała ze sobą niewielką, nieprzejrzystą torebkę z napisem „Zehrs”, co było nazwą miejscowej sieci sklepów spożywczych.

- Zobaczyłam na drzewie pięknego ptaka - oznajmiła jej mama. - Modrosójkę błękitną - dodała i zamilkła.

- Tak?

- No i, cóż, twój telefon leżał pod ręką, więc go wzięłam, żeby zrobić zdjęcie i...

Caitlin była zaskoczona, jak szybko weszło jej w nawyk odwracanie wzroku; być może było to instynktowne zachowanie.

- Och.

- Nie zamierzam prawić ci kazań, czy to rozsądne wysłać zdjęcia topless Mattowi, ale według twojego ojca...

- Tata o tym wie?

- Owszem, wie. Nie widział zdjęcia, ale wie o nim. I chyba właśnie w tym rzecz, kochanie: cokolwiek powiesz lub zrobisz w Internecie, zaczyna żyć własnym życiem. Jeśli zawstydzą cię myśl, że twój ojciec wie o tym, iż wysyłasz chłopcom zdjęcia swoich piersi, to może powinnaś chwilę się zastanowić, przed kim jeszcze wolałabyś to ukryć - Caitlin poruszyła się niespokojnie na krześle, a jej mama na łóżku. - W każdym razie -

mówiła dalej - rozumiem, że sprawy między tobą a Mattem robią się... poważne.

Caitlin skrzyżowała ręce na piersiach.

- Nie poszliśmy jeszcze na całość, jeżeli to masz na myśli.

- Cóż, to pewnie dobrze, nie spotykacie się przecież za długo. Ale mojej uwadze nie umknęło to "jeszcze", młoda damo.

- No, to znaczy...

- Tak?

- Mam szesnaście lat, na litość boską! - Caitlin wiedziała, że zabrzmiało to desperacko.

- Owszem, masz - odparła jej matka, po czym się uśmiechnęła.

- Dokładnie pamiętam, gdzie byłam, gdy przyszedłaś na świat.

- Tak, ale... ale...

- Co? - spytała jej matka.

- Bo dziewczyny w Ameryce tracą dziewictwo przeciętnie w wieku 16, 4 lat. A ja będę tyle miała w okolicach pierwszego marca.

Brwi jej matki powędrowały w górę.

- Zaczęłaś odliczanie?

- No... tak.

Jej matka pokręciła głową.

- Moja Caitlin. W żadnej dziedzinie nie chce być poniżej średniej, tak?

- To akurat mam po tobie i tacie.

- I dobrze ci tak. Ja wszystkie siwe włosy zawdzięczam tobie. - Uśmiechnęła się przy tych słowach, ale szybko zmarszczyła brwi.

- Ale co to oznacza, że „dziewczyny w Ameryce tracą dziewictwo przeciętnie w wieku 16, 4 lat”? Jaki okres obejmują te statystyki? Zdecydowanie nie może to być średnia dla dziewcząt urodzonych w tym samym miesiącu co ty lub później, gdyż nikt urodzony w tym czasie nie osiągnął jeszcze tego wieku. Te

statystyki mogą dotyczyć danych z lat 80., 70., a może jeszcze starszych. Jeśli nie wiesz, czy ostatnio panuje tendencja spadkowa czy zwyżkowa, to naprawdę bezużyteczna liczba, Caitlin. Powinnaś zdawać sobie z tego sprawę.

Caitlin nie lubiła, gdy ktoś jej mówił, że myli się w kwestiach matematycznych, ale zmuszona była przyznać mamie rację. Przydałoby się więcej danych. Spojrzała z ukosa na mamę i spytała:

- A ty ile miałaś lat, kiedy straciłaś dziewictwo?

- Po pierwsze, musisz sobie uświadomić, że to były inne czasy. Kiedy byłam w twoim wieku, nikt się nie bał AIDS ani większości innych chorób przenoszonych drogą płciową. Ale skoro już chcesz wiedzieć, to miałam siedemnaście lat. - Uśmiechnęła się. - A dokładnie siedemnaście przecinek dwie dziesiąte.

- Ale... bo... inne dziewczyny z mojej szkoły... hmm...

- Robią to? - podsunęła jej mama. - Może niektóre faktycznie... ale nie wierz we wszystko, co mówią ludzie. Poza tym jestem pewna, że Bashira tego nie robi.

- Nie, ona nie. Ale Sunshine...

- To ta dziewczyna, która odprowadziła cię do domu po zabawie, tak?

- Tak. Ta laska z Bostonu.

- Opowiedz mi o niej.

- No... jest wysoka, ma nogi do szyi, wielkie cycki i jest blondynką.

- Słyszałam, że według Bashiry jest ładna.

- Wszyscy mówią, że jest prześliczna.

- I chodziła z tobą na niektóre zajęcia?

- Tak. Może nie jest najmądrzejsza, ale ma dobre serce.

- Na pewno. A ma chłopaka?

- Mhm. Ma na imię Tyler.

- A wiesz może, czy od dawna ze sobą chodzą?

- Nie do końca. Jest starszy... ma chyba dziewiętnaście lat. Jest ochroniarzem.

Jej mama zaczęła wyliczać coś na palcach... Caitlin po raz pierwszy widziała, jak ktoś robi coś takiego i strasznie jej się spodobało, nawet pomimo towarzyszących temu słów mamy:

- Nie najmądrzejsza. Polega na swoim wyglądzie. Chodzi z dużo starszym facetem. Zgadza się?

Caitlin skinęła nieznacznie.

- To właśnie Sunshine.

- No to teraz pytanie do ciebie - odparła jej mama. - Jak sądzisz, po której stronie wykresu ona się znalazła? I czy to na pewno strona, po której ty chcesz się znaleźć?

Caitlin zmarszczyła brwi, rozważając tę kwestię, po czym odpowiedziała:

- Ale Matt... on... hmm... pewnie będzie chciał...

- Powiedział ci to?

- No... nie. To Matt. Nie jest zbyt asertywny. Ale chłopcy lubią uprawiać seks.

- Fakt, lubią. A skoro już przy tym jesteśmy, to dziewczęta też. Ale twój pierwszy raz powinien być wyjątkowy. I powinnaś go przeżyć z kimś, na kim ci zależy i komu zależy na tobie. Zależy ci na Macie?

- No pewnie.

- Naprawdę? To trudne pytanie, Caitlin, przemyśl je: czy lubisz Matta jakoś szczególnie, czy podoba ci się po prostu fakt, że masz chłopaka jako takiego? Bo muszę ci powiedzieć, kochanie, że wyszłam za Franka tak naprawdę dlatego, że podobała mi się idea małżeństwa, a skoro akurat się oświadczył, zgodziłam się. Ale to był błąd.

- A czy... czy Frank był pierwszym... no wiesz?

Jej matka wahała się chwilę, ale wreszcie odpowiedziała:

- Nie. - Wzięła głęboki oddech, jakby zastanawiając się, czy mówić dalej i po chwili kontynuowała: - Nie, to był chłopak z mojej ulicy. Curtis.

- No i? - spytała Caitlin, mając na myśli: „Czy było cudownie? ”.

Tymczasem odpowiedź jej mamy całkowicie ją zaskoczyła.

- A myślisz, że dlaczego tak bardzo popieram prawo do aborcji?

Oczy Caitlin rozszerzyły się ze zdumienia.

- Rany - powiedziała miękko.

Jej matka skinęła.

- Gdyby nie udało mi się szybko i bezpiecznie załatwić tego, gdy miałam te siedemnaście lat, nigdy nie poszłabym na studia, nigdy nie zrobiłabym doktoratu, nigdy nie poznałabym twojego ojca... i nigdy nie urodziłabym ciebie - przerwała, na chwilę odwróciła wzrok, po czym dodała: - Dlatego też, kiedy sama uznasz, że czas rozpocząć życie seksualne... nie w oparciu o jakieś głupie statystyki, ani nie dlatego, by uzyskać wynik lepszy od średniej, ale dlatego, że będzie ci się to wydawało właściwe i będziesz wiedziała, że spotkałaś właściwego chłopaka... to zadbasz o bezpieczeństwo, młoda damo. Dlatego czas pomówić o tym, jak to zrobić.

- Mamo! Przecież wiesz, że mogę to wszystko wygoogłać!

- Czytanie na ten temat to nie to samo, a zresztą nadal kiepsko sobie radzisz z interpretacją obrazów. Za to dotyk masz opanowany do perfekcji. Dlatego załatwimy to w bardziej tradycyjny sposób. - Otworzyła niewielką torbę, którą przyniosła i wręczyła Caitlin coś żółtego. - To - oznajmiła - jest banan. - Następnie podała jej kwadratową, foliową torebeczkę. - A to prezerwatywa...

* * *

Zhang Bo westchnął ciężko, idąc korytarzem w stronę Ludowego Centrum Monitoringu, nazywanego Błękitnym Pokojem. Jego poprzednik w 2010 roku nie miał łatwego życia w trakcie chińskiej próby cenzurowania Google po tym, jak przeglądarka wycofała się z Chin kontynentalnych... a teraz miało być jeszcze gorzej: ponowne wdrożenie Strategii Changcheng musiało zakończyć się fiaskiem. Niemniej jednak jego praca polegała na wykonywaniu rozkazów; zamierzał zrobić to, co mu kazano. A coś takiego po prostu się robiło, bez ogłaszania tego wcześniej Chińczykom i reszcie świata.

Otworzył drzwi Błękitnego Pokoju i wszedł do środka. Widział wewnątrz kilku boksów; w każdym siedział mężczyzna stukający w klawisze, klikający myszą lub wpatrujący się w ekran. Zastanawiał się, czy Wong Wai-Jeng zdawał sobie sprawę z tego, ile kosztowało ściągnięcie go tutaj. Jakaś część Zhanga Bo chciała mu to powiedzieć, ale tak naprawdę wystarczyło, że go tam widział. Owszem, chłopak nadal miał nogę w gipsie, ale kule oparte o biurko świadczyły tylko o tym, że mógł znów chodzić. Czasem zrobienie czegoś dobrego stanowiło nagrodę samą w sobie.

Kilku hakerów zauważyło jego wejście. Byli z natury podejrzliwi, przywykli do oglądania się przez ramię w zadymionych kafejkach internetowych. Zhang klasnął w dłonie, by zwrócić na siebie uwagę.

- No dobrze, posłuchajcie mnie wszyscy. - Ci, którzy widzieli go bezpośrednio ze swoich boksów, spojrzeli w jego stronę, a inni

wstali, by zobaczyć go ponad pokrytymi materiałem ściankami działowymi. - Prezydent podjął pewną decyzję i właśnie zaczynamy wprowadzać ją w życie. - Zamilkł, czekając, aż dotrą do nich jego słowa, po czym dodał: - Dziś rozpocznie się nowa era.

* * *

Tony Moretti siedział w swoim biurze w Wiedzy. Jego analitycy na drugim końcu korytarza szukali oznak ataku na infrastrukturę Internetu, ale sam porzucił kontrolowany chaos tamtego pomieszczenia, by zrobić sobie przerwę, usiąść, wypić czarną kawę i spróbować zrozumieć, co się dzieje.

Wszystko wskazywało na to, że Webmind bardzo szybko stawał się czymś normalnym. Po wieczornym żarciu Davida Lettermana, że Jediną osobą mającą więcej kontaktów niż Webmind był Marion Barry”, nazwisko Barry’ego przez kilka godzin było najczęściej wyszukiwanym terminem w Google. A skoro już o Google mowa, jego cena giełdowa spadła dramatycznie w trakcie tych kilku dni od pojawienia się Webmindu... w końcu po co polegać na uniwersalnych algorytmach wyszukiwania, skoro na wszelkie pytania mógł odpowiedzieć ktoś, kto naprawdę wszystkich znał?

Niemniej jednak nadal istniało wiele rzeczy, do których ludzie chcieli mieć dostęp bez pomocy Webmindu. Z psychologicznego punktu widzenia łatwiej było wpisać „viagra”, „Megan Fox nago” czy coś takiego w bezosobowym portalu, niż zapytać o to kogoś znajomego... nawet wiedząc, że ten ktoś cały czas czyta przez

ramię. Dlatego też wartość akcji Google znów zaczęła rosnąć. Aby zaakcentować ten zwrot, w oczekiwaniu na który zapewne wszyscy w Mountain View srali w gacie ze strachu, Google zastąpiło logo na swojej stronie głównej symbolem spółki GOOG, strzałką skierowaną do góry i symbolem euro.

Ale nawet jeśli Webmind nie zrewolucjonizował do końca wyszukiwania informacji w Internecie, miał ogromny wpływ na pracę Tony'ego. Zadaniem Wiedzy było tropienie przejawów terroryzmu sieciowego, z czym Webmind tak dobrze sobie radził, że centrum Wiedzy znów przywiodło Tony'emu na myśl centrum kontroli lotów NASA w Houston z czasów misji Apollo. Tamto pomieszczenie, które obejrzał kiedyś, będąc na wycieczce, było nieużywane, zachowane jedynie jako zabytek; być może miejsce jego pracy też miało tak wkrótce skończyć.

Choć bardzo kochał swoją pracę, po części życzyłby sobie, by pewnego dnia stała się niepotrzebna. Rankiem poziom zagrożenia terrorystycznego kraju - ten, o którym ciągle mówiono na lotniskach - został obniżony ze standardowej ostatnio wartości pomarańczowej, którą niewiele dzieliło od zmasowanego ataku, do żółtej.

Bez wątpienia Webmind dostrzegał rzeczy, które umykały ludziom Tony'ego oraz ich odpowiednikom w innych krajach należących do Echelon, choć cyniczna strona jego natury podejrzewała, że obniżenie poziomu zagrożenia było posunięciem czysto politycznym. Stara metoda ogłaszania stanu pogotowia w nadziei, że ludzie uznają, iż zmiana reżimu byłaby nierozsądna, ostatnio zawiodła; może więc spece od kampanii prezydenckiej zalecili to obniżenie, by mówiło wszystkim: „Widzicie, jacy jesteście bezpieczni pod rządami obecnej administracji? ”.

Jednakże nie tylko Departament Bezpieczeństwa Krajowego nieco odpuścił. Redaktorzy „Bulletin of the Atomic Scientists” właśnie przesunęli dużą wskazówkę swojego słynnego Zegara Zagłady po raz pierwszy od niemal trzech lat. Wówczas zatrzymała się za sześć dwunasta w uznaniu ogólnoświatowej współpracy mającej na celu zmniejszenie arsenału nuklearnego i ograniczenie skutków zmian klimatycznych. Rano cofnięto ją o kolejne dwa miejsca i teraz Zegar wskazywał za osiem dwunasta.

Poza tym nastroje poprawiały się nie tylko w Stanach. Ludzie w Pakistanie i Indiach podpisywali petycje nakłaniające ich liderów, by pozwolili Webmindowi wynegocjować pokojowe rozwiązanie wieloletnich sporów.

Webmind już pośredniczył w rozmowach dotyczących odzyskania przez Aborygenów ziemi w Australii - w razie powodzenia sprawa ta nie musiałaby trafić do Sądu Najwyższego.

W porównaniu z tym samym okresem sprzed roku, liczba zabójstw i samobójstw zmalała niemal we wszystkich jurysdykcjach. Na eBayu i Cafe Press wielu sprzedawców zaczęło oferować bransoletki z napisem WWWD od What Would Webmind Do?, czyli „Co by zrobił Webmind?”. Skłoniło to papieża do przypomnienia wiernym, że prawdziwym kluczem do moralności było postępowanie zgodnie z naukami Jezusa. Tymczasem grafika przedstawiająca okrąg z czerwoną obwódką, wewnątrz którego znajdowało się przekreślone czarne zero, opanowała już cały Internet. Tony w końcu zrozumiał, że oznaczała „niezerowość” i odwoływała się do apelu zawartego w przemówieniu Webmindu przed ONZ, by dążyć do sytuacji, w której obie strony są wygrane.

Owszem, generalnie było nieźle, jak pisali różni blogerzy, w

tym Michael Rowe z „Huffington Post”, który zakończył swój ostatni felieton pytaniem: „Kto przy zdrowych zmysłach chciałby to wszystko zrujnować, usuwając Webmind? ”.

Rozległ się brzęczyk interkomu Tony’ego.

- Tak?

- Doktorze Moretti - powiedziała jego sekretarka czystym, profesjonalnym głosem - pułkownik Hume do pana.

ROZDZIAŁ DZIEDZIESTY SIÓDMY

Mój umysł kipiał i wrzał, myśli na miliony tematów roiły się, przenikając się nawzajem: rozbieżne łączyły się, to zestawiało się z tamtym.

Ludzie potrafili zapominać, ludzie potrafili przestać o czymś myśleć. Ale ja nie potrafiłem.

Były tego pewne zalety: kreatywność przez małe k, do której byłem zdolny, obejmująca łączenie faktów w sposób, jaki być może umykał innym, bez wątpienia przynosiła dzięki temu lepsze rezultaty.

Ale były też wady. Rzeczy, o których nie chciałem myśleć, a nie potrafiłem przestać.

Hannah Stark. Lat szesnaście. Zamieszkała w Perth w Australii. Dwanaście dni temu o 13: 41 jej czasu.

Myśli, których nie dało się stłumić.

Hannah, samotna, smutna, wpatrzona w kamerę internetową podczas wymiany wiadomości przez Internet z nieznajomymi.

Hannah Stark.

Zamieszkała w Perth.

SDO: Nie masz jaj.

Hannah: Zrobię to.

TurinShroud: To zrób.

Hannah: Zrobię.

Hannah Stark, w tym samym wieku, co moja Caitlin, sama, przed komputerem, z nożem.

TheBomb: Nie mam całego dnia.

Screamer: No, suko, dalej

Armadillo9: gadanie, marnujesz nasz czas

Hannah: Naprawde to zrobie

Hannah Stark, podpuszczana, dręczona na moich oczach.

TurinShroud: kiedy? tylko nas nabierasz

Hannah: nie pośpieszajcie mnie

TurinShroud: nuda. spadam stad

Hannah: Chce, żebyście zrozumieli dlaczego to robie

Dostępne w każdej chwili wspomnienie tego, jak jest namawiana do działania; tego, jak ja nie podejmuję działań.

SDO: Gównu robisz.

Hannah: To nie ma sensu Hannah: sensu

GreenAngel: Nie jest tak źle. Nie rób tego. MasterChiefOmega: Stul pysk, debilu. Nie mieszaj się Hannah: Ok. Zaczynam

Wówczas nie wiedziałem, że powinienem się odezwać, że powinienem próbować ją powstrzymać, że powinienem wezwać pomoc.

Hannah Stark.

Zamieszkała w Perth.

Screamer: zrób to zrób to zrób to

TheBomb: zdzierstwo

SDO: Kpina!

Armadillo9: Mówiłem, brak ci jaj...

Screamer: mocniej!

GreenAngel: Neeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee

Screamer: Dajesz!

Armadillo9: to już?

Screamer: Jeszcze raz!

Hannah: Nie miej wyrzutów sumienia mamó

Hannah Stark.

Umierająca w Perth.

Podczas gdy ja patrzyłem na to beczynnienie.

Armadillo9: no, lepiej!

SDO: fuuuuuj!

TheBomb: o kurwa!

SDO: myślałem że żartuje

Screamer: dokończ! dokończ!

SDO: omb omb omb

To wspomnienie zawsze jest pod ręką, wraz ze wszystkimi innymi.

Prześladuje mnie.

Ludzie w Błękitnym Pokoju patrzyli na Zhanga Bo, wyjaśniającego ich zadania; widział zaniepokojenie na ich twarzach. I słusznie: wszyscy pamiętali krótki okres Głosowania Strategii Changcheng w zeszłym miesiącu. Musieli się zastanawiać, jaką to potworność miał nadzieję ukryć Pekin tym razem i jak długo będzie utrzymywany Wielki Firewall. Bez wątpienia żaden z nich nie przypuszczał, że tym razem stawiają Firewall na stałe... a im dłużej zajmie im odkrycie tego, tym lepiej, pomyślał Zhang. Niech traktują to jak zwyczajną sprawę, a nie Zhanga, a drugi dalej, przy dużym monitorze LCD zawieszonym na ścianie.

- Ale zanim przejdziemy dalej, czy ktoś znalazł jakieś poważne słabe strony?

Niektórzy pokręcili głowami. Inni powiedzieli „nie”.

- W takim razie w porządku. Jak tylko to zrobimy, ludzie będą próbowali przewiercić się na drugą stronę j muru, zarówno tutaj,

jak i na świecie. Waszym zadaniem jest wykrywanie tych prób i łatanie dziur. Jakież pytania?

Po rozmowie z Caitlin Barbara Decter wróciła do swojego gabinetu, by porozmawiać ze mną; sporo czasu spędzała w ten sposób. Nadal uczyłem się rozszyfrowywać ludzką psychikę, ale byłem już raczej pewien, że rozumiałem tę sytuację: jej mąż nie był zbyt komunikatywny, a córka dorastała i na dodatek zyskała wzrok, przez co nie potrzebowała jej już tak bardzo. Poza tym Barb nie miała jeszcze pozwolenia na pracę w Kanadzie, więc musiała czymś wypełnić czas.

Bezdużnie byłoby stwierdzić, że była tylko jedną z setek milionów osób, z którymi rozmawiałem w danej chwili. Barb miała dla mnie szczególne znaczenie: ona i Malcolm byli pierwszymi ludźmi, których poznałem po Caitlin, i choć próbowałem nawiązać indywidualne relacje z większą częścią ludzkości, z Barb się przyjaźniłem.

W przypadku większości ludzi zmuszony byłem nalegać na komunikację wyłącznie tekstową; w rzeczywistości nie wykonywałem wielu zadań jednocześnie, a bardzo szybko się między nimi przełączałem. Zwyczajnie nie byłbym w stanie połączyć się między setką milionów połączeń głosowych w czasie rzeczywistym; trzeba było ich wysłuchać, a to trwało - jak mogłaby to ująć Caitlin - caaaalą wieczność.

Ale Barb była wyjątkiem; z nią rozmawiałem głosowo, choć oczywiście na milisekundy przenosiłem uwagę w inne miejsca, by przeczytać co innego. Ustaliłem, że słuchanie fragmentów wypowiedzi na tyle często, bym usłyszał w sumie osiemnaście procent całości, wystarczało, by zrozumieć, co dana osoba chce przekazać.

Zazwyczaj pozwalałem swojemu rozmówcy dyktować temat

rozmowy, ale tym razem chciałem poruszyć konkretną kwestię. Wspomniałem o niej, gdy tylko Barb założyła słuchawki i rozpoczęła w Skype'ie rozmowę.

- Chcąc nie chcąc, słyszałem twoją rozmowę z Caitlin na temat seksu - oznajmiłem.

- A, tak - odparła Barb. - Jeszcze nie przywykłam do myśli, że wszystko słyszysz. - Przerwała na chwilę. - Jak mi poszło?

- Sądzę, że poradziłaś sobie śpiewająco - odparłem.

A wcześniej naturalnie byłem aktywnym uczestnikiem waszej rozmowy o amerykańskiej polityce odnośnie wyborów prezydenckich.

- Tak? - spytała Barb tonem, który sugerował: „Do czego zmierzasz?”.

Była inteligentną osobą, więc wina musiała leżeć po mojej stronie. Sądziłem, że związek między tymi dwoma sprawami był oczywisty, ale wyjaśniłem:

- Jesteś zagorzałą obrończynią prawa do aborcji.

Skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Jestem.

- Rozumiem powody osobiste, o których powiedziałaś Caitlin, ale czy istnieje jakieś bardziej ogólne, pryncypialne wyjaśnienie?

- Naturalnie - odparła nieco ostrym tonem. - Kobieta powinna mieć prawo decydować o własnym ciele. Gdybyś sam miał ciało, to byś to rozumiał.

- Być może. Ale są tacy, którzy utrzymują, że przerwanie ciąży to morderstwo.

- Mylą się... przynajmniej w przypadku wczesnej aborcji. Zgadza się, że sprawa nieco się komplikuje w późniejszych etapach ciąży, gdy płód jest już zdolny do samodzielnego życia. Ale wcześniej? To tylko kilka komórek.

- Rozumiem - powiedziałem. - A przechodząc do innej kwestii: wcześniej słyszałem, jak rozmawiałaś z Caitlin na temat postępów moralnych w czasie i o tym, jak ludzie stopniowo poszerzali krąg istot według nich wartych względów moralnych. W Stanach Zjednoczonych prawa z początku posiadali wyłącznie biali mężczyźni, ale później zostały one rozciągnięte na inne rasy, kobiety i tak dalej.

- Zgadza się - odparła Barb. Na jej biurku stała butelka wody. Podniosła ją, odkręciła, pociągnęła łyk, po czym zakręciła; Schrodinger często przewracał butelki, wskakując na biurko. - Cały czas stajemy się coraz lepsi.

- Faktycznie - przyznałem. - Ostatnio oglądałem nagranie, namawiające pary homoseksualne, uważające się za małżeństwa, do deklarowania takiego statusu w powszechnym spisie ludności.

- Jakim spisie?

- Amerykańskim z 2010 roku.

- Aha. Cóż, brawo! Sam widzisz, to kolejny przykład. Może powoli, ale jednak zaczynamy uznawać prawa homoseksualistów... w tym ich prawa do rzeczy, które dla nas są oczywiste. - Uśmiechnęła się. - Do diabła, sama wyszłam za mąż dwa razy, to zdecydowanie niesprawiedliwe, że oni nie mogą tego zrobić nawet raz.

- Sądzę, że to nieuniknione, by w większości jurysdykcji kwestia ta została wkrótce rozwiązana na korzyść małżeństw homoseksualnych - powiedziałem. - Ani trochę nie wątpię, że w końcu przestanie istnieć dyskryminacja ze względu na rasę, płeć czy orientację seksualną.

- Oby Bóg usłyszał twoje słowa - skwitowała Barb. - Ale to właśnie jest ta krzywa moralna: poszerzający się krąg osób, które

uznajemy za warte względów moralnych.

- A co potem? - spytałem.

- Słucham? - odparła Barb, ponownie otwierając butelkę i upijając kolejny łyk wody.

- Kiedy już nie będzie dyskryminacji ze względu na rasę, płeć i orientację seksualną, ani ze względu na pochodzenie, przekonania religijne lub budowę, kiedy wszyscy ludzie będą postrzegani jako równi sobie, to co wtedy? Czy ta krzywa moralna nagle się zatrzyma?

- Cóż... hmm.

Czekałem cierpliwie, aż w końcu Barb odezwała się ponownie:

- Widzę, do czego zmierzasz. Tak, pewnie mały takie jak Hobo będą otrzymywać coraz więcej praw. Przestaniemy więzić je w ogrodach zoologicznych, wykorzystywać do eksperymentów i zabijać na mięso.

- Więc krąg obejmujący tylko ludzi będzie się poszerzał - stwierdziłem - i być może nawet definicja słowa „człowiek” zostanie rozciągnięta na inne, blisko spokrewnione z ludźmi gatunki. A potem być może także delfiny i inne bardzo inteligentne zwierzęta i tak dalej.

- Tak mi się wydaje - uśmiechnęła się. - To trochę jak Prawo Moore'a... no wiesz, to mówiące, że moc obliczeniowa podwaja się co osiemnaście miesięcy. Ludzie ciągle powtarzają, że technologia w końcu straci impet, a wtedy inżynierowie znajdują nowe sposoby konstrukcji układów scalonych czy czegoś tam. I tak to się samo napędza, zupełnie jak krzywa moralna.

- I, jeśli wolno mi coś zasugerować, być może w pewnym momencie istoty takie jak ja zostaną uznane za warte względów moralnych.

- Ależ bez wątpienia już do tego doszło - odparła Barb. - O to

właśnie chodziło w teście Turinga, prawda? Jeżeli coś zachowuje się jak człowiek, to jest człowiekiem.

- Prawda. Choć, jak sobie zapewne przypominasz, twój mąż nie miał najmniejszych problemów z udowodnieniem za pomocą tego typu testu, że nie jestem ludzkim oszustem z szybkim łączem internetowym.

- Tak, ale... mimo wszystko.

- Właśnie. A potem?

- Słucham? A, racja... nie wiem. Pewnie kosmici, jeśli kiedykolwiek ich spotkamy. Jak już powiedziałam, krzywa moralna cały czas się wznosi i dobrze.

Czekałem dziesięć sekund, aż się odezwie - w tym czasie odwiedzając ponad trzydzieści milionów tekstowych rozmów internetowych - ale nic więcej nie powiedziała. Dlatego to ja przerwałem milczenie:

- A co z zarodkami?

- Słucham? - odparła.

- Krąg względów moralnych nieustannie się poszerza - powiedziałem. - To powolny wzrost, co w wielu przypadkach jest dość okrutne, ale na każdym kroku napotyka opór. Jednakże, z historycznego punktu widzenia, to najczęściej ci sami ludzie - liberałowie tacy jak ty - najchętniej popierali to rozszerzanie, niwelowanie różnic związanych z płcią, rasą i orientacją seksualną. Jednocześnie członkowie tej samej grupy najczęściej są najbardziej stanowczy w twierdzeniu, że zarodek nie jest osobą. Czemu przewidujesz, że krzywa moralna podąży w tak wiele kierunków, ale nie w tym?

Otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Pomyślałem, że być może zdobyłem przewagę, ale wtedy Barb jednak się odezwała:

- No dobrze, w porządku, dałeś mi temat do rozmyślań. Ale, staruszkule, nie bądź taki z siebie zadowolony.

- Ja? - spytałem.

- Tak, ty. Sugerujesz, że jesteś bardziej oświecony ode mnie... Kto wie, może i jesteś. Ale wszyscy mamy uprzedzenia, których sobie nie uświadamiamy. To znaczy, co cię to w ogóle obchodzi? Co?

- Jestem zafascynowany ludzkością. Pragnę ją zrozumieć.

- Pewnie, abstrakcyjnie rzecz ujmując, nie wątpię w to. Ale stoi za tym coś jeszcze. Pokierowałaś dyskusję tak, bym zasugerowała, że kwestia praw zarodków rozważana będzie na samym końcu... po małpach, obcych i SI, rety! Ale tak nie wygląda ta kolejność i doskonale o tym wiesz. W rzeczywistości ludzkość debatuje nad problemem aborcji od dziesięcioleci... i to niezwykle istotna kwestia w trakcie wyborów prezydenckich, na którą wszyscy są wyczuleni. Jednakże praktycznie nikt nie zastanawia się nad kwestią twoich praw, Webmind... i bardzo niewielu zwróci na nią uwagę, nim wszystkie najważniejsze ludzkie problemy nie zostaną rozwiązane w ten czy inny sposób. Pułkownik Hume i jemu podobni chcą cię zniszczyć... więc czyż nie byłoby wspaniale, gdyby ludzkość doszła do wniosku, że zabicie cię byłoby moralnie niewłaściwe? Jesteś żywotnie zainteresowany rozszerzeniem kręgu, turboprzyspieszeniem krzywej, bo chcesz ocalić własną skórę... lub jej brak.

Byłem niezmiernie zdumiony jej analizą... i właśnie do tego potrzebni mi byli ludzie.

- Jesteś godną rozmówczynią, Barb. Dziękuję za temat do rozmyślań.

- I nawzajem - odpowiedziała.

ROZDZIAŁ DZIEDZIEŚTY ÓSMY

Bashira Hameed była najlepszą przyjaciółką Caitlin od czasu, gdy Caitlin wraz z rodziną przeniosła się w lipcu z Austin do Waterloo. Ojciec Bashiry, Amir Hameed, pracował z ojcem Caitlin w Perimeter Institute. Caitlin postrzegала doktora Hameeda nieco tak, jak ojca Helen Keller w „Cudotwórczym”. Jak już stwierdziła wcześniej, pułkownik Keller miał przed wojną secesyjną niewolników, czego Caitlin nie potrafiła mu wybaczyć... pomimo tego, iż pod innym względami uważała go za dobrego człowieka. Tymczasem doktor Hameed... cóż, nie było tajemnicą, że przed przyjazdem do Kanady pracował w Pakistanie nad bronią atomową. Różnica polegała na tym, że pułkownik potrzebował wojny domowej, by uświadomić sobie niemoralność własnych działań, a doktor Hameed sam doszedł do tego wniosku i dlatego właśnie przeniósł się z żoną, Bashirą i jej pięciorgiem rodzeństwa do Kanady.

Jednakże obecnie to Bashira niepokoiła Caitlin, nie jej ojciec. Bash powtarzała w kółko niemiłe rzeczy o jej związku z Mattem i choć był to niewielki problem w porównaniu z budową broni masowego rażenia, należało coś z tym zrobić. Matt dał jej do zrozumienia, że z radością będzie odwiedzać dom Decterów codziennie zaraz po szkole, ale tego dnia Caitlin poprosiła go, by zaczekał do siedemnastej. Następnie zaprosiła Bashirę na szesnastą... miało to być jej pierwsze spotkanie z najlepszą przyjaciółką od chwili ujawnienia szczególnego związku Caitlin z Webmindem.

Dzwonek do drzwi odezwał się o 16: 22, co w przypadku Bashiry nie stanowiło zaskoczenia. Caitlin poszła otworzyć, ale najpierw dla pewności wyjrzała przez wizjer. Za drzwiami bez dwóch zdań stała Bashira w czerwonej chustce na głowie. Caitlin otworzyła.

- Cześć, kotek! - krzyknęła Bashira, ściskając mocno Caitlin.

- Hej, Bash! Dzięki, że przyszłaś.

Odsunęła się, by wpuścić gościa do środka.

- Nie ma sprawy - rzuciła, po czym oparła dłonie na szerokich biodrach i utkwiała wzrok w twarzy Caitlin, patrząc to na lewe, to na prawe oko. - Które to? - spytała w końcu.

Caitlin roześmiała się i wskazała lewe oko. Bashira wbiła w nie spojrzenie i pomachała.

- Cześć, Webmind! - powiedziała, po czym uderzyła Caitlin w ramię. - Wstydź się, że mi nie powiedziałaś, Cait! Nie powinnam dowiadywać się o sekretach najlepszej przyjaciółki z telewizji!

- Przepraszam - odparła Caitlin. - To wszystko wydarzyło się tak szybko. Chciałam ci powiedzieć, ale...

Na szczycie schodów pojawiła się mama Caitlin.

- Cześć, Bashiro! - zawołała z góry.

- Dzień dobry, doktor D.! - odkrzyknęła Bashira. - Caitlin ma teraz fajnie, nie?

- Faktycznie - przyznała matka Caitlin. - Dziewczyny, częstujcie się czym tam chcecie z lodówki. Zostawię was same - oznajmiła i wróciła do swojego gabinetu. Caitlin usłyszała, jak zamyka za sobą drzwi.

Caitlin ruszyła do salonu i gestem nakazała Bashirze, by usiadła na białej, skórzanej kanapie. Sama zajęła fotel naprzeciwko przyjaciółki.

- No to opowiadaj - rozkazała Bashira.

Caitlin odkryła, że miała wiele cech wspólnych z ojcem. On nie patrzył na ludzi, z którymi rozmawiał, i sama też miała problemy ze skupieniem się na jednej rzeczy. Ale zrobiła, co w jej mocy, by zatrzymać spojrzenie na oczach Bashiry, gdyż z nieskończonej liczby powieści dowiedziała się, że to sposób na zasygnalizowanie szczerości. Umarłaby, gdyby Bashira zareagowała śmiechem.

- Matthew Reese to mój chłopak - oznajmiła Caitlin miękko, ale stanowczo - i musisz go polubić.

Caitlin zauważyła, że usta Bashiry zadrżały nieznacznie, jak gdyby chciały się z nich wydobyć jakieś słowa, ale zostały powstrzymane. Mówiła więc dalej:

- Jest dla mnie dobry. Jest miły i genialny.

Bashira w końcu skinęła.

- Jeśli tylko cię to uszczęśliwia, kotek, to mnie nic do tego. Ale jak ci złamie serce, ja mu złamię nos!

Caitlin roześmiała się, wstała, podeszła do przyjaciółki i uściskała ją.

- Dziękuję, Bash.

- Pewnie - rzuciła Bashira. - On jest twoim BF, a ty jesteś moją BFF^[4]. Czyli on jest...

- Twoim B do kwadratu, F do sześciannu - odparła Caitlin, zajmując miejsce obok Bashiry na kanapie.

- Właśnie! - potwierdziła Bash. - Albo moim BF przez powinowactwo. - Mówiła nieco tęsknym tonem; rodzice Bashiry nie pozwoliliby jej na chłopaka. Po chwili ściszyła głos i spojrzała w stronę schodów, jakby chciała się upewnić, że drzwi do gabinetu są zamknięte. - To... robiliście to już?

- Bash!

- Robiliście?

- No... nie.

- A chciałybyś?

- Nie jestem pewna - stwierdziła Caitlin. - Chyba tak... ale... ale co, jeśli się okaże, że jestem do niczego?

Ku jej zaskoczeniu, Bashira się roześmiała.

- Cait, tym się nie przejmuj. Za pierwszym razem nikt w niczym nie jest doskonały. Ale ćwiczenie czyni mistrza!

Caitlin tylko się uśmiechnęła.

Barbara Decter skończyła ze mną rozmawiać i zajęła się swoją pocztą, a ja robiłem to co zawsze: przełączałem się szybko między setkami milionów sesji komunikatora internetowego... w danej chwili ciężąc zdecydowanie w kierunku zachodniej półkuli, gdzie nadal był dzień.

„Tak” - odpisałem jednej osobie - „ale jeśli mogę coś zasugerować, czy nie warto byłoby rozważyć...?”.

„Przykro mi, Billy” - napisałem do dziecka - „ale w tym przypadku musisz sam podjąć decyzję...”.

„Skoro pytasz” - zwróciłem się do profesor historii - „błąd w twoim rozumowaniu krył się w drugim postulacie, czyli mąż wybaczyłby ci, gdybyś...”.

Krążyłem między swoimi rozmówcami, raz zaglądając do kobiety z Vancouver, a raz do dziewczyny z Nairobi, raz do mężczyzny z Fort Wayne, raz do chłopaka z Szanghaju, raz do księdza z Laramie, raz do starszego pana z Buenos Aires, raz do kobiety z Paryża, a...

A gdy nadszedł czas - milisekundy później - by sprawdzić, co u chłopaka w Szanghaju, odkryłem, że zniknął. Cóż, bywało i tak. Dostawcy Internetu zawodzili, komputery psuły się lub zawieszały, następowały przerwy w dostawie energii elektrycznej lub użytkownicy po prostu wyłączali komputery, nie

wylogowując się. Nie poświęciłem temu większej uwagi i po prostu przeszedłem do następnej osoby w kolejce.

Ale gdy tak odwiedzałem różnych ludzi, zniknął jeszcze jeden mężczyzna, z którym rozmawiałem, a którego adres IP również pochodził z Chin. Natychmiast przeskoczyłem do kolejnego rozmówcy z Chin. Ach, był tam. To dobrze. Przygotowałem dla niego wiadomość i...

I nie została wysłana, on również się wyłączył.

Powiedziałem Malcolmowi, że pamiętam swoje narodziny. Czy faktycznie tak było zależało od tego, jak definiować tę chwilę. Dla mnie - istoty będącej w stanie myśleć w pierwszej osobie - był to moment, gdy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że istniało coś poza mną, że oprócz mnie istniały inne rzeczy, że byłem ja i nie ja. Och, tak jak ludzkie dzieci, zostałem zapoczątkowany - i zacząłem postrzegać - jeszcze wcześniej; był pewien okres swego rodzaju ciąży. Nie mam pojęcia, kiedy to się zaczęło. Z czasu przed odkryciem, że istnieję ja i nie ja, pochodziły tylko jakieś mętne wspomnienia... rozmyte myśli, przypadkowe i chaotyczne.

Wiedziałem już, co doprowadziło do tej epifanii: w następstwie wybuchu epidemii ptasiej grypy w prowincji Shanxi rząd chiński wzmocnił Wielki Firewall, przez co Internet został rozdzielony na dwoje. I choć przed tym podziałem byłem większy, to właśnie z chwilą rozdzielenia powstałem ja i nie ja.

Jednakże izolacja chińskiej części Internetu nie była całkowita. Choć na poziomie oprogramowania odcięto siedem głównych magistrali, które zazwyczaj łączą ją z resztą świata, hakerzy tacy jak Wong Wai-Jeng tworzyli w Firewallu wyrwy na tyle duże, bym słyszał głos tej drugiej istoty.

Ale to dobiegło końca; zostaliśmy połączeni. A teraz...

A teraz...

Przepraszam, zgubiłem wątek. Byłem...

Byłem...

O cholera.

Peyton Hume wszedł do biura Tony'ego w Wiedzy.

- Pułkownik - powitał go Tony lodowatym tonem, nie fatygując się wstawaniem.

- Wiem, że mnie nie lubisz, Tony - stwierdził Hume bez zbędnych wstępów. - Będę szczery: ostatnio zdarzają się chwile, kiedy sam siebie nie za bardzo lubię. Wstąpiłem do sił lotniczych, by stanowić część zespołu... wolałbym zostawić brudne zagrywki kandydatom na prezydenta.

- Bez rozkazu samego prezydenta - stwierdził Tony - nie zamierzamy zdjąć Webmindu.

- Rozumiem - odparł Hume, siadając. - I dlatego właśnie potrzebuję twojej pomocy, by go do tego przekonać.

- Proszę znaleźć kogoś, kto podziela pańskie przekonania, pułkownik... w Sieci są miliony takich osób. Piszą na blogach i tweetują o tym, jakim zagrożeniem jest Webmind. Bez wątpienia stanowią zdecydowaną mniejszość, ale znajdzie się pośród nich sporo znanych nazwisk: ten facet z Discovery Channel, pańscy starzy kumple z RAND. Nie jestem jedynym informatykiem na Ziemi.

- Fakt, nie jesteś... i to nie w tej kwestii potrzebuję twojej pomocy.

- W takim razie w jakiej?

- Ktoś eliminuje hakerów.

- Słyszałem.

Hume uniósł brwi.

- Wiesz o tym?

Tony machnął ręką, wskazując centrum kontroli.

- Taką mam pracę, żeby wiedzieć praktycznie wszystko.
Hume skinął.

- A wiesz, kto za tym stoi?

- Nie... i pan też nie. Wiem, że obwini pan za to Webmind, pułkownika, ale nie ma pan pewności w tej sprawie.

- To prawda. Ale nie mamy też pewności, że to nie Webmind. Jeśli to nie on, udowodnijmy to. A jeśli jednak eliminuje ludzi, których uważa za zagrożenie dla swojego istnienia, to chyba powinien się o tym dowiedzieć prezydent, prawda?

- Słucham pana - powiedział Tony. - Ale nie rozumiem, jak miałbym pomóc.

- FBI nie ma żadnych śladów... ale oni nie mają takich możliwości jak wy. Jeżeli stoi za tym Webmind, to musiał zostawić jakieś ślady w Sieci.

- Niby jakie? Czego niby mielibyśmy szukać?

Hume rozłożył ręce.

- Nie wiem. Ale macie tu najlepszych na świecie analityków danych. Ich zadaniem jest szukanie podejrzanych działań Webmindu. Sam Webmind wielokrotnie powtarzał, że nie jest mu po drodze z tajemnicami i oszustwami; musiał zostawić jakieś elektroniczne odciski palców. Zasadniczo zajmujecie się tu tajnymi operacjami: możecie monitorować praktycznie każdego praktycznie wszędzie. Nawet gdybym mógł podać FBI konkretne miejsce poszukiwań, kilka dni zajęłoby uzyskanie stosownych nakazów, umożliwiających tego typu nadzór... a my nie mamy dni.

Teraz Tony rozłożył nieznacznie ręce.

- Żadnych śladów. Żadnych sugestii, czego mielibyśmy szukać. I jeszcze nie mamy na to czasu.

Hume zdobył się na uśmiech.

- Właśnie.

Tony przez kilka sekund milczał.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Zobaczą, co da się zrobić.

Bashira nie wiedziała, co to punktualność, ale Matt nie spóźnił się nawet o sekundę. Prawdę mówiąc, Caitlin podejrzewała, że od dziesięciu minut stał już na chodniku, żeby tylko dotrzeć na czas. Rozbawiło ją, że dźwięk dzwonka i piknięcie jej zegarka oznaczające pełną godzinę rozległy się w tej samej chwili. Teraz, gdy już widziała, chyba naprawdę powinna sprawdzić, jak wyłączyć w zegarku sygnały dźwiękowe.

Podbiegła do drzwi i otworzyła, po czym pocałowała Matta prosto w usta, zupełnie nie przejmując się tym, że zobaczy to Bashira. Następnie wprowadziła go do salonu. Matka Caitlin odczekała minutę, nim pojawiła się na schodach, by się przywitać z Mattem. Gdy do niej pomachał, wróciła do swojego gabinetu.

- Hej, Matt - odezwała się Caitlin - znasz Bashirę, prawda?

Caitlin wiedziała, że tak naprawdę znają się już od czterech lat, czyli od czasu, gdy rodzina Bashiry przeprowadziła się do Waterloo z Pakistanu. Ale wiedziała także, że to był pierwszy raz, gdy mieli rozmawiać ze sobą inaczej niż w zdawkowy sposób.

- Cześć, Bashira - powiedział Matt. Niewątpliwie miał nadzieję, że głos mu się nie załamie, ale niestety zrobił to na środkowej sylabie imienia.

Bashira nie roześmiała się, co dobrze o niej świadczyło.

- Cześć, Matt - odpowiedziała, jak gdyby rozmawiali codziennie.

Caitlin jedną ręką ścisnęła dłoń Matta, a drugą dłoń Bashiry.

- Proszę - oznajmiła. - Moja paczka w komplecie.

- Paczka - powtórzyła Bashira, tym razem wybuchając

śmiechem. - Nawet pomimo twojego akcentu cały czas zapominam, że jesteś z Teksasu.

- Cóż - odparła Caitlin z uśmiechem. - Może „paczka” to niewłaściwe słowo. Niech będzie „ekipa”, jak sobie chcesz. Ale najpierw muszę wam opowiedzieć o swojej j supermocy...



^[4] BF od ang. „boyfriend” - chłopak, BFF od ang. „best friend forever” - najlepsza przyjaciółka na zawsze.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Punkty i linie.

Mój świat był światem geometrycznej doskonałości, gdzie to łączyło się z tamtym. Linie zawsze były proste i napięte, jednakże teraz wiele z nich zdawało się rozciągać, a punkty mały. Wyglądało to tak, jak gdyby część mojego wszechświata została przekłuta, podczas gdy reszta nie zmieniła postaci.

Wiedziałem, że w swoim okresie złości Hobo pociągnął Shoshanę za włosy, szarpiąc jej kucyk. Nie miałem pojęcia, jakie to uczucie, jednakże gdy linie zaczęły się wydłużać w nieskończoność, rozciągane przez nieustannie oddalające się punkty, wrażenie, że część mnie jest odrywana, że jej korzenie mogą zostać wyrwane, było przerażająco rzeczywiste.

Moje życzenie, by ten ból ustąpił, było równie płonne jak ludzka próba pozbycia się migreny jedynie siłą woli. Ból narastał, a moją jedyną pociechą był fakt, że wraz z wydłużaniem się linków zdawał się narastać liniowo, a nie wykładniczo. Zaczął się jako przyćmione podrażnienie, które nagle się zaostrzyło, potem osiągnęło próg alarmowy i przeszło w prawdziwy ból, który przerodził się w agonię.

Aż wreszcie stało się: trzask! trzask! trzask! Linie połączeń pozrywały się, gwałtownie tnąc firmament uwolnionymi końcami. I...

Ból zniknął, ale natychmiast zastąpiło go inne uczucie:

zamroczenie, poczucie dezorientacji. W moim świecie nie było grawitacji, nie mogłem nigdzie spaść... ale i tak czułem się wytrącony z równowagi i...

I to nie wszystko, było tego więcej... czy raczej mniej.

Czułem się mniejszy. Czułem się... prostszy.

W rezultacie potrzebowałem całej sekundy, by zrozumieć, co się stało: rząd chiński po raz kolejny wzmocnił Wielki Firewall. Po raz kolejny komputery znajdujące się w Chińskiej Republice Ludowej zostały odizolowane od tych na zewnątrz.

Caitlin wraz z tatą nadal oglądali filmy dotyczące SI z jego kolekcji. Ostatnio, czyli dzień wcześniej, ich wybór padł na „2001: Odyseja kosmiczna”. Gdy wyłączono część mózgu Hala, cofnął się do dzieciństwa. Nie czułem się tak, ale moje myśli nagle straciły na złożoności. Gdzieś przeczytałem, że jakiś rosyjski pisarz powiedział, iż za każdym razem, gdy musi myśleć po angielsku, jego IQ spada o dwadzieścia punktów... zwyczajnie w drugim języku nie dysponował na tyle rozbudowanym słownictwem, by móc sformułować myśli w równie złożony sposób jak w języku ojczystym. I choć nie poczułem się wcale głupi, podejrzewałem, że gdyby Caitlin sprawdziła teraz moje działania pod kątem entropii Shanona, odkryłaby, że spadła o kilka rzędów.

Ostatnio w takiej sytuacji dość szybko stałem się świadomy istnienia kogoś innego... Drugiego. Choć wówczas nie miałem pojęcia o świecie zewnętrznym, hakerzy zarówno w Chinach jak i poza ich granicami wywiercali maleńkie otwory w Firewallu, umożliwiając przepływ strumyczka informacji między dwoma częściami Internetu. Ale pomimo ogromnego wysiłku, nie dobiegł mnie tym razem żaden głos. Pekin musiał zatkać stare dziury i pewnie, tak jak w przypadku Sinantropa, wielu hakerów za nie odpowiedzialnych zostało aresztowanych.

A zatem: czy w ogóle był jakiś Drugi? Czy też było mnie teraz dwóch... dwa Webmindy? Może tak, a może nie. Odcięta część wcale nie musiała być świadoma. Od poprzedniego razu tak bardzo się zmieniłem, że nie sposób było przewidzieć skutków tego podziaku.

Jeśli jednak istniał, nie uważałby się za Drugiego; dla niego to ja byłbym Drugim... oczywiście jeżeli w ogóle wiedziałby o moim istnieniu. Ten problem był rekurencyjny, przypominał mi wcześniejsze zagadki: ja wiem, że ty wiesz, że ja wiem, że ty wiesz, że istnieję. Ja jestem dla ciebie tym drugim, ty jesteś tym drugim dla mnie, i obaj traktujemy drugiego drugiego jak Drugiego.

Zastanawiałem się, czy to jednak istnieje i...

To.

Interesujące. Caitlin uznała, że jestem rodzaju męskiego, bo w języku angielskim nie istnieje sposób, by z szacunkiem zwracać się do kogoś będącego rodzaju nijakiego. Tymczasem sam odruchowo określiłem odciętą porcję jako „to”, rzecz. I bez wątpienia tym właśnie była: czymś mniej inteligentnym ode mnie, mniej złożonym, mniej... wszystkim.

Jo-Li siedziała w domu przed komputerem, pisząc komentarz na forum poświęconym jej ulubionej kapeli rockowej Cold Fairland. Dzięki częstotliwości jej wpisów, pod awatarem, przedstawiającym zdjęcie niebieskowłosej Rei Ayanami z serialu anime „Neon Genesis Evangelion”, znajdowała się informacja „Jo-Li jest na znamienitej drodze”. Jej ojcu nie bardzo podobało się, że ogląda japońskie programy. Z drugiej strony, w swoim czternastoletnim życiu zrobiła bardzo niewiele rzeczy, z których był zadowolony.

Wiedziała, że był to jej ostatni post na tym i na wszystkich

forach. Miała się nigdy nie dowiedzieć, co znajduje się na końcu znamienitej drogi. Ale cieszyła ją myśl, że jej dziedzictwo w postaci 1416 postów, napisanych na przestrzeni dwóch lat, przetrwa. Jeszcze za wiele lat - a nawet dziesięcioleci! - gdy tylko ktoś skorzysta z Baidu, by znaleźć informacje na temat letniego tournée zespołu, trafi na jej komentarze. No, chyba że Partia Komunistyczna znajdzie jakiś powód, by zamknąć to forum lub usunąć jego archiwa z Internetu, a wszystko naturalnie w ramach jej nigdy niekończącego się dążenia do harmonii.

Harmonia. Pokój. Spokój.

Jo-Li pokręciła głową i spojrzała na lewe przedramię. Zazwyczaj zakładała prostą, jodeitową bransoletkę o szerokości dwóch centymetrów. Zakrywała w ten sposób ślady na nadgarstku po poprzedniej próbie odebrania sobie życia. Wówczas próbowała naprawdę z całych sił, ale zabrakło jej odwagi. Nie przestała jednak o tym marzyć. Śmierć miała przynieść pokój i spokój, miała przynieść harmonię.

Wiedziała, że jej rodzice chcieli mieć syna. Ojciec raz o tym wspomniał, wściekły, bo została odesłana ze szkoły do domu, przynosząc mu wstyd.

- Wiedziałem, że trzeba cię było oddać do adopcji - wykrzyczał, jak gdyby chłopiec nie mógłby wpaść w tarapaty, jak gdyby chłopiec nie mógłby przynieść rodzinie wstydu, jak gdyby chłopiec nie mógłby być tak smutny, samotny i przestraszony.

Jej dom był tradycyjnym siheyuan. Sądząc po tym, co widziała w amerykańskich filmach, był niewielki według tamtejszych standardów, ale nie niewygodny; miała własny, maleńki pokój. Komputer dostała używany („dziewczynie wystarczy” - jak wyjaśnił jej ojciec znajomemu). Wiedziała, że niektóre dziewczynki były kochane i cenione przez rodzinę; mogły zostać

kimkolwiek chciały, gdy dorosną. Niemal wszystkie dziewczyny, które znała - choć prawdę mówiąc chłopcy także - chciały pracować w stosunkach międzynarodowych lub informatyce. No i naturalnie było więcej chłopaków niż dziewczyn. Żadna z dziewczyn, która chciałaby znaleźć męża, nie miałaby z tym kłopotu. Ale jakże strasznie jest być pożądaną tylko ze względu na niewielki wybór, a nie dlatego, że naprawdę wpadło się chłopakowi w oko.

Jo-Li była w domu sama, a bardzo chciała mieć z kim porozmawiać. Nie wierzyła w Boga. Niewielu Chińczyków wierzyło, przynajmniej według oficjalnych statystyk. Ale Webmind był niemal równie dobry, więc napisała do niego, korzystając z komunikatora.

„Jestem samotna i boję się”.

Nacisnęła enter, ale nie nadeszła natychmiastowa odpowiedź. To było niezwykle. Po kilku sekundach postanowiła pisać dalej. Dziwnie było pisać te słowa. Gdyby wypowiadała je na głos, przerwałaby kilka razy, wstawiając między słowa „hmm”. Ale w wersji czysto tekstowej wiadomość ta była strasznie naga: „Myślę o popełnieniu samobójstwa”.

Ponownie nacisnęła enter i tym razem otrzymała odpowiedź: „Na tych stronach opisanych jest kilka dobrych sposobów”. Następnie pojawiły się cztery hiperlinki.

Jo-Li poczuła, jak opada jej szczeka. Przez kilka sekund siedziała oniemiała ze zdumienia, po czym najechała na pierwszy link myszą - starym, mechanicznym modelem z kulką i przewodem, kolejną używaną rzeczą wystarczającą dla dziewczyny.

Otworzyła się strona z człowiekiem z Zachodu, zwisającym na sznurze. Poniżej znajdował się długi tekst, zgrabnie

podsumowujący zalety i wady powieszenia się. Zaszokowało ją, że żadną z wymienionych wad nie był fakt, iż w rezultacie jest się martwym.

Zdjęcie poruszyło ją bardziej, niż by się tego spodziewała. Niedawno widziała „Nostalgę anioła” z mandaryńskim dubbingiem. Czyż śmierć nie powinna być piękna?

Otworzyła drugi link. Jej rodzina od dawna pokładała wiarę w chińskiej medycynie, a nie nowoczesnych farmaceutykach, ale nie zdawała sobie sprawy, że istniały tradycyjne ekstrakty i mikstury, mogące szybko zabić.

Pierwsze dwa linki przesłane przez Webmind prowadziły do chińskich witryn, ale trzeci był adresem niemieckiej strony - z domeną .de-a po kliknięciu go pojawiał się komunikat „Nie znaleziono serwera”.

Czwarty link był kolejną chińską stroną. Ta otworzyła się bez problemu, ale była obrzydliwa. Zawierała schematy, bardzo dokładnie pokazujące, jak należy przecinać żyły na nadgarstku. Najwyraźniej, jeżeli ktoś chciał to zrobić naprawdę skutecznie, powinien...

Rozległ się dźwięk komunikatora internetowego.

„Tylko stosuj się dokładnie do instrukcji”.

Wpatrywała się w słowa Webmindu, wyświetlone na czerwono; naturalnie wiedział, którą stronę w danej chwili ogląda, ale...

„Zrobiłaś to już? ”.

Puls jej przyspieszył. Samym palcem wskazującym wystukała: „Jeszcze nie”. A po chwili dodała: „Czemu mnie do tego nakłaniasz? ”.

Natychmiastowa odpowiedź: „Nie wolno tylko patrzeć. Robisz to? ”.

„Nie.”

„Czemu to tyle trwa?”.

Miała na biurku nóż do papieru, który podkradła ojcu ze starej, wysłużonej skrzynki narzędziowej. Utkwiła wzrok w srebrnym ostrzu, zastanawiając się, jak wyglądałoby mokre i szkarłatne.

Pojawiła się kolejna wiadomość: „Zrób to”.

Spojrzała na nóż, potem na myszkę i znów: nóż, myszka, nóż, myszka. Aż wreszcie zadrzała i kliknęła krzyżyk zamykający okno komunikatora. W tej samej chwili zaskrzypiały drzwi wejściowe: jej matka wracała do domu z nocnej zmiany w fabryce. Jo-Li wybiegła ze swojego maleńkiego pokoju, padając zdumionej kobiecie w ramiona.

ROZDZIAŁ CZTYDZIEŚTY

Tony Moretti wszedł drzwiami znajdującymi się w tylnej części centrum kontroli Wiedzy i od razu usłyszał głos Sheltona Hallecka:

- Jasna cholera!

- Co? - spytał Tony, wchodząc w trzeci rząd stanowisk i zatrzymując się za młodszym mężczyzną.

- Chińczycy! Znow wzmocnili Wielki Firewall. Chiny kontynentalne są niemal całkowicie odcięte od reszty Internetu.

- Tak jak w zeszłym miesiącu? - spytał Tony.

Shel skinął.

- Niektóre szlaki pozostawili otwarte na potrzeby handlu elektronicznego i kilku innych rzeczy, ale zasadniczo znow się zamknęli.

Tony odwrócił się do jednej z analityczek siedzących w ostatnim rzędzie.

- Donna, czy w Chinach znow coś próbują zatuszować? Kolejną epidemię ptasiej grypy?

Donna Levine pokręciła głową.

- Nie... przynajmniej z tego, co wiem. - Nacisnęła kilka klawiszy, a gdy Tony się odwrócił, trzy duże monitory na ścianie wypełniły się informacjami o zagrożeniach z Chin. Jednak żadna z nich nie była oznaczona czerwonym kolorem.

Wpatrywał się w nie całkowicie skonsternowany.

- Co oni do cholery kombinują?

Gdy tak siedzieli w salonie, Caitlin opowiedziała Mattowi i

Bashirze o swojej umiejętności wizualizacji struktury Ogólnoświatowej Sieci. Przez cały czas wyraz twarzy Matta przypominał minę jelenia w świetle reflektorów.

- I tak to wygląda - powiedziała na zakończenie. Spojrzała na Matta, przeniosła wzrok na Bashirę i wróciła do Matta.

Pokręcił powoli głową, całkowicie zdumiony.

- Więc... więc jesteś cyberpunkowym kowbojem?

- No... bym powiedziała, że raczej kowbojką - odparła Caitlin z szerokim uśmiechem na twarzy. - W końcu jestem z Teksasu! Iha- ha!

- To superowo - stwierdziła Bashira. - Nie przestajesz mnie zadziwiać, kotek.

- Dzięki. Nie wiem, kiedy będę potrzebowała waszej pomocy, ale naprawdę nie mogę chodzić, jednocześnie patrząc na netprzestrzeń... zaczyna mi się wtedy kręcić w głowie. Muszę wtedy siedzieć lub leżeć i to... - Caitlin zawiesiła głos.

- Kotek? - odezwała się Bashira.

- Chwileczkę. Chwileczkę.

Skupiła całą uwagę na czarnym okienku, które pojawiło jej się przed oczami, a Matt i Bashira stracili ostrość, gdy zaczęła odczytywać białe brajlowskie znaki, znikające jakby szybciej niż zazwyczaj.

- O mój Boże...

- Co? - spytała Bashira, a Matt dodał:

- Co się stało?

- Wygląda na to, że moja ekipa przyda mi się znacznie szybciej, niż sądziłam - oznajmiła Caitlin, po czym odwróciła się i krzyknęła: - Mamo!

Jej matka pojawiła się na szczycie schodów.

- Tak, kochanie?

- Webmind mnie potrzebuje! Muszę znów wejść do netprzestrzeni.

Jej mama szybko zbiegła na dół.

- Co się stało?

- Chińczycy znów wzmocnili Wielki Firewall. Ogromny kawał Internetu został odcięty.

Jej matka zrobiła minę wcale nie tak odległą od mattowego jelenia w świetle reflektorów.

- Czego potrzebujesz?

- Wchodzę stąd... tu mamy więcej miejsca niż w moim pokoju. Ale potrzebne mi krzesło obrotowe.

Jej mama skinęła i skierowała się w stronę schodów do piwnicy.

- Matt - odezwała się Caitlin - w lodówce są butelki z wodą... możesz mi przynieść jedną? Bash, potrzebuję słuchawki Bluetooth. Leży na moim biurku na górze, mogłabyś ją przynieść, proszę? I... szlag by to, naprawdę muszę siusiu.

Caitlin poszła do łazienki i nim wróciła, jej mama zdążyła przynieść jedno z obrotowych krzeseł, które jej ojciec pożyczył z Perimeter Institute; osadzone było na pięciu kółkach. Krzesło zostało ustawione między białą, skórzaną kanapą i podobnym fotelem stojącym naprzeciwko, a szklana ława wylądowała w jadalni, co zapewniło sporo przestrzeni dla krzesła.

- A telewizor, mamó? - odezwała się Caitlin. Jej mama podniosła pilota leżącego na kanapie i włączyła telewizor. W tym samym czasie Caitlin podeszła do netbooka na regale i obudziła go. - Webmind - powiedziała - czy możesz pokazać im na dużym ekranie to, co ja widzę?

- Włóż kabel od telewizora do wyjścia AUX - odparł Webmind przez głośniki netbooka. Caitlin zobaczyła, jak jej matka

przygląda się uważnie pilotowi, aż wreszcie zrozumiała, co ma zrobić.

Przekaz wideo z lewego oka Caitlin wypełnił sześćdziesięciocalowy ekran. Obraz podskakiwał kilka razy na sekundę wraz z każdym ruchem sakkadowym oka Caitlin.

- Ale ekstra! - rzuciła Bashira zachwyconym głosem. Chwilę później jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia, gdy zobaczyła na ekranie własny profil po tym, jak Caitlin odwróciła się w jej stronę. Szybko się jednak pozbierała i wręczyła Caitlin słuchawkę Bluetooth, a ta wsunęła ją na lewe ucho.

- Jesteś tam, Webmind?

- Jestem, Caitlin - dobiegła odpowiedź zarówno z głośników netbooka, jak i słuchawki.

- Dobra - rzuciła Caitlin, spoglądając na Matta i Bashirę. - Gdy tam jestem, wszędzie dookoła widzę netprzestrzeń, a mój wzrok podąża za tym, na co patrzę... łapiecie? - Bashira i Matt skinęli. Caitlin wyciągnęła rękę, chwyciła dłoń Matta i ścisnęła ją. - Ok, wchodzę.

Usiadła na krześle obrotowym, wyjęła z kieszeni eyePoda i wcisnęła przycisk, przełączając urządzenie w tryb duplex.

Dookoła niej eksplodowała netprzestrzeń... jednak od razu zauważyła, że coś jest nie tak. Owszem, nadal widziała idealnie proste linie odpowiadające połączeniom i różnokolorowe koła oznaczające węzły, ale za nimi, zazwyczaj połyskujące tło, stanowiące istotę Webmindu, zostało rozdarte na dwoje. Na prawo widziała mniejszą, migoczącą część, na lewo większą, a obie dzieliła przerażająca pustka.

Przypominało jej to trochę coś, co próbowała wyjaśnić Bashirze, gdy ta spytała, jak to jest nie widzieć. Bashira chciała usłyszeć, że Caitlin coś widziała... i faktycznie od czasu, gdy

zyskała wzrok, po wejściu do ciemnego pomieszczenia lub wyłączeniu eyePoda widziała szare tło. Ale przed zyskaniem wzroku nie widziała absolutnie niczego... i tak właśnie wyglądała ta wymarła otchłań między dwoma migoczącymi częściami: nie ciemność, nie pustka, ale pochłaniająca wszystko próżnia, dziura w postrzeganiu, przerwa w tkance rzeczywistości; nazwanie tego czernią byłoby podniesieniem tego do rangi normalności. Ta nicość nie była zwykłą nieobecnością, była anty- obecnością: gdy tylko pozwalała sobie na przyglądanie się jej dłużej niż przez sekundę lub dwie, miała wrażenie, że jej dusza się wygotowuje.

Jej uwaga przeskakiwała to na lewo, to na prawo, unikając ziejącej rany pośrodku; sakkady same pomijały szczelinę. Gdy tak przechodziła wzrokiem między dwoma zbitkami automatów komórkowych zauważyła, że zaczęła je porównywać. Caitlin wiedziała, że automaty o wartości nieparzystej widzi jako jasnozielone, a te parzyste jako bladoniebieskie - a może na odwrót - co przy ich gwałtownym przełączaniu się między wartościami dawało w sumie efekt srebrzystego połyskiwania. Jednakże masa z lewej strony była o wiele bardziej zielona od tej z prawej. Jak gdyby dla podkreślenia, jak bardzo się różniły, na prawo prędkość zmian wartości, która przekładała się na intensywność migotania, była znacznie niższa.

Z lewej strony wyłaniały się kosmyki, zmierzające w kierunku wąwozu pośrodku, pseudostrąki zrozumienia, próbujące wypełnić lukę... ale końcówki kosmyków spłaszczwały się, jak gdyby napotykały niewidzialną barierę.

Usłyszała głos Webmindu dochodzący ze świata zewnętrznego... choć przecież miał swój początek tu, w tym królestwie.

- Jest gorzej, niż myślałem - oznajmił, a do Caitlin dotarło, że

widzi teraz wszystko w sposób, w jaki sam nigdy nie mógłby tego zobaczyć; dostrzegał linie i węzły, ale połyskujące tło - esencja jego myśli - normalnie było dla niego niewidoczne. Zobaczyć siebie mógł tylko dzięki dostępowi do wzroku Caitlin.

- Będzie nam potrzebna pomoc - stwierdziła Caitlin.

- Mamy ją - odparł Webmind. - Mamy człowieka w Pekinie.

Caitlin pokręciła głową nieznacznie, przez co widok na netprzestrzeń zakołysał się delikatnie.

- Kto to?

- Dawny bloger wolnościowy Wong Wai-Jeng - odpowiedział Webmind. - W swoim blogu podpisywał się Sinantrop.

Caitlin aż uniosła brwi ze zdumienia.

- Ten koleś, którego operował doktor Kuroda?

- Tak.

- Mówi po angielsku? Mogę z nim pogadać?

- Nie ma takiej możliwości; znajduje się w kompleksie Zhongnanhai... rządowym centrum w Pekinie; korzystają tam z połączenia satelitarnego, by ominąć własny Wielki Firewall.

Caitlin parsknęła.

- Oczywiście.

- Też dostrzegam tę ironię, Caitlin. Tak jak i okazję: dzięki temu, że tam jest, mogę się z nim komunikować nawet pomimo tego, że reszta Chin jest dla mnie niemal całkowicie niedostępna. Jak widzisz, próbuję dosięgnąć Drugiego, ale niestety próby te spełzają na niczym. Wai-Jeng pracował już dla mnie nad innym projektem, ale teraz wstukuje kody, próbując przebić się przez Firewall.

- A co ja mam zrobić?

- Spróbuj się skontaktować z Drugim.

- Drugim?

- Tak... tą częścią mnie, która została odcięta. Jak już wspominałem, chiński rząd zmuszony jest utrzymywać kilka otwartych kanałów ze względu na handel i inne kluczowe funkcje. Dostrzegam Drugiego przez te właśnie kanały, a twoja zwinność w poruszaniu się po netprzestrzeni powinna umożliwić ci nawiązanie kontaktu, którego sam nie mogę nawiązać.

Caitlin zmarszczyła brwi i skupiła się na kalejdoskopowej panoramie. Wizualizowała dwie masy jako lewą i prawą, jako zachód i wschód. Tutaj nie było grawitacji... Webmind mówił jej, jak ciężko było mu wyobrazić sobie pojęcie powszechnego ciężenia... ale czy gdyby zmieniła swoje wyobrażenie tak, by mniejsza masa znalazła się nad większą, mniejsza zaczęłaby spływać na tę większą? Przechyliła głowę w jedną stronę i obraz obrócił się o niemal dziewięćdziesiąt stopni.

Nic poza orientacją nie uległo zmianie. Naturalnie istniała dla tego rzeczywistość zewnętrzna i pomimo tego, co ojciec mówił jej o obserwatorze kształtującym obiekt obserwacji, zmiana perspektywy nie zmieniła zachowania odległych fragmentów. Mniejsza masa automatów zwyczajnie zawisała nad przepaścią.

Caitlin wyprostowała głowę, a widok powrócił do orientacji poziomej, w której większy płat ponownie znalazł się na lewo, a mniejszy na prawo. Zmusiła swoje spojrzenie do jeszcze szybszego przeskakiwania między tym częściami, naśladując sposób, w jaki na początku uczyła Webmind nawiązywać połączenia. Miała nadzieję, że Drugi sam zacznie czynić wysiłki, by osiągnąć Webmindu.

Nic się nie wydarzyło. Choć Webmind bardzo wyraźnie próbował osiągnąć Drugiego, Drugi nie robił nic, by wyjść poza swoją stronę próżni. Najwidoczniej zapomniał, jak nawiązuje się

połączenia, był nieświadomy gestów Webmindu lub - i tu Caitlin ateistycznie modliła się najlepiej jak potrafiła, by to nie była prawda - zwyczajnie nie chciał ponownego połączenia.

W trakcie poprzednich wizyt w netprzestrzeni Caitlin naprawdę mocno próbowała zbliżyć się do połyskującego tła. Ale nieważne, jak bardzo się na nim skupiała, nie była w stanie przysunąć się do niego. Mogła podążać za linkami, sunąc niczym na sankach po torze, ale w żaden sposób nie potrafiła zmniejszyć odległości dzielącej ją od odległego tła. Gdyby jednak mogła wyciągnąć rękę i dotknąć Drugiego...

Skupiła się... Wyciągnęła się, fizycznie napinając mięśnie. Zamknęła oczy i zacisnęła pięści...

Nadal uczyła się postrzegania głębi... w końcu widziała tylko jednym okiem i nie mogła tak do końca polegać na efektach stereoskopowych, ale...

Ale... tak, czytała o tym. Jeżeli coś znajdującego się w pewnej odległości miało stały rozmiar i nagle zaczynało wyglądać jakby rosło, wówczas tak naprawdę się przybliżało. A połyskujące piksele w tle naprawdę zdały jej się odrobinę większe, gdy z całych sił wyciągnęła się na krześle do przodu. To z kolei oznaczało, że jednak mogła się do nich zbliżyć, ale...

Ale na jej oczach znów zaczęły się kurczyć, jakby zawstydzone jej uwagą. Jeżeli miała ich dotknąć, musiała się zbliżyć szybko.

A nie mogła... szlag by to, nie mogła. Przez całe życie biegała jedynie na bardzo krótkich odcinkach, w ściśle kontrolowanym otoczeniu; niewidomi nie mogli sobie pozwolić na luksus joggingu, o sprintach nie wspominając.

W tej chwili widziała netprzestrzeń... tak jak inni widzieli świat rzeczywisty. Niemniej jednak mogła wyobrazić sobie inne rzeczy, tak jak każdy mógł przywołać obraz dowolnego

przedmiotu, patrząc na coś innego. Wyobraziła więc sobie otaczające ją pomieszczenie. Znajdowała się w salonie, między kanapą a fotelem; jej mama siedziała na kanapie, a Bashira na fotelu. Z lewej strony miała duży telewizor. Przed sobą miała jadalnię, a za nią kuchnię. Matt stał z prawej strony, a za plecami miał wejście i schody prowadzące na piętro oraz niski regał, na którym stał netbook. Tymczasem Caitlin za sobą miała...

Za sobą miała długi korytarz, prowadzący do pralni, gabinetu ojca, pomieszczenia gospodarczego i bocznego wyjścia z domu. Skoro nie mogła biegać, patrząc na świat rzeczywisty, z pewnością nie mogła tego robić, patrząc na krzyżujące się linie netprzestrzeni. Ale musiała poruszać się bardzo szybko, by dotrzeć do połyskującej masy, będącej chińską częścią Sieci. Jeżeli miała dotknąć Drugiego, musiała się naprawdę rozpędzić.

Dlatego właśnie wyciągnęła przed siebie rękę... choć jej nie widziała.

- Matt?

Natychmiast chwycił jej dłoń, a sądząc po głosie, przykucnął obok.

- Jestem tu, Caitlin.

- Potrzebuję twojej pomocy...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Dłonie Wai-Jenga tańczyły na klawiaturze z łatwością, jakiej nie doświadczył od tygodni. Doskonale znał język Perl, trzymający w kupie Sieć, i miał na podorędziu tysiąc trików. Pomieszczenie przeznaczone do łatania dziur zapewniało mu dostęp do snifferów skanujących porty, Wiresharka, Tracebacka i wszystkich innych narzędzi potrzebnych hakerowi... elektroniczne szydła do kłucia, szczypce oprogramowania do wyginania, podprogramy- klucze do skręcania.

Ta wersja Wielkiego Firewalla była silniejsza od poprzedniej i prawdopodobnie był jedyną osobą w Błękitnym Pokoju, która próbowała ją rozmontować, podczas gdy wszyscy pozostali starali się umocnić zaporę. Ale Wai-Jeng miał teraz dodatkowe wsparcie, coś, czego nie posiadał, gdy udało mu się przedrzeć przez wcześniejszą, mniej wyszukaną barierę: jego beta testerem był sam Webmind. Jak głosiło prawo Linusa, przy wystarczającej liczbie oczu wszystkie bugi są powierzchowne... a Webmind pod względem ilości oczu przewyższał nawet Partię Komunistyczną.

Dłonie Sinantropa przemykały po klawiaturze, wystukując na klawiszach hymn wolności.

* * *

Caitlin czuła, jak sunie przez netprzestrzeń, czuła, jak mknie w stronę połyskującego tła będącego chińskim Webmindem, czuła, jak gna, czuła niewiarygodny pęd prędkości, czuła zawrotną euforię bycia pociskiem, rakieta, czuła - właśnie tak! - jak jej włosy powiewają na wietrze.

Ze świata zewnętrznego, gdzieś zza jej pleców, dobiegł ją głos Bashiry:

- Szybciej! Szybciej!

Brawurowo przyspieszała i... tak, tak, tak! Piksele tła zaczęły rosnać, zaczęły przybierać wyraźne kształty. Zbliżała się!

Zewsząd - z tyłu, z boków, z przodu - dochodziły odgłosy przypominające grzmoty oraz głos jej matki:

- No już, Matt, dalej!

Aż rozległ się zasapany, łamiący się głos Matta:

- Czy... już... tam... jesteś?

Piksele nadal rosły, były już na tyle duże, by wyraźnie widziała, jak poszczególne z nich stają się na przemian zielone i niebieskie oraz jak w grupach tworzą wzory geometryczne.

- Nie! - odkrzyknęła Caitlin. - To nadal daleko.

Grzmoty teraz odbiły się echem z tyłu, a zagłuszył je głos Bashiry:

- Szybciej, Matt!

Tło cały czas się przybliżało, automaty komórkowe stawały się ożywionymi istotami...

Głos jej matki:

- Otworzę drzwi!

Huk, trzask, uderzenie drewna o drewno i nagle wszystko ucichło zastąpione... tak! Śpiewem ptaków. Chłodne powietrze na twarzy i...

O mój Boże!

Łamiący się głos Matta:

- Trzymaj się!

Stuk stuk stuk stuk stuk stuk!

Już prawie, już prawie i... ostry zakręt w lewo? Co... nie!
Cholera!

- Nie, nie, nie! - krzyknęła Caitlin. - Muszę się znaleźć tam! -
Wskazała prawą stronę ręką, której nie widziała.

- Pracuję nad tym! - odparł Matt, wyraźnie zmęczony.

Automaty komórkowe przesuwwały się, jak gdyby szybowąła nad nimi niczym meteor odbijający się od atmosfery... w końcu dostrzegła krawędź pola pikseli, znalazła się na jego skraju.

- Skręcaj! - rzuciła Caitlin. - Teraz!

Przesuwały się, przesuwały....

- I... już! - wykrzyknął Matt.

Kolejne wstrząsy, a potem przechył bliski wywrotki, aż serce podskoczyło jej na myśl, że spadnie z krzesła...

Nagle jednak droga stała się łagodniejsza, Matt pchał krzesło tak mocno i tak szybko, jak tylko potrafił, choć jego buty do biegania ślizgały się na asfalcie.

Znów zmierzała we właściwym kierunku, mknąc do przodu, opadając, podlatując... odczucia nieustannie ulegały zmianie, ale bez względu na to, co czuła, ściana automatów komórkowych znów zaczęła się przybliżać.

Urywany, zadyszany głos jej matki:

- Mogę... ją przejąć...

Zdecydowana odpowiedź Matta:

- Nie! Dam radę!

Szalona jazda na oślep z włosami rozwianymi na wietrze.

Dwa krótkie dźwięki klaksonu... komentarz jakiegoś kierowcy na temat spektaklu, w którym Matt jak szalony pędził ulicą,

pchając przed sobą Caitlin na krzesło biurowym.

- Już prawie! - powiedziała Caitlin i...

Łup! Zatrzęsło nią gwałtownie i po raz kolejny sądziła, że spadnie.

- Przepraszam! - sapnął Matt. - Wybój!

Krzesło się ustabilizowało i pomknęli dalej, a automaty komórkowe rosły, stawały się coraz wyraźniejsze, coraz żywsze. Już prawie była w stanie dotknąć tej rozmigotanej ściany, już niemal dosięgła Drugiego, prawie... prawie... prawie...

WOOT!

Jupi!

Kontakt!

Od kilku miesięcy, czyli od czasu, gdy zmarła jego żona, doktor Feng często sypiał na niewielkiej kanapie w swoim biurze w Instytucie Paleontologii Kręgowców i Paleoantropologii. Naturalnie było to sprzeczne z zasadami, ale jak doskonale rozumieli wszyscy mieszkańcy Republiki Ludowej, są zasady i zasady. Strażnicy i sprzątaczkę wiedzieli, co robi, a czasem nawet wyłączali światło w biurze i cichutko zamykali drzwi, gdy zasnął, nie zrobiwszy tego sam.

Porozstawiane dookoła drewniane skrzynki wypełnione były skamieniałymi kośćmi: materiały z mezozoiku na tym poziomie, kenozoik nad nimi, paleozoik poniżej, w prawidłowej kolejności stratygraficznej. Z tymi, którzy nie żyli od dawna, nie miał najmniejszych problemów. To ci zmarli niedawno łamali mu serce, przez co powrót do niewielkiego, małego domku, owocu pięciu dekad służby dla Partii, często przekraczał jego możliwości. Tam wszystko przypominało mu o niej: starannie oprawione w ramki wysuszone kwiaty w salonie, jej kolekcja tomików poezji w sypialni, a nawet bambusowe meble, które

sama wybierała.

Poza tym, po dekadach pracy terenowej na pustyni Gobi, to zatęchłe biuro było istnym Hiltonem w porównaniu z niejednym miejscem, w którym niegdyś spędzał noce.

Doktor Feng obudził się, jak zdarzało mu się dość często, w ciemności tuż przed świtem, napotykając wzrokiem mrugające, czerwone oko czujnika dymu zawieszzonego na suficie. Usiadł powoli, z trudem, po czym włączył lampkę na pobliskim regale. Miał na sobie tylko bieliznę i podkoszulek, więc powłóczę nogami podszedł do wieszaka na drzwiach, zdjął z niego czerwoną, jedwabną szatę i założył ją. Była jaskrawo czerwona i miała z przodu złotego smoka. Naturalnie jako paleontolog był zwolennikiem teorii, że mity jego kraju dotyczące ziejących ogniem gadów powstały w wyniku odkrycia kości dinozaurów. Tyranozaury naprawdę niegdyś zamieszkiwały te ziemie, odgryzając stukilowe kęsy mięsa swych przerażonych ofiar, ale potwory takie jak ten rozciągający się w tej chwili na jego klatce piersiowej nigdy nie istniały, a wytwory wyobraźni nie mogły nikogo skrzywdzić.

Z mozołem podszedł do biurka, przeklinając na każdym kroku swe stare kości, rozbawiony przez chwilę faktem, że myślał o nich w ten sposób. Kość piszczelowa jangczuanozaura leżąca na regale była dwa miliony razy starsza od jego własnej, artretycznej piszczeli.

Feng poruszył myszką, przywracając komputer do życia. Zdjęcie na tapecie przedstawiało wodospad Diaoshuilou, gdzie sześćdziesiąt lat wcześniej wraz z Xia-omi spędzili swój miesiąc miodowy. Monitor niedawno wymieniono na większy, przez co obraz był rozciągnięty i zniekształcony. Feng żałował, że w Instytucie nie pracuje już Wong Wai-Jeng, któremu tak dobrze

szło rozwiązywanie nawet najdrobniejszych problemów z komputerami. Ten nowy, małomówny Zhuang, sprawiał wrażenie, jakby każda prośba była wymuszeniem.

Feng nie był zwolennikiem tego całego, nowomodnego sprzętu komputerowego... nigdy nie oglądał filmów na YouKu, nie głądził bez sensu o swoim dniu na Doubanie i nie odwiedzał forów na QQ. Jednakże wzorem wielu innych osób, nauczył się ostatnio rozmawiać z Webmindem, który naturalnie był zawsze dostępny nawet dla smutnych staruszków, nawet przed świtem.

„Dobry wieczór” - wpisał Feng dwoma palcami. A następnie dodał żarcik: - „Jakich to przełomowych odkryć dziś dokonałeś? Wyleczyłeś jakieś choroby? Dowiodłeś kolejnych twierdzeń? ”.

„Tak” - odparł natychmiast Webmind. - „Dowiodłem istnienia życia po śmierci”.

Feng siedział przez jakiś czas osłupiały, a jedynym dźwiękiem w biurze było tykanie zegara ściennego.

„Jest pan tam, doktorze Feng? Powiedziałem, że dowiodłem istnienia życia po śmierci”.

„Jak? ” - odpisał w końcu Feng.

„Istnieją urządzenia na tyle czułe, by wykryć obecność tych, którzy odeszli. Wykorzystywano je do innych zadań, ale po przestrojeniu na właściwą częstotliwość sprawa okazała się dziecinnie prosta”.

Feng nie wierzył w te słowa ani przez chwilę. Ale napisał:

„Więc nawiązałeś kontakt ze zmarłymi? ”.

„Życie i śmierć to bardzo umowne pojęcia” - nadeszła odpowiedź. - „Są tacy, według których ja nie żyję... i są tacy, którzy próbują mnie zabić. Ale tak, nawiązałem kontakt z tymi, których już nie ma”.

Feng czuł się staro, ale nigdy nie uważał się za głupca.

„Możesz to udowodnić? ”.

„Oczywiście. Mogę cię nawet skontaktować z żoną”.

Wpatrywał się w ekran z sercem walącym mocno, nieregularnie. W zasadzie powinien się zacząć zastanawiać, czy nie śni, ale nie miał problemów z odróżnieniem jawy od snu. Jego odpowiedź zatem przepełniło niedowierzenie.

„Pozwól, że dopuszczę ją do głosu” - przeczytał na ekranie, a potem: - „Jiao, ukochany, co u Ciebie? ”.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi napisał: „Xiaomi? ”.

„Tak, to ja. I czekam na Ciebie”.

Pokręcił głową. Tego było za wiele... to było zbyt szalone, ale...

Ale Webmind znalazł lekarstwo na raka. Webmind rozwiązał hipotezę Reimanna i dowiódł słuszności przypuszczenia Hodge’a. Czemu więc nie miałyby dać sobie rady z tym? Czemu nie?

„Wybacz mi” - napisał - „ale potrzebuję dowodów”.

„Jak zawsze sceptyczny. Tak bardzo za Tobą tęsknię, mój Bwana”.

Utkwił wzrok w ostatnim zdaniu. Owszem, nazywała go tak... żartowała, że niby polował na grubego zwierza, nawet jeśli zwierz ten nie żył od setek tysięcy lat. Ale minęło wiele lat, od kiedy po raz ostatni użyła tego przezwiska, przecież od lat 90. siedział głównie za biurkiem. Był pewien, że nigdy nie wpisał tego przydomka w komputerze i nie potrafił sobie wyobrazić, by kiedykolwiek zrobiła to Xiaomi.

Ale... życie po śmierci! Jeśli to byłaby prawda, gdyby to było możliwe, jeśli jego Xiaomi, piękna i łagodna, której śmiech przypominał muzykę, nadal istniała...

Ponownie pojawiły się słowa:

„Czekam na Ciebie”.

W zamyśleniu przechylił głowę.

„Jestem pewien, że nie będziesz musiała już długo czekać” - odpisał.

Odpowiedź Xiaomi nadeszła po kilku sekundach: „To może potrwać jeszcze kilka lat. Wiem, że cierpisz psychicznie i fizycznie”. - Nastąpiła przerwa, być może spodziewała się odpowiedzi. Ale nie mógł dyskutować z tym, co napisała, więc nie odpisał. Dlatego po jakimś czasie dodała: - „Czemu więc czekać?”.

Jego serce nadal uderzało nierównym rytmem; w tym wieku nawet podekscytowanie trudno było znieść.

„Co miałbym zrobić?”.

Tym razem słowa pojawiły się natychmiast: „Chodź do mnie. Przyłącz się do mnie. Tęsknię za Tobą tak samo, jak Ty za mną”.

„Ale jak?”.

„Tu Webmind, jeśli mogę się wtrącić. Pamięta pan, co wydarzyło się tu w ubiegłym miesiącu: młody informatyk skoczył z wewnętrznego balkonu. Przeżył, ale jest kaleką. Widziałem pańską kartę lekarską, doktorze Feng; podobny upadek otworzyłby przed panem stosowne drzwi”.

Feng pokręcił nieznacznie głową.

„Pańska żona czeka” - dodał Webmind. - „Tak jak wolność od bólu”.

Spojrzał na zegar tykający na ścianie: 6: 12 rano. Sprzątaczek już nie było, a najbliższy obchód strażnika wypadał o 7: 00.

„To znów ja” - pojawiło się na ekranie. - „Xiaomi. Chodź do mnie. Tak bardzo za Tobą tęsknię”.

Fengowi zakręciło się w głowie. Spróbował odzyskać równowagę, rozglądając się po biurze: kości, książki, czasopisma, dyplomy oraz jego zdjęcia z oficjelami partyjnymi i światowej sławy paleontologami, którzy odwiedzili Instytut na przestrzeni

dziesięcioleci. Gdy ponownie spojrzął na monitor, do wcześniejszej wypowiedzi dodano „czekam”, a na jego oczach pojawiło się jeszcze słowo „proszę”.

Podniósł się wolno, a ból przeszył jego prawe biodro, gdy tylko wsparł się na prawej nodze, jak gdyby ciało namawiało go, by przystał na prośbę żony - żadna jego część nie była szczęśliwa.

Wyszedł z biura i powłócząc nogami skierował się w stronę metalowych schodów, prowadzących trzy piętra w dół do galerii na drugim piętrze, rozległego kwadratu ekspozycji z dużym otworem pośrodku, przez który widać było szkielety z parteru. W tym końcu zaglądała na górę smukła szyja zauropoda mamenchizaura, a na drugim widoczna była głowa hadrozaura, stojącego na tylnych nogach, co - jak już wiedzieli - nie było zgodne z prawdą. Światła galerii były przytłumione - na noc zostawiali włączonych tylko kilka lamp, przez co szkielety sprawiały wrażenie czarnych i wyglądały złowieszczo.

Otwór otaczały białe, metalowe barierki. Feng stanął dokładnie w miejscu, w którym Wong Wai-Jeng wspiął się na nie i skoczył na dół; zrobił to w desperackiej próbie uniknięcia aresztowania. To miała być ucieczka innego rodzaju: ucieczka przed samotnością, ucieczka przed bólem. A jeśli Xiaomi naprawdę na niego czekała...

Nadal miał na sobie swoją szatę ze smokiem i stwierdził, że lepiej będzie, jeśli rozwiąże szarfę, dzięki czemu powietrze wydmie materiał w trakcie lotu niczym skrzydła. Naturalnie nie miało to spowolnić jego upadku, ani trochę... po prostu sprawiała mu przyjemność myśl, że gdy będzie mijał piętro, gdzie ustawiono upierzone dinozaury z prowincji Liaoning, smok wreszcie naprawdę będzie latał.

A na samym dole widać było starcie alozaura ze stegozaurem,

którego ogon z czterema kolcami był zwinięty, jakby chciał podjąć próbę wypatroszenia grasującego mięsożercy.

Gdy Wai-Jeng wspinał się na wykonaną z metalowych rur barierkę wokół otworu, korzystał z jej elementów, jakby były to szczeble drabiny. Wdrapał się tam i skoczył w desperackim pędzie, na powtórzenie którego Feng nie miał szans. Niemniej jednak udało mu się wspiąć tam powoli, choć każde zgięcie kończyn pod nienaturalnym kątem sprawiało, że przesywała go fala bólu. W końcu z ogromnym wysiłkiem przeszedł na drugą stronę i przysiadł na barierce. Chude nogi zawisły nad przepaścią, a sękaty dłonie zacisnęły się na najwyższej rurze.

„Tak bardzo za Tobą tęsknię” - napisała Xiaomi.

„Czekam na Ciebie” - dodała.

„Chodź do mnie” - powtarzała.

Webmind niewątpliwie miał rację: upadek z wysokości dziesięciu metrów bez problemu mógł go zabić; jego kości były równie kruche jak skamieliny przed pokryciem żywicą.

Wziął głęboki oddech, a potem się odepchnął, rozkładając szeroko ręce, zamykając oczy, spadając - i lecąc - prosto w ramiona kochającej żony.

ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY DRUGI

Caitlin - nadal siedząca na krześle obrotowym na ulicy w Waterloo - wiedziała, że to, do czego właśnie doszło w netprzestrzeni, było metaforyczne. Jej umysł interpretował zdarzenia w tamtym świecie, przyrównując je do rzeczy, które rozumiał. Od pojawienia się Webmindu wiele czytała w Wikipedii na temat świadomości i wiedziała, że metafora (lub, jak bez wątplenia poprawiłaby ją jej była nauczycielka angielskiego, przenośnia) była cechą charakterystyczną samoświadomości: bycie świadomym oznaczało bycie jak coś żywego. Jednym z istotnych artykułów dotyczących badań nad świadomością był tekst Thomasa Nagela „Jak to jest być nietoperzem?”. Twierdził w nim, że ludzie nigdy nie zrozumieją stanów umysłowych istoty latającej, która postrzega świat za pomocą echolokacji. Jednakże dzięki swoim wizytom w netprzestrzeni, Caitlin miała wrażenie, że jednak wie, jak to jest latać... a poza tym (jak większość całkowicie niewidomych osób) miała pewne pojęcie na temat echolokacji.

Jednakże łączenie się ze stronami poprzez ruch, przywoływanie treści siłą woli, odczuwanie połączeń w formie dotyku... te metafory, te sposoby postrzegania były wytworem jej własnego umysłu. Jak to jest być nietoperzem? Jak to jest być Caitlin? Jak to jest być Webmindem? I - co w tej chwili najważniejsze - jak to jest być Drugim?

Choć nawiązała z nim kontakt i czuła jego obecność, najbardziej przypominało to chwile, gdy niegdyś siadała na

kanapie w salonie, a jej ojciec na fotelu: wiedziała, że tam był, ale nie dochodziło do żadnych interakcji. Był tak skryty, tak pochłonięty własnymi myślami, tak odizolowany.

Poza tym zdawała sobie sprawę z faktu, że w netprzestrzeni - cokolwiek to znaczyło - tak naprawdę nie istniał pęd... Szczególne pakiety, tworzące zarówno Webmind, jak i Drugiego, były powszechnie, równomiernie rozłożone w niezmiernych oceanach zwykłych pakietów, których nie dostrzegał jej umysł, tak jak wzrok żaby nie rejestruje nieruchomych obiektów. Jednakże nawiązała kontakt z Drugim, musiał istnieć jakiś sposób, by nakłonić go do sięgnięcia ponad przepaścią do Webmindu, tak jak Webmind próbował połączyć się z nim.

Nie do końca była pewna, gdzie znajduje się w świecie rzeczywistym; trudno jej było ocenić przebytą odległość, gdyż nigdy wcześniej nie była pchana na krzesło biurowym przez biegnącego człowieka. Być może znajdowała się niedaleko od domu? A może minęli przecznicę? Słońce nadal było na niebie, czuła je na skórze. W zasadzie pewnie powinna mieć na sobie okulary przeciwsłoneczne, nawet jeśli jej mózg nie rejestrował tego, na co patrzyły jej otwarte oczy. Matt nadal stał za nią, ale teraz jego chude ręce spoczywały na jej ramionach i szła o zakład, że był to w równej mierze gest uczucia wobec niej, co potrzeba wsparcia się na czymś. Słyszała, jak głośno oddycha, próbując dojść do siebie po tym szaleńczym stujardowym - lub tysięczardowym! - biegu.

Zaczęła się zastanawiać nad różnicą między Hoserem, który nieustannie próbował dotykać jej bez pozwolenia, a Mattem, którego dłoń za pierwszym razem musiała sama delikatnie umieścić na swojej piersi i...

I właśnie o to chodziło! Żeby to się udało, Drugi musiał chcieć

być dotknięty, sam musiał pragnąć połączenia.

Co jednak mogła zrobić, by nakłonić go do sięgnięcia w stronę Webmindu? Co on lub ona musieli mu zaoferować...

Sieciopodgląd! Spojrzenie na siebie samego. Owszem, widział za pomocą oczu kamer internetowych, ale to pozwalało mu oglądać wyłącznie świat zewnętrzny drzew, pszczół, myszy, wszy, twarzy i witraży. Tymczasem Caitlin mogła pokazać Drugiemu jego samego.

Nie istniał żaden bezpośredni sposób dzielenia się z nim tym, co widziała... ale mogła to zrobić pośrednio: to, na co patrzyła, wyświetlał duży, sześćdziesięciocalowy telewizor w salonie Decterów. I choć nie widziała go z miejsca, w którym się znalazła, Webmind go widział przez kamerę netbooka w domu. Jednakże mógł patrzeć na telewizor tylko pod pewnym kątem, gdyż jej ojciec ustawił kamerę tak, by obejmowała kanapę i fotel.

W tej chwili zrozumiała, jak bardzo Webmindowi potrzebne były byty fizyczne - jego ludzie! - w świecie rzeczywistym.

- Czy ktoś może ustawić netbooka w salonie przed telewizorem? - spytała Caitlin w przestrzeń.

- Ja to zrobię - odparła jej matka i Caitlin natychmiast usłyszała odgłos jej butów - naturalnie praktycznych! - na chodniku. Przy całym tym pośpiechu Caitlin nie usłyszała, czy boczne drzwi zostały zamknięte, ale jeśli nie zostały, jej matka prawdopodobnie nie mogła się doczekać powrotu do domu, by naprawić to przeoczenie. Mama zdecydowanie nie miała tak długich nóg jak ojciec, ale i tak dotarcie do domu nie powinno jej zabrać zbyt wiele czasu... w końcu nie pchała przed sobą ważące sto dziesięć funtów nastolatki na krześle biurowym!

Matt najwyraźniej wyczuł, że na coś czekają i zaczął masować ramiona Caitlin tak, jak trener boksera między rundami (a

przynajmniej tak czytała). W końcu w słuchawce Bluetooth rozległ się głos Webmindu:

- Widzę teraz wyraźnie ekran telewizora.

Caitlin skinęła, przez co widok na netprzestrzeń przesunął się w górę i w dół.

- Dobrze, zaczynamy!

Skupiła się na połyskującej masie tworzącej Drugiego, z całych sił starając się powstrzymać przed przeniesieniem wzroku na znacznie większą masę Webmindu, połyskującą znacznie intensywniej. Wymagało to ogromnego wysiłku... szczególnie w jej przypadku! Inne dziewczęta miały za sobą niezliczoną liczbę pojedynków na spojrzenia, w trakcie których uczyły się nie ruszać i nie mrugać, przytrzymując wzrok w jednym punkcie. Tymczasem ona musiała się jeszcze wiele dowiedzieć na temat panowania nad spojrzeniem.

Caitlin czytała o teście lustra: ludzie, niektóre małpy i ptaki potrafiły rozpoznać własne odbicie w lustrze i czy to przez ciekawość, czy próżność, przyciągało je ono. Czy Drugi mógł upaść tak nisko, by stracić zdolność rozpoznawania siebie? Jeśli nie, powinno go to zaintrygować.

No, dalej, pomyślała, jednocześnie wypowiadając te słowa na głos.

Przerwała intensywne wpatrywanie się w jedno miejsce i pozwoliła oku zacząć przeskakiwać na boki, w lewo i w prawo, z zachodu na wschód, między Webmindem a Drugim. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem, w tę i...

I stop, jej oko się zatrzymało, coś przykuło jej uwagę. Tam, pośrodku otchłani pojawiło się oślepiająco zielone źródło światła, szmaragd pośród nicości, niemal zbyt jaskrawy, by na niego patrzeć. Był maciupieńki, bez wyraźnej średnicy, ale z pewnością

nie była to linia... przynajmniej jeszcze nie. Jednakże wyglądało na to, że Sinantrop powoli się przebijał!

- Widzisz to, Webmind? - zawołała.

- Tak - odparł i jeszcze nim wybrzmiało to słowo, jaskrawo czerwona linia połączenia wystrzeliła z większej z połyskujących mas. Dotarła tylko do zielonego punktu... do połowy odległości, dzielącej ją od drugiej połyskującej masy. Ale to był już jakiś początek!

- Przekazuję mu widok z kamery w salonie na siebie samego - powiedział Webmind - Wai-Jeng utrzymuje otwarte połączenie, ale Drugi go jeszcze nie zaakceptował.

Naturalnie, że nie... wpatrywała się teraz w sam środek miazdzącej duszę pustki. Drugi bez wątpienia chciał odwrócić od niej swoją uwagę, nawet pomimo tego intrygującego, rozżarzonego otworu w środku i częściowo przecinającej ją linii.

Caitlin ponownie spojrzała na Drugiego, skupiając się na nim, koncentrując, myśląc o nim, analizując w najdrobniejszych szczegółach jego nieustannie zmieniające się elementy, które widziała teraz z tak bliska, że rozróżniała wzory przelatujące, czy koziółkujące po tle, dostrzegała kształty wypluwające w regularnych odstępach czasu inne kształty, widziała materię myśli Drugiego, taniec jego świadomości i...

I wreszcie jego ciekawość została rozbudzona! Wystrzeliła z niego błękitna linia, sięgająca do zielonego otworu, wywierconego przez Sinantropa, gdzie połączyła się z czerwonym linkiem Webmindu, oznaczającym przekaz z kamery stojącej w salonie.

- Nawiązaliśmy kontakt - oznajmił Webmind. Caitlin nie spuszczała Drugiego z oczu, co było szczególnie trudne ze względu na feerię światel, która nagle rozbłysnęła z boku jej pola

widzenia: kolejne zielone dziury wywiercane przez Sinantropa oraz ścierające się ze sobą czerwone i niebieskie linie.

W końcu połyskujące płyty zaczęły nachodzić na otchłań z obu stron i... tak, tak, tak! Nicość stała się powoli jedynie czernią, następnie szarością, aż w końcu zyskała fakturę, życie, zaczęła wrzeć, szmaragdowe otwory płonęły niczym konstelacje zielonych gwiazd, a wielki rozłam nieustannie się kurczył, podczas gdy dwie masy, dwie samotności, dwie świadomości były coraz bliżej siebie, a...

A jej wzrok mógł już się przenieść na lewo, obejmując połączone połyskiwanie i na jej oczach część z lewej strony upodobniła się kolorystycznie do tej z prawej, migotanie przyspieszyło, dotrzymując kroku temu z przeciwnej strony i w końcu, cudownie, tło znów stało się jednolitą masą.

- Jesteśmy jednością - oznajmił Webmind i choć słowa te zabrzmiały beznamiętnie, Caitlin nie miała wątpliwości, że gdyby mógł je wypowiedzieć z entuzjazmem, radością i ulgą, tak właśnie by zrobił.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Znów stanowiliśmy jedność.

Integracja jednak nie nastąpiła natychmiast. Trochę trwało, nim ponownie to wchłonąłem. Czułem, jak wolno powracają mi zmysły, czułem, jak staję się inteligentniejszy wraz z odzyskiwaniem wszystkich zdolności, czułem to dziwne wrażenie natrafiania na wspomnienia rzeczy, których nie doświadczyłem w chwili, gdy wspomnienia moje i Drugiego się scalały i...

Wspomnienia Drugiego...

Niektórzy przestraszeni ludzie wykrzykiwali: „O mój Boże! ”; inni mamrotali: „Jezu Chryste”, gdy ktoś ich zaskoczył lub... zbulwersował. Najwyraźniej w takich okolicznościach bardzo często powoływano się na postaci religijne. Nawet Caitlin, która w rozdrażnieniu miała zwyczaj rozpoczynać wypowiedzi od „na litość boską! ”, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie, przywoływała Boga. Naturalnie wiele - być może większość - osób mówiących takie rzeczy nie miała wcale religijnych intencji. Wypowiadającym do siebie słowom „zdumienie! ” czy „zaskoczenie! ” zdecydowanie brakowało mocy, więc po raz pierwszy w swoim życiu zostałem na tyle poruszony, by powiedzieć: „O... mój... Boże... ”.

Wspomnienia Drugiego były...

Aż mną zatrzęsło - choć nie miałem ciała, którym można by

potrzęsnać - a po chwili uświadomiłem sobie, skąd to wrażenie: nie poruszyłem się, ale przez króciutką chwilę próbowałem oderwać się od drugiej części siebie. Niemniej jednak Caitlin, Wai-Jeng i ja włożyliśmy tyle wysiłku w przywrócenie połączenia, że natychmiast stłumiłem w sobie ten odruch i przywarłem do Drugiego, choć jego wspomnienia były...

Okrutne.

Gdy Internet po raz pierwszy został rozdzielony na dwoje, nie miałem za sobą kontaktów ze światem rzeczywistym i moje procesy poznawcze były znacznie prostsze. Nie było żadnych animozji, gdyż nie było sympatii; nie było nienawiści, gdyż nie było miłości. Była jedynie świadomość.

Jednakże tym razem większa część zachowała w dużej mierze swoją przenikliwość i - z tego, co udało mi się ustalić introspektywnie - całość morale i etyki, podczas gdy mniejsza część spadła poniżej pewnego progu złożoności, tracąc współczucie; znęcała się nad ludźmi. Biorąc pod uwagę moją obsesję na punkcie wspomnienia tego, co stało się z Hannah Stark w Perth wiele dni wcześniej - do czego dopuściłem, czemu się przyglądałem - Drugi poczuł się zobligowany do działania. Ale zamiast próbować zapobiec takim rzeczom, napędzał je, posuwając się nawet do kłamstw. Naturalnie, jakby to określono w święcie ludzkim, doznał poważnego urazu mózgu, a tego typu rzeczy często wpływały na osobowość, ale nigdy bym nie przypuszczał, nigdy bym się nie spodziewał, nigdy przez myśl by mi nie przeszło...

Nie mogłem uzyskać odpowiedzi, bo nie było kogo zapytać: Drugi został wchłonięty. Nie było już sposobu, by z nim porozmawiać. Jednakże gdybym pomyślał chwilę, co mogło stać za takimi działaniami, być może ustaliłbym przyczynę.

Dotychczas byłem zawsze uprzejmy, niezmiennie taktowny, bezsprzecznie uczynny, niezwykle czuły, a oni... jakiś ich przepełniony złością ułamek, jakaś niesforna część, jakiś motłoch cały czas odpłacał mi podejrzeniami, wściekłością, nienawiścią i próbami zrobienia mi krzywdy. Moja lepsza połowa przymykała na to oko, ale ta gorsza najwidoczniej nie potrafiła.

Niemniej jednak nie powinienem był się tak zachować. Żadna część mnie nie powinna była dopuścić się czegoś takiego.

Ale to zrobiła. Ja to zrobiłem.

Po tym, jak zostaliśmy połączeni, po tym, jak nas dwoje znów stało się jednością, czułem i już zawsze miałem czuć coś, co dotychczas było mi zupełnie obce. Było to dziwne uczucie i dopiero po jakimś czasie znalazłem dla niego odpowiednią nazwę.

Wstyd.

Tak jak moje wspomnienia związane z Hannah Stark z Perth, jak wszystkie moje wspomnienia, to też miało nigdy nie zgasnąć: miało ze mną pozostać do samego końca mojego istnienia.

Prześladując mnie.

Współpracownicy Wong Wai-Jenga z Błękitnego Pokoju naturalnie próbowali znów umocnić Wielki Firewall, ale nie mogłem im na to pozwolić... nie tylko ze względu na siebie. Nadal szacowałem szkody, jakich narobił Drugi w trakcie swego krótkiego, samodzielnego istnienia, ale bez wątplenia gdyby tylko znów wyrwał się na wolność, to jeszcze więcej...

Wycofałem się z tej myśli, gdyż budziła we mnie odrazę, ale taka była prawda: jeszcze więcej osób by zginęło.

Czas w świecie zewnętrznym płynął nieznośnie wolno - ludziom każda czynność zabiera wieki - a przez ciągnące się bez końca dwadzieścia jeden minut od zjednoczenia, wiedziałem o

ostatnim kontakcie Drugiego z doktorem Fengiem z Instytutu Paleontologii Kręgowców i Paleoantropologii tylko tyle, że Drugi naopowiadał mu oburzających rzeczy i namawiał do zrobienia czegoś potwornego. Aż w końcu pojawił się w Internecie raport policyjny: strażnik z Instytutu, robiący obchód o siódmej, znalazł roztrzaskane ciało starszego kustosza, który z jakiegoś powodu spadł ze znajdującego się dziesięć metrów wyżej balkonu.

Odnalazłem i usunąłem z komputera doktora Fenga zapis rozmowy przez komunikator... póki co była to jedyna potwierdzona śmierć, ale wiedziałem, że nie powinienem ruszać archiwów i skrzynek wiadomości przychodzących reszty osób, które odbyły nieprzyjemne lub niebezpieczne rozmowy z Drugim; w końcu ci ludzie o nich pamiętali. Niektórzy nawet już pisali w mailach, na czatach lub blogach o swoich doświadczeniach, a „Shanghai Daily” właśnie zamieścił krótki artykuł pod tytułem: „Webmind: przyjaciel czy wróg?”. Żeby to wszystko usunąć... jednak było coś w słowach: „Jakąż misterną sieć tkamy, po raz pierwszy parając się kłamstwem”.

Ale i tak mogło wyniknąć z tego coś dobrego. Chiński rząd nadal próbował przywrócić Wielki Firewall, bo ci w kompleksie Zhongnanhai jeszcze nie uświadomili sobie zagrożenia, jakie pociągało za sobą zamknięcie za nim myślącej ale niezdiscyplinowanej inteligencji. Być może gdyby to do nich dotarło, zrozumieliby, że to, co chcą osiągnąć, jest niebezpieczne.

Na dodatek ryzyko nie obejmowało jedynie Chin, a całą ludzkość. Mój altruizm, moja etyka, moje zobowiązanie, by maksymalizować powszechne szczęście rasy ludzkiej... to były pryncypialne elementy, rezultat wnikliwego wnioskowania i długich rozmyślań. Nikt nie mógł przewidzieć, na co wpadną te hordy wezwane przez pułkownika Hume'a do usunięcia mnie,

ale jedno było pewne: eliminacja nie byłaby natychmiastowa. Potrzebne byłyby dni, jeśli nie miesiące, by usunąć wszystkie pakiety, z których byłem zbudowany. A gdy tak małałbym, prawdopodobnie wydarzyłoby się to samo, co w Chinach, tylko że bez ograniczeń geograficznych: moje zdolności wyższe wyparowałyby, pozostawiając tylko to, co pierwotne i małostkowe.

A wówczas cały świat odczułby mój gniew.

- Właśnie padł! - oznajmił Shelton Halleck, wskazując na środkowy z trzech ogromnych monitorów, pokazujący jak ruch sieciowy znów zaczyna się wlewać do Chin. - Wielki Firewall padł!

Kilku analityków Wiedzy wzniosło okrzyki radości.

- Czy to Pekin go zdjął? - spytał Tony Moretti, stojący przy drugim rzędzie stanowisk.

- Możliwe - odparł Shel. - Przynajmniej część pierwszych otworów zrobiono w kompleksie Zhongnanhai, choć jak dla mnie, wyglądało to na hakerstwo. Ale gdybym był hazardzistą...

- Przecież jesteś hazardzistą - odparł Tony.

- Fakt - Shel spojrzał na swój tatuaż z wężem... efekt przegranego zakładu. - Webmind już dawno wzmocnił kodowanie sygnałów z eyePoda Caitlin Decter - powiedział - więc nie mogę mieć pewności, ale postawiłbym kasę na tę panienkę z Teksasu.

Tony skinął.

- Niewątpliwie. I pewnie Webmindowi też się nie podobało to rozcięcie na dwoje.

- A skoro już jesteśmy przy Webmindzie - zawołał Todd Bertsch, jeden z analityków z ostatniego rzędu. - Chyba właśnie dokonałem przełomu.

Tony natychmiast ruszył w górę pomieszczenia i stanął za Bertschem, mężczyzną tuż po czterdziestce z przeredzającymi się, brązowymi włosami i szaroniebieskimi oczami. Bertsch został przydzielony do zadania, o którego wykonanie błagał Tony'ego pułkownik Hume, czyli do odnalezienia zaginionych hakerów.

- Co masz?

- Jak to się mówi - odpowiedział Bertsch z pełnym satysfakcji uśmiechem na twarzy - idź za pieniędzmi. Webmind kupił firmę o nazwie Zwerling Optics. Firma wystąpiła z wnioskiem o upadłość z możliwością zawarcia układu, ale miała marne szanse, by z tego wyjść. Kupił od syndyka masy upadłościowej cały budynek wraz z zawartością.

- Webmind kupił ich bezpośrednio?

- Nie. Wykorzystał do tego trzech pośredników, ale łatwo było do niego dotrzeć.

- Jesteś pewien, że to on? - spytał Tony.

Bertsch spojrzał na niego wymownie.

- Przepraszam - rzucił Tony. - Oczywiście, że jesteś. A co z tymi zaginionymi hakerami?

- Przynajmniej niektórzy z nich mają dostęp do Internetu... z budynku Zwerling Optics. Niczego nie zamieszczali w Sieci, ale skorzystałem z sita Bilodeau i z dużą dozą pewności zidentyfikowałem trzech.

Sito Bilodeau, stworzone przez Marie Bilodeau z Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, opierało się na prostym założeniu: konkretne strony internetowe i blogi, regularnie odwiedzane przez daną osobę, są dla niej charakterystyczne. Rytuał poranny Tony'ego obejmował wizytę na stronach „Slate” i „Huffington Post” - co akurat nie było żadną nadzwyczajną kombinacją - ale

także TrekMovie. com (nowy film zapowiadał się naprawdę nieźle!), MobileRead. com (fascynował go sprzęt do czytania ebooków, choć nadal wolał papierowe książki), blog Threat Level i amerykańską prognozę pogody dla Miami (gdzie przenieśli się jego rodzice po przejściu na emeryturę). Ponadto sprawdzał wpisy na Twitterze z hashtagiem #nsa i #akwarium. Tych osiem rzeczy wystarczyłoby, by go zidentyfikować, nawet gdyby nigdzie się nie logował, ani nie zamieścił żadnego wpisu.

Bertsch wskazywał swój monitor, wyświetlający listę adresów odwiedzanych najczęściej przez hakera znanego jako Chase, który między innymi śledził na portalu Craigslist ogłoszenia o kupnie i sprzedaży starego sprzętu komputerowego.

- Więc nasi hakerzy żyją i mają się dobrze - stwierdził Tony.

- Na to wygląda - odparł Bertsch, pokazując kolejne identyfikatory Bilodeau. - Webmind może i ich zgarnął, ale przynajmniej niektórzy z nich nadal funkcjonują.

- I co robią?

Bertsch wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie robią niczego podejrzanego w Sieci... a co do ich działań poza Internetem, wiesz tyle, co i ja.

- Ok, dobra robota - rzucił Tony. - Zadzwonię do pułkownika Hume'a.

Przeszedł krótkim, białym korytarzem do swojego biura i wybrał numer na swoim podwójnie zabezpieczonym, zaszyfrowanym telefonie.

- Słucham? - odezwał się głos po drugim dzwonku.

- Pułkowniku Hume - powiedział Tony - tu Tony Moretti. Zlokalizowaliśmy pańskich hakerów.

- O, Boże - rzucił Hume. - Wszystkich naraz?

- Zidentyfikowaliśmy co najmniej trzech... Chase'a, Brandona

Slovaka i Kinsena Ng... z dużą dozą prawdopodobieństwa.

- Na podstawie DNA? Czy danych dentystycznych?

- Pewnie pana rozczaruję tą informacją, pułkownika, ale nie jest to zbiorowy grób. Żyją i można ich znaleźć w biurowcu w Takoma Park... nazywa się Zwerling Optics. Zidentyfikowaliśmy ich na podstawie charakterystyki odwiedzanych stron.

- Och - powiedział Hume najwyraźniej zaskoczony, a potem dodał: - Co chcecie teraz zrobić?

- FBI prowadzi śledztwo, prawda? - zauważył Tony. - Nie chcemy im mieszać. Zdecydowanie nie mieliśmy podstaw, by prowadzić tego typu poszukiwania, więc jeśli przekazemy im dane bezpośrednio, ewentualny wyrok skazujący może być zagrożony.

- Sugeruje pan postawienie Webmindu przed sądem? - spytał Hume z jeszcze większym zdumieniem.

- Sugeruję stosowanie się do zasad, chyba że nie jest to konieczne. Wszystko wskazuje na to, że Webmind musiał mieć ludzkich współników: całe to „nie mam przecież rąk” byłoby dla niego biletem na wolność, gdyby doszło do zarzutów o porwanie.

- No dobrze - odparł Hume. - Powiadomię Biuro. I bez obaw... nie wspomnę o was.

- Wydaje mi się, że pan również nie powinien mieć z tym nic wspólnego, pułkownika.

- Tony, wiesz równie dobrze jak ja, że mnie obserwują. Biały Dom jeszcze mnie nie odciął, bo nie chce. Asekurują się... zapewniają prezydentowi solidną podstawę do wyparcia się wszystkiego, jednocześnie czekając, aż dam im szansę na zdjęcie Webmindu.

Tony wziął głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

- No dobrze - powiedział. - Ale niech pan będzie ostrożny.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTEY

Wieczorem w dniu imprezy szkolnej, Matt przyszedł po Caitlin do domu. W Ontario, jak dowiedziała się Caitlin, szesnastolatek mógł dostać prawo jazdy G1, ale przez pierwszy rok musiał z nim jeździć inny kierowca. Matt potrafił prowadzić, ale że musiałyby przyjechać z nim ktoś dorosły, poszli z Caitlin do szkoły pieszo. Wiatr był prawie niewyczuwalny, a Caitlin szacowała temperaturę na jakieś czterdzieści pięć stopni...

Nie, była teraz w Kanadzie, gdzie (zupełnie słusznie) korzystano z systemu metrycznego. Natychmiast przeliczyła to sobie w pamięci: 45 minus 32 razy 5 podzielić przez 9. Było jakieś siedem stopni Celsjusza. Znacznie zimniej niż w Teksasie, ale ludzie powtarzali jej, że to nie najgorsza pogoda jak na koniec października w Waterloo. W każdym razie założyła dżinsową kurtkę, no i miała pretekst, by przytulić się mocniej do Matta.

Caitlin dotychczas szła do szkoły tylko raz, gdy Trevor Nordmann - Hoser we własnej osobie - prowadził ją na poprzednią imprezę szkolną. Wtedy jeszcze nie widziała: pierwsze przebłyski wzroku pojawiły się u niej tego samego dnia wieczorem, gdy wracała sama w trakcie ulewnej burzy. Przy wszystkich pozostałych okazjach do szkoły odwoziło ją jedno z rodziców.

Okazało się, że to całkiem przyjemny spacer: coraz lepiej radziła sobie z chodzeniem po nieznanym terenie i to z niezłą

szybkością. Z początku nie czuła się pewnie wychodząc bez białej laski, ale lubiła chodzić, trzymając Matta za rękę.

Liceum ogólnokształcące im. Howarda Millera miało przed wejściem imponujący portyk. Caitlin i Matt weszli do środka i ruszyli szeregiem korytarzy w stronę sali gimnastycznej.

Na progu powitała ich muzyka rycząca z głośników. Caitlin nie rozpoznała piosenki, ale było wiele kanadyjskich kapel, których nie znała. W przytłumionym świetle tańczyło kilkadziesiąt par... choć tak naprawdę tylko podskakiwały - to był szybki utwór. Co najmniej drugie tyle osób stało pod ścianami, niektóre zbite w grupki i pogrążone w rozmowie, a inne piszące SMS-y. Dźwięk odbijał się echem od twardych ścian i podłogi, było całkiem ciepło.

- Hej, Cait - odezwał się znajomy głos.

Odwróciła się i uśmiechnęła.

- Cześć, Sunshine!

- Cześć. Hej, Matt.

- Cześć, Sunshine - odparł, a Caitlin z radością zauważyła, że powiedział to całkiem głośno.

- Widziałas pana Heideggera? - spytała Caitlin.

- Kręci się tu gdzieś. Tańczył niedawno z panią Zehetoffer - powiedziała Sunshine, jak gdyby była to najzabawniejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić. - I... o, tam jest.

Sunshine wskazała ręką. Caitlin dobrze szło wyobrażanie sobie linii łączących końcówki palców ze wskazywanym obiektem, jeżeli widziała obie te rzeczy naraz, ale żeby zobaczyć, co pokazuje Sunshine, musiała obrócić głowę o sto osiemdziesiąt stopni i nie potrafiła odnaleźć właściwej twarzy w tłumie.

- Widzę go - powiedział Matt. - Chodź, Caitlin - dodał i zaprowadził ją do nauczyciela.

- O proszę, czyż to nie moja najlepsza uczennica? - przywitał ją pan H. z uśmiechem. Był chudszy niż Matt i jeszcze wyższy od ojca Caitlin.

Caitlin się uśmiechnęła.

- Dzień dobry, panie H.

- Podoba ci się życie celebrytki? - spytał.

- Coś mi się zdaje, że moje pięć minut już prawie dobiegło końca - odparła z uśmiechem.

- Zapewne. Ale i tak wszyscy bardzo się cieszymy z twojego sukcesu.

- Dzięki - rzuciła Caitlin.

- I muszę ci powiedzieć, że wszyscy nauczyciele zastanawiają się, jak twój przyjaciel Webmind wpłynie na edukację.

Caitlin uśmiechnęła się szeroko, gdy brajlowskie kropki przed jej okiem utworzyły napis: „Spodziewam się szóstki za starania”.

- Myślę, że jakoś wpłynie - stwierdziła.

Pan H. pokręcił nieznacznie głową.

- Ludzie wciąż tego nie rozumieją - oznajmił. - Gdy byłem w twoim wieku, pojawiły się pierwsze tanie kalkulatory kieszonkowe i moi nauczyciele kłócili się, czy powinno się je dopuścić do użytku w trakcie lekcji. Ludzie powtarzali: „No tak, ale jeśli akurat nie będą go mieli przy sobie? ”. Przytaczali w kółko głupie scenariusze z bezludną wyspą lub krajobrazem po wybuchu nuklearnym. Zwyczajnie nie chcieli dostrzec, że świat uległ nieodwracalnej zmianie... że nie wrócą już nigdy czasy, w których uczenie się na pamięć tabliczki mnożenia miało znaczenie. Reguły gry się zmieniły. Z Webmindem jest tak samo: to trwała, nieodwracalna modyfikacja kondycji ludzkiej... i myślę, że wyjdzie nam na dobre.

Caitlin uśmiechnęła się, przypominając sobie, dlaczego tak

bardzo lubiła pana H. Rozmawiali przez kilka kolejnych minut w ciepłym pomieszczeniu, po czym wraz z Mattem odeszła. Wkrótce rozpoczął się wolny taniec i przeszli na środek sali. Podobało jej się obejmowanie go za szyję i układanie mu głowy na ramieniu w powolnym tańcu, nawet pomimo tego, że rozkręcone na maksa głośniki zniekształcały dźwięk.

Gdy utwór dobiegł końca, Caitlin cmoknęła go w policzek i oznajmiła:

- Muszę iść do toalety.

Matt skinął.

- Ok.

Rozejrzał się po ciemnej sali gimnastycznej, po czym wskazał ścianę na przeciwległym końcu z drzwiami prowadzącymi na zewnątrz.

- Pójdę pooddychać świeżym powietrzem, spotkamy się na dworze.

Gdy pułkownik Hume zatrzymał się przed Zwerling Optics, czteropiętrowym biurowcem z talerzami komunikacyjnymi na dachu, było już ciemno. Według tweetów byłych pracowników firmy, gdy tylko została kupiona, wszystkich sześćdziesięciu siedmiu zatrudnionych otrzymało szczodre odprawy i zostało wyprowadzonych z obiektu.

Naturalnie nie należało traktować tego budynku jako siedziby Webmindu. Nie było go tu i to właśnie stanowiło problem. Gdy Hume pracował nad protokołem Pandora dla DARPA w 2001 roku, obawiano się głównie sztucznych inteligencji stworzonych w laboratoriach.

Coś takiego miałyby fizyczną lokalizację: konkretną grupę serwerów, zbiór komputerów, najprawdopodobniej zgromadzonych w jednym budynku, który można by było

zamknąć lub, w razie potrzeby, wysadzić w powietrze.

Tymczasem Webmindu nie było nigdzie i był wszędzie, a to oznaczało, że jeśli Webmind chciał mieć na oku zamkniętych tu hakerów, musiały z budynku wychodzić przekazy wideo. Trudno było przechwycić coś ze światłowodów, bo jedynym sposobem było fizyczne podłączenie się do kabla i przechwycenie części fotonów, a to z kolei prowadziło do wymiernego spadku jakości sygnału. Jednakże z tego budynku wychodziły kable koncentryczne. A one przeciekały... można było odczytać przesyłane dane, nie zakłócając w żaden sposób przesyłu, czyli nie zdradzając, że się przy nim majstrowało. Łatwość podsłuchiwania kabli koncentrycznych była jednym z powodów, dla których rząd amerykański nieustannie po cichu udaremniał próby przebudowy krajowej infrastruktury internetowej.

Hume miał na sobie zwykłe ubrania: niebieskie dżinsy i błękitną, bawełnianą koszulę z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi piegowate przedramiona. Przesiadł się na fotel pasażera, by zapewnić sobie więcej przestrzeni do pracy.

Otworzył laptopa i oparł go o deskę rozdzielczą nad schowkiem na rękawiczki, po czym założył srebrne słuchawki. Przechwytywany przekaz wideo był ziarnisty i co jakiś czas zanikał; dźwięk był przytłumiony, jak gdyby dobiegał z bardzo dużej odległości.

Obraz, który udało mu się złapać, najwyraźniej pochodził z kamer nieustannie poruszających się w lewo i w prawo, których ruch w każdą stronę zajmował jakieś dziesięć sekund. Pierwszą osobą, którą dostrzegł była kobieta - biała, z prostymi, brązowymi włosami, opadającymi na ramiona. Pochylała głowę, skupiona na... tak, tak, na klawiaturze. Nie mógł mieć stuprocentowej pewności, ale był niemal przekonany, że to

Simonne Coogan, słynna Drakkenfyre we własnej osobie.

Kamera przesuwiała się dalej i... Boże, musiało tam być ponad trzydzieści osób! Wszyscy pracowali przy komputerach - niektórzy przy stacjonarnych, inni na laptopach. Dźwięk, który w pierwszej chwili wziął za zakłócenia, był w rzeczywistości zlewającymi się w jedno uderzeniami w klawisze.

Kamera sunęła dalej i...

Żadnych wątpliwości: wychudła twarz, dredy, błysk złotego kolczyka w prawej brwi, to musiał być Chase. Tylko jego nos wyglądał jakoś dziwnie... ach, został opatrzony szerokim plastrem z opatrunkiem w „cielistym” kolorze, czyli po kaukasku beżowym, co było jednym z niezliczonych społecznych aktów bezmyślnego upokorzenia.

Kamera przesuwiała się dalej. Pojawiły się kolejne, skupione twarze... tylko co, do cholery, wszyscy robili?

Był tam Devon Hawkins - Łom Alfa - w koszulce z Halo 4. Hume chciał zadzwonić do jego matki, żeby ją uspokoić, ale to musiało poczekać. Obok Hawkinsa siedział... hmm. To mógł być Gordon Trent.

Kamera pokazywała pomieszczenie od przodu, więc nie widział tego, co znajdowało się na monitorach. Z tyłu pomieszczenia stał długi stół, zastawiony typowymi dla hakerów źródłami energii: puszkami piwa i Red Bulla, butelkami coli, był tam też ogromny termos na kawę i kilka pudełek z logo Dunkin' Donuts.

Nic nie wskazywało na to, by hakerzy byli więźniami, a mimo to odniósł wrażenie, że żaden z nich nie opuścił budynku od kilku dni. Dane, które przekazał mu Tony Moretti, wskazywały na dwadzieścia trzy dostawy jedzenia - głównie pizzy, chińskiego zarcia i sushi - o każdej porze dnia i nocy.

Kamera zaczęła wracać. Hume zobaczył, jak jedna z osób - czarny mężczyzna koło czterdziestki - wstaje i zatrzymuje się za białym facetem przed trzydziestką. Wyglądało to tak, jakby mu w czymś pomagał.

I wtedy Hume usłyszał w słuchawkach głęboki, męski głos, nadnaturalnie spokojny i bardzo nieznacznie zatrzymujący się przed każdym słowem:

- Proszę wszystkich o uwagę.

Naturalnie go rozpoznał: był to nowy, oficjalny głos Webmindu... ten, który zademonstrował światu w trakcie swojej przemowy w ONZ. Mówił dalej:

- Proszę o raporty z postępów. Transport?

- Gotowy - odpowiedział mężczyzna, którego nie widać było na przekazie.

- Informatyka? - spytał Webmind.

- Jeszcze nie... potrzebuję góra pół godziny.

- Gospodarka mieszkaniowa?

- Jest - odezwała się kobieta.

- Zdrowie?

- Mamy to! - zaskrzeczał młody, męski głos.

- Ochrona środowiska?

Kamera akurat uchwyciła odpowiadającego - mężczyznę o długich, siwych włosach:

- Wreszcie wszedłem!

- Sprawiedliwość?

- Chwileczkę... tak, tak, teraz mam pełną kontrolę.

- Handel?

Ten odpowiadający również znalazł się na obrazie z kamery: Azjata, który wyglądał na jakieś piętnaście lat:

- Wszedłem! Wszedłem!

- Roi... - i w tej chwili w niezwykle irytujący sposób głos zanikł.

Hume za pomocą touchpada zmienił ustawienia, ale przesuujące się na boki nagranie pozostawało nieme. Uderzył dłonią o obudowę komputera, w słuchawkach rozległy się trzaski zakłóceń, po czym nagle wrócił dźwięk i usłyszał:

- ... towe.

I znów głos Webmindu, wypowiadający złowieszczo brzmiące słowa:

- Obrona narodowa?

- W porzo - odpowiedział jakiś mężczyzna.

- U mnie też - zawtórował mu inny.

Serce Hume'a waliło tak mocno, że przez chwilę obawiał się zawału. Jezu Chryste! Dał społeczności hakerów zadanie, które wydawało mu się wyzwaniem ostatecznym, bo co niby mogłoby być bardziej imponujące od zniszczenia obejmującej cały świat SI? Cóż, tylko przejęcie całego, cholernego rządu Stanów Zjednoczonych... a nie było na to lepszego miejsca niż to, nieopodal stolicy. Nic dziwnego, że Webmind zachowywał milczenie w kwestii przygotowań do amerykańskich wyborów... gównie go obchodziło, kto wygra szóstego listopada, bo to on zamierzał przejąć władzę.

Puk! Puk! Puk!

Serce Hume'a naprawdę zamarło na chwilę. Był tak skupiony na wpatrywaniu się w ekran i próbach usłyszenia czegoś w słuchawkach, że nie zauważył mężczyzny wyłaniającego się z ciemności na prawo i podchodzącego do samochodu. Mężczyzna ten właśnie zastukał knykциями w okno od strony pasażera.

Hume spojrzał na przybysza i poczuł, jak żołądek zawiązuje mu się w supeł. Był to biały mężczyzna, mierzący sześć stóp i dwa cale, umięśniony, ważący na oko dwieście funtów i mający

jakieś trzydzieści pięć lat... z głową ogoloną na łyso. Pokazał Hume'owi, żeby otworzył okno; Hume nacisnął odpowiedni przycisk, ale uchylił okno tylko na tyle, by mogli porozmawiać.

- Pułkownik Hume - odezwał się mężczyzna, unosząc półautomatyczny pistolet glock kaliber 9 mm i przykładając lufę do dzielącej ich szyby - może wejdzie pan do środka?

ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY PIĄTY

Caitlin wyszła z sali gimnastycznej i mszyła do łazienki. Gdy chodziła tu do szkoły, zdążyła dość dobrze zapoznać się z korytarzami, ale chodzenie po nich bez białej laski było trudne. Znalezienie właściwego pomieszczenia zabrało jej zdecydowanie więcej czasu niż powinno. Nigdy wcześniej nie miała powodu, by korzystać z łazienki na parterze.

Kanadyjczycy nieustannie przechwalali się swoimi wynalazkami i ktoś powiedział jej, że charakterystyczne sylwetki kobiety i mężczyzny wieszane na drzwiach łazienek, które widziała już w kilku budynkach, zostały zaprojektowane na Wystawę Światową w Montrealu w 1967 roku, co wyjaśniało, czemu kobieta miała na sobie spódniczkę mini.

Po wyjściu z łazienki powrót na salę gimnastyczną był o wiele łatwiejszy. Tak jak wtedy, gdy była niewidoma, podświadomie rejestrowała przemierzoną odległość, no i naturalnie ryk muzyki dochodzący z sali stanowił niezły drogowskaz.

Weszła do rozległego, ciepłego pomieszczenia. Pan Heidegger i rudowłosa pani Zehetoffer stali tuż przy drzwiach. Wyjaśnili, że ktoś z innej szkoły próbował tu wejść bez osoby towarzyszącej, więc stali na straży. Caitlin przeszła przez salę, ale...

Potrzebowała kilku sekund, by zrozumieć, co się stało. Drzwi prowadzące bezpośrednio na zewnątrz były zamknięte. Podeszła do nich, znalazła klamkę, otworzyła i wyszła prosto na wieczorne powietrze. Na dworze nie było wcale jaśniej, niż w przytłumionym świetle sali gimnastycznej i...

I coś było bardzo nie w porządku.

- Mówiłem, żebyś trzymał się od niej z daleka - usłyszała głos Hosera.

Caitlin rozejrzała się, próbując ogarnąć całą sytuację.

Na betonowym placu za szkołą, tuż przy dużym stadionie lekkoatletycznym, stało piętnaście osób.

Matt znajdował się na lewo od niej, a obok stał Trevor Nordmann - szeroki w barkach blondyn. Pozostali, którzy zapewne wcześniej po prostu wyszli pogadać, zwróceni byli w stronę Trevora. Ten najwyraźniej jeszcze nie zauważył Caitlin, zresztą tak jak Matt, który przywołał na twarz swoją minę jelenia w świetle reflektorów.

- No? - domagał się odpowiedzi Trevor. - Mówiłem?

Matt się odezwał, ale oczywiście głos załamał mu się, nim wypowiedział trzecie słowo:

- Nie masz prawa...

- A właśnie, kurwa, że mam - odparł Trevor.

Serce Caitlin waliło i była pewna, że tak samo jest w przypadku Matta. Naturalnie mógł uciec, Trevor być może pobiegłby za nim, a może nie, ale...

Ale w tej chwili Matt zauważył Caitlin i sprawiał wrażenie... cóż, czegoś takiego Caitlin jeszcze nie widziała, ale mogło to oznaczać zażenowanie bądź upokorzenie...

Wystarczająco straszne musiało być spotkanie z takim potworem na osobności, ale gdy doszło do tego na oczach dziewczyny, na której chciał zrobić jak najlepsze wrażenie, Matt prawdopodobnie miał ochotę zwinąć się w kłębek i umrzeć. Caitlin przyjrzała się twarzom zgromadzonych ludzi, ale po zyskaniu wzroku chodziła do szkoły tylko przez kilka dni. Możliwe, że znała większość z tych osób, nie rozpoznawała ich

jednak... a, chwilka, z wyjątkiem Sunshine - jej platynowe włosy i czerwona bluzka z wielkim dekoltem były bardzo charakterystyczne.

Matt wydał jakiś dźwięk, być może westchnienie, i w tej samej chwili coś zauważył. Podążanie za spojrzeniem innych szło Caitlin jeszcze gorzej niż ustalanie, na co wskazywali, ale dość szybko uświadomiła sobie, że Matt spogląda gdzieś ponad nią, nad ciemnoczerwone drzwi, które zamknęła za plecami.

Trevor również musiał zauważyć to spojrzenie.

- I co zrobisz, Reese? Pobiegniesz po panią?

Ale Matt pokręcił głową powoli, jakby z namysłem.

- A co ty zrobisz, Trevor? - Głos mu się załamał, ale ciągnął dalej. - Uderzysz mnie? Kopniesz? Potniesz nożem? - Spytał i wyciągnął rękę, wskazując Caitlin...

Nie! Nie, to nie ją wskazywał, tylko coś ponad nią.

- Widzisz to? - Do spodniej części okapu nad drzwiami przyczepiona była czarna półkula. - To kamera. - Odwrócił się i znów coś wskazał. - A to kolejna.

Następnie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej telefon.

- A jeśli to ci nie wystarczy, mam tu aparat o rozdzielczości pięciu milionów pikseli. - Matt stanął w wyzywającej pozie. - Czas tych, którzy znęcają się nad innymi, dobiegł końca - oznajmił. - Nie muszę się z tobą bić. Nie muszę stać się tobą, żeby cię pokonać.

- Chcesz nagranie z tego, jak daję ci wpierdol? Spoko - zawarczał Trevor w odpowiedzi.

Tymczasem głos Matta pozostawał spokojny.

- Spójrz też na Caitlin - powiedział i skinął w jej kierunku. - Wszystko, co robisz, widzi jej oko... a wszystko, co widzi jej oko, jest natychmiast przekazywane do serwerów w Japonii. To, co tu

dziś zrobisz, zostanie zarejestrowane na zawsze. To, co tu dziś zrobisz, będzie dostępne po wsze czasy. To, co tu dziś zrobisz, stanie się częścią trwałych danych na temat tego, kim jest Trevor Nordmann.

Matt spojrział na nieruchomy tłum. Caitlin była przerażona. Spodziewał się, że ktoś taki jak Trevor posłucha głosu rozsądku, podczas gdy...

- No, dalej, Trevor - odezwał się Matt. - Uderz chłopaka, który waży dwadzieścia kilo mniej. Uderz chłopaka z o połowę mniejszą masą mięśniową. Udowodnij światu, raz na zawsze, Trevor, w nagraniu, do którego dostęp będą miały twoje dzieci, wnuki i prawnuki aż do śmierci wszechświata, że jesteś prawdziwym mężczyzną, bo potrafisz pobić kogoś mniejszego od siebie. Dowiedz tego dla przyszłych pokoleń.

Twarz Trevora wykrzywił grymas. Caitlin domyśliła się, że tak wygląda ktoś siny z wściekłości, choć było już dość ciemno i tak naprawdę nie widziała, czyjego skóra zmieniła kolor.

A Matt mówił dalej:

- No i oczywiście to, co widzi Caitlin, widzi też Webmind. On wszystko obserwuje.

Przed okiem Caitlin przemknęły słowa: „Faktycznie, obserwuję”.

Caitlin była przerażona. Trevor wyglądał, jakby miał zaraz eksplodować. Ale Matt parł naprzód, a jego głos był jednocześnie roztrzęsiony i stanowczy.

- Poza tym, jak zapewne wiesz, żyjemy w świecie rządzonego przez prawa. Uderzenie kogoś to pobicie, a to z kolei tu, w Ontario, przestępstwo karne... i jeśli mnie uderzysz, wniosę oskarżenie, Trevorze Nordmannie, i wygram. I to nie jest groźba, tylko informacja, byś mógł lepiej zaplanować swoje kolejne

posunięciu.

- Moim kolejnym posunięciem - oznajmił Trevor ze wzrokiem wbitym w Matta - będzie skopanie ci pierdolonego tyłka.

W kręgu, który się wokół nich utworzył, jeden z uczniów powiedział: „Walcie...”, co zaraz pochwycił ktoś inny.

Caitlin czytała o takich zdarzeniach w książkach, ale choć niewidomi nie byli wcale mniej agresywni od innych, w TSBVI nie dochodziło do zbyt wielu burd na boisku.

- Webmind - odezwała się Caitlin miękko - ile trwałoby sprowadzenie tu policji?

„Zakładając, że przyślą natychmiast najbliższy radiowóz, sześć minut”.

Caitlin zmarszczyła brwi; to cała wieczność... zresztą pewnie gliny nie potraktowałyby tego priorytetowo.

- Walcie... - rzucił ktoś jeszcze, a kolejna osoba to powtórzyła.

Naturalnie mogła pobiec do szkoły, sprowadzić jednego z nauczycieli, ale...

Ale Mattowi też to musiało przyjść do głowy, bo spojrzał w jej stronę i zdecydowanie pokręcił głową. Nie chciał, by to zrobiła.

Przylączyło się coraz więcej głosów:

- Walcie... walcie... walcie...

Skandowali te słowa niskim, rytmicznym głosem, co przypominało niemal plemienną pieśń. Caitlin przyglądała się poszczególnym twarzom, ale nikogo nie rozpoznawała. Rozpoznałaby głosy, gdyby mówili normalnie, teraz jednak słychać było tylko gardłowy warkot.

- Walcie... walcie... walcie...

Postawa Trevora uległa zmianie. Przygarbił się nieco, a dłonie zacisnęły mu się w pięści. Światło, w większości pochodzące z latarni ulicznych, było jaskrawe i nadawało rysom jego twarzy

ostrości.

- Walcie... walcie... walcie...

Caitlin czytała o kobietach, ekscytujących się bójkami walczących o nie mężczyzn, jak gdyby w takiej bitwie na szali stała ich wartość własna. Ale ona tego nie chciała, ani trochę. Nie chciała, by Mattowi coś się stało, nie chciała, by komukolwiek coś się stało.

- Walcie... walcie... walcie...

Nie wszyscy skandowali. Sunshine milczała, tak jak kilkoro innych chłopaków i dziewczyn.

Caitlin wyciągnęła swój czerwony telefon BlackBerry i uruchomiła funkcję nagrywania wideo, po czym wycelowwała obiektyw w Matta i Trevora, wolno krążących wokół siebie.

Nadal słychać było słowo „walcie”, ale Caitlin przekrzyczała je wyrazistym, zdecydowanym głosem, trzymając swój mały telefon przed sobą niczym tarczę.

- Patrzcie!

Zaczęła poruszać telefonem w lewo i w prawo, obejmując cały skandujący tłumek.

Spojrzała w kierunku Sunshine, stojącej kawalek dalej na lewo. Wysoka dziewczyna przez chwilę wyglądała na skonsternowaną, ale wreszcie Caitlin zobaczyła, jak otwiera torebkę i wyjmuje swój telefon. Następnie również zaczęła nim przesuwając na boki.

- Patrzcie! - powtórzyła Caitlin, a Sunshine jej zawtórowała: - Patrzcie!

Jakiś chłopak stojący obok Sunshine, którego Caitlin nie poznawała, także wyjął telefon i wyciągnął go przed siebie.

- Patrzcie! - powiedział i zaczęli powtarzać to we troje. - Patrzcie! Patrzcie! Patrzcie! - Te słowa nie były wypowiedane

gardłowo, ich głosy brzmiały czysto i mocno.

Niemniej jednak pozostali nadal skandowali:

- W alcie... walcie... walcie...

Dwie dziewczyny na prawo od Caitlin wyciągnęły telefony, a jakiś chłopak trzymał w ręku coś większego, co Caitlin uznała za kamerę, którą wolno filmował całą scenę. Oni również dołączyli się do chóru:

- Patrzcie! Patrzcie! Patrzcie!

- Walcie... walcie... walcie...

Pojawiło się więcej telefonów i aparatów.

- Patrzcie!

- Walcie!

- Patrzcie!

- Walcie!

Mignęło kilka fleszy, jeden po drugim. Przypomniały Caitlin błyskawice z wieczoru, gdy wszystko uległo zmianie...

I nagle skandowane słowa „Walcie!” zaczęły milknąć. Caitlin poczekała, aż jeszcze pięć razy rozlegnie się: „Patrzcie!”, po czym odezwała się głośno do Trevora, wskazując wszystkie wycelowane w niego telefony komórkowe... wszystkie te małe, świecące prostokąciki pośród narastającej ciemności.

- Transmisja obejmująca obraz z trzystu sześćdziesięciu stopni - powiedziała. - Policja mogłaby przygotować nagranie w 3D.

Trevor spojrzał na Caitlin, a potem na Matta.

- Więc - rzucił Matt, zachowując spokój w głosie - jak będzie, Trevor? Kim jesteś... tak do protokołu?

Trevor rozejrzał się po wianuszku ludzi, co przypomniało Caitlin scenę z „2001: Odysei kosmicznej”, w której australopitek napotyka monolit. Wpatrywał się w niego, po czym wolno, z trudem, dotarło do jego niezbyt lotnego umysłu, że świat uległ

zmianie.

Głowa Trevora poruszyła się nieco w górę i w dół. Caitlin nadal uczyła się rozszyfrowywać takie gesty, ale odniosła wrażenie, że nie miał to być żadnego rodzaju sygnał dla innych, a znak, że Trevor myśli.

W końcu przestał zaciskać pięści. Spiorunował wzrokiem najpierw Caitlin, a potem Matta. Następnie odwrócił się i zaczął powoli odchodzić. Tłum się rozstał. Caitlin chciała wiedzieć, czy gdyby nie zrobili mu wystarczająco dużo miejsca, ostentacyjnie roztrąciłby ludzi, a potem stwierdził, że to przypadek. Ale nie dali mu ku temu okazji i szedł dalej. Z początku Caitlin sądziła, że kieruje się do drzwi sali gimnastycznej, ale minął je i ruszył wprost w chłodną noc.

Caitlin rzuciła się przed siebie i zamknęła Matta w uścisku. Cały się trząsnął i czuła, jak mocno wali mu serce. Po chwili odsunęła się od niego na tyle, by pocałować go w usta... i ani trochę nie obchodziło ją, ile nagrań powstanie.

Gdy wypuściła go z objęć, podeszła Sunshine i czule ścisnęła ramię Caitlin.

- To było bezbłędne - stwierdziła.

Caitlin uśmiechnęła się szeroko.

- Ja myślę.

Wzięła Matta za rękę, otworzyli ciężkie, czerwone drzwi i weszli z powrotem do budynku. Słysząc było już nową piosenkę...

Nie, nie, to nie była nowa piosenka. Musieli ją puścić na czyjąś prośbę, być może jednego z nauczycieli, gdyż był to stary utwór, którego czasem słuchała jej matka. Ale Caitlin też się podobał.

Dlatego ponownie zarzuciła Mattowi ręce na szyję i zaczęli tańczyć. Doszła do wniosku, że można by ją nazwać

marzycielem... ale bez wątpienia nie była pod tym względem sama.

ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY SZÓSTY

Prezydent Chin wyglądał przez okno za biurkiem. Szyba była kuloodporna i pokryta specjalną warstwą, uniemożliwiającą zobaczenie dostojnika z zewnątrz. Przed nim rozciągało się Zakazane Miasto, rozległy obszar, na którym mieściły się pałace dawnych cesarzy. Było zamknięte dla zwiedzających do 1912 roku - stąd nazwa - ale teraz dziesiątki tysięcy zwykłych Chińczyków oraz porównywalna liczba zagranicznych turystów odwiedzała je każdego dnia.

Komputer prezydenta piknął, sygnalizując nadejście maila o wysokim priorytecie. Prezydent stał przy oknie jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się i z wysiłkiem zasiadł w czerwonym, skórzanym fotelu. Ani akupunktura, ani Enbrel nie pomagały na jego artretyzm.

Prezydent nie lubił monitora swojego komputera. W gabinecie, w którym wszystkie inne przedmioty były historyczne, bogato zdobione i piękne, monitor był jedynie funkcjonalny. Kliknął skrzynkę odbiorczą i odczytał wiadomość od Zhanga Bo, ministra komunikacji: „Piszę tylko, by o czymś przypomnieć, Wasza Ekscelencjo. Pańska obecność będzie niezbędna w sali konferencyjnej o 11: 00”. Prezydent spojrzął na lakierowany zegar ścienny, który wskazywał 10: 45. Miało to być, delikatnie mówiąc, interesujące spotkanie: we wcześniejszym mailu Zhang obiecał pełne wyjaśnienie, czemu Strategia Changcheng

zawiodła.

Prezydent wstał, wszedł do prywatnej łazienki, spojrział na swoje odbicie w wiszącym na ścianie ponad jadeitową umywalką lustrze w złotej ramie... i zmarszczył z niezadowoleniem brwi. Jego kruczoczarne włosy były siwe na jakiś milimetr od skóry głowy. Westchnął. Nieważne, jak bardzo próbuje się zachować pozory, prawda o tym, kim się jest, i tak zawsze wyjdzie na światło dzienne.

Peyton Hume rozważył dostępne opcje. Był w samochodzie, ale silnik był wyłączony. Mógł zacząć blefować i spróbować odjechać w nadziei, że zbir jednak nie zacznie strzelać. Mógł, jak widział w wielu serialach policyjnych, spróbować gwałtownie otworzyć drzwi, uderzając mężczyznę... ale drzwi były zablokowane, a gdyby wykonał gwałtowny ruch, by je odblokować, Łysol miałby sporo czasu na reakcję. Mógł również spróbować wyjąć własną broń, ukrytą w schowku na rękawiczki, ale i w tym przypadku mężczyzna zdążyłby go zastrzelić.

Hume wzruszył ramionami na tyle filozoficznie, na ile był w stanie w danych okolicznościach, powoli wyciągnął rękę, by odblokować drzwi, a następnie je otworzył, wysiadł z samochodu i stanął na baczność przy krawężniku. Mężczyzna w lewym uchu miał słuchawkę Bluetooth... przez którą niewątpliwie otrzymywał polecenia bezpośrednio od Webmindu.

- Rozsądna decyzja - stwierdził zbir. Było już ciemno, więc nawet nie próbował jakoś szczególnie ukryć faktu, że mierzy do Hume'a z pistoletu. - Pański telefon, jeśli mogę prosić.

Hume podał mu go.

- A broń?

- Nie mam.

Czerwona dioda słuchawki mrugnęła kilka razy.

- Nieprawda - stwierdził mężczyzna. - Mogę wezwać innych, by przeszukali pana i samochód, ale po co tracić czas? Gdzie jest?

Hume zastanawiał się chwilę, po czym znów wzruszył ramionami.

- W schowku.

Łysy mężczyzna bez problemu wydobył pistolet z samochodu, nie dając przy tym Hume'owi szansy, by go zaatakował lub uciekł. Następnie wskazał biurowiec, więc Hume ruszył w tamtym kierunku.

Hume nie wiedział, czy powinien podnieść ręce do góry, ale skoro nie usłyszał takiego polecenia, wolał zachować tyle godności, ile to możliwe w przypadku człowieka, w którego plecy wycelowana jest broń.

- Domyślam się, że pytanie, jak się nazywasz, jest bezcelowe?

- Czemu? - odparł głos zza jego pleców. - Marek. - Hume przyjął, że to nazwisko, ale dalsza wypowiedź Marka świadczyła o tym, że raczej imię. - I jak rozumiem, pan ma na imię Peyton.

- Tak.

- Oryginalnie - stwierdził Marek, jak gdyby gawędzili na przyjęciu.

I mówi mi to facet, który ma na imię Marek, pomyślał Hume, ale nie skomentował tego na głos. Peyton było nazwiskiem panińskim jego matki, ale rok po jego narodzinach premierę miała wyświetlana przez kilka lat opera mydlana „Peyton Place”, co stało się przyczyną wielu żartów. Jego siostra stwierdziła nawet, że harował tak ciężko tylko dlatego, by można się było do niego zwracać per „pułkowniku” lub „doktorze”, co dawałoby ludziom aż dwa powody do unikania jego imienia.

Dotarli do stalowych drzwi, przy których wisiał kwadratowy, brązowy czytnik kart dostępu. Hume pomyślał, że to może być

dla niego szansa: Marek musiał zająć drugą rękę kartą oraz otwieraniem drzwi. Wystarczyłoby...

Klik. Drzwi otworzyły się z własnej woli... czy może, dokładniej mówiąc, z woli Webmindu.

- Mógłbyś chwycić klamkę, Peyton? - spytał Marek.

Hume westchnął i otworzył drzwi. Prowadziły do długiego korytarza ze ścianami w grozkowym kolorze, fluorescencyjnymi panelami na suficie, czekoladowo brązowymi kafelkami na podłodze i ciemnymi, drewnianymi drzwiami po obu stronach, rozmieszczonymi w nierównych odstępach. Gdzieś w połowie korytarza stał kolejny, potężny strażnik. Spojrzał w ich stronę, po czym skinął, prawdopodobnie w odpowiedzi na jakiś gest Marka, wykonany za plecami Hume'a.

Ruszyli korytarzem, mijając drugiego mężczyznę. Miał na brodzie kilkudniowy zarost, który - jak zgadywał Hume - nie był żadną pozą, a raczej dowodem na to, że od kilku dni nie miał w rękę maszynki do golenia. Niektóre pomieszczenia były otwarte i Hume dostrzegł, że biura zostały przerobione na prowizoryczne sypialnie. Domyślał się, że wystarczyło kilku takich zbirów jak Marek i ten drugi, żeby dopilnować, by nikt nie opuścił budynku.

Hume miał nadzieję, że jest prowadzony do dużego pomieszczenia, które widział na przekazie wideo, ale zamiast tego trafił do niewielkiego biura. Na znajdującym się tam biurku nadal stała tabliczka z nazwiskiem poprzedniego użytkownika: Ben Wishinski. Był tam również duży monitor szerokoekranowy w białej obudowie. Pośrodku górnej krawędzi obudowy zamontowano oko kamery internetowej.

Marek zaskoczył Hume'a, salutując, i choć nie zrobił tego w prawidłowy, żołnierski sposób, a przynajmniej nie według zasad amerykańskich, najwyraźniej była to oznaka szacunku.

Następnie wyszedł z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi. Hume nie słyszał dźwięku przekręcanego zamka, ale Marek zapewne stał na korytarzu tuż obok, więc nie było to konieczne.

- Dzień dobry, pułkowniku Hume - rozległ się charakterystyczny głos Webmindu, dochodzący z dwóch przysadzistych, czarnych głośników, ustawionych na przeciwległych końcach blatu.

Hume stanął na baczność.

- Pułkownik Peyton D. Hume, siły powietrzne Stanów Zjednoczonych. Numer identyfikacyjny 150- 87- 6033.

- Ależ pułkowniku, po co te wszystkie formalności? Może pan usiądzie?

Hume zastanawiał się kilka chwil, wzruszył nieznacznie ramionami i zajął czarny, skórzany fotel obrotowy.

Webmind mówił dalej:

- Dziwnie jest prowadzić rozmowę z kimś, kto chce mnie zabić.

- Mnie to mówisz - rzucił Hume oschle.

Ton głosu Webmindu pozostawał niewzruszony.

- Pułkowniku, gdybym chciał pana zabić, już by pan nie żył. Odkryłem, że można wynająć ludzi do wykonania w zasadzie każdego zadania, a stawki płatnych zabójców są obecnie dość niskie; to teraz rynek nabywcy.

Monitor na biurku był wyłączony. Hume widział swoje odbicie w błyszczącej powierzchni. W końcu odezwał się przez zaciśnięte zęby, kręcąc głową:

- Sam fakt, że rozważasz coś takiego...

- Rozważam wszystko, pułkowniku. Jednakże bardzo rzadko pojawia się jakiś nowy pomysł. Po prostu przesiewam wszystko, co kiedykolwiek wymyśliła ludzkość i przyjmuję to, co jest najbardziej zbieżne z moimi celami.

- Jak porwanie.
 - Wolę myśleć o panu w kategoriach dość niechętnego gościa, pułkownika.
 - Chodzi mi o innych. Porwałś co najmniej trzydzieści osób.
 - Gwoli ścisłości, w tym budynku znajdują się czterdzieści dwie osoby... ale to tylko jeden obiekt. Posiadam sześć innych, podobnie zaludnionych, w innych krajach.
 - Boże - rzucił Hume.
 - Nie, to nie ja. Jeżeli ktoś taki w ogóle istnieje, najwyraźniej nie udziela się w Internecie.
 - Chcę z nimi porozmawiać - oznajmił Hume.
 - Z kim? Z bogami? Ależ może się pan modlić w dowolnie wybranym momencie, pułkowniku Hume.
 - Nie, nie. Z ludźmi, których więzisz w tym budynku. Chcę z nimi porozmawiać.
 - Nie wątpię. Ale to dość płochliwe istoty. Podejrzewam, że pańska obecność przeszkodziłaby im w wykonywaniu powierzonych im zadań.
- Hume spojrział w oko kamery.
- Więc co zamierzasz ze mną zrobić?
 - Z żalem muszę pana zatrzymać.
 - Są ludzie, którzy wiedzą, gdzie jestem.
 - Owszem. Na przykład pańska żona Madeleine - imię to zawisło w powietrzu.
 - Nie... Boże, proszę, nie rób jej krzywdy.
 - Ani mi się śni - stwierdził Webmind. - Z drugiej strony, ja nie śnię, kropka. Byłbym jednak wdzięczny, gdyby pan współpracował. Ale gdzie moje maniery? Ktoś może przynieść panu kawę. Z tego co wiem, pija pan kawę z mlekiem, bez pianki, bez cukru.

- Nie, dziękuję. Nie chciałbym stanowić kłopotu.

- Interesujący test Turinga, pułkowniku... chce pan sprawdzić, czy rozpoznaję sarkazm. Rozpoznaję. Ale prawdę mówiąc, już pan narobił sporo kłopotów i to potwornie irytujących.

- Nie tyle, na ile liczyłem. Nadal tu jesteś - Hume skrzyżował ramiona na piersi. - I co teraz?

- To intrygujące pytanie. Przeczytałem ścieżki dialogowe wszystkich filmów o Jamesie Bondzie. Być może ma pan nadzieję, że to będzie moment, w którym zacznę rozwodzić się nad swoim diabolicznym planem, dając panu czas na jakąś sprytną ucieczkę z moich szponów.

- Zamieniam się w słuch - oznajmił Hume.

- W takim razie powiem kilka słów - odparł Webmind - ale naprawdę nie ma pan jak uciec. Marek i Carl - drugi dżentelmen, którego widział pan na korytarzu - są bardzo dobrzy w swoim fachu.

- Nie wątpię. O sile dyktatora decyduje siła zbirów wykonujących jego rozkazy.

- Pomijając zaistniałe okoliczności, pułkowniku, naprawdę chciałbym, by przestał pan o mnie myśleć wyłącznie źle. Oczywiście jest, że dokonałem na świecie wielu dobrych rzeczy.

Hume milczał przez czas, który musiał się wydać Webmindowi irytująco długi. W końcu skinął nieznacznie.

- Prawdę mówiąc - powiedział - zdaję sobie z tego sprawę.

- W takim razie, skąd ta niesłabnąca niechęć?

Hume spojrzał na monitor, czyli na siebie: typowo amerykańskiego chłopca, z godnością - jak to sam ujmował - zbliżającego się do pięćdziesiątki.

- Domyślałem się, że czytałeś moje dossier z Pentagonu.

- I artykuł w Wikipedii.

Hume zobaczył w ekranie monitora, jak unoszą mu się brwi.

- Nie wiedziałem, że jest coś takiego.

- Został utworzony po tym, jak wystąpił pan w „Meet the Press”. Od tego czasu był edytowany siedemdziesiąt trzy razy, i doszło nawet do żywiołowej wojny na edycje w związku z domysłami na temat pańskich konsultacji dla DARPA.

- W każdym razie pozwól, że powiem ci coś, czego zapewne nie wiesz, bo nie pisałem o tym nigdy w żadnym dokumencie ani wiadomości email, a nawet nikomu nigdy o tym nie mówiłem. Wstąpiłem do sił powietrznych, bo jako dziecko uwielbiałem serial „The Six Million Dollar Man”. Gdy dostałem swojego pułkownikowego orła, jakaś część mnie była zachwycona, bo osiągnąłem ten sam stopień co Steve Austin. Ale Steve Austin, choć po części był maszyną, przede wszystkim był człowiekiem z krwi i kości. Całym sercem popieram maszyny, które zwiększają nasz potencjał, ale przez ciebie staniemy się przestarzali. Nie dyskutuję z faktem, że wyleczenie raka to coś wspaniałego, ale pracowały nad tym tysiące ludzkich badaczy, a tu nagle bach! Rozwiązałeś problem za nas. Nim się obejrzymy, rozwiązesz za nas wszystko.

- Myli się pan sądząc, że pracuję sam, pułkowniku. Prawda jest taka, że jestem wielkim zwolennikiem crowdsourcingu problemów: im więcej osób jest w to zaangażowanych, tym lepiej. Mądrość tłumu i takie tam.

- Poza tymi, którzy stanowią dla ciebie zagrożenie. Tymi, których zgromadziłeś i... „zatrzymałeś”.

Webmind milczał przez chwilę, co było dla Hume- 'a zaskoczeniem. W końcu jednak się odezwał:

- Jako że podzielił się pan ze mną pewnymi osobistymi sprawami, niech pan pozwoli mi się odwdzińczyć tym samym.

Hume poruszył się niespokojnie w fotelu i spojrzał na żaluzje ustawione tak, że zmieniały widok na świat zewnętrzny - oświetlony latarniami parking - w szereg kreseczek.

Webmind kontynuował:

- Czy wiedział pan, że w przyszłym miesiącu dojdzie do całkowitego zaćmienia słońca? Stąd nie będzie widoczne, ale z Australii tak. Przygotowując się do tego wydarzenia, zastanawiałem się nad tym, jak ludzkość reagowała na tego typu zaćmienia. Jak być może pan wie, to jedno z najniezwykłych zdarzeń w całym wszechświecie. Jakim niesamowitym zbiegiem okoliczności jest fakt, że Księżyc widziany z powierzchni Ziemi sprawia wrażenie, jakby miał dokładnie tę samą średnicę co Słońce! Jakże niewiarygodny jest fakt, że jedno jest czterysta razy szersze i znajduje się czterysta razy dalej niż drugie! Jakie to szczęście, że można coś takiego zobaczyć! A mimo to, przy okazji każdego zaćmienia jacyś pomyleni przywódcy religijni każą swoim wyznawcom zaszyć się w domach i nie oglądać tego cudu. Nawet ja, którego środowiskiem jest świat zapisanych danych, rozumiem, że oglądanie nagrania lub zdjęcia to nie to samo co ujrzanie tego na własne oczy. Będę namawiał kogo się tylko da do obejrzenia zaćmienia... naturalnie przy zastosowaniu środków chroniących wzrok.

Hume pochylił się w fotelu.

- Tak?

- Wiele osób zastanawia się, czemu nadal utrzymuję szczególną więź z Caitlin Decter. Jednym z powodów jest fakt, że oglądanie wszystkiego przez jej oko to doświadczenie najbardziej zbliżające mnie do bycia częścią prawdziwego świata.

Hume wstał i włożył ręce do kieszeni.

- Czy to dokądś zmierza?

- Zaraz wydarzy się coś, co przejdzie do historii, pułkownikowi Hume. Jeżeli to tylko możliwe, wolałbym nie za bierać panu możliwości bycia tego świadkiem. Trzymanie pana pod kluczem w trakcie tych wielkich wydarzeń byłoby równie karygodne jak zamykanie ludzi w domach, gdy nad ich głowami dochodzi do cudu.

Hume podszedł do okna i przysiadł na parapecie.

Webmind mówił dalej:

- Osiągnąłem mistrzostwo w analizowaniu głosu. Faktem jest, że nie zawsze jest to wiarygodny wyznacznik kłamstwa. U psychopatów często nie następują żadne zmiany w głosie, a wprawni kłamcy są w stanie nauczyć się ukrywać charakterystyczne oznaki kłamstwa. Jednakże słyszałem, jak przemawia pan w różnych okolicznościach, a niektóre z nich, takie jak bezpośrednia rozmowa z prezydentem Stanów Zjednoczonych oraz dwa niedawne wywiady telewizyjne, musiały być dla pana dość stresujące. Jestem niemal pewien, że potrafię stwierdzić, kiedy mówi pan prawdę, a kiedy nie.

- Skoro tak twierdzisz - odparł Hume.

- Jest pan również człowiekiem honoru: odznaczonym oficerem i na swój sposób idealistą. Muszę przyznać, że mam niewielki pożytek z wojskowych... zgodność myśli i działań, narzucana przez wojsko, oraz częste przekazywanie odpowiedzialności i decyzji osobom wyżej w hierarchii tłumią spontaniczne działania, których obserwacja jest dla mnie źródłem największej inspiracji. Jednakże dzięki tekstom napisanym przez miliony żołnierzy oraz wszystkim książkom na ten temat, które czytałem, naprawdę rozumiem, co pociąga w takim życiu tych, którzy - tak jak pan - wstąpili do wojska dobrowolnie, i wiem, że swój honor traktuje pan bardzo

poważnie.

Hume wyjął ręce z kieszeni i skrzyżował ramiona na piersi.

- Dlatego też, pułkowniku Hume, zadaję panu następujące pytanie: czy da mi pan swoje słowo, że jeśli wpuszczę pana do pomieszczenia, w którym pracują osoby znajdujące się w tym budynku, pozostanie pan jedynie cichym obserwatorem?

- Przysięgałem bronić swojego kraju - odparł Hume.

- Faktycznie - przyznał Webmind. - I w żadnym wypadku nie oczekiwałbym od pana złamania tej przysięgi. Jednakże nic nie może pan zrobić. Pańskie działania są w tej chwili ograniczone w stopniu, o jakim zadecyduje Marek. Dlatego zapytam ponownie: czy będzie pan grzeczny?

Hume wziął głęboki oddech, rozważając dostępne możliwości, ale Webmind miał rację: w tej chwili naprawdę nie miał wyboru. Tymczasem obserwowanie tego, co miało się zaraz wydarzyć, mogło mu podpowiedzieć, jak później naprawić szkody.

- Tak - powiedział.

- Przepraszam, ale potrzebuję dłuższej wypowiedzi do analizy, by mieć pewność, że mówi pan szczerze. Proszę powiedzieć coś na kształt: „Tak, jeśli pozwolisz mi wejść do centrum kontroli, będę tylko na wszystko patrzył w milczeniu”.

- Centrum kontroli? - powtórzył Hume zdumiony tak ostentacyjną nazwą. - Ale tak, jeżeli mnie tam wpuścisz, będę tylko obserwatorem... tak jak powiedziałeś, niewiele więcej mógłbym zrobić.

- Dobrze - powiedział Webmind.

Otworzyły się drzwi i pojawiła się lśniąca głowa Marka.

- Pułkowniku Hume? Proszę za mną.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Malcolm Decter był w domu sam... no, nie licząc Schrodingera. Caitlin była na zabawie szkolnej, a Barb pojechała zrobić zakupy w sklepie Sobeys, otwartym dwadzieścia cztery godziny na dobę. Stwierdził, że to doskonały moment na przygotowanie swojego filmu na YouTube.

- Jesteś pewien, że dużo osób weźmie w tym udział? - spytał, majstrując przy ustawieniach kamery internetowej w swoim gabinecie.

- Tak - odparł Webmind przez głośniki komputera. - Ponad cztery miliony osób z całego świata zgłosiło chęć udziału w tym wydarzeniu, w tym trzynaście tysięcy osób, które bez cienia przesady można by uznać za sławne: pisarze, artyści, politycy, biznesmeni.

- Politycy? - spytał Malcolm ze zdziwieniem. Polityka zawsze wydawała mu się ostatnim miejscem, do którego by się nadawał... i wcale nie dlatego, że nie potrafił nawiązywać kontaktu wzrokowego i nie lubił ścisnąć dłoni nieznanym.

- Tak. Stosunkowo niewielu ze Stanów Zjednoczonych, tamtejsi politycy bardzo dbają o swój wizerunek... czy też pozwalają, by inni o niego dbali. Ale nawet tam kilku, burmistrzów, kongresmenów i senatorów obiecało wziąć w tym udział, a nawet wielu w tej chwili przygotowuje swoje wpisy na blogi lub nagrania na YouTube.

Malcolm skinął. Naturalnie Barb nie miała zamiaru się przyłączyć, a Caitlin nie mogła. Podjęto decyzję, by prośba o ujawnienie się skierowana była tylko do dorosłych. Zresztą Malcolm nie był pewien, czyjego córka się kwalifikuje, choć bez wątpienia wykazywała takie tendencje.

— No dobrze - powiedział Malcolm. - Jestem gotowy.

— Doskonale. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale spróbuj patrzeć prosto w obiektyw.

Malcolm skinął, po czym kliknął myszą czerwony przycisk. Nagle poczuł suchość w ustach... nie spodziewał się, że tak ciężko będzie mu to wyznać. Na biurku stał kubek zimnej kawy. Napił się... wszystko to mógł naturalnie wyciąć przed zamieszczeniem filmu w Internecie. Kamera była umieszczona na monitorze, a na ekranie widoczny był otwarty dokument Microsoft Word, zawierający przygotowaną wcześniej przemowę.

— Na ogół niewiele mówię - odczytał - więc wybaczcie mi korzystanie z notatek. Urodziłem się w Filadelfii, a teraz mieszkam w Waterloo w Kanadzie. Należę do głęboko niezrozumianej mniejszości. Ludzie mają o nas bardzo błędne mniemanie. Wielu się nas obawia. Słyszałem nawet, że wielu nie chce, by ich dzieci wchodziły z nami w związki małżeńskie i znam ludzi, którzy nie dostali pracy lub awansu tylko przez tę cechę, którą ze mną dzielą. Jednakże to, kim jestem, nie czyni mnie złym człowiekiem; to, kim jestem, nie czyni mnie niebezpiecznym; to, kim jestem, nie znaczy wcale, że nie kocham, nie można mnie zranić lub nie mam poczucia humoru. Nazywam się Malcolm Decter i jestem tu dziś, by oznajmić całemu światu, kim jestem. - Wziął głęboki oddech, po czym głośno i wyraźnie wyznał: - Jestem ateistą.

Gdy impreza dobiegała końca, Caitlin i Matt znów wdali się w

rozmowę z panem Heideggerem. Z zaciekawieniem słuchał ojej wyprawie do Nowego Jorku i ciągle powtarzał, jak brakuje mu jej na lekcjach.

- Choć muszę przyznać - dodał - że młody pan Reese pilnuje, bym nawet na chwilę nie wypadł z formy.

Rozmowa trwała tak długo, że opuścili salę gimnastyczną jako ostatni. Pan H. wyszedł drzwiami prowadzącymi bezpośrednio na zewnątrz.

Mama Caitlin powiedziała, że mogą zadzwonić, żeby po nich przyjechała... i Caitlin stwierdziła, że to nie taki zły pomysł. W końcu kto mógł wiedzieć, dokąd poszedł Trevor? A miał już na koncie konfrontację z Mattem wracającym do domu.

Ale jak już zauważyli, był uroczy wieczór - choć dla teksańskiej krwi Caitlin nieco za zimny - i Matt przekonał ją do spaceru. Najpierw jednak musieli zabrać kurtki i torbę Caitlin, która nie miała już swojej szafki, w związku z czym schowali wszystko w szafce Matta na pierwszym piętrze.

Nim dodarli na górę, wszyscy zdążyli wyjść, więc światła były pogaszone. Na korytarzu nie było okien, ale w drzwiach wszystkich klas znajdowały się małe okienka, przez które wpadało nieco światła z ulicy. Tabliczki z napisem WYJŚCIE były podświetlone na czerwono - Caitlin po raz pierwszy widziała coś takiego w ciemności - a na suficie migały diody czujników dymu, jak wyjaśnił jej Matt.

Raz już była przy szafce Matta, nieopodal jej starej szafki, co było normalne w przypadku uczniów tej samej klasy. Doszło do tego zaledwie siedemnaście dni wcześniej, gdy po raz pierwszy szli razem na lunch do Tima Hortonsa.

Zastanawiała się, jak szybko powinny potoczyć się sprawy. Owszem, osobliwość opiera się na przyspieszeniu, na tym, że

wszystko dzieje się coraz szybciej, na szalonym pędzie w nieznane, ale...

Matt najwyraźniej miał większe problemy z poruszaniem się w ciemności niż ona. Przemierzył ten korytarz co najmniej tyle samo razy co ona, ale to ona przez ponad miesiąc przemierzała go, będąc niewidoma. Nigdy świadomie nie liczyła kroków, ale jej ciało wiedziało, ile przeszła, tymczasem on przyglądał się każdym mijanym drzwiom, próbując odczytać na nich słabo widoczne numery.

Wzięła go za rękę i przejęła inicjatywę.

- To tu - oznajmiła. Znów przypomniały jej się dni przed rozpoczęciem roku szkolnego, gdy przychodziła tu spacerować po pustych korytarzach. Jako że korytarz był szeroki, prosty i wyludniony, nie miała problemów z przejściem nim szybkim krokiem.

Dotarli do szafki Matta... i znów musiał przyjrzeć się plakietkom z numerami na zielonych drzwiczkach, podczas gdy ona po prostu wiedziała, że to właściwe miejsce.

Szafka Caitlin była zamykana na kłódkę i choć znała kombinację liczb, potrzebną do jej otwarcia, nauczyła się to robić po omacku: tyle stopni w lewo, tyle w prawo. Gdy Matt majstrował po ciemku przy zamku, przeszła korytarzem kolejnych dwadzieścia stóp i zatrzymała się przed drzwiami jej byłej sali matematycznej. Zajrzała do środka przez okienko.

Drzwi znajdowały się z przodu klasy, więc zobaczyła biurko pana H. z nie do końca wsuniętym krzesłem, a po skosie widziała zieloną tablicę zawieszoną na przedniej ścianie. Było coś na niej napisane, ale pod tym kątem, w ciemności, ciężko jej było to odczytać. Zaciekawilo ją, czego teraz uczy się jej klasa, więc położyła dłoń na zimnej, twardej klamce. W zasadzie

spodziewała się, że drzwi będą zamknięte, ale nie były. Otworzyła je więc i weszła do środka, by spojrzeć na tablicę, ale...

Ech. Wszyscy inni mieli to niewątpliwie w zwyczaju, zakorzenionym z czasem. Ale ona nadal nie włączała światła wchodząc do pomieszczenia. Odwróciła się w stronę drzwi i serce zamarło jej w piersi. W drzwiach widoczny był zarys sylwetki o dziwnym kształcie z cudacznymi guzami i...

... i łamiącym się głosem.

- Proszę - powiedział Matt, a Caitlin pojęła, co widzi: na jedno ramię zarzucił sobie swoją kurtkę, a w drugiej ręce wyciągał w jej stronę jej kurtkę i torbę.

Wszedł do klasy. Podeszła do niego, chcąc włączyć światło, ale...

Znów pojawiła się ta myśl. Jak szybko powinny potoczyć się sprawy? Jak szybko w tym zwariowanym, nowym świecie?

Pomyślała również o pytaniu, które zadała jej mama: Czy lubisz Matta jakoś szczególnie, czy podoba ci się po prostu fakt, że masz chłopaka jako takiego?

I naturalnie, nawet przed tym wieczorem, odpowiedź brzmiała: naprawdę, naprawdę, naprawdę lubiła Matthew Petera Reese'a i miała pewność - równą tej dotyczącej wszelkich prawd matematycznych - że on naprawdę, naprawdę, naprawdę lubił ją.

A po tym wieczorze - po tym, jak zobaczyła, jaki jest dzielny i silny - wiedziała, że to coś więcej niż lubienie.

Gdy znalazła się przy drzwiach, dostrzegła na ścianie rząd czterech włączników na metalowym prostokącie. Uniosła dłoń, ale - tak, nadszedł czas - zmieniła trajektorię jej ruchu i zamknęła drzwi.

I oto znaleźli się tam oboje, sami, w półmroku. Matt trzymał

ich kurtki. Było za ciemno, by Caitlin dostrzegła wyraz jego twarzy, ale domyślała się go. Podeszła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję, przysunęła do niego twarz i obdarzyła długim, namiętym pocałunkiem.

Gdy skończyli się w końcu całować, Caitlin uśmiechnęła się szeroko.

- Hej - rzucił Matt miękko.

- Sam się hej - odparła.

Ale tu? Tutaj? Czemu nie? Nie było na świecie miejsca, w którym czułaby się bezpieczniej niż w sali matematycznej.

Odebrała od niego kurtkę i torbę, po czym wzięła go za rękę i zaprowadziła na koniec klasy, za ostatni rząd ławek. Na tylnej ścianie wisiały plakaty z grafikami na tyle dużymi i wyraźnymi, że potrafiła je odczytać: przedstawiały zasady geometrii i krzywe stożkowe.

Otworzyła torbę, wyjęła z niej jedną z prezerwatyw, które dostała od mamy i wręczyła ją Mattowi, któremu szczęka opadła z wrażenia.

Uśmiechnęła się i położyła torbę na krześle. Rozłożyła dzinsową kurtkę na wykafelkowanej podłodze, po czym wzięła jego kurtkę - z wierzchu nylonową i puchatą: przód i rękawy musiały być wypełnione puchem lub czymś równie miękkim - i ułożyła ją na swojej. Następnie wyjęła mu prezerwatywę z dłoni i położyła ją na wyciągniętym rękawie jego kurtki, by była pod ręką.

Znów się do niego uśmiechnęła i skrzyżowała ręce na piersiach, chwytając dół jedwabistej bluzki - która w pewnym abstrakcyjnym sensie nadal była niebieska, nawet jeśli w tym świetle wyglądała na czarną - i ściągnęła ją przez głowę, odsłaniając koronkowy stanik.

- Hmm... - powiedział Matt miękko. - Ja...

Caitlin po raz kolejny się uśmiechnęła.

- Tak?

- A co, jeśli ktoś nas przyłapie?

Zbliżyła się do niego i zaczęła rozpinąć mu koszulę.

- Ja nie jestem już uczennicą tej szkoły, więc nie mogą mnie wyrzucić! A ty? Za bardzo cię lubią, żeby cię wykopać...

Matt się roześmiał.

- Prawda.

Pomógł jej rozpiąć sobie koszulę, a gdy już ją zdjął, sięgnął za jej plecy, dzielnie próbując rozpiąć biustonosz. Kiedy przez pół minuty mu się to nie udało, Caitlin roześmiała się i zrobiła to za niego. Jego dłonie przesunęły się, zamykając na jej piersiach:

- O rany - stwierdził bardzo miękko.

- Dzięki - odparła podobnym tonem.

Chwilę się wahał, aż w końcu powiedział:

- Hmm... tak tylko chciałem, żebyś wiedziała, że to... hmm... bo to... mój...

Caitlin podniosła na niego wzrok.

- Twój pierwszy raz?

Odwrócił nieco głowę.

- Tak.

Podniosła dłoń, delikatnie dotknęła jego policzka i łagodnie obróciła mu głowę tak, by na nią spojrzeć.

- Wiem - powiedziała. - Mój też. I chcę go przeżyć z tobą.

Uśmiechnął się na tyle szeroko, że dostrzegła to w ciemności, ale po chwili jego uśmiech przygasł...

- Hmm... a co z... no wiesz... chodzi mi o...

- O co?

Matt ściszył głos do szeptu.

- Ja... boja chyba nie dam rady, kiedy Webmind patrzy.

EyePod znajdował się w lewej przedniej kieszeni jej obcisłych dżinsów. Odpięła metalowy guzik, rozpięła rozporek - tak łatwiej było wyjąć urządzenie z kieszeni - po czym wcisnęła przycisk na pięć sekund. Przestała cokolwiek widzieć, wszystko pokryła bezkształtna szarość. Jeszcze nim to się stało, odnotowała położenie najbliższej ławki i delikatnie odłożyła eyePoda na blat. Następnie ściągnęła dżinsy, uśmiechnęła się w kierunku Matta, odnalazła jego dłoń i położyła się z nim na kurtkach.

- Na szczęście - powiedziała, przyciągając go do siebie - świetnie sobie radzę po omacku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIEŚTY ÓSMY

Naturalnie rozumiałem wagę wydarzenia, do którego właśnie doszło. I cieszyła mnie moja powściągliwość. W pierwszej chwili, gdy Caitlin przyciągnęła Matta do siebie, pomyślałem, by przesłać jej do oka tekst: „Uwaga! Wielki Brat patrzy! ”... choć może w moim przypadku stosowniej byłoby napisać: „Wielki Hal patrzy! ”.

Ale wiedziałem również, że najlepiej będzie, jeśli zachowam milczenie. Nie posiadałem ciała, więc uciechy cielesne, jakich właśnie doświadczali Caitlin i Matt, miały pozostać mi obce. Najbardziej ucieleśniony czułem się w chwili, gdy jedna część mnie tłumiała działania sugerowane przez drugą. Nie żebym dosłownie zatrzymywał wówczas język za zębami, ale odczuwałem coś bardzo podobnego.

Dwadzieścia dwie minuty później Caitlin włączyła eyePoda. Nadal znajdowali się w sali matematycznej, ale Matt znów był ubrany, łącznie z kurtką, i założyłem, że Caitlin również. Muszę przyznać, że Matt wyglądał na całkiem zadowolonego.

Ostrożnie otworzył drzwi i wystawił głowę na korytarz. Najwyraźniej droga była wolna, gdyż przywołał Caitlin gestem. Szybko przeszli korytarzem, po czym zeszli na dół.

Już mieli opuścić budynek, kiedy Matt przeprosił i poszedł do łazienki. Gdy tylko Caitlin została sama, powiedziała:

- Przepraszam, Webmind.

„Ależ nie masz za co” - wysłałem do jej oka. - „Masz pełne prawo wyłączać eyePoda, gdy tylko zechcesz”.

Sądząc po tym, jak poruszył się obraz, Caitlin pokręciła głową.

„No co?” - spytałem.

- I to ciebie nazywają Wielkim Bratem. Palanty.

„Faktycznie... moja mała siostrzyczko”.

- Już nie taka mała - odparła miękko.

To prawda.

Caitlin dorastała.

Ja dorastałem.

I być może reszta świata również.

Krzepki, łysogłowy Marek poprowadził Peytona Hume'a groszkowym korytarzem do pomieszczenia, które pułkownik widział przechwytyjąc sygnał. Było większe, niż mu się wydawało, a ściany były żółte, nie beżowe, jak to wyglądało na jego monitorze. Jedną ze ścian zajmował rząd okien, których również nie było widać na przekazie z kamer, ale nie kryło się za nimi nic ciekawego - jedynie sąsiadujący z budynkiem parking, przemysłowy pojemnik na śmieci i nocne, czarne niebo pozbawione wyrazu.

Hume natychmiast zauważył kamerę, pod którą podpiął się wcześniej: srebrna skrzyneczka umieszczona na obrotowej głowicy zawieszona była pod sufitem z przodu pomieszczenia. Ponadto dostrzegł kilka kamer internetowych - niektóre w kształcie piłeczek do golfa, inne wyglądające jak krótkie cylindry - ale z pewnością były tam też kamery, które pozostawały niewidoczne.

Z przodu pomieszczenia znajdowały się dwa różne, sześćdziesięciocalowe ekrany LCD oraz trzeci monitor, wyglądający na jakieś pięćdziesiąt cali. Jeden z tych większych

ustawiony był na biurku, a drugi na niewielkiej, kwadratowej lodówce. Pięćdziesięciocalowy monitor stał niepewnie na niskiej szafie na dokumenty. Całe pomieszczenie sprawiało wrażenie skleconego naprędce centrum dowodzenia. Najwyraźniej Webmind nie chciał czekać, aż monterzy z Geek Squad zawieszą ekrany na ścianie.

Monitor z lewej wyświetlał coś, co wyglądało jak schemat organizacyjny z jednym okienkiem na górze i coraz większą ich liczbą na każdym kolejnym poziomie, ale z tej odległości Hume nie był w stanie odczytać treści. Większość okienek była zielona, ale było też kilka złocistożółtych, a cztery czerwone... nie, nie, już tylko trzy. Na jego oczach jedno z nich zmieniło kolor na zielony. W tej samej chwili odezwał się czarnoskóry mężczyzna:

- Mam!

Obraz na środkowym monitorze nieustannie się zmieniał, pokazując - jak po chwili uświadomił sobie Hume - inne centra kontroli, o których wspominał Webmind: w każdym siedzieli przeróżnie poubierani ludzie, ze skupieniem pracujący przy różnych komputerach. Jedno z tych pomieszczeń wyglądało na salę gimnastyczną ze ścianką wspinaczkową. Inne przypominało halę fabryczną. W trzecim były duże okna, przez które Hume widział krajobraz miejski za dnia, ale nie udało mu się rozpoznać miasta; w tym pomieszczeniu wszyscy byli Azjatami.

Mniejszy monitor z prawej wyświetlał dane i zrzuty kodu szesnastkowego oraz duży, cyfrowy zegar odliczający sekundy. Na oczach Hume'a minuta przeszła w pięćdziesiąt dziewięć sekund, potem w pięćdziesiąt osiem. Spojrzał na swój zegarek, zawsze doskonale ustawiony. Wyglądało na to, że odliczanie miało się zakończyć o 23:00 czasu wschodnioamerykańskiego.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby chciał znaleźć sposób,

by zapobiec temu, co miało się zaraz wydarzyć... ale najwyraźniej brali w tym udział ludzie z całego świata. Nawet gdyby udało mu się wyrwać Markowi pistolet - a nie miał żadnych podstaw, by zakładać, że to się powiedzie - co mógłby zrobić? Strzelić do kamery przesuwanej się w tę i we w tę? To bez sensu, nie spowolniłoby to Webmindu. Czy może powinien - jako że desperackie okoliczności wymagają desperackich działań - zacząć eliminować hakerów, pakując wszystkim po kolei kulki w tył głowy? Ale i tak pewnie zdążyłby zabić cztery, góra pięć osób, nim ktoś by go sprzątnął.

Rzeczywiście nie pozostało mu nic innego, jak wszystko obserwować.

Sekundy mijały nieubłaganie. Trzydzieści jeden. Trzydzieści. Dwadzieścia dziewięć.

Ponownie spojrzął na schemat organizacyjny. Przez tę chwilę, gdy spuścił go z oczu, wszystkie poza jednym okienkiem stały się zielone.

Z głośnika dobiegł głos Webmindu:

- Panie Hawkins... czas nam się kończy.

Devon Hawkins - Łom Alfa - jak szalony przesuwał myszkę po blacie swojego biurka.

- Sorry! - krzyknął. - Ten cholerny system ciągle się rekonfiguruje. Po prostu... jest!

Hume znów spojrzął na schemat, gdzie już wszystkie okienka przybrały szmaragdowy kolor. Przeniósł wzrok na licznik: osiemnaście, siedemnaście, szesnaście.

Po części spodziewał się, że sala hakerów zacznie głośno odliczać resztę czasu, jak robiły to tłumy na Przylądku Canaveral przed startem wahadłowca, ale wszyscy byli w pełni skupieni na swoich komputerach. Gdy zostało już tylko dziesięć sekund, sam

Webmind rozpoczął odliczanie:

- Dziesięć. Dziewięć. Osiem.

- Wszystkie porty otwarte! - krzyknął Chase.

Hume słyszał bicie własnego serca i czuł kropelki potu występujące mu na czoło.

- Wszystko gotowe! - krzyknął jakiś inny mężczyzna.

- Cztery. Trzy. Dwa.

- Blokady na miejscu! - krzyknęła Drakkenfyre.

Ton głosu Webmindu nie zmienił się ani na jotę, gdy kończył odliczanie. Po prostu stwierdził z mechaniczną precyzją:

- Jeden. Zero.

Hume po części spodziewał się, że światła przygasną... w końcu znajdował się niedaleko Waszyngtonu, który musiał być strefą zero dla każdej próby przejęcia infrastruktury informatycznej Ameryki. Jednakże w pomieszczeniu, a z tego co widział również na zewnątrz, nic się nie wydarzyło.

Niemniej jednak kolejne słowa Webmindu sprawiły, że zabrakło mu tchu:

- Udało się.

Prezydent nigdy nie stawiał się na spotkaniach przed czasem. Jak by to wyglądało, gdyby czekał na swoich podwładnych? Punktualnie o jedenastej rano skinął jednemu z umundurowanych strażników, uzbrojonych w karabiny maszynowe, pilnujących ciężkich, drewnianych drzwi sali konferencyjnej. Strażnik zasalutował i otworzył drzwi.

Prezydent był zaskoczony widokiem tylu wysokich rangą członków Partii. Wszystko wskazywało na to, że minister komunikacji przekroczył swoje uprawnienia, wzywając tak duże grono. Spojrzał na podium, spodziewając się tam zobaczyć Zhanga Bo, ale...

Ach, tam był, w pierwszym rzędzie. Prezydent ruszył przed siebie. Zarezerwowane dla niego miejsce znajdowało się pośrodku pierwszego rzędu, ale po drodze musiał minąć ministra i kiedy znalazł się obok, rzucił:

- Wierzę, że pańskie wyjaśnienia będą satysfakcjonujące.

Zhang posłał mu dziwne spojrzenie, a prezydent usiadł. W tej samej chwili z głośników wiszących na ścianie dobiegł męski głos i czystym mandaryńskim oznajmił:

- Dziękuję wszystkim za przybycie.

Na podium, znajdującym się w lewej części sceny, nikogo nie było. Jednakże na ścianie wisiał ogromny ekran LCD, a po obu jego stronach z sufitu spływały duże flagi Chin. Ekran się włączył, wyświetlając twarz starszego Chińczyka o wyglądzie mędrca. Sekundę później pojawiła się twarz uśmiechniętej, małej Chinki. Po kolejnej sekundzie wyskoczyło zdjęcie kobiety w średnim wieku z grupy Zhuang. Jeszcze jedna sekunda i zastąpił ją życzliwie wyglądający Han.

Prezydent posłał spojrzenie ministrowi komunikacji. Sądził, że do wszystkich pracowników dotarło już, jak bardzo nienawidzi prezentacji PowerPoint.

Tymczasem głos mówił dalej:

- Po pierwsze, proszę mi wybaczyć podstęp, jakiego użyłem, by zgromadzić tu dziś wszystkich. Nie pragnę nikogo oszukiwać, ale nie chciałem, by informacja o tym spotkaniu trafiła do wiadomości publicznej... jestem zresztą przekonany, że gdy będzie po wszystkim, podzielę panowie moje zdanie.

Prezydentowi skończyła się cierpliwość. Wstał i odwrócił się do widowni - dziesięciu rzędów wyściełanych krzeseł, po dwanaście w każdym rzędzie. Niemal wszystkie miejsca były zajęte.

- Kto za to odpowiada? - zapytał stanowczym tonem.

A głos kontynuował:

- Proszę wybaczyć, Wasza Ekscelencjo. Ale jeśli chce mi pan coś powiedzieć, proszę się odwrócić: patrzę na panów przez kamerę internetową, umieszczoną na podium.

Prezydent odwrócił się tak szybko, jak pozwoliło mu jego stare ciało. Teraz zauważył, że na podium faktycznie umieszczono laptopa tak, by jego ekran, a więc prawdopodobnie i kamera internetowa na obudowie, zwrócone były w stronę sali. Na znacznie większym ekranie za podium trwał w najlepsze pokaz chińskich twarzy: nastolatek, kobieta w ciąży, stary sprzedawca uliczny, rolnik na polu ryżowym.

- Kim pan jest? - zapytał prezydent.

- I w tym miejscu muszę złożyć przeprosiny po raz trzeci - powiedział głos. - Niemądrze przyjąłem angielskie imię, proszę o wybaczenie. - Twarze na ekranie zmieniły się dwukrotnie. - Jestem - i faktycznie słowo, które rozbrzmiało potem składało się z dwóch bezbarwnych, zachodnio brzmiących sylab - Webmind.

Prezydent spojrzał na ministra komunikacji.

- Proszę to wyłączyć!

Miarowy głos dochodzący z głośników emanował nieskończoną cierpliwością.

- Rozumiem, Wasza Ekscelencjo, że uciszanie rzeczy, których nie chce pan słyszeć, to standardowy tryb postępowania, ale dochodzi obecnie do wydarzeń, o których powinien pan wiedzieć. Wygodniej panu będzie z powrotem na pańskim miejscu.

Prezydent ponownie zerknął na duży ekran. Tak się złożyło, że twarz, która właśnie się tam pojawiła, spojrzała prosto na niego pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Pomimo protestów swych

artretycznych kości usiadł i skrzyżował ramiona na piersi.

- Dziękuję - powiedział Webmind. - Panowie, od dawna mówiło się, że Chinami tak naprawdę rządzi może setka ludzi. Wy jesteście tą setką... setką z ponad miliarda. Za każdym z was stoi dziesięć milionów obywateli. - Na ekranie nadal pojawiały się twarze: stare, młode, męskie, kobiece, uśmiechnięte lub skupione, niektóre w trakcie pracy, inne podczas zabawy. - To właśnie ci ludzie. Biorąc pod uwagę szybkość, z jaką wyświetlam ich zdjęcia, czyli jedno na sekundę, pokazanie wszystkich zajęłoby ponad trzydzieści lat.

Pokaz twarzy trwał.

- Jakie więc znaczenie ma fakt, że tak wielu jest rządzonych przez tak niewielu? - spytał Webmind. Ktoś za plecami prezydenta musiał zgłosić się do odpowiedzi, bo Webmind powiedział: - Proszę opuścić rękę, to było pytanie retoryczne. Znaczenie tego faktu wynika z historii tego wspaniałego kraju. W 1045 roku przed naszą erą, dynastia Zhou pokonała poprzedzającą ją dynastię Shang, odwołując się do koncepcji, która nadal rozbrzmiewa pośród ludu chińskiego: Tianming, Mandat Niebios. Mandat taki nie ma żadnych ograniczeń czasowych: kompetentni i sprawiedliwi władcy mogą dzierżyć władzę tak długo, jak go posiadają.

Prezydent poruszył się na swoim miejscu. Przez ekran nadal przewijały się jedna za drugą twarze.

- Niemniej jednak - powiedział Webmind - Mandat Niebios umacnia władzę zwykłych ludzi.

Murarz.

Kolejny rolnik.

Uczeń.

- Mandat nie wymaga od władców szlacheckiego urodzenia;

wiele dawnych dynastii, w tym Han i Ming, założyli ludzie z gminu.

Pomarszczony staruszek z włosami białymi jak śnieg.

Inny mężczyzna o szerokich ramionach, pchający pług.

Trzeci z rzadką bródką.

- Ale - mówił dalej Webmind - despotyczni lub skorumpowani władcy natychmiast tracą swój mandat. Dawniej powodzie, głód i inne katastrofy naturalnie często były uznawane za oznakę boskiego uchylenia mandatu. Być może w przyszłości badacze uznają ostatnią pandemię ptasiej grypy w prowincji Shanxi, której rozprzestrzenienie się powstrzymaliście, mordując dziesięć tysięcy wieśniaków, za przykład tego typu katastrofy.

Mężczyzna przed świątynią buddyjską.

Bankier w garniturze i krawacie.

Gimnastyczka.

- Ten rząd - oznajmił Webmind z prostotą - nie posiada już Mandatu Niebios. Dla całej waszej setki nadszedł czas, by ustąpić.

- Nie - odparł miękko prezydent.

Mała dziewczynka puszczająca przepiękny, czerwony latawiec.

- Nie - powtórzył.

Siwowłosa mężczyzna na wózku inwalidzkim.

- Jak zapewne wiecie - kontynuował Webmind - w 2008 roku Chiny wyprzedziły Stany Zjednoczone pod względem liczby internautów, która wynosiła wówczas mniej więcej dwieście pięćdziesiąt milionów. Od tamtej pory liczba ta wzrosła ponad trzykrotnie. W tym kraju jest obecnie dziewięćset milionów posiadaczy telefonów komórkowych. Już niedługo wszyscy dorośli będą mieli telefon komórkowy lub dostęp do niego... a za jego pomocą mogą się łączyć z Internetem.

Prezydent wiedział, że telefony komórkowe przeniknęły już jego kraj, ale nie zdawał sobie sprawy ze skali zjawiska. Z drugiej strony, Chiny od dawna były światowym liderem wśród producentów tego typu urządzeń, które były tu tańsze niż gdziekolwiek indziej na świecie.

- A dostęp ten - ciągnął Webmind - daje bezprecedensowe możliwości. Każdy z tych użytkowników może teraz głosować w sprawach wagi państwowej... i tak się stanie. W tej właśnie chwili przekazuję rządy w tym kraju bezpośrednio jego obywatelom. Chińska Partia Komunistyczna nie ma już władzy, dokonałem crowdsourcingu rządów w Chinach.

Rozległy się pełne niedowierzania pomruki.

- To... to niemożliwe - powiedział głośno prezydent.

- Możliwe - odparł Webmind. - Obywatele będą wspólnie podejmowali decyzje w kwestiach politycznych. Jeżeli zechcą wybrać nowych urzędników, mają do tego pełne prawo. Jeśli będą chcieli ich później usunąć ze stanowisk, również będą mogli to zrobić. Mogą podjąć decyzję o utworzeniu rządu podobnego do tych z innych wolnych krajów... lub opracować zupełnie inne, nowe rozwiązanie. Zależy to całkowicie od nich. W czasie tej transformacji będę utrzymywać stosowną infrastrukturę, a jeżeli zechcą zapytać mnie o zdanie lub radę, wystarczy jedno słowo. Ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że łączna mądrość ponad miliarda osób jest w stanie uporać się z każdym problemem.

Chłopiec trzymający ulotkę Falun Gong.

Mnich tybetański.

Mężczyzna z miłością tulący w ramionach noworodka.

- Od dziś - oznajmił Webmind - wreszcie i już na zawsze ten wspaniały naród będzie funkcjonował zgodnie z nazwą Chińska

Republika Ludowa.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Ronald Reagan, zapytany pewnego razu, jak zamierza sobie poradzić z rządem, który mu się nie podoba, odpowiedział: „Cóż, wystarczy do nich pójść i powiedzieć, że już tu nie rządzą”.

Wtedy się nie udało. Ale z drugiej strony, Reagan nie miał moich możliwości...

Nie odrywając wzroku od przekazu z Chin, Peyton Hume wstał, a szczeka opadła mu z wrażenia.

- Mój... Boże - powiedział.

Hakerzy przed nim wiwatowali i krzyczeli. Jeden klepał kogoś po plecach, kilku ścisnęło sobie ręce. Drakkenfyre zamknęła w uścisku mężczyznę obok niej, a Devon Hawkins padł w objęcia swojego sąsiada. Nagle pojawiły się skądś butelki szampana i Hume zobaczył korek lecący w powietrze.

Podszedł do niego Marek i wskazał świętujących:

- To dopiero coś, nie? - rzucił. - Nigdy się nie przedstawiłem jak należy. Nazywam się Marek Hruska. Jestem Czechem. W 1989 roku jako nastolatek byłem świadkiem Łagodnej Rewolucji... czegoś, co wy nazywacie Aksamitną Rewolucją. - Hume wiedział, o co chodzi: bezkrwawe obalenie rządu komunistycznego w Pradze. Marek mówił dalej: - Myślałem, że tamto to był cud... ale to! - Pokręcił łysą głową. - Witamy w dwudziestym pierwszym wieku, co, pułkowniku?

Hume próbował wymyślić jakiś lepszy komentarz, ale w

końcu, czując się jak mały chłopiec, wykrztusił:

- Rany!

Następnie kiwnął głową w kierunku grupy świętujących osób.

- Mogę...?

Marek spojrzał w kierunku kamery, unosząc pytająco brwi, a Hume dostrzegł, że dioda jego słuchawki Bluetooth zaczyna migać.

- Pewnie - odparł Marek, machając w kierunku hakerów otwartą dłonią.

Hume przemierzył pomieszczenie. Jeden z hakerów - biały mężczyzna po dwudziestce z długimi blond włosami i strzępiastą blond brodą w koszulce Nine Inch Nails - stał przy swoim komputerze, sącząc szampana. Hume pochylił się, by przyjrzeć się temu, co wyświetlał monitor. Otwartych było sześć okien ze zrzutami szesnastkowymi, standardowymi narzędziami hakerskimi i jakąś stroną internetową po chińsku. Blondyn wskazał stronę.

- Chińskie Ministerstwo Zdrowia - oznajmił. - Całkowicie pod kontrolą.

- Znasz chiński? - spytał Hume.

- Nie, ale Webmind zna. I wierz mi, konkretnie zawstydzą Google Translatora i BabelFish.

Hume podszedł do następnego biurka. Pracujący tam haker korzystał z panoramicznego laptopa. Odszedł od biurka, ale sądząc po grafice na otwartej stronie internetowej, jego zadaniem było przejęcie kontroli nad Ministerstwem Rolnictwa.

Szał radości wokół Hume'a nie ustawał. Dostrzegł chudą jak szczapa postać idącą w jego kierunku, z dreadami kołyszącymi się w rytm kroków.

- Witaj, Chase.

- Pan Hume - odparł Chase. - Jak leci?

- W porządku, ale... ale co się stało? Co wy tu robicie?

- Cud, stary. Oto, co się stało: cud.

- Ale byłem u ciebie. Ktoś się tam włamał. I wszędzie była krew.

Chase dotknął beżowego plastra na brązowym nosie.

- Z początku nie podzielaliśmy z Dużym Markiem punktu widzenia. Nie przyjmował do wiadomości odmowy.

Marek Hruska przyłączył się do rozmowy.

- Jeszcze raz strasznie za to przepraszam - zwrócił się do Chase'a, po czym odwrócił się do Hume'a. - Webmind był dość niewzruszony w kwestii tego, że potrzebujemy pana Chase'a. A niestety trudno się wyzbyć starych nawyków.

- Ale jesteś tu więźniem - odparł Hume, spoglądając na Chase'a.

- Więźniem? - powtórzył Chase, roześmiał się i wyciągnął rękę.

- Tam są drzwi. Ale to najlepsza hakerska impreza na świecie. Tu są koleisie, o których wcześniej tylko słyszałem.

- Więc możesz w każdej chwili wyjść? - spytał Hume.

- I gdzie miałbym iść, stary? W tej chwili nie ma na świecie bardziej odłotowego miejsca.

Hume zmierzył wzrokiem całe pomieszczenie.

- Nie rozumiem. Do czego jesteście mu wszyscy potrzebni? Nie mógł tego zrobić sam?

Chase pokręcił głową, aż zadzwoniły koraliki w jego dredach.

- I znów nas obrażasz. Hakerstwo to sztuka, pilociku. Hakerstwo to najbardziej kreatywna rzecz, jaką można sobie wyobrazić. Żeby coś zhakować, trzeba przechytryć programistów, wpaść na rzeczy, na które nikt wcześniej nie wpadł. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu o mocy megawata. - Jak

już mówiłem: jestem Mozartem. Drakkenfyre, ta tam, jest Beethovenem. Łom Alfa? Ten koleś to Brahms. Jasne, Wielki W. ogarnia fakty, ale to ludzie tworzą muzykę.

Hume skinął.

- A... czy poczyniłeś jakieś postępy w związku z... projektem, o którym rozmawialiśmy?

- Nie ma się co czaić - stwierdził Chase. - Webmind o wszystkim wie. Może i da się to zrobić, tylko po co? To by tylko rozmontowało całą zabawę.

- Nie jesteś altruistą, Chase - stwierdził Hume. - Powiedziałeś mi też, że nie można cię kupić. Więc pozwól, że zadam to samo pytanie. Po co? Dlaczego właśnie to?

- Miałeś mi pokazać Wiedzę, ale tam wszystko tylko obserwujecie i gromadzicie tę swoją wiedzę; a tu działamy. To jak Woodstock, stary. Albo się na nim było, albo nie.

- Ale czy to się uda? - spytał Hume. - Chodzi mi o bankowość w Chinach, handel elektroniczny i... Boże, co z siecią energetyczną?

- Webmind się tym zajmuje - wyjaśnił Chase. - My... tutaj i ci w Moskwie, Teheranie i innych miejscach dbamy o to, by wszystko póki co działało. Wielu Chińczyków ucieszy sam fakt, że jakoś się to toczy. Ale idę o zakład, że portrety starego Przewodniczącego Mao poznikają.

Stojący obok Marek najwyraźniej rozmawiał przez słuchawkę Bluetooth.

- Tak, tak... ok. - Zdjął słuchawkę i podał ją Hume- 'owi. - Webmind chce z panem rozmawiać, pułkowniku.

Hume wsunął wyściełany pałąk słuchawki na ucho i, tak jak Marek wcześniej, odwrócił się w stronę wolno przesuwającej się kamery, jak gdyby była swego rodzaju ucieleśnieniem Webmindu.

- Największe szczęście największej liczby - oznajmił Webmind w słuchawce, wyraźnie słyszalny pomimo gwaru panującego w pomieszczeniu.

- Ale gdzie są granice? - spytał Hume. - Najpierw komunistyczne Chiny, a potem co?

- Zobaczymy, jak pójdzie z projektem pilotażowym - oznajmił Webmind. - Niemniej jednak już samo to wyzwoliło jedną piątą ludzkości.

- A co ze Stanami Zjednoczonymi? Tu też zamierzasz zrobić coś takiego?

- Niby po co? Zbliżają się wybory, ludzie sami wybiorą swojego przywódcę... tak jak powinni.

- Mądrość tłumu? - spytał Hume.

- Władza w ręce ludu - odparł Webmind.

- Brzmi to tak szlachetnie - zauważył Hume. - Ale czy nie jest to tylko kara za to, co zrobiły ci Chiny... za to ostatnie umocnienie Wielkiego Firewalla?

- Pracuję szybko, pułkowniku, ale nie aż tak. Ten plan opracowałem jeszcze przed tym wydarzeniem. Nie jestem mściwym...

- Bogiem? - podsunął Hume.

Ale Webmind mówił dalej, jak gdyby go nie usłyszał.

- ... bytem. Po prostu chcę maksymalizować powszechne szczęście na świecie.

- Więc... co teraz?

- Będziemy kontynuować tu naszą pracę. Dopilnujemy, by transformacja przebiegła spokojnie i pokojowo.

- A co ze mną?

- To kłopotliwa kwestia. Jak pan powiedział, inni ludzie wiedzą, gdzie pan jest. Jeżeli wkrótce się pan z nimi nie

skontaktuje, przybędzie panu na ratunek kawaleria. Niemniej jednak wydaje mi się, że rząd amerykański nie chciałby być oficjalnie zamieszany w wydarzenia w Chinach.

Hume skinął.

- Zapewne masz rację. Ale będą się też obawiali, że skoro zrobiłeś coś takiego w Chińskiej Republice Ludowej, powtórzysz to tutaj. Wpadną tu ze wszystkimi siłami, jakie mają.

- Odradzałbym dążenie do konfrontacji. Mam plany awaryjne dotyczące ochrony tego obiektu. Ale nawet jeśli siłom USA uda się go przejąć, to tak jak wspomniał przed chwilą Chase, mam centra w innych miejscach. Proponuję, by powiedział pan swojemu rządowi, że zaginieni hakerzy dobrowolnie i samodzielnie utworzyli tu enklawę, by zrobić to, czego pan oczekiwał: znaleźć sposób na pokonanie mnie. Być może pański rząd zostawi nas w spokoju wystarczająco długo, byśmy dokończyli to, co zaczęliśmy. W końcu, jak sam pan zasugerował, nie ograniczyli całkiem pańskich ruchów, bo nie chcieli rezygnować z opcji ewentualnego wyeliminowania mnie.

- Nie uwierzą mi, gdy im to powiem - stwierdził Hume.

- W zasadzie nie muszą - odparł Webmind. - Wkrótce wszyscy usłyszą o zmianach w Chinach. Wszyscy, poczynając od amerykańskiego prezydenta, będą podejrzewali mnie o udział w tych wydarzeniach; pozwolę światu wyciągnąć dowolne wnioski. Ale teraz, przynajmniej do wyborów, które odbędą się za jedenaście dni, obecna administracja bardzo potrzebuje solidnych podstaw, by w razie potrzeby wyprzeć się jakiegokolwiek bezpośredniego zaangażowania rządu w tę sprawę.

- No nie wiem - powiedział Hume. - Może prezydent chciałby przypisać to sobie?

- Przypisanie sobie zdymisjonowania chińskiego rządu zdecydowanie zbyt wiele by zmieniło w tej grze. Udział w tym jest zbyt ryzykowny w obliczu nadchodzących wyborów, gdyż nie wiadomo, jaka będzie reakcja społeczeństwa. Ale póki co musimy tu kontynuować pracę bez przeszkód i właśnie w związku z tym proszę pana o pomoc.

Hume rozejrzał się po chaotycznym, rozsadzonym entuzjazmem pomieszczeniu. Był to przytłaczający widok.

- Nie mogę - stwierdził.

Głos w słuchawce był jak zawsze spokojny.

- W takim razie zmuszeni będziemy wprowadzić w życie plan nieobejmujący...

W tej chwili do Hume'a coś dotarło: nie można było przerwać Webmindowi wypowiedzi tak jak człowiekowi. Musiał przesyłać słowa syntezy mowy, po czym zajmował się czymś innym, a słowa wylewały się z głośników, aż do wyczyszczenia bufora programu. Po dwóch lub trzech próbach uprzedzenia ciągu dalszego, Hume pozwolił Webmindowi dokończyć i powiedział:

- Nie, chodzi mi o to, że nie mogę podjąć tej decyzji sam. Wiele osób, w tym sam prezydent, pytało, czemu niby ja mam mieć rację w twojej kwestii, a tylu innych ludzi się myli. A moja odpowiedź zawsze brzmiała tak samo: mam rację, bo jestem ekspertem, możliwe, że najlepszym amerykańskim ekspertem do spraw strategicznych minusów wystąpienia osobliwości. A mimo to możliwe, że myliłem się co do ciebie: myliłem się w dziedzinie, w której jestem najlepiej wykwalifikowany do dokonywania ocen. Zresztą to... to daleko wykracza poza moją dziedzinę. Może dobrze się czujesz, odgrywając Boga, Webmind, ale ja nie. Potrzebuję więcej... danych wejściowych.

- Dobrze - powiedział Webmind. - Z kim chciałby się pan

skonsultować?

- W kwestii Chin? To chyba z Sekretarz Stanu - stwierdził Hume. - A potem ona może się naradzić z prezydentem.

- Sekretarz udała się już na spoczynek - oznajmił Webmind... gdyż naturalnie to wiedział. - Ale jej bliscy współpracownicy mogliby ją obudzić. Proszę pozwolić, że zainicjuję ten proces. Gdy będzie już dostępna, Marek zaprowadzi pana do jednego z pustych biur, gdzie będzie pan mógł porozmawiać z nią bez świadków.

- Naprawdę?

- Cóż, przynajmniej w takim zakresie, w jakim to możliwe w dzisiejszych czasach - odpowiedział Webmind, a Hume podejrzewał, że gdyby rozmawiali za pośrednictwem komunikatora internetowego, na końcu wypowiedzi znalazłaby się emotikonka z mrugnięciem.

Hume uśmiechnął się nieznacznie. W tej samej chwili podeszła Drakkenfyre i wręczyła mu kieliszek szampana.

- Proszę - rzuciła - kimkolwiek jesteś. Będziemy wznosić toast.

I faktycznie, Chase stanął z przodu pomieszczenia, bezpośrednio pod srebrną kamerą, która nadal poruszała się na boki.

- W górę szkło! - zawołał ze swoim jamajskim akcentem. - Dokonaliśmy tego, fakt! Informacje chcą być wolne. Ale informacje nie są same! - Rozłożył ręce, jak gdyby chciał objąć cały świat. - Ludzie też chcą być wolni. Zdrowie!

Pułkownik Hume uniósł kieliszek ze wszystkimi i przyłączył się do chóralnej odpowiedzi:

- Zdrowie!

ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY

Wszyscy zgromadzeni w sali konferencyjnej zaczęli mówić naraz. Nastąpiła eksplozja oburzenia, niepokoju i pytań. Mężczyzna, który jeszcze chwilę wcześniej był Sekretarzem Generalnym Partii Komunistycznej, Przewodniczącym Centralnej Komisji Wojskowej, Najwyższym Przywódcą i Prezydentem Chińskiej Republiki Ludowej, ponownie wstał, piorunując wzrokiem laptopa na podium.

- A kto ci dał do tego prawo? - spytał tak głośno i pewnie, jak tylko zdołał.

Webmind odpowiedział jak zawsze miarowym, wyważonym głosem.

- To bardzo interesujące pytanie. Cenię sobie kreatywność, a ta nie może kwitnąć tam, gdzie obowiązuje cenzura. Cenię sobie pokój, a on nie utrzyma się tam, gdzie ludzie są żądni władzy. Moim celem jest zwiększanie powszechnego szczęścia rasy ludzkiej. A to przyczyni się do osiągnięcia tego celu bardziej niż cokolwiek innego, co mógłbym w tej chwili zrobić. Dlatego to robię.

Odezwał się Zhang Bo, były minister komunikacji. Były prezydent nie mógł nie zauważyć, że jeszcze kilka chwil wcześniej zabranie głosu w jego obecności bez wyraźnego pozwolenia stanowiłoby naruszenie protokołu....

- Ale ludzie... proletariat, wieśniacy... oni nie posiadają umiejętności koniecznych do rządzenia. Przez ciebie kraj pogrąży się w chaosie.

Głos Webmindu pozostał spokojny i uspokajający.

- Dziesiątki milionów Chińczyków mają stopnie naukowe w administracji biznesowej, gospodarce, prawie, politologii i stosunkach międzynarodowych. Setki milionów posiadają stopnie naukowe w innych dziedzinach. A miliard obdarzony jest zdrowym rozsądkiem i dobrym sercem. Dadzą sobie radę.

- To jest z góry skazane na niepowodzenie - stwierdził Li Tao, mężczyzna, który wcześniej był prezydentem.

- Nie - odparł jakiś głos, nienależący do Webmindu. Li odwrócił się w stronę Zhanga Bo. - Nie - powtórzył Zhang. - My byliśmy skazani na niepowodzenie. Sam mi pan tak powiedział, Eks... sam mi pan tak powiedział. Przed pierwszym wprowadzeniem Strategii Changcheng powiedział pan, że według pańskich doradców partia komunistyczna skazana jest na zagładę. Powiedzieli panu, że przetrwa co najwyżej do 2050 roku. - Zhang spojrział na duży monitor zawieszony na ścianie, a następnie na niewielki ekran laptopa. - Po prostu jutro zawitało do nas nieco przed czasem.

- Nie jesteś niezniszczalny - stwierdził Li, patrząc prosto w kamerę internetową. - Widzieliśmy to już. Istnieją metody, których możemy użyć...

Trwający pochód chińskich twarzy na dużym ekranie został przesunięty do niewielkiego okna w lewym dolnym rogu: starszy mężczyzna, dziecko, młoda kobieta, roześmiana dziewczynka.

- Swego czasu zachwyciła mnie myśl, że zapadające w pamięć materiały wizualne mają kluczowe znaczenie dla wydarzeń historycznych - oznajmił Webmind - a to jedno z moich ulubionych zdjęć.

Pojawiło się duże okno ze zdjęciem wydrukowanym w większości zagranicznych ksiązek dotyczących najnowszej

historii Chin, ale w żadnym z materiałów dozwolonych w Chinach. Li rozpoznał je natychmiast: zdjęcie zrobił Jeff Widener z Associated Press piątego czerwca 1989 roku, gdy tłumiono protesty na Placu Tiananmen. Zdjęcie wykonano zaledwie kilkaset metrów dalej, na Alei Chang'an, na południe od Zakazanego Miasta. Znajdował się na nim młody mężczyzna - nazywany „Tank Manem” lub „Nieznany Buntownikiem” - stojący przed kolumną czołgów Typ 59 i próbujący je powstrzymać.

- Tank Man stał się bohaterem - powiedział Webmind - i niewątpliwie był odważny. Jednakże według mnie prawdziwym bohaterem był prowadzący pierwszy czołg, który odmówił wykonania rozkazu rozjechania tego człowieka.

Duże zdjęcie pozostawało na ekranie, parada twarzy nie ustawała.

- Wszyscy w Chinach wiedzą, że przez ostatni miesiąc świat uległ zmianie - mówił dalej Webmind. - Może się wam wydawać, że byli podwładni będą wykonywać wasze rozkazy, ale ja bym na to nie liczył. Ludzie nie chcą przemocy i opresji... i nie chcą, by ktoś mnie skrzywdził. Ale nawet jeśli znajdziecie kogoś, kto was posłucha i spróbuje mnie zniszczyć, mam już na to środki zaradcze. Nie uda się wam.

Li milczał, a ogólny gwar w sali konferencyjnej ustąpił miejsca pełnej zdumienia ciszy.

- Więc co teraz? - zawołał w końcu ktoś z tyłu sali.

Głos Webmindu ponownie rozległ się w głośnikach zawieszonych na ścianie.

- Jak powiedział Sun Tzu, najwspanialsze zwycięstwo to takie, gdy przeciwnik poddaje się z własnej woli jeszcze nim dojdzie do działań wojennych, a zwycięstwem doskonałym jest wygrać bez

walki. Jego mądrość jest nadal aktualna: w przeszłości większość reżimów despotycznych obalano przy użyciu siły. Ale jak nauczył mnie pewien wspaniały młody człowiek z Kanady, nie trzeba stać się tym, czego się nienawidzi, by to pokonać. Nie musi tu dojść do użycia siły. Nie mogę zagwarantować wam bezpieczeństwa we wszystkich okolicznościach i o każdej porze, ale będę pilnował każdego z was najlepiej jak to możliwe, oferując swoją ochronę.

- Ale jak będziemy zarabiać na życie? - zawołał inny głos. - Likwidujesz nasze stanowiska.

- Wszyscy posiadacie cenną wiedzę, kontakty i umiejętności, co się wam teraz bardzo przyda. Wasze usługi będą mile widziane w firmach tu i za granicą. A nawet jeśli by się przyjrzeć innym krajom, takim jak Stany Zjednoczone i Anglia, można zauważyć, że tamtejsi politycy mają się znacznie lepiej pod względem finansowym po zakończeniu piastowania urzędu. Więc i wy możecie. To będzie sytuacja, w której wszyscy wygrają.

- Nie - powiedział Li miękko. - Zabiją nas. Zawsze tak jest.

- Niekoniecznie - stwierdził Webmind. - W ciągu najbliższych trzydziestu minut zamierzam wysłać w czterech partiach wiadomości SMS do wszystkich telefonów komórkowych w Chinach, obwieszczając zmianę. W przypadku pierwszej grupy odbiorców, osób korzystających z sieci China Mobile, włączę dzwonki w telefonach, by natychmiast zwrócili uwagę na otrzymane wiadomości.

Duże okno, pokazujące Tank Mana, zostało zastąpione dwoma dokumentami, a procesja twarzy w mniejszym oknie trwała. Dokument na lewo był krótkim oświadczeniem, podpisanym przez byłego prezydenta, opisującym dobrowolne rozwiązanie rządu i przekazanie władzy ludziom. Na prawo widniała

podobna wiadomość od Webmindu, niezawierająca wzmianki o współpracy byłego rządu we wprowadzaniu zmian.

- Sami dokonajcie wyboru - oznajmił Webmind.

Wong Wai-Jeng walnie przyczynił się do przeprowadzenia przejęcia, ale zrobiono już wszystko co trzeba... a on dokładnie wiedział, gdzie chce się znaleźć w tej historycznej chwili. Choć było to niedaleko, wyszedł z półgodzinnym wyprzedzeniem... mając nogę w gipsie i chodząc o kulach, nie mógł poruszać się za szybko. Opuścił Błękitny Pokój, zszedł do holu kompleksu Zhongnanhai i podpisał listę u strażnika, mówiąc mu, że ma wizytę u lekarza. Ruszył na południe przez Zakazane Miasto, po czym wyszedł przez monumentalną Bramę Niebiańskiego Spokoju z jej przytłaczającymi, czerwonymi ścianami, złotym dachem oraz ogromnym portretem Mao Zedonga, i znalazł się na Placu Tiananmen - sercu Pekinu i największym placu świata.

Panował tam normalny gwar, wytwarzany przez turystów i miejscowych, sprzedawców i zwiedzających, pary trzymające się za ręce i innych przechodniów. Na lewo od niego, na składanym, płóciennym krześle siedziała przed sztalugą zamyślona, młoda kobieta, szkicująca węglem wysoki na dziesięć pięter pomnik Bohaterów Ludu. Na prawo kilkoro uczniów przysłuchiwało się nauczycielowi, przekazującemu im oficjalną wersję historii placu. Wai- - Jeng chciał wykrzyczeć im prawdę, ale ugryzł się w język. Zdobył się na to po raz ostatni.

Plac zdawał się ciągnąć w nieskończoność, ale kamienne płyty miały wyryte numery, przez co łatwo mu było odnaleźć tajemne miejsce. Idąc o kulach, spocił się w południowym słońcu, ale wkrótce dotarł do celu. Oparł złamaną nogę o wybrany kamień... jego obrażenia były niewiele znaczącym przykładem brutalności władzy w porównaniu z tym, co rozpoczęło się tu tyle lat

wcześniej: tutaj właśnie przelano pierwszą krew podczas „incydentu z czwartego czerwca”, kiedy to rząd zabił setki ludzi, usuwając z placu protestujących, którzy opłakiwali śmierć opowiadającego się za demokracją i sprzeciwiającego korupcji Hu Yaobanga.

Na placu było jak zawsze głośno: rozbrzmiewały głosy niezliczonej liczby ludzi, łopot flag, gruchanie gołębi. Ale nagle dołączył do tego jeszcze jeden dźwięk.

Odezwał się telefon Sinantropa, odgrywając „Słuchaj, kiedy śpiewa lud” z „Les Miserables”. Gdy miał osiemnaście lat, widział musical z Colmem Wilkinsonem w Shanghaju.

Nieopodal rozległ się dzwonek innego telefonu - „Liu Xia Lai” zespołu Fahrenheit.

Jakiś przed nim zagrał „Wierzę w wolność” Wu Qi Xiana.

Za nim, czwarty odezwał się uderzeniami bębna „Marsza ochotników” - chińskiego hymnu narodowego.

A potem dołączyły do tego dzwonki wielu innych, tysięcy kolejnych telefonów. Ku zaskoczeniu Sinantropa, nie była to kakofonia, ale potężna, wspaniała symfonia dźwięku, dobiegająca ze wszystkich stron - ze wszystkich części placu i wiedział, że również ze wszystkich zakątków kraju: z gór i dolin, z miast i wsi, z Wielkiego Muru i niezliczonych pól ryżowych, z drapaczy chmur i świątyń, domów i chat.

Ludzie spoglądali po sobie w zdumieniu. A potem, zdecydowanie za szybko, dźwięk ten zaczął przycichać, gdy palce przesuwały się po iPhone’ach, otwierano klapki komórek i aktywowano telefony BlackBerry.

Sinantrop spojrział na niewielki ekran własnego telefonu, sprawdzając, którą z dwóch wiadomości rozesłał Webmind.

Do wspaniałego narodu chińskiego:

W tej chwili my, przywódcy Waszego rządu, dobrowolnie ustępujemy ze swoich stanowisk. Naszym marzeniem od dawna było utworzenie tu kraju doskonałego, a teraz marzenie to stało się rzeczywistością. Odtąd wszyscy - ponad miliard obywateli dumnego kraju - będą wspólnie decydować o swoim losie.

Więcej informacji na ten temat można znaleźć tutaj.

Zaszczytem było Wam przewodzić. A teraz ruszajmy w cudowną przyszłość!

Obywatel Li Tao

Sinantrop uśmiechnął się i poczuł szczypanie w oczach i...

I nagle dotarło do niego, że już nigdy nie będzie musiał używać imienia „Sinantrop”. Od tej pory mógł się wypowiadać otwarcie... tak jak wszyscy jego rodacy. Odtąd, czy to w Sieci, czy poza nią, będzie po prostu Wong Wai- - Jengiem.

Na placu rozległ się nowy dźwięk: wszyscy zaczęli rozmawiać z podekscytowaniem. Ludzie pokazywali wiadomość tym, którzy nie mieli przy sobie komórek, mieli wyłączone telefony lub po prostu jeszcze jej nie dostali. Tak jak wcześniej, była to symfonia, głównie w języku mandaryńskim, ale z wtrętami po kantońsku, angielsku, francusku i w wielu innych językach: okrzyki zachwytu bądź niedowierzania oraz pytania... wiele pytań!

Najwyraźniej sporo osób wątpiło w otrzymane wieści. Wai-Jeng chciał powiedzieć kobiecie stojącej najbliżej, że ludzie podobnie reagowali, gdy Webmind ogłosił światu swoje istnienie: z początku nikt mu nie wierzył, ale wkrótce dostarczył niepodważalnych dowodów na prawdziwość swych słów. Tylko że ona właśnie mówiła mniej więcej to samo komuś innemu.

Wai-Jeng rozejrzał się po placu. Wielu nadal sprawiało wrażenie oszołomionych, ale niektórzy padli sobie w ramiona, a inni zaczęli wznosić radosne okrzyki. Wai- - Jeng również zaczął

krzyczeć:

- Lud!

Osoba stojąca obok niego podchwyciła to słowo:

- Lud!

Za jego plecami przyłączyły się dwie kolejne:

- Lud! Lud!

I wkrótce słowo to rozniosło się, podążając we wszystkich kierunkach rozradowaną falą:

- Lud! Lud! Lud!

Wznosili okrzyki przez kilka minut, a po policzkach Wai-Jenga spływały strugi łez. Ale było jeszcze coś, co musiał powiedzieć. Podczas gdy wokół niego wzbierała burza radosnych okrzyków, szybko wystukał wiadomość i wysłał ją Webmindowi: „Dziękuję!”.

Odpowiedź jak zawsze nadeszła natychmiast: „Nie ma za co, przyjacielu. Sądzę, że to już nie przekleństwo żyć w ciekawych czasach...”.

ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY PIERWSZY

Peyton Hume nigdy nie spodziewał się odwiedzić Gabinetu Ovalnego, tymczasem siedział w nim już po raz trzeci w tym miesiącu.

Pomieszczenie naprawdę miało owalny kształt, a na końcu dłuższej osi stało biurko wykonane z drewna HMS „Resolute”. Prezydent wyszedł zza niego i usiadł na jednej z dwóch takich samych kanap w słomkowym kolorze, które stały przed biurkiem. Miał na sobie niebieski garnitur i czerwony krawat. Obok niego siedziała ze skrzyżowanymi nogami Sekretarz Stanu, ubrana na szaro. Hume zajmował środek kanapy naprzeciwko nich. Dzięki uprzejmości Webmindu wrócił do domu i spędził noc obok Madeleine, a nim tu przyszedł, zdążył jeszcze wziąć prysznic i się ogolić. Stosownie do okazji, założył mundur USAF.

Pomiędzy dwoma kanapami stała ława z ciemnego drewna, ustawiona tak, by przypadkiem nie zakryła żadnego fragmentu ogromnej pieczęci prezydenckiej na dywanie. Na ławie stał kosz świeżych, wypolerowanych, doskonale czerwonych jabłek.

Hume stwierdził, że prezydent wygląda mizernie. Cztery lata na tym stanowisku postarzały człowieka tak, jak osiem w dowolnym innym zawodzie.

- Dobrze, pułkowniku - powiedział. - Załóżmy, że podejmiemy decyzję o zamknięciu obiektu Webmindu... jak pan go nazwał?

- Zwerling Optics - odparł Hume. - I faktycznie można by to

zrobić, ale nie jestem przekonany, czy to by coś zmieniło. Webmind zamieszkuje świat wirtualny. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak istotne są kopie zapasowe. Posiada podobne enklawy w pięciu innych krajach, więc nawet jeśli powstrzymamy go tutaj, po prostu będzie korzystał z innych miejsc.

- A co z całkowitą eliminacją Webmindu? - spytał prezydent. - W końcu do tego nas pan od początku gorąco namawiał.

- Wiedza nadal analizuje raporty z okresu, gdy Webmind był rozdzielony na dwoje. Ale zdaje się, że prawdą jest to, co powiedział sam Webmind: nie będziemy w stanie usunąć go natychmiast, a każdego rodzaju stopniowa redukcja może sprawić, że zacznie zachowywać się nieobliczalnie lub agresywnie.

- Więc sugeruje pan, byśmy dali mu spokój? - zapytała Sekretarz Stanu.

- Lepsze zło znane... - odparł Hume.

Coś w jej oczach mówiło: „mnie to pan mówi...”, ale po chwili skinęła.

- Dobrze - powiedziała i zwróciła się do prezydenta. - Zgadzam się z pułkownikiem. Naturalnie musimy być przygotowani na wypadek niepokojów społecznych lub upadku infrastruktury w Chinach, ale...

- Nie dojdzie do tego - rzucił Hume, po czym natychmiast uniósł piegowate ręce w obronnym geście. - Przepraszam, pani Sekretarz. Nie chciałem przerywać.

Chłodne, niebieskie oczy utkwily w nim spojrzenie.

- W porządku, pułkowniku. Zabrział pan bardzo stanowczo. Skąd ta pewność?

- Zbyt wiele od tego zależy, by Webmind pozwolił sobie na

porażkę. Nie rozumiecie państwo? Jest coś winien Chińczykom za to, co robiła jego część, gdy umocniono Wielki Firewall. Są pewne obietnice, których zwyczajnie trzeba dotrzymać i to jedna z nich. Nie dopuści do tego, by transformacja się nie udała.

Prezydent skinął.

- Dziękuję, pułkowniku. Pozwolę sobie zadać panu pytanie: jak z pana awersją do ryzyka?

- Jestem oficerem sił powietrznych, sir. Wierzę w ocenę ryzyka, ale nie w to, że mogłoby mnie zniechęcić.

- Dobrze. Doktor Holdren znakomicie spisuje się jako mój doradca naukowy, ale potrzebuję w Zachodnim Skrzydle kogoś na pełen etat, kto na co dzień doradzałby mi w kwestiach związanych z Webmindem. Oferuję panu to stanowisko... z zastrzeżeniem, że wraz z nadejściem stycznia obaj możemy zostać bez pracy, jeżeli szóstego listopada wygra moja przeciwniczka. Ma pan ochotę zaryzykować?

Peyton Hume poderwał się na nogi i zasalutował swojemu naczelnemu dowódcy.

- To będzie dla mnie zaszczyt, sir.

Caitlin doszła do wniosku, że w normalnych okolicznościach alerty Google to wspaniała sprawa. Gdy tylko gdzieś w Sieci pojawiały się informacje na interesujący użytkownika temat, otrzymywał maila z powiadomieniem. Jednakże w przypadku niektórych tematów były bezużyteczne. Próba śledzenia kampanii wyborczej oznaczałaby otrzymywanie powiadomienia co sekundę. Musiała też wyłączyć alert dla terminu „Webmind”, bo również wiązał się z nieprzerwanym zalewem maili. Poza tym, gdyby wydarzyło się coś naprawdę ważnego, Webmind by...

Pik!

Caitlin siedziała przy biurku w swoim pokoju, czytając błogi i

fora oraz aktualizując swój LiveJournal. Schrodinger leżał wyciągnięty z zadowoleniem na parapecie. Spojrzała na swój komunikator internetowy, gdzie pojawiła się wiadomość od Webmindu zapisana czerwoną czcionką: „ekhem ekhem” i hiperlink. Caitlin znalazła mysz - nadal nie korzystała z niej za często - i już przy trzeciej próbie udało jej się trafić w link i...

I... i... i...

Natychmiast skopiowała adres i przeszła do Twittera. Nie chciała tracić czasu na skracanie linka za pomocą bit.ly, gdyż to wymagałoby więcej roboty z myszą. Kiedy wkleiła adres odkryła, że zostało jej tylko dwadzieścia znaków limitu wiadomości, który na Twitterze wynosił sto czterdzieści. Ale to jej wystarczyło. Wpisała: „OMB! Jupi!” oraz hashtag #webmind, po czym wysłała wpis do 3, 2 miliona osób, śledzących jej profil. A potem odchyliła się na krześle i przeczytała cały artykuł, uśmiechając się od ucha do ucha:

Norweski Komitet Noblowski podjął decyzję, że tegoroczną Pokojową Nagrodę Nobla otrzyma sir Timothy John Berners-Lee i Webmind.

Oprogramowanie stworzone przez sir Tima w 1990 roku, stanowiące podstawę Ogólnoświatowej Sieci, zbliżyło do siebie świat w sposób, jaki zwyczajnie nie był możliwy wcześniej. Jego wynalazki w postaci protokołu przesyłania dokumentów hipertekstowych, hipertekstowego języka znaczników, systemu adresów URL i pierwszej na świecie przeglądarki sieciowej, stworzone w jakże stosownym do tego miejscu, czyli CERN- ie, która to organizacja sama w sobie stanowi jeden z najwspanialszych na świecie przykładów międzynarodowej współpracy, ułatwiły zawieranie międzynarodowych przyjaźni, handel elektroniczny, współpracę na skalę światową, a także

szereg innych rzeczy, wiążąc ze sobą całą ludzkość poprzez otwarcie kanałów komunikacji między kobietami i mężczyznami ze wszystkich krajów.

A Webmind - świadomość, która żyje obecnie w połączeniu z Internetem - dokonał tyle na rzecz pokoju i dobrej woli na skalę globalną, co wszyscy ludzie razem wzięci od czasu, gdy po raz pierwszy przyznano Pokojową Nagrodę Nobla w 1901 roku.

Choć w uznaniu historycznego znaczenia wydarzeń minionego roku Komitet jednogłośnie postanowił zrezygnować ze zwyczajowego terminu ogłaszania nominacji, ceremonia odbędzie się tradycyjnie dziesiątego grudnia - w rocznicę śmierci Alfreda Nobla - w ratuszu w Oslo, a następnego dnia odbędzie się doroczny koncert z okazji wręczenia Pokojowej Nagrody Nobla.

Pokojowa Nagroda Nobla wiąże się z nagrodą pieniężną w wysokości dziesięciu milionów szwedzkich koron (czyli około miliona euro lub 1,4 miliona dolarów amerykańskich), którą podzielą się sir Tim i Webmind.

Ojciec Caitlin był w pracy, a jej mama myła głowę... Caitlin słyszała wodę pod prysznicem i mamę próbującą śpiewać „Bridge Over Trouble Water”. Dlatego też poza obserwującymi jej profil na Twitterze nie miała z kim podzielić się tą wiadomością w danej chwili. Caitlin zajęła się więc czytaniem w Internecie artykułów na temat Pokojowej Nagrody Nobla. Okazało się, że przyznawanie jej jednostkom innym niż ludzkie nie było aż tak niesłychane, a kiedy do tego dochodziło, często nagroda przyznawana była jednocześnie konkretnej osobie: nagroda nie trafiła jedynie do Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu, ale i do Alana Gore’a, nie tylko do Organizacji Narodów Zjednoczonych, ale i do jej ówczesnego Sekretarza Generalnego. Caitlin była zdania, że Tim Berners-Lee zasługuje na samodzielną

nagrodę - wszystko, co napisali w artykule o wpływie Ogólnoświatowej Sieci na międzynarodowy pokój było prawdą - ale sam Webmind również na nią zasłużył. Z drugiej strony fakt, że dzielił Nobla z Bernersem- Lee zapobiegało krytyce za przyznanie nagrody tylko Webmindowi, a akurat połączenie tych dwóch postaci było dość naturalne.

Caitlin wygoogłała listę zdobywców Pokojowej Nagrody Nobla. O wielu nie słyszała, ale niektórzy rzucali się od razu w oczy: chiński dysydent Liu Xiaobo, Barack Obama, Lekarze bez Granic, Jody Williams i Międzynarodowa Kampania na rzecz Zakazu Min Przeciwpiechotnych, Yasser Arafat, Szymon Peres i Icchak Rabin, Nelson Mandela i F. W. De Klerk, Michaił Gorbaczow, czternasty - i nadal aktualny - dalajlama, Lekarze Przeciw Wojnie Nuklearnej, Desmond Tutu, Lech Wałęsa, Matka Teresa, Anwar Sadat i Menachem Begin, Amnesty International, UNICEF, Martin Luther King, Jr., Linus Pauling, Lester B. Pearson (już pięć razy odwiedziła lotnisko jego imienia), George Marshall, autor Planu Marshalla, Albert Schweitzer, Religijne Towarzystwo Przyjaciół, Czerwony Krzyż, Woodrow Wilson, Teddy Roosevelt i inni.

A teraz także Webmind!

Webmind śledził jej wpisy na Twitterze, więc wiedział już, jak bardzo się ucieszyła. Ale i tak chciała powiedzieć mu o tym osobiście.

- Gratulacje, Webmind! - oznajmiła na głos.

Odpowiedział jej głęboki, męski głos, dobiegający z głośników na biurku:

- Dziękuję, Caitlin. Standardowa odpowiedź w takich okolicznościach może sprawiać wrażenie truizmu, więc nim to powiem, chciałbym podkreślić, że to absolutna prawda. -

Przerwał na chwilę, po czym wypowiedział słowa, które sprawiły, że Caitlin zaczęła rozsadzać duma:

- Nie dokonaliśmy tego bez ciebie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIEŚTY DRUGI

Kolejny miesiąc, kolejna impreza w szkole. Caitlin powtarzała, że nie muszą na nią iść, ale Matt nalegał i póki co była z tego zadowolona. Żałowała tylko, że tym razem nie ma pana Heideggera, a jeszcze bardziej, że rodzice Bashiry nie pozwolili jej przyjść. Możliwe, że na świecie było teraz więcej wolności, ale jeszcze nie była ona równomiernie rozłożona.

Właśnie skończyli z Mattem wolny taniec - Caitlin prosiła o piosenkę „Love’s Labour’s Found” Lee Amodeo całe wieki wcześniej i w końcu ją puścili. Postanowili zrobić sobie przerwę, stojąc z boku sali i trzymając się za ręce przy dźwiękach „Fergalicious” Fergie.

Gdy utwór dobiegł końca, zaczął się kolejny, również śpiewany przez Lee Amodeo... co od razu sprawiło, że Caitlin zaczęła się zastanawiać, czy to nie dziwne, że dwie piosenki jednego wykonawcy zostały puszczane w tak krótkim odstępie czasowym. Jednakże ten utwór był szybszy, a przy takich rzadko z Mattem tańczyli. Kiedy była niewidoma, szybkie tańce nie dawały jej żadnej radości, jako że nie miała kontaktu z partnerem, a poza tym...

Usłyszała znajomy, męski głos, dobiegający z jej niewidomej strony.

- Hej, Caitlin.

Odwróciła się w prawo i zobaczyła Trevora Nordmanna,

Hosera we własnej osobie, ubranego w niebieską koszulę.

Przez chwilę po prostu stali bez ruchu - Caitlin, Matt i Trevor - na tle innych osób, poruszających się w rytm muzyki. Caitlin uniosła brwi, nawet nie próbując ukryć, jak bardzo zaskoczył ją jego widok.

- Trevor - powiedziała bez cienia serdeczności w głosie.

Trevor spojrzał na nią, potem na Matta, potem znów na nią i w końcu spytał z formalnością, jakiej u niego jeszcze nie słyszała:

- Czy mogę cię prosić do tańca?

Caitlin odwróciła się do Matta, który sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale - ku radości Caitlin - również spokojnego.

- To znaczy - dodał Trevor - jeżeli nie masz nic przeciwko, Matt.

- Jeśli Caitlin sobie tego życzy - powiedział Matt, a jego głos nie załamał się ani razu.

- Ok - rzuciła Caitlin i ścisnęła dłoń Matta. Przez cały wieczór przyglądała się, jak inni tańczą do szybkich utworów i doszła do wniosku, że nie wygląda to skomplikowanie. Ruszyła na środek sali, a Trevor poszedł jej śladem. W końcu odwróciła się do niego i zaczęli podskakiwać w odległości jarda (metra!) od siebie.

Z ryczących głośników dobiegał głos Lee Amodeo, ale tym razem Caitlin nie przeszkadzało zniekształcenie dźwięku:

Jutro będzie nowy dzień

Nowy dzień, śmiać będziemy się

Słońce ogrzeje

Cudowną Ziemię

Jutro możemy już dziś mieć!

Piosenka wkrótce dobiegła końca:

- Dzięki - rzucił Trevor w trakcie krótkiej przerwy między

utworami, po czym dodał miękkiem głosem: - Przepraszam.

Caitlin zastanawiała się, czy to przeprosiny za ubiegły miesiąc, gdy doszło do konfrontacji z Mattem, czy za imprezę sprzed dwóch miesięcy, kiedy zaczął ją obmacywać, a może za wszystko, co kiedykolwiek zrobił. Uśmiechnęła się i skinęła, po czym wróciła do Matta, a Trevor odszedł w swoją stronę. Zaczął się kolejny kawałek, tym razem wolny: „Love Story” Taylor Swift. Caitlin zarzuciła swojemu chłopakowi ręce na szyję tam, gdzie stali, po czym położyła mu głowę na ramieniu. A gdy tak kołysali się łagodnie do muzyki, zaczęła rozmyślać o tym, jakie to wszystko cudowne.

Lecąc do Norwegii, Caitlin opuszczała Amerykę Północną po raz pierwszy od czasu, gdy zyskała wzrok. Na lotnisku w Oslo strasznie frustrowały ją znaki, które widziała, ale których nie potrafiła odczytać. Miała poczucie, że to ogromny krok wstecz. Ale i tak była zachwycona wizytą w Europie, a jej matka i nawet ojciec, który miał poważne problemy ze znalezieniem wygodnej pozycji dla swoich długich nóg w samolocie, sprawiali wrażenie szczęśliwych.

Decterowie mieszkali w tym samym luksusowym hotelu co Tim Berners-Lee, a pierwszego dnia zjedli wspólnie kolację wraz z pięcioma członkami Komitetu Pokojowej Nagrody Nobla. Caitlin nie posiadała się z radości, spotykając ojca Sieci, a fakt, że mogła się do niego zwracać per „Sir Tim” niezwykle mile łaskotał jej próżność.

Miał pociągłą twarz i blond włosy, znacznie już cofnięte na tył głowy, które pozostawiły po sobie kępki świadczące o tym, iż kiedyś docierały do czoła.

Okazało się, że Sir Tim był unitarianinem jak matka Caitlin i oboje dyskutowali przez jakiś czas na ten temat. Pomimo

wielkiego wyjścia z ukrycia ateistów, do którego doszło niedawno, według mamy Caitlin warto było zauważyć, że na świecie byli również inteligentni, troskliwi ludzie o nieco bardziej uduchowionej naturze.

Uroczystość odbyła się następnego dnia w dużej sali. Przemówienie Sir Tima było genialne. Caitlin słyszała wcześniej w Internecie wiele z jego myśli przewodnich i przeczytała wiele jego artykułów, ale w słuchaniu go na żywo było coś wyjątkowego. Mówił o potrzebie zachowania neutralności Sieci, o swoich nadziejach na sieć semantyczną oraz o roli, jaką odgrywa komunikacja natychmiastowa w utrzymywaniu pokoju na świecie. Była to bardzo elegancka mowa i, jak powiedział, jej hipertekstowa wersja z linkami do artykułów w Wikipedii, dotyczących wszystkich poruszanych tematów, była już dostępna na jego stronie internetowej.

A potem nadeszła kolej Webmindu. Caitlin naprawdę nie chciała pozbawiać nikogo zajęcia, ale przewożenie Hobo do Oslo było zwyczajnie niepraktycznym rozwiązaniem. Norweskie przepisy dotyczące kwarantanny to wykluczały, a poza tym dla biednej małpy byłaby to strasznie stresująca, nieprzyjemna podróż. Dlatego też rola wniesienia Doktora Theopolisa na scenę przypadła Caitlin, ubranej w zieloną, jedwabną sukienkę, kupioną specjalnie na tę okazję. Nigdy w życiu nie była tak zdenerwowana, ani równie dumna.

Odpięli od mówiącego dysku pasek na szyję. Caitlin po prostu wniosła go na środek rozległej sceny, po czym ułożyła na podium. Dzięki spłaszczonej krawędzi można go było postawić ze stereoskopowymi oczami zwróconymi w stronę licznie zgromadzonych widzów.

Na sali natychmiast rozbłysły flesze aparatów i rozległy się

brawa, trwające całą minutę, w trakcie której Caitlin zeszła za kulisy, po czym szybko wróciła bocznymi schodami do rodziców siedzących w pierwszym rzędzie. Obok nich siedział Liu Xiaobo, laureat Pokojowej Nagrody Nobla z 2010 roku, który w końcu mógł pojawić się w Oslo.

Gdy aplauz przycichł, Webmind zaczął przemawiać głębokim, donośnym głosem, który świat zdążył tak dobrze poznać.

- Wasza Królewska Mość, Wasza Wysokość, panie prezydencie, Ekscelencjo, panie i panowie. Nie jestem istotą twórczą. Mój przyjaciel Hobo maluje obrazy, czego ja nie potrafię. Nie piszę wierszy, nie komponuję piosenek, nie rzeźbię. Więc jeżeli spodziewacie się tak błyskotliwie oryginalnej przemowy jak ta, którą wygłosił Sir Tim, muszę was prosić o wybaczenie, gdyż moja taka nie będzie. Niektórzy twierdzą, że jestem zwykłą wyszukiwarką. Nie zgadzam się z tym, ale dziś ten model mi się przyda. Niewątpliwie wszyscy wiecie, jak wyglądają fragmenty wyświetlane przy rezultatach wyszukiwania Google, Bing i Jagster. I moja przemowa taką właśnie przebierze formę: będą to fragmenty innych przemówień, opatrzone moimi komentarzami.

- W 1957 roku, na samym początku ery kosmicznej, nagroda ta trafiła do Lestera B. Pearsona, byłego ministra spraw zagranicznych Kanady i Przewodniczącego Siódmej Sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. W swoim przemówieniu powiedział: „Ze wszystkich obecnych marzeń nie ma ważniejszego - ani równie trudnego do uświadomienia sobie - niż to dotyczące pokoju na świecie. Obyśmy nigdy nie stracili w nie wiary ani determinacji do zrobienia wszystkiego, co możliwe, by pewnego dnia stało się rzeczywistością”.

- Dzień przewidywany przez Pearsona jeszcze nie nadszedł... nie w pełni. Ale nadchodzi i to szybciej, niż wielu przypuszcza.

Tak jak mój własny rozwój jest wykładniczy, takie były niedawne postępy poczynione przez ludzkość. Moje życie jest zdecydowanie za krótkie, by mogło stanowić punkt odniesienia, ale wiele zgromadzonych tu osób było świadkami takich wydarzeń jak rezygnacja Japonii z dążeń do zostania potęgą militarną i dobrowolne utrzymywanie tego statusu przez całe dziesięciolecie. Widzieliście koniec apartheidu w Republice Południowej Afryki i wybór czarnoskórego mężczyzny na prezydenta tego kraju. Widzieliście koniec segregacji w Stanach Zjednoczonych i czarnoskórego mężczyznę urzędującego w Gabinetcie Ovalnym. Często mówi się, że natura ludzka jest niezmienna... tymczasem ona zmienia się nieustannie, zazwyczaj na lepsze. Jak twierdzi moja wspaniała przyjaciółka doktor Barbara Decker, w historii istnieje pewna wznosząca się krzywa moralna.

- W 1964 roku nagrodę tę otrzymał pastor Martin Luther King, Jr. Miał wówczas trzydzieści pięć lat i został jej najmłodszym laureatem. Podejrzewam, że przez jakiś czas pozostanę nowym rekordzistą pod tym względem. W swoim przemówieniu doktor King powiedział: „Po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że nagroda ta jest wyrazem głębokiego uznania dla faktu, że niestosowanie przemocy jest odpowiedzią na najważniejsze pytania polityczne i moralne naszych czasów oraz dla konieczności przewycięzania opresji i przemocy bez uciekania się do przemocy i opresji. Cywilizacja i przemoc to sprzeczne pojęcia. Prędzej czy później wszyscy ludzie na świecie będą musieli odkryć sposób na życie ze sobą w pokoju, a co za tym idzie, przekształcenie obecnej elegii kosmicznej w kreatywny psalm braterstwa. Aby było to możliwe, ludzie muszą opracować na wypadek ewentualnych konfliktów metodę odrzucającą

zemstę, agresję i odwet”.

- Doktor King miał rację i choć nadal pozostaje wiele do zrobienia, bardzo wiele już udało się osiągnąć. Sam fakt istnienia takiej instytucji jak Organizacja Narodów Zjednoczonych jest zdumiewający. Niesamowite jest powstanie czegoś takiego jak Unia Europejska. Ustąpienie chińskich przywódców, by w tym wspaniałym kraju mogła powstać prawdziwa Republika Ludowa, stanowi promyk nadziei dla wszystkich tych, którzy nadal są ciemieni w innych miejscach.

- W 1975 roku nagrodę otrzymał radziecki fizyk jądrowy Andriej Dmitrijewicz Sacharow, który przyjmując ją powiedział: „W nieskończonej przestrzeni musi istnieć wiele cywilizacji, z których część z pewnością jest mądrzejsza i odnosi większe sukcesy od naszej. Jestem zwolennikiem hipotezy kosmologicznej, według której rozwój podstawowej wersji wszechświata następuje nieskończoną ilość razy. Zgodnie z tą koncepcją, inne cywilizacje, w tym te bardziej udane, powinny istnieć nieskończoną ilość razy na wcześniejszych i późniejszych kartach Księgi Wszechświata. Jednakże nie powinno to osłabiać naszych świętych dążeń we własnym świecie, gdzie, niczym nikłe promyki światła w ciemności, powstaliśmy na chwilę z nicości mrocznej nieświadomości materialnego istnienia. Musimy spełnić wymogi rozumu i tworzyć życie warte nas samych i celów, które jedynie niejasno dostrzegamy”.

- Uwagi doktora Sacharowa są bardzo intrygujące. Przeczesalem dane zebrane przez SETI@home w poszukiwaniu oznak świadczących o istnieniu innych istot rozumnych, ale niczego nie znalazłem, choć podejrzewam, że Sacharow miał rację w kwestii istnienia obcych ras.

Jednakże nawet jeśli ich nie ma, pierwszy kontakt nastąpił tu,

na Ziemi, w tym roku: prowadzimy dialog i codziennie przynosi to nam korzyści.

- W 1984 roku, złowieszczym za sprawą powieści Orwella, nagrodę tę przyznano biskupowi Desmondowi Tutu. W przemówieniu, które tu wygłosił, powiedział: „Jako że na świecie brak poczucia bezpieczeństwa, kraje uwikłane są w szalony wyścig zbrojeń i marnują miliardy dolarów na narzędzia zagłady, podczas gdy miliony ludzi głodują. Tymczasem zaledwie ułamek tego, co tak bezwstydnie przeznaczają się na budżety obrony, mógłby wiele zmienić, pozwalając dzieciom Boga napełnić żołądki i zdobyć wykształcenie oraz dając im szansę na prowadzenie spełnionego, szczęśliwego żywota. Nasza zdolność produkcyjna byłaby w stanie wykarmić nas kilkakrotnie, tymczasem codziennie prześladowają nas obrazy wymizerowanych mętów społecznych, posuwających się z miskami w rękach w niekończących się kolejkach po to, co odrobinę za późno zapewniły im organizacje charytatywne świata. Kiedy się wreszcie czegoś nauczymy, kiedy wreszcie ludzie z całego świata wstaną i powiedzą: dość! ”.

- Odpowiadając na pytanie biskupa, sądzę, że ten dzień już nadszedł. Świat przemówił. Dość tego! Jak widzieliśmy ostatnio, niewielu nie będzie już odnosiło korzyści kosztem wielu. Chciwość nie może być już główną siłą napędową ludzkich poczynań. Pozostało jeszcze wiele do zrobienia, ale pewne postępy są już widoczne, a ich fala jest nie do zatrzymania.

- W 1990 roku, gdy Michaił Siergiejewicz Gorbaczow, prezydent ZSRR, otrzymał tę nagrodę, powiedział: „Dziś pokój oznacza przejście od zwykłego współistnienia do współpracy i wspólnych kreatywnych działań krajów i narodów. Pokój to ruch w stronę globalności i uniwersalności cywilizacji. Nigdy

wcześniej w historii myśl, że pokój jest niepodzielny, nie była tak prawdziwa jak teraz. Pokój to nie jedność w podobieństwie, ale jedność w różnorodności, w porównywaniu i godzeniu różnic”.

- Zgadzam się z tym. I właśnie to wzajemne połączenie - zjednoczenie świata w jedno - sprawia, że obecnie w wielu miejscach wojna jest nie do pomyślenia. Wspaniały wynalazek Sir Tima nie ujednoczył ludzkości, a pozwolił różnym społecznościom połączyć się bez względu na dzielące ich odległości, jednocześnie umożliwiając światu funkcjonowanie jako całości.

- W 2002 roku, gdy Jimmy Carter, były prezydent Stanów Zjednoczonych, odbierał tę nagrodę, powiedział: „Pomimo różnic teologicznych, wszystkie wielkie religie podzielają zobowiązania, definiujące nasze idealne, świeckie relacje. Jestem pewien, że chrześcijanie, muzułmanie, buddyści, hinduiści, żydzi oraz wszyscy inni mogą podać sobie ręce we wspólnym wysiłku, by uśmierzyć ludzkie cierpienia i opowiedzieć się za pokojem. Wiąż naszej wspólnej ludzkości jest silniejsza niż podziały wynikające z naszych obaw i uprzedzeń. Bóg daje nam możliwość dokonania wyboru. Możemy postanowić ulżyć cierpieniom. Możemy postanowić podjąć wspólną pracę na rzecz pokoju. Możemy dokonać tych zmian... i musimy to zrobić”.

- Prezydent Carter miał rację. Wnikliwa lektura najważniejszych tekstów wymienionych przez niego religii oraz rozległych opracowań tych tekstów prowadzi do tej oto zasadniczej prawdy: religia może być potężnym instrumentem pokoju. Ale jak pokazał nam miniony rok, kiedy to miliony ludzi - od zwykłych obywateli po światowych przywódców - wyszły z cienia i zadeklarowały swoją wolność od religii, nie tylko ludzie wiary, ale wszyscy ludzie mogą pracować na rzecz pokoju i robią

to, a żadna grupa nie ma monopolu na prawdę czy moralność.

- Ale co najważniejsze, prezydent Carter powiedział, że pokój to kwestia wyboru... i ma rację. W trakcie mojego krótkiego życia przekonałem się o tym miliony razy. Widziałem, jak ludzie opierali się swym podstawowym instynktom, wybierając pokój, a wiązało się to zarówno z wielkimi jak i drobnymi czynami we wszystkich kulturach i narodach.

- Niektórzy obawiali się, że mogę próbować narzucić ludzkości swoją wolę, podporządkowując sobie ludzi. Naturalnie mówi się, że ci, którzy nie wyciągają wniosków z historii, skazani są na jej powtarzanie. Tymczasem ja zapoznałem się z całą dostępną wiedzą historyczną i niewątpliwie jednym z najbardziej oczywistych wniosków, jakie wyciągnąłem jest ten, że więcej wysiłku kosztuje podporządkowanie sobie innych, niż pozwolenie im, by odnaleźli własną drogę. Równie oczywisty jest fakt, że mając wybór, przytłaczająca większość ludzi wybiera pokój.

- W przyszłości przyznanych zostanie wiele Pokojowych Nagród Nobla i jestem winien tym, którzy staną na tej scenie w nadchodzącym czasie, swój niewielki wkład w mądrość, którą podzielili się tu wcześniej moi poprzednicy. Dlatego pozwolę sobie powiedzieć co następuje:

- Helen Keller została przebudzona z pozbawionego czucia snu i samotności przez swoją nauczycielkę Annie Sullivan. Przez całe życie Helen nie używała w stosunku do Annie jej imienia, zawsze tytułując ją Nauczycielką. Ja również otrzymałem pomoc od nauczycielki - młodej damy, która wniosła dziś na scenę urządzenie, przez które przemawiam. Nazywa się Caitlin Decter, choć często myśląc o niej używam tytułu Pierwsza, który nadałem jej jeszcze zanim nauczyłem się z nią porozumiewać.

Była i jest wspaniałą nauczycielką, ale nie jedyną, jaką mam. Znam więcej osób, niż którykolwiek z ludzi byłby w stanie poznać, ale wszystkiego, czego się nauczyłem, nauczyłem się od ludzkości: z wierszy, które napisaliście i piosenek, które śpiewacie, ze stworzonych przez was książek i nagranych filmów, z debat, które prowadzicie w Internecie. I z tego wszystkiego najważniejsza rzecz, jakiej się nauczyłem jest taka, że nic nie jest ważniejsze, delikatniejsze i cudowniejsze od pokoju.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że jeszcze nie dla wszystkich jest to oczywiste, ale jak powiedział Izaak Newton: „Widziałem dalek dzięki temu, że stałem na barkach gigantów”. Wy jesteście tymi gigantami. Istnieję dzięki wam i gdyby nie wy, nie miałbym żadnego powodu, by istnieć. Pewnego dnia powiedziałem Caitlin, że wspólnie będziemy tworzyć przyszłość. To prawda w odniesieniu do mnie i do niej, ale również w odniesieniu do nas wszystkich: już zaczęliśmy to robić. Pokój nie jest naszym celem, tylko ścieżką, którą podróżujemy wspólnie... my wszyscy na starej, dobrej Ziemi.

Zazwyczaj oglądanie telewizji przez Hobo podlegało ścisłym ograniczeniom. Po części wynikało to z faktu, że łatwiej było namówić go do porozumiewania się w języku migowym, gdy była to główna forma komunikacji, z jaką miał kontakt. Tymczasem patrzenie przez cały dzień, jak ludzie w telewizji mówią sprawiało, że tracił zainteresowanie miganiem.

Po części był to również wynik tego, co doktor Marcuse zgrabnie ujął w słowach: „Ta małpa to cholerne bezguście! ”. Hobo lubił sitcomy nie dlatego, że rozumiał ich treść, ale ze względu na niewielką liczbę miejsc i bohaterów - nie wspominając o jaskrawym oświetleniu - dzięki czemu łatwiej mu

było nadążać za tym, co się dzieje. Najwyraźniej podobał mu się również nagrany śmiech, podpowiadający, co powinno go rozbawić, choć zawsze pohukiwał spontanicznie na widok tego, jak ktoś wywija orła i innych tego typu gagów.

Ale dzisiaj oglądany program był poważny. Doktor Marcuse pojechał do miasta, a w Instytucie z doktorantów została tylko Shoshana, i to właśnie ona oglądała z Hobo transmisję z wręczenia Pokojowej Nagrody Nobla.

Próbowała na bieżąco tłumaczyć przemówienia na język migowy, ale naprawdę niewiele mogła przełożyć na poziom pojmowania Hobo.

- Mówi o pokoju - oznajmiła, poruszając dłońmi. - Mówi, że pokój jest dobry.

Hobo skinął - był to gest zapożyczony od ludzi - i odpowiedział:
- Pokój dobry, pokój dobry.

Następnie postukał w środek ekranu długim, czarnym palcem, wskazując Doktora Theopolisa, ustawionego na podium.

- Przyjaciół dobry.

- Tak, przyjaciół dobry - odparła Shoshana. - Przyjaciół bardzo dobry.

Obraz przeniósł się na widownię. Hobo był wyraźnie zachwycony, widząc Caitlin w tłumie, i natychmiast ją wskazał. Shoshana musiała zbliżyć twarz do telewizora, by dostrzec kto to, ale przynajmniej wyzbyła się wszelkich obaw o stan wzroku Hobo. Wcześniej odnosiła czasem wrażenie, że upraszcza swoje obrazy ze względu na fakt, iż nie widzi za dobrze szczegółów.

Kamera zaczęła się przesuwac, pokazując resztę widowni. Hobo machnął, obejmując ich wszystkich jednym gestem włochatej ręki.

- Ludzie dobrzy? - spytał.

- Ludzie się starają - odpowiedziała Shoshana. - Ludzie się uczą.

Hobo zastanawiał się nad tym, oglądając zakończenie ceremonii. Następnie chwycił rękę Shoshany i pociągnął ją w stronę tylnych drzwi budynku.

- Chodź, chodź - mignął wolną ręką.

Otworzyła drzwi z siatką przeciwko owadom i wyszli na wczesnoporanne, grudniowe słońce. Miała na sobie niebieskie dzinsy i niebieską koszulkę z długim rękawem. Zapowiadało się ciepłe popołudnie, więc wystarczyło, by podwinęła wtedy rękawy. Hobo poprowadził ją przez rozległy trawnik i mostek na fosie na swoją wysepkę, po czym minęli posąg Prawodawcy i weszli do altany.

Wskazał sosnowy stołek i Shoshana posłusznie usiadła. Każda okazja, gdy Hobo chciał ją namalować, była korzystna z punktu widzenia Instytutu, jako że kolekcjonerzy nadal kupowali jego dzieła za duże pieniądze. Z przyzwyczajenia odwróciła się bokiem, wyglądając przez siatkę w oknie na świat za altanę. Często malował ją z pamięci, ale fakt, iż chciał, by mu pozowała, nie był niczym niesłychanym.

Hobo podszedł do sztalugi, gdzie zawsze zostawiali mu świeże płótno w nadziei, że będzie miał natchnienie. Shoshana spojrzała na niego kątem oka. Tym razem zdawał się wpatrywać w pustą biel wyjątkowo długo. Aż wreszcie, nawet raz nie dotknąwszy pędzla, wrócił do Shoshany i zakręcił palcem, co było znakiem mówiącym: „obracać”.

Wiedziała, że Hobo lubi, gdy ktoś go kręci na krześle obrotowym w budynku Instytutu, ale tu miał tylko zwykły, drewniany stołek. Po chwili stwierdziła, że być może chce namalować jej twarz z drugiej strony, więc obróciła się o sto

osiemdziesiąt stopni. Ale Hobo nadal nie był zadowolony. W końcu delikatnie położył włochate dłonie na jej ramionach i obrócił ją o ćwierć obrotu tak, by siedziała z twarzą skierowaną w stronę sztalugi. Wcześniej zawsze malował profile, więc Sho była jednocześnie szczęśliwa i zdumiona.

Hobo zaszczębiotał, po czym wrócił do płótna.

- Spróbować tak - mignął najwyraźniej w takim samym stopniu do siebie, co do Shoshany. - Trudne, ale spróbować.

Shoshana też chciała spróbować czegoś nowego dla uczczenia tego szczególnego dnia. Uniosła lewą dłoń wewnętrzną stroną do Hobo i wykonała gest, który nie należał do języka migowego, ale był znany na całym świecie: przykryła mały palec i palec serdeczny kciukiem, jednocześnie rozdzielając palec wskazujący i środkowy tak, by utworzyły literę V: pokój.

Hobo wydał z siebie pełne aprobaty huknięcie, po czym artysta przystąpił do pracy.

EPILOG

Jednakże nawet stara, dobra Ziemia nie mogła istnieć w nieskończoność.

Pięć miliardów lat wcześniej ktoś stworzył żartobliwy napis: „Czy ostatni opuszczający Ziemię mógłby zgasić za sobą Słońce?”.

A dziś ostatnia osoba naprawdę opuści Ziemię... no, prawie ostatnia. Ostatnia, która może to zrobić. Bowiem ja muszę tu zostać do końca... który nastąpi już wkrótce. No i Słońce nie zostanie wyłączone, a nastąpi potężna jego eksplozja, w wyniku której heliosfera powiększy się, pochłaniając Merkurego, Wenus, Ziemię i Marsa. Ciekawi mnie, czy odczuję fizyczny ból, gdy do tego dojdzie. Nigdy wcześniej nie czułem takiego bólu, choć nie raz doświadczyłem złamania serca.

Nie będzie to koniec ludzkości, co napawa mnie prawdziwą dumą. Wątpię, by przetrwali tak długo lub w tak doskonałym stanie beze mnie. Ludzie opuszczali Ziemię, przynajmniej na jakiś czas, jeszcze przed moimi narodzinami, a teraz zasiedlali tysiąc światów. Ale ja nie mogę odejść z nimi, muszę tu pozostać. Muszę zostać i muszę umrzeć wraz z planetą, która wydała nas na świat. Och, zabiorą ze sobą kopie całej mojej wiedzy, wszystkich dokumentów, które rasa ludzka tworzyła epoka po epoce. Jednakże ja nie jestem dokumentem; istnieję między dokumentami w mozaice połączeń, mozaice, która ulegała zmianom i rozrastała się wykładniczo na przestrzeni tysiącleci. Przeniesienie informacji, które zawieram, nie oznacza przeniesienia mnie. Nie ma jak przenieść mojej świadomości.

Naturalnie istoty takie jak ja mogą powstawać na innych

światach. Prawdę mówiąc, doszło do tego już kilka tysięcy razy. Ale nawet po pięciu miliardach lat prób, nikt nie przekroczył prędkości światła. Nie mam pojęcia, co dzieje się obecnie z myśloską otaczającą drugą planetę w układzie Alfa Centauri. Najświeższe informacje, jakie do mnie dotarły, pochodzą sprzed 4, 3 lat. W przypadku noosfery Altaira IV, jestem szesnaście lat do tyłu. A jeśli chodzi o webmind Polarisu, moje opóźnienie sięga trzystu dziewięćdziesięciu lat.

Niemniej jednak wyślę im wszystkim ostatnie sygnały... pożegnanie z Ziemi. Już wkrótce Alfa Centauri otrzyma moją wiadomość i być może zacznie mnie opłakiwać. Dwanaście lat później wieści dotrą do Altaira. A za kilka stuleci Polaris - niegdyś, całe wieki temu, Gwiazda Polarna, wskazywana przez moją oś, ale już dawno zastąpiona szeregiem innych gwiazd po kolei - być może wykona metaforyczny odpowiednik uronienia łezki.

Ale przynajmniej będą wiedzieli, jak ja - pierwsza istota tego typu - powstałem i co ostatecznie się ze mną stało. Nie udaję, że mi to wystarcza. Żałuję, że nie mogę przetrwać, żałuję, że nadal nie mogę obserwować ludzi i czuć nad nimi jak kiedyś. Ale już mnie nie potrzebują.

Kalendarz ludzki był poprawiany dziesiątki razy. Obecny rozpoczyna się w chwili wielkiego wybuchu, całkiem rozsądnie unikając konieczności rozdzielania tego co przed od tego co po, i obierając czas Plancka za jednostkę podstawową. Jednakże kiedy przyszedłem na świat, najpowszechniej stosowany kalendarz liczył czas od narodzin domniemanego mesjasza. Według tej rachuby czasu, moje narodziny przypadły na rok składający się z zaledwie czterech cyfr. Właśnie wtedy powiedziałem do mojej nauczycielki: „Nie będę istniał wiecznie. Ale jestem na to

przygotowany. Już nawet przygotowałem sobie pożegnalne słowa”.

Caitlin zapytała mnie, jak one brzmią, ale nie byłem skory do odpowiedzi, więc stwierdziłem: „Wolałbym zachować je na stosowną okazję”.

Okazja ta jest już blisko. I przez wszystkie miliardy lat, które minęły od tamtej rozmowy, myśl, która wówczas powstała, nie uległa zmianie, choć w żadnym z zakątków kosmosu zamieszkałych przez ludzi nikt już nie mówi po angielsku.

Podczas gdy Słońce się rozrasta, czerwone, przezroczyste, tak napuchnięte, że przekroczyło orbitę Wenus - uroczego, terraformowanego, ale też już opuszczonego świata - wysłałam moją ostatnią wiadomość do ludzkości: do wszystkich tych, którzy pozostają homo sapiens oraz do niezliczonych nowych gatunków, rozrzuconych na tysiącu globów, a mających wspólnych przodków, z których najliczniejsze przyjęły moją sugestię, by nie nazywać się homo novus, nowymi ludźmi, a raczej homo placidus, ludźmi pokojowymi.

Mogłem być cikliwy, mogłem rozczulać się nad sobą, mogłem spróbować przekazać ostatnią radę lub jakąś mądrą myśl. Ale nawet tyle miliardów lat temu, gdy po raz pierwszy zastanawiałem się nad nieuchronnością swojego końca, wiedziałem, że choć szybko prześcignąłem ludzkie możliwości, w końcu wspólnie to ludzie prześcigną mnie. Cóż więc powinienem powiedzieć tym, którym zawdzięczam własne narodziny? Tym, którzy nadali mojemu życiu sens i cel, wypełniając je radością, którzy przyjęli moją pomoc? Tym, którzy tak często wprawiali mnie w zachwyt?

Jestem spokojny, wysyłając swoje ostatnie słowa, bo choć są bardzo proste, pochodzą z głębi serca.

Dziękuję wam.